

Marjorie M. Liu

Dziki płomień

Przekład
Barbara Grabska-Siwiek

A(mb)er

I przywołaj ich królową, wspaniałą władczynię nocy.

Erasmus Darwin

*Zniknę w porannym świetle;
Byłam tylko wymysłem ciemności.*

Angela Carter

Rozdział 1

Tego dnia wypadały moje urodziny oraz rocznica zamordowania matki. Jadąc na przyjęcie, dołożyłam wszelkich starań, by schwytać i zabić zombi.

Jak co roku. Na tym polegał mój sekret. Znali go wyłącznie chłopcy i Zee. Taki prezent robiliśmy sobie nawzajem.

Słońce zaszło dopiero przed godziną, ale tu, w Seattle, niebo było czarne jak o północy, a krople deszczu uderzały w przednią szybę, jakby chciały rozbić szkło. W radiu śpiewała Cyndi Lauper, cicho, gdyż chciałam słyszeć, jak wtórują jej Dek i Mai. *True Colors*, jedna z ulubionych piosenek mojej matki.

Małe demony zwinęły się wokół moich ramion, ich ciepły oddech ogrzewał moje uszy, gdy nuciły melodię wysokimi, czarującymi głosami. Aaz i Raw siedzieli z tyłu, dziwnie spokojni, ich nóżki dyndały nad podłogą, gdy przyciskali do swoich pokrytych łuskami masywnych piersi nadje-dzone pluszowe misie.

Zee przykucnął na fotelu obok kierowcy. Ostre jak brzytwa kolce czarnych włosów sterczały na jego kształtnej czaszce, oczy połyskiwały czerwienią. Wciągał i wysuwał pazury i co parę minut drapał się po ramieniu w milczącym wzburzeniu. Trudno go było dostrzec, nawet gdy siedział tuż obok mnie. Tak było z nimi wszystkimi. Wtapiali się w ciemność, zlewali z nią, widać było tylko srebrzysty blask ich żył oraz płonące oczy.

- W lewo - wychrypiął Zee.

Nie wątpiłam w jego instynkt. Skręciłam na skrzyżowaniu. Znajdowaliśmy się na południowym skraju Lake Union, niedaleko parku. Wjechałam na parking koło zbrojowni. Chłopcy wyskoczyli z samochodu, znikając w mroku jak duchy, zanim zdążyłam wyłączyć silnik. Zostali tylko Dek i Mai, których ciężar czułam przy szyi. Swoją obecnością dodawali mi otuchy. Mali ochroniarze.

Ulewa nie ustawała. Nie przejmowałam się tym. Zee wysunął głowę spod deski rozdzielczej. Nie musiał nic mówić. Wsiadłam, kuląc się pod strugami lodowato zimnego deszczu. Zdjęłam rękawiczki. Rzuciłam okiem na osłaniającą prawą dłoń zbroję: żywą jak rtęć, z organicznego metalu, osadzoną w skórze moich palców i nadgarstka, połączoną ze smugami wędrującymi po wierzchu mojej bladej ręki.

Magia. Lub coś w tym stylu. Tego wieczoru szukanie właściwego określenia z pewnością nie miało żadnego znaczenia.

Zee ruszył przed siebie susami, na czterech łapach. Poruszaliśmy się wśród drzew, otoczonych betonowymi opaskami. Obcasy moich butów stuknęły ostro. Deszcz spływał mi po karku na ubranie. Włosy przykleiły się do czaszki, z nosa zaczęło kapać.

Aaz i Raw czekali pod drzewem, obok ścieżki dla biegaczy. Kobieta zombi leżała między nimi. Miała na sobie spodnie od dresu i lekką kurtkę przeciwdeszczową. Blondynka, młoda, opętana przez demonicznego pasożyta. Jej aura była stara, trzepotała w niej ciemność mroczniejsza niż noc.

Na mój widok obnażyła zęby, jakby chciała krzyknąć, ale Zee zatkał jej usta swoją małą dłonią. Szarpnęła się, próbując się zerwać, ale Raw chwycił ją mocno za nogi, zaś Aaz odciągnął jej ręce za głowę. Wszyscy dotykali jej możliwie jak najdelikatniej. Żywicieli byli niewinni. W każdym razie zawsze tak zakładałam.

Skuliłam się. Długo i uporczywie wpatrywałam się w zombi, zapamiętując twarz i huk aury. Nie zadawałam pytań, nie przejmowałam się zbrodniami. Nie myślałam zbyt dużo o ostatnich dwóch latach ani o tym, jak można by zmienić i nawrócić niektóre demony. Nie sądziłam, że niewinność jest możliwa. Tego wieczoru nie akceptowałam niewinności.

Myślałam o matce idącej przez kuchnię z moim tortem urodzinowym, o eksplodującym oknie i jej głowie, która nagle się rozpadła. Myślałam o jej krwi, płaczących chłopcach i własnym krzyku. O opętanych mężczyznach i kobietach -o zombi - którzy ją zamordowali.

Straciłam już rachubę, ile demonów wypędziłam przez całe lata, ale te, którymi zajmowałam się w dniu urodzin, zawsze były szczególne.

Byłam delikatna. Przycisnęłam dłoń do skroni kobiety. Wypowiedziałam pewne słowa i demon zaczął się rozciągać. Pasożyt trzymający się kurczowo ukochanego życia. To było silne opętanie. Mogło trwać nawet dziesiątki lat. Demon kierował tą kobietą, wykorzystywał ją jak marionetkę, by żywić się cierpieniem, jakie z pewnością wokół niej powodował. Obrastał w tłuszcz na tym bólu.

Pasożyt wyskoczył na wolność. Aaz złapał go pierwszy, a potem chwycili go Raw i Zee. Dek i Mai zamruczeli. Odwróciłam wzrok, starając się nie słuchać głośnych krzyków pożeranego stworzenia. Skupiłam się na kobiecie. Zbadałam jej tętno. Znalazłam jej dowód tożsamości. Mieszkała niedaleko. Uprawiała jogging. Niedobry wieczór na bieganinie. Przez wszystkie te pasożyty oraz ich zabawy.

Zee przemknął bliżej, przesuwając długim czarnym językiem po zębach. Wyczułam zapach siarki i popiołu. - Maxine - szepnął. - Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Otarłam z oczu krople deszczu i wróciłam do samochodu.

Od jakiegoś czasu trzymałam w samochodzie pudełko z opłaconymi z góry, jednorazowymi telefonami komórkowymi. Publiczne budki telefoniczne stawały się rzadkością.

Wyciągnęłam jeden i zadzwoniłam pod numer alarmowy. Powiedziałam, że w parku leży nieprzytomna kobieta. Dotknięta amnezją, czego jednak nie dodałam. To była dawna procedura. Kiedy się rozłączyłam, Aaz natychmiast zjadł telefon.

Nie rozmawialiśmy ze sobą, jadąc na przyjęcie. Dek i Mai dmuchali na moje włosy, by je osuszyć. Pogłośliłam radio. Aaz i Raw wyciągnęli z mroku dymiące pizze i pochłonęli je wraz z sześcioma litrami farby, pudłem nawozu do roślin i kilka pojemnikami bitej śmietany. Zee siedział na fotelu obok mnie w milczeniu, przyciągając swoje guzowate i szpiczaste kolana do piersi i kołysząc się w przód i w tył.

Grant czekał na mnie w galerii sztuki tuż przy wejściu. Wysoki i barczysty, wspierał się mocno na lasce. Jego kasztanowate włosy były wilgotne, jakby wypatrując mnie, wystawiał głowę na deszcz. Wewnątrz światła były przyćmione. Z góry dobiegała muzyka: *Śpiąca królowa* Czajkowskiego.

Próbowałam się uśmiechnąć, ale byłam zmoknięta i przemarznięta do szpiku kości. Czułam ból w sercu. Grant spojrzął na mnie, wciągnął do środka i objął ramionami. Trzymał mnie długo w uścisku. Wsłuchiwałam się w deszcz, mrużenie Deka i Mala i skrobanie pazurów o drewnianą podłogę. Słyszałam bicie serc, swojego i Granta. Doskonale ze sobą zgrane.

Powoli zaczęłam się odprężyć.

- Nie lubię obchodzić urodzin - wyznałam cicho.

Grant nie próbował mnie pocieszać. Nie mówił, że będzie lepiej. Nie wypuszczając z objęć, pocałował w czubek głowy, w zamknięte powieki i usta, otarł się szorstkim policzkiem o moją twarz. Był taki ciepły.

- No już - wyszeptał. - Zatańcz ze mną.

Uśmiechnęłam się, całując go w szyję.

- To twoje życie.

- Ufam ci. - Grant wsparł się mocno na lasce i podał mi ramię. - Pozwolę ci nawet prowadzić.

- O rany - odparłam, ocierając rękawem nos. - To miłość.

- Ech - odrzekł z lekkim uśmiechem i zawadiackim wzruszeniem ramion.

Aaz i Raw zachichotali. Zee, przykucnięty opodał, wyciągnął z mroku płatki jaśminu i rzucił je na nasze stopy.

Pomogłam Grantowi wejść na schody. Żadne z nas tego nie mówiło, ale wiedziałam, że noga go boli. Byłam jego podporą i poruszaliśmy się w rytmie głośniejszych i cichszych dźwięków *Sarabandy* z baletu Czajkowskiego. Niedaleko podestu mignął jakiś cień, przemknął przez strugę złocistego światła wylewającego się przez drzwi na klatkę schodową.

- Potrzebujecie pomocy? - spytał Byron. Młody i blady, miał najwyżej piętnaście lat, ciemne włosy. Ubrany był w dżinsy i miękką białą koszulkę z krótkimi rękawami i napisem na piersi: „Szekspir nie znosi twoich wierszy Emo”.

Uśmiechnęłam się, podobnie jak Grant.

- Jesteśmy już prawie na miejscu. Ale dzięki. Chłopak kiwnął głową, ale czekał, póki nie weszliśmy na podest. Zmierziłam mu włosy. Uśmiechnął się nieznacznie - równie dobrze mógł to być pełny uśmiech, bo jego oczy nie wyrażały rezerwy. Dobry dzieciak, bystry i szczery. Przeszedł długą drogę od czasu, gdy mieszkał w tekturowym pudle.

Usłyszałam brzęk garnków dobiegający z mieszkania. Grant ścisnął mnie za rękę.

- Jack jest zajęty.

- To ostrzeżenie czy groźba?

Byron już zaczął się przedzierać przez książki po drugiej stronie drzwi.

- Upięknął placki. Grant powiedział, że nie znosisz tortów. Wpatrywałam się w plecy chłopaka. Grant wsparł się na lasce i objął mnie mocniej.

- Nie mówiłam ci, że nie lubię tortów - powiedziałam.

- Nie mówiłaś też, kiedy masz urodziny. Ale opowiedziałas, jak zginęła twoja matka. - Grant pocałował mnie w ucho i przez dłuższą chwilę nie odsuwał od niego warg. - Mój mózg czasem działa.

- Przez ciebie robię się sentymentalna.

- Jack cię urobił. Nie jestem pewien, czy w ciągu tysięcy milionów lat życia kiedykolwiek świętował urodziny swojej wnuczki.

- W ciągu tych tysięcy milionów lat z pewnością miał wiele innych dzieci i wnuków.

- Może. Ale teraz ma ciebie. - Grant poklepał mnie po pośladkach. - No już, Cudowna Kobieto. On włożył fartuch specjalnie dla ciebie.

Mieszkanie było wysprzątane. A raczej przejście między stosami książek Jacka zostało nieco poszerzone. Ściany były zastawione półkami, uginającymi się od książek, wyrobów ceramicznych, masek i kamieni - ale tylko ściany znajdujące się o dobre trzy metry od środka pokoju, jedynego miejsca, gdzie człowiek mógł stanąć i przejść bez potykania się o coś. Wszędzie piętrzyły się pochylone na boki stosy książki, na wprost otwartych skrzynek oraz gazet i czasopism. Lampy stały niepewnie na pudłach, a przewody elektryczne znikwały w gąszczu innych kabli. Pośród tego wszystkiego walały się brudne kubki po kawie, papierki po czekoladowych batonikach oraz od czasu do czasu szklane oko; udawałam, że nie widzi, kiedy przechodzę.

Poczułam zapach ciasta. Dobiegło mnie mamrotanie i skrzypienie otwieranych drzwiczek piekarnika. Usłyszałam, jak Jack mówi: „Odłóż nóż”, a starsza kobieta odpowiada: „To nie ta kwestia, Wilku”.

Wydostałam się z labiryntu i weszłam do kuchni. Mój dziadek stał przy stole. Rzeczywiście miał na sobie fartuch - biały w wisienki, z falbankami - nałożony na spodnie w kolorze khaki i koszulkę. Jakimś cudem wyglądało to stosownie. Mary, w granatowej podomce haftowanej w spadające gwiazdy, stała po drugiej stronie stołu. Potargane białe włosy opadały luźno na jej ramiona. W dużych żyłastych dłoniach trzymała nóż, którego czubek wbijała w jeden z kilku leżących na stole placków, ledwie widocznych wśród desek do krojenia, wałków do ciasta, salatek i rozsypanej mąki.

- Trzeba umieć kroić - powiedziała Mary do dziadka, uderzając się pięścią w pierś. - Sam sobie poliz.

- Pięknie - odparł Jack. - Proponuję, żebyś dalej uprawiała marihuanę, a ciasta zostawiła mnie.

Staruszka syknęła na niego. Byron siedział na encyklopediach, obserwując ich i popijając spokojnie z filiżanki coś, co wyglądało na gorącą czekoladę. Dostrzegłam nieufność w jego spojrzeniu, pojawiającą się za każdym razem, gdy patrzył na Jacka - była to reakcja odruchowa i wątpiłam, czy kiedykolwiek zniknie.

Chłopiec uniósł zapraszająco filiżankę w moją stronę, ale odmówiłam. Natomiast Dek i Mai wysunęli głowy z moich włosów, wpatrując się w napój. Byron udawał, że ich nie zauważa. Był dobry w niedostrzeganiu chłopców.

Grant postukał laską w podłogę. Gniewna mina Mary zamieniła się w słodki uśmiech, dzięki czemu niemal zapomniałam, że jest wyszkolonym zabójcą. Zostawiła nóż, sterczący prosto w placku, i tanecznym krokiem podeszła na palcach do Granta. Pocałował ją w policzek. Nieco złagodniała.

Zbliżyłam się do Jacka. Próbował wyjąć nóż z ciasta, ale mu się nie udawało. Wzięłam go na stronę. Mary przez blachę wbiła ostrze w stół. Szurnięta damulka.

- Nie musisz robić tego wszystkiego - zwróciłam się do dziadka, który stęknął, usiłując wyszarpnąć nóż.

- Jak mógłbym tego nie robić? - Jack zanurzył palec w placku w dziurze po nożu i go polizał. - Jabłko. Tamten jest z brzoskwiniami. A z orzechami pekan wiadomo który. Wszystkie są świeże, zapewniam cię. Poszedłem dziś rano na Pike Place Market po składniki, pokonane zombi i chciwe młode kobiety, specjalnie dla ciebie.

- Mój bohaterze. Nie wiedziałam nawet, że potrafisz piec.

- Moja droga - odparł, kładąc mi dłoń na ramieniu - zanim zabiła mnie hiszpańska grypa, byłem krótko synem piekarza w Nowym Jorku. Na początku XX wieku. Wciąż mam wprawę.

- Ile żywotów masz za sobą? Dziwię się, że w ogóle coś pamiętasz.

- Nie pamiętam. - Podciągnął rękaw, żeby pokazać swoje tatuaże: słowa i symbole, a nawet cyfry. - Starzy ludzie czasem potrzebują pomocy.

Uśmiechnęłam się i zaczęłam kroić placek.

- Męczący jesteś, Stary Wilku.

- Oczywiście. - Patrząc na mnie, oparł się o blat. Czułam się dobrze i swobodnie. Mój dziadek. Mam dziadka. Mogłabym to powtarzać w nieskończoność i nigdy bym się nie zmęczyła.

- Jak się nazywałeś, będąc synem piekarza?

- Michael - odparł. - Znalazłem go w łonie jako małą kulkę komórek. Całkiem uroczą. A potem po prostu wniknąłem weń i trochę śniłem, a następną rzeczą, jaką pamiętam, były moje narodziny. Matka miała na imię Hannah, a ojciec Robert; byli dobrymi ludźmi. Surowymi i chyba trochę zbyt poważnymi jak na parę sprzedającą dzieciom słodycze, ale nawet ich lubilem.

- Czemu dopuściłeś, żeby grypa cię zabiła? Nie mogłeś jej zwalczyć?

- Skończyłem już z tym ciałem. Czekają mnie inne przygody. A doświadczanie śmiertelności w różnych formach może być... pouczające. - Uśmiech Jacka zbladł. - Coś nie tak?

Pomyślałam o kobiecie zombi, którą egzorcyzmowałam przed niecałą godziną.

- Mówisz, jakby to było łatwe. Ale mnie wciąż trudno się pogodzić z tym, że opętujesz ludzi. Nie jesteś demonem, lecz ty i tobie podobni stale wykorzystują ludzkie ciała. Szczególnie niektóre. Wydaje mi się... Zastanawiam się, co moja matka o tym sądziła.

- Nie wiem - odparł Jack i wyciągnął pudełko świeczek. - Mało rozmawialiśmy ze sobą podczas naszych kilku spotkań.

Żałowałam, że w ogóle się odezwałam. Poklepałam go po dłoni.

- Dzięki za placki i za... całą resztę. Wspaniale.

- Jesteś kochana - rzekł po prostu i zaczął wstawiać świeczki w placek, nie zwracając na mnie uwagi.

Oparłam się o stół, rysując kółka na rozsypanej mące. Czułam w piersi dziwny ciężar: gorący, przyjemny, a zarazem rozdzierający serce.

Rozejrzałam się po kuchni. Byron otworzył jakąś książkę i czytał, umyślnie ignorując Rawa, który, przysiadłszy za nim, zerkał mu przez ramię, wydłubując pazurem gluty z nosa. Mary również siedziała na książkach, jedząc świeże liście marihuany prosto z foliowej torebki; nucila coś, przytupując nogą. Grant, patrząc na nią, pokręcił głową, a potem spojrzał na mnie.

Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, poczułam wstrząs. Jak zawsze. Mój facet. Mój wspaniały mężczyzna. Byłam w strasznym stanie, niebezpieczna. Ostatnia żyjąca Strażniczka rozpadającego się więzienia, z którego pewnego dnia wyjdzie na świat demoniczna armia. Myślałam, że zawsze będę sama, tylko z chłopcami. Nigdy nie związę się z domem, wciąż będę w drodze, pozbawiona korzeni, i nikt na świecie nie będzie wiedział ani dbał o to, czy żyję, czy też umarłam.

Taka miała być przyszłość. Tak działo się w mojej rodzinie.

Ale ja dokonałam innego wyboru.

Pazury dotknęły mojego kolana. To był Zee, siedział pod stołem. Przykucnęłam, by go przyciągnąć i na moment przytulić. Nie puszczał mnie.

- Nadchodzą złe sny - szepnął tak, żeby dotarło to tylko do moich uszu. - Słysząc szepty śpiewające podczas burzy.

Poczułam zimny dreszcz, a potem ssanie w żołądku. Aby się uspokoić, głęboko zaczerpnęłam powietrza.

- Ico?

- Nie będzie już tak samo. - Zee zerknął przez ramię na Aaza, siedzącego opodal, a potem na Rawa, który wypełził z mroku pod stołem, by dołączyć do braci. Del i Mai wyslizgnęli się z moich włosów, spuszczać się na moje ramiona. - Nigdy już nie będzie tak, jak było.

Silna dłoń dotknęła mojego barku. Grant spoglądał na mnie z troską. Nie mogłam udawać, że nie dzieje się nic złego. Nie dlatego, że nie potrafiłam kłamać. Nie było niczego w człowieku, czego Grant nie mógłby zauważyć, a to, co umiał dostrzec, potrafił przeobrazić samym tylko głosem. Dzięki czemu był niemal tak niebezpieczny jak ja, może nawet bardziej. Ja umiałam zabijać. Ale nie potrafiłabym odmienić czyjejś duszy.

- Później - odparłam, poruszając bezgłośnie ustami, a on lekko skinął głową. Zerknęłam ukradkiem na Jacka, ale starszek wciąż był zajęty świecami. Choć może udawał. Trudno powiedzieć.

Mary przestała jeść liście marihuany, wzięła Byrona za rękę i nucąc cicho pod nosem, przyciągnęła go do stołu.

Patrzyłam na nich wszystkich. Moja rodzina. Moja przypadkowa, źle dobrana rodzina. Żadne z nas nie było w pełni człowiekiem - takim jak reszta ludzi na tym świecie - ale należeliśmy do siebie. Znalazłam swój dom.

Zapalono świece. Płonęło ich dwadzieścia siedem. Płonęły lata.

Zdmuchnęłam wszystkie za jednym razem i pomyślałam życzenie.

Obudziłam się parę minut przed świtem, na krawędzi sennego koszmaru.

Zwinięta w kłębek w ciemności, w swoim śnie. Uczyniona z mroku, pozszywana z rozległego lochu zapomnianych myśli, niezliczonych światów kości, krwi i skóry, rozciągniętych na firmamencie gwiazd. Czułam w żyłach błyskające gwiazdy, gdy moje serce pompowało światło w ciemność, we śnie pożarłam to światło, połknęłam wszystkie żarzące się kawałki. Przechodziły przez gardło, które skręcało się i zwijało w olbrzymi niekończący się krąg. Ja byłam tym kręgiem, zwojem i węzłem, a mój głód nie miał końca. Żadnego końca, nigdy.

Próbowaliśmy cię ostrzec, głos mojej matki zabrzmiał echem w ciemności, słowa huczały wśród gwiazd, płynęły wewnątrz przeklętego nurtu w mojej krwi. Dawaliśmy ci znaki, zagadki i przestrogi. Zapelnialiśmy twoje sny. Tamte sny.

Ale ty ich nie zrozumiałaś. I to nadchodzi.

Tak więc to cię czeka.

Bądź silna, maleńka. Bądź silna.

Nie leżałam w łóżku. Drżałam, zwinięta w kłębek na podłodze. Czułam, że jest mi zimno. Tak zimno, że przez chwilę wydawało mi się, iż jestem zgubiona wśród śniegów, przymarznięta do skutej lodem ziemi. Nie było tu jednak ani zasp, ani czarnego nieba. Tylko pokój pełen książek i foteli; w kącie stał fortepian, a przy sofie czerwony motocykl.

Dom.

Niezły dom, pomyślało coś we mnie, ale z niewiadomych powodów ta myśl budziła niepokój. Nie czułam się dobrze z tym, że mam dom. Byłam koczowniciem. Mieszkałam w samochodzie i pokojach hotelowych. Nie miałam korzeni.

Rozpoznawałam jednak miejsce. Wiedziałam, że to dom. Przynależałam do niego. Leżałam zupełnie nieruchomo, napawając się tym doznaniem, gdy poczułam języczki liżące moje uszy. Ciężkie ciała przewinęły się przez moje włosy, długie jak węże. Podwójne mruczenie zabrzmiało łagodnie tuż przy mojej czaszce.

- Maxine - zachrypiał cichy głos. - Słodka Maxine.

Nie poruszyłam się. Pozostawanie nieruchomo wydawało mi się najbezpieczniejsze - leżeć bez ruchu i cicho jak myszka.

- Wydajesz się przestraszony - szepnęłam. - Zee. Mały demon ukazał się, szurając szponami po twardej drewnianej podłodze. Mimo to pełen wdzięku, jak gdyby jego mięśnie były z wody i wiatru, przepływających pod jego napiętą skórą. Srebrna żyła pulsowała na jego szyi, a serce nie biło powoli i miarowo. Trzepotało. Drżało.

Nie mógł spojrzeć mi w oczy i niepokój, jaki odczuwałam, gdy tylko otworzyłam oczy - to narastające poczucie, że coś jest nie tak - rozprzestrzenił się gwałtownie w moich trzewiach. Czułam też pustkę: wielką dziurę w sercu. Miałam wrażenie, jakby to był żal, ale nie znałam powodu.

Usłyszawszy, że ktoś pociąga nosem, próbowałam usiąść. Potrzebowałam pomocy. Moje mięśnie były dziwnie słabe, stawy jak z gumy, jakbym biegła przez całą noc, machając kijem baseballowym. Każdy centymetr mojego ciała wydawał się zużyty. Głowa mnie bolała. Miałam ochotę położyć się z powrotem.

Małe dłonie zakończone pazurami wsunęły się pod moje łokcie. Raw i Aaz, sztywne włosy przyzlane mocno do ciemnych czaszek, szeroko otwarte, czerwono lśniące oczy. Mieli na sobie za duże koszulki baseballowe, których brzegi wlokły się przy szponiastych stopach, gdy oba demony przywarły mocno do siebie, opadając na moje kolana. Poczułam, że drżą. Usłyszałam, jak zaczęły ssać pazury niczym niemowlęta. W moich włosach Dek i Mai zwinęli się jeszcze mocniej w kłębek blisko przy czaszce, a ich mruczenie zakończyła straszliwa cisza.

Chciałam się odezwać, ale głos mi się załamał. Spróbowałam jeszcze raz, wolniej. Każde słowo wypowiadałam z wielkim wysiłkiem, zupełnie jak po udarze.

- Co jest? - wykrztusiłam. - Co się stało?

Nikt się nie odezwał. Nikt na mnie nie spojrzał. Raw i Aaz przywarli mocniej do mojego ciała, jakby chcieli schować się w moim brzuchu. Zee pozostał na miejscu, wbijał pazury w podłogę, żłobiąc rysy w drewnie. Zebrałam się w sobie, stanęłam prosto i spojrzałam w dół.

Krew. Wszędzie wokół lśniła zasychająca krew.

Chwilę trwało, zanim pojęłam, na co patrzę. Od dawna nie widziałam tyle krwi. Zmętniała i rdzawa jak trucizna, zalewała podłogę od miejsca, gdzie stałam, aż do kuchni. Z trudem uzmysłowiłam sobie, że ręce mam we krwi. Lewa dłoń cała czerwona. Prawa też poplamiona, wszędzie z wyjątkiem zbroi. Wiedziałam od razu, czym zbroja jest, a czym nie - magią, kluczem, czymś, co rozwija się w ciele, zanim umrzesz - ale wydawała się równie nierzeczywista jak ta krew, podłoga i oddech.

Moja prawa dłoń zwinęła się w pięść. Czułam teraz zapach krwi, jakby widok uwolnił jej woń: metaliczną i ciepłą, wdzierającą się przez nos do gardła. Myślałam, że zaraz się uduszę.

I rzeczywiście się zakrztusiłam, gdy spojrzawszy przez ramię, zobaczyłam, kto za mną leży.

- Jack. - Odepchnęłam demony, wdrapując się po moich rękach i kolanach, by dostać się do staruszka. Poślizgnęłam się na plamie krwi. Jego krwi. Wokół było jej mnóstwo, lepkiej i gęstej, przypominała straszliwe czerwone morze.

Ubrany był w lekki szary sweter i ciemne spodnie. Twarz miał odwróconą w drugą stronę, białe włosy zmierzwił. Tak stosownie. Tak ekscentrycznie. Mój dziadek był...

Dotknęłam go i wiedziałam.

Wiedziałam. Patrzyłam na niego, nie mogąc oddychać. Przyglądałam się, jakby z wielkiej odległości, jak moje palce obejmują jego rękę i ramię i ciągnąc delikatnie, odwracają ciało. Wydawał się jeszcze ciepły. Szło mi opornie. Czułam się słaba. Prerażona.

Ale gdy już leżał na plecach, zamarłam. Ten widok był jak cios w serce, tak mocny, że wszystko się we mnie zatrzymało: tętno, krązenie i życie.

Miał poderżnięte gardło. Od ucha do ucha. Ciało rozwierało się w przerażająco złośliwym uśmiechu. Jack Meddle. Mój dziadek.

A z drugiej strony zwłok, cały w jego krwi, leżał mój nóż.

Rozdział 2

Przytknęłam drżącą rękę do ust, tłumiąc krzyk. Być może wydałam z siebie jakiś dźwięk. Nie wiem.

Stałam się wiotka jak z gumy. Nie widziałam nic prócz Jacka. W scenie, którą miałam przed oczyma, nie potrafiłam znaleźć sensu. Ohydne ciało przypominało woskową skorupę, kukłę z gliny i zaklęć, spojona paznokciami i włosami. Ten widok mnie przerażał.

Nieważne, że niemożliwe, by Jack umarł - w każdym razie nie na zawsze. Nie obchodziły mnie szczegóły techniczne. Mój dziadek został zamordowany. Wszędzie wokół mnie była jego krew - wyciekła z ciała, które kochało moją babkę, przyczyniło się do narodzin mojej matki. I w pewien sposób również moich.

Czułam, jakbym go straciła naprawdę.

I zupełnie nie pamiętałam, jak to się stało.

Nie mogłam się poruszyć. Moje kolana były ciepłe i wilgotne. Czułam w ustach woń śmierci - nie tylko krwi, lecz także moczu i ekskrementów. Zapach wszystkich małych upokorzeń. Tak samo cuchnęła moja zamordowana matka.

- Zee - wychrypiałam, rozglądając się za małym demonem.

Przykucnął w pobliżu; jego kolczaste włosy oklapły, czerwone oczy miał przymknięte, jakby z bólu.

Nie mogłam wykrztusić z siebie nic więcej. Patrzyłam, jak on, Aaz i Raw wymieniają przeciągłe spojrzenia, podczas gdy w moich włosach dwa bliźniacze głosiki zaczęły nucić melodię piosenki *Highway to Heli*.

Czułam, że zaraz zwymiotuję. Zdołałam cofnąć się nieco po omacku, zostawiając na podłodze plamy krwi. Wstrzymałam oddech, zatykając usta. Uderzyłam plecami o kanapę. Mimo że odsunęłam się, nic się nie zmieniło. Nic nie stało się łatwiejsze. Nie nastąpiło cudowne wskrzeszenie.

- Zee - szepnęłam. - Co się wydarzyło?

Nie spojrzał na mnie. Gapił się na swoje szpony, jakby widział je po raz pierwszy: długie, zakrzywione i czarne jak smoła. Dostatecznie ostre, by rozdziwić włos. Lub poderżnąć człowiekowi gardło.

Równie ostre jak mój nóż, cały we krwi Jacka.

Widziałam go dobrze z miejsca, w którym siedziałam. Mój nóż. Należący niegdyś do mojej matki, pochodzący ze specjalnie zaprojektowanego zestawu, przekazywanego z pokolenia na pokolenie, aż trafił do mnie. Bez rękojeści. Samo ostrze. Przeznaczone dla rąk odpornych na zranienia, odzianych w rękawice wyłożone stalą. Nikt go nie używał poza mną.

Nawet teraz czułam w dłoni ciężar tego ostrza. Kiedy jednak sięgnęłam pamięcią wstecz, przypominałam sobie tylko ostrzenie noża na okrągłym brzuchu Zee. Siedziałam wtedy na kanapie obok regału z książkami - po przyjęciu, na którym byłam, takim pełnym śmiechu, z plackami i *Śpiącą Królowną* - oglądając stare odcinki *Misia Yogi*. Słuchałam, jak chłopcy zjadają torebki z żelaznymi gwoździemi, całe ząbki czosnku i tłuczone szkło i popijają wszystko olejem silnikowym.

Przypominałam to sobie. Pamiętałam każde doznanie i dźwięk: supelkową fakturę kanapy pod moją dłonią, zapach czosnku i oleju drażniący moje nozdrza, chichoty chłopców, kiedy Yogi próbował ukraść piknikowy koszyk. Jestem sprytniejszy od innych niedźwiedzi, kołatało się w mojej głowie wraz z innymi wspomnieniami, które nigdy nie zblakną: srebrzysty błysk noża na brzuchu Zee, iskry spadające z krawędzi ostrza, miękkiego jak światło, ostrego jak światło.

Z tego, co wydarzyło się potem, nie zapamiętałam niczego. W tym miejscu mojej pamięci powstała dziura. Mogłam dotknąć jej brzegu, przypominała filizankę bez dna, z ciemnością zamiast wody. Żadnego Jacka, żadnej przemocy. Żadnej wskazówki na temat tego, kto zostawił mojego dziadka nieżywego - i mnie, nieprzytomną, na podłodze.

To nie powinno się zdarzyć. Przecież chłopcy mnie chronili. Od tego zależało ich życie, tak samo jak moje. Od dziesięciu tysięcy lat związani z moim rodem, bronili matek i córek. Utrzymywali nas przy życiu, póki nie nadeszła pora, by umrzeć.

Ale to nie była moja kolej. Jeszcze nie.

- Zee - powtórzyłam.

- Maxine - zachrypiał. Wyraz jego twarzy przerażał pustką. Obojętny, nijaki, jakby mały demon zamknął się przede mną, odrętwiały tak jak ja.

Uświadomiłam sobie, że jest w szoku, tak jak wszyscy pozostali. Raw i Aaz przytuleni do siebie, kołysali się w przód i w tył. Dek i Mai swoimi cieniutkimi głosikami nucili brzękliwe refren *Highway to Heli*.

A potem całkiem zamilkli.

Zee patrzył na drzwi prowadzące do mieszkania, podobnie jak Raw i Aaz, którzy stopniowo przestali się kołysać i w końcu zupełnie znieruchomieli. Patrząc na nich, poczułam, że dreszcz przebiega mi po skórze - ale to świt, powiedziałam sobie. Słońce wszędzie bez względu na to, jak czarne wydają się okna.

Usłyszałam jakiś stuk. Ciężkie kroki na schodach.

Próbowałam wstać. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Uderzyłam pięścią w leżącą na kanapie poduszkę, sycząc na Zee. Zignorował mnie. Pstryknęłam palcami na Rawa i Aaza, ale spojrzeli tylko zakłopotani i nadal stali jak przyśrubowani do podłogi, naprężając ramiona, jakby szykowali się do ciosu. Łzy piekące w gardle napłynęły mi do oczu. To nie mogło się dziać naprawdę. Potrzebowałam czasu. Musiałam być sama z Jackiem.

Nagle drzwi otworzyły się z hukiem. Do środka wszedł jakiś człowiek, utykał, opierając się mocno na drewnianej lasce. Jego gęste, kasztanowate włosy były zmierzwiłone, zielona flanelowa koszula ciasno opinała szerokie ramiona. W ciemnych oczach płonęło szaleństwo. Wydawał się zdyszany, jakby tutaj biegł. Czy też raczej próbował biec, co utrudniał mu brak jednej nogi.

Nie demon. Nie zombi. W jego aurze nie było ciemnej chmury. Mimo to jednak na jego widok zamarłam, i to nie dlatego, że zjawił się nieoczekiwanie. Poczułam, że serce mi łomocze, jakby zderzały się ze sobą dwie góry. Niezwykle doznanie. Wzdrygnęłam się, nie wiedząc, co ono znaczy.

Zastanowił mnie fakt, że ów człowiek zignorował Zee i chłopców - zupełnie jakby w ogóle ich tu nie było. Najpierw zlokalizował mnie. Przyglądał mi się tak intensywnie, że zabrakło mi tchu i przeszedł mnie zimny dreszcz.

Potem oderwał ode mnie wzrok i spojrzał na Jacka.

- Och, Boże - wykrztusił, chwając się na nogach. Zrobił krok w stronę zwłok, omal przy tym nie runął, po czym odstąpił od staruszka i spojrzał na mnie znowu przerażającymi oczyma. Jego twarz była bezkrwista, niemal biała. - Maxine - powiedział szorstko rwącym głosem, którego dźwięk sprawił, że mróz przeszedł mi po kościach. - Ma-xine, czy coś ci jest?

Gapiłam się na niego. Zee nawet nie drgnął, za to Raw i Aaz wpełzli z powrotem na moje kolana, wydając z siebie przejmujące jęki. Byłam zbyt odrętwiała, aby ich przytulić, a ten człowiek nie wydawał się zaniepokojony ich obecnością, choć wyraźnie przyglądał się ich twarzom.

- Maxine - powtórzył, tym razem nieco głośniejsze.

Gdy słuchałam, jak wypowiada moje imię, dziura w moim sercu i umyśle stawała się coraz większa: ogromna i zimna, sprawiała, że czułam się mała i straszliwie zagubiona. Tak zdezorientowana i samotna nie czułam się od lat.

Mężczyzna przysiadł na podłodze z pewną trudnością, wyraźnie się krzywiąc, gdy kikut ułożył się pod złym kątem. Jednak ani na chwilę nie spuszczał ze mnie wzroku i ja też nie mogłam odwrócić spojrzenia. Gdybym to zrobiła, stałoby się coś złego: ktoś by umarł, uderzyłby piorun, nastąpiłoby trzęsienie ziemi. Może nawet straciłabym zdolność oddychania. Byłam tego pewna.

Chciał mnie wziąć za rękę. Wyrwałam dłoń. Raw i Aaz zadrżeli. Del i Mai znowu zaczęli nucić, ale krew szumiała mi w uszach tak głośno, że ledwo ich słyszałam. Stojący za mężczyzną Zee potarł czerwone oczy,

przeciągając pazurami bezpośrednio po gałkach, jakby chciał je wydłubać i sięgnąć w głąb czaszki. Wiedziała, jak się czuje.

Spojrzałam na mężczyznę - nie odrywał ode mnie wzroku - i zadrżałam z przerażenia, które nie miało nic wspólnego z moim zamordowanym dziadkiem.

- Przykro mi - wyszeptalam - ale nie mam pojęcia, kim jesteś.

Nie znałam tej twarzy. Nigdy nie widziałam tych kości policzkowych ani tych jędrnych ust. Nie znałam oczu, które patrzyły na mnie bez zmrużenia powiek. Były okolone dziwnym światłem, które zdawało się pochodzić nie tylko z odbicia lampy w blacie stołu.

Nic w tym człowieku nie było znajome. Nigdy go nie spotkałam. Nigdy nie oddychałam tym samym powietrzem co on. Nigdy nikt nie przyglądał mi się tak uporczywie i z taką troską.

- Maxine - szepnął.

- Nikt nie zna tego imienia - odparłam, lecz w tym momencie we wspomnieniach błysnęły twarze: Jack, Byron, Mary, garstka innych. Miałam wrażenie, że unoszę się na zewnątrz własnego mózgu, słuchając echa jakiegoś telewizyjnego programu, który był tylko fantazją. Mam przyjaciół. To jest dom.

Dom. Słowo najtrudniejsze do zdefiniowania. Rozejrzałam się jednak po ceglanych ścianach pokoju, popatrzyłam na wielkie, ciemne okna, fortepian, książki oraz na zawieszoną na oparciu kanapy skórzaną kurtkę mojej matki i znowu poczułam ciepło jakiegoś wyraźnego przeświadczenia. To był dom. Miałam przyjaciół, choć wydawało się to niemożliwe.

Miałam dziadka, którego fizyczne ciało było martwe. Zamordowane.

I miałam tego człowieka, siedzącego przede mną z jakimś innym rodzajem świadomości w oczach, patrzącego na mnie tak, jak nikt dotąd. Nikt, kogo bym pamiętała. Nie zwracał uwagi na otaczającego go demony, jakby w ogóle go nie obchodziły.

Odsunęłam się. Mężczyzna chwycił mnie za nadgarstek i ten kontakt podziałał na mnie jak nagłe oparzenie. Podobnie jak fakt, że Zee i pozostali nawet nie drgnęli. Obserwowali nas spod opadających powiek, z opuszczonymi kolcami i trzęsącymi się szponami. Niespokojni. Zdenerwowani.

- Maxine - powiedział mężczyzna cicho, lecz z naciskiem. - Znasz mnie.

Wyrwałam rękę z jego uścisku, nie zwracając uwagi, że syknął z bólu. Zepchnęłam demony z kolan, odsuwając się do tyłu. W końcu udało mi się wstać. Ale tylko na chwilę. Kolana się pode mną ugięły. Usiadłam ciężko z powrotem na kanapie, obolała i słaba.

Drepczyła mnie obecność ciała Jacka, które cały czas widziałam kątem oka. Kiedy zgięłam palce, jego zaschnięta krew pokruszyła się i odpadła od mojej skóry. Potarłam dłonie, cała zdrętwiała w środku: sparaliżowana, z wyjątkiem bolącego gardła; znieczulona na śmierć, czułam tylko lęk w sercu; tak otepiała, że miałam ochotę krzyczeć lub uciec.

Dek i Mai wysunęli się z moich włosów i ześlizgnęli po ramionach na kolana. Mięśnie przepływały pod ich długimi węzłowymi ciałami, a drobne szczątkowe łapki chwyciły moje nadgarstki, gdy obaj zlizywali krew z moich dłoni. Ich języki były gorące. Mężczyzna spojrzał na nich, potem na mnie. Posępny, wymizerowany, lecz nieustraszony.

- Zee - powiedział ochryplym głosem. - Wiesz, kim jestem.

Kiedy usłyszałam, jak wymawia imię demona, serce we mnie zamarło. Zee zamknął oczy. Mężczyzna skrzywił się, rozglądając się za nim.

- Zee.

- Znam cię - zachrypiał demon po długim wahaniu. - Jesteś Grant.

Zsunęłam Deka i Mała z kolan i chwiejąc się na nogach, odeszłam od kanapy. Zrobiłam dwa kroki w stronę ciała Jacka i przystanęłam, trzymając się za brzuch i gardło. To nie mogło się zdarzyć. Poprzedniego wieczoru jedliśmy placek. On, siedząc na stosie książek, rozwodził się na temat pszczelarstwa starożytnych Rzymian. Przytulił mnie na dobranoc i pocałował w policzek.

Uklękłam we krwi i dotknęłam jego stopy. Nigdy nie zwracałam uwagi na jego buty: praktyczne, z brązowej skóry popękanej ze starości. Dobre do chodzenia. To była jedyna rzecz, na którą mogłam spokojnie patrzeć.

- Wiedziałem, że coś jest nie tak - szepnął mężczyzna za moimi plecami, a jego słowom towarzyszył odgłos przesuwania drewnem po podłodze. Wyobraziłam sobie laskę w jego dłoni i ugodziło mnie to jak kolejny silny cios. - Byłem w Bellevue. Pamiętasz to miejsce? Wyjechałem kilka godzin temu, żeby załatwić sprawę z jednym z naszych porannych dostawców. Ty zostałeś, bo Jack przywołał cię w środku nocy. Chciał z tobą porozmawiać. Powiedział, że to ważne.

Ważne. Wszystko było ważne dla Jacka.

Ale to, co mówił ów człowiek, z niczym mi się nie kojarzyło. Może z wyjątkiem słowa „dostawcy”. Pojawił się obraz: duża przytulna kuchnia, rojąca się od wolontariuszy, rycząca z głośników w suficie muzyka z musicalu *Oklahoma!*; lady zastawione wielkimi pojemnikami pełnymi soku, egg beaters i mrożonych kiełbasek. Wyobraziłam sobie, że czuję zapach kiełbasek; ich woń wpływała do mieszkania przez otwarte drzwi.

Z kuchni, pomyślałam. To Coop. Mieszkałam nad schroniskiem dla bezdomnych.

Nie mogłam sobie przypomnieć dlaczego.

Laska stuknęła o podłogę.

- Poczulem ciebie, Maxine. Poczulem, że dzieje się coś strasznego. Wróciłem tak szybko, jak tylko mogłem.

Za późno. Maxine już nie ma.

Dek i Mai przeturlali się po podłodze w moją stronę. W ustach trzymali butelki do połowy zagłębione w gardłach, widziałam tylko szklane dna i przelewający się w środku złocisty płyn. Połykając butelki, przewrócili oczami. Nie miałam pojęcia, skąd wziął się ten trunek, ale chłopcy tacy już byli. Obok mnie Raw i Aaz muskali zakrwawioną podłogę końcami swoich długich czarnych języków, powoli i z rozmysłem, jakby rozsmakowując jej historię. Brzegi ich baseballowych koszulek pokrywały czerwone plamy.

Po skórze przeszedł mi dreszcz. Od głowy po palce stóp, od paznokci po cebulki włosowe. Okna były ciemne, ale to przecież Seattle i przez cały zeszły tydzień padał deszcz. Zbliżał się wschód słońca. Miałam najwyżej kilka minut. Za mało na znalezienie odpowiedzi na wszystkie moje pytania.

Wciąż dotykałam buta Jacka.

- Zee. Co się stało?

Nadal nie odpowiadał. Usłyszałam szuranie. Obejrzałam się przez ramię akurat w momencie, gdy tamten mężczyzna pochylał się, chwytając Zee za bark. Wzdrygnęłam się, czekając, aż krzyknie.

Nie krzyknął. Powinien stracić rękę, a przynajmniej uszkodzić palce lub skórę. Nikt nie dotykał chłopców prócz mnie. Gdy tylko chcieli, każdy centymetr ich ciała mógł stać się ostry jak brzytwa. Ale facet trzymał Zee, wpatrując się w niego. Z wściekłością, jak zauważyłam. Z czystą, niepohamowaną furją.

- Odpowiedz jej - rzucił z naciskiem.

Zee pokręcił głową. Stałam, kołysząc się na stopach. Spojrzałam na leżący przy zwłokach zakrwawiony nóż. Nie mogłam się zmusić, by go dotknąć.

- Zee - odezwałam się ochryplym głosem - kto zabił Jacka?

Zee wymamrotał coś pod nosem i odwrócił wzrok. To samo zrobili pozostali chłopcy. Żaden z nich nie patrzył na mnie. Przeszedł mnie zimny dreszcz.

- Nie daj się prosić - szepnęłam. - Co się tutaj wydarzyło? Demon zamknął oczy.

- Tajemnica.

- To nie jest odpowiedź. - Zrobiłam krok w jego stronę; całe ciało miałam obolałe. - Czy to ja go zabiłam? Czy zamordowałam własnego...

Zee warknął, wyrывая się i odsuwając od mężczyzny, z którego dłoni trysnęła krew. Ten syknął, zaciskając ją w pięść przy brzuchu, i ze zbieleńcami wargami wpatrywał się w Zee kamiennym wzrokiem.

- Niemożliwe, żebyś zraniła własnego dziadka - powiedział, spoglądając na demona, a nie na mnie. - W żadnym razie, Maxine.

Nie odpowiedziałam. Zee spojrzał mi w oczy, jakby zrobiło mu się ciężko na sercu, a deski podłogowe pod nim pękły, rozpadając się na kawałki. Z jego kościstych pleców wzniósł się dym, napełniając powietrze smrodem siarki, palącym mnie w nozdrza. Zee wydawał się rozgniewany, ale była to woń zdenerwowania i żalu. W zamroczeniu dotknęłam skroni.

- Zabiłam go? Tak czy nie?

- Nie wiem - wychrypiał Zee, a jego ciało przeszło dreszcz tak bolesny, że demon zwinął się na podłodze w kościstą kulkę. - Nie pamiętam.

- Co... - zaczęłam i przerwałam, z trudem przetykając ślinę. To niemożliwe, chciałam dodać, ale demony nigdy nie kłamały. Mogły mówić zagadkami albo przekręcać słowa, ale kłamstwa były wyklęte; podobnie jak niedotrzymywanie obietnic.

- Nie mogę sobie przypomnieć - szepnął Zee, wpatrując się w swoje szpony, jakby to było dla niego coś nowego. - Nic nie pamiętam. Otworzyłem oczy, zobaczyłem krew i nic, nic, nic.

- Zee - szepnęłam.

Mały demon znowu zadrżał i uderzył głową o swoje knykcie i szpony, znów próbując wydłubać sobie oczy, ale te starania wywołały jedynie iskry w powietrzu. Padłam przed nim na kolana i chwyciłam go za sękatę nadgarstki. Mógł jednym szarpnięciem połamać mi kości, ale znieruchomiał, drżąc i ciężko unosząc pierś. Gwałtownym ruchem wzięłam go na rękę.

Wcześniej był cichy, beznamiętny, ale kiedy w końcu na mnie popatrzył, w jego oczach dostrzegłam niepokój; nigdy dotąd nie widziałam na jego ostrej, pobrużdżonej twarzy czegoś tak bliskiego przerażenia.

- Znikła jak błyskawica - szepnął. - Nasza pamięć odeszła.

Poczułam ciepło na ramieniu. Mężczyzna się zbliżył. Przechyliłam głowę, by spojrzeć na Rawa i Aaza, którzy przyłgnęli do jego nóg, kryjąc twarze w jego kolanach.

Byłam zbyt odrętwiała, by odczuwać zdziwienie. Ale nie na tyle, by nie zdawać sobie sprawy, że czegoś brakuje w moim mózgu. Jakiegoś przekłętą draństwa.

Próbowałam przypomnieć sobie coś o tym człowieku -cokolwiek sprzed ostatnich dziesięciu minut - ale wywołało to jedynie ból w sercu, które było jak pocięte na strzępy. Ogarnęło mnie tak wielkie i przerażające poczucie samotności, że nie mogłam oddychać.

Krew spływała między palcami mężczyzny, plamiąc zieloną koszulę i skapując na podłogę. Nie mogłam patrzeć wyżej, ponad jego dłonie. Bałam się spojrzeć mu w oczy, a ten lęk sprawiał, że czułam się mała. Nigdy nie byłam tchórzem.

Tchórze umierają. Pozwalają, by inni ginęli.

Zee przyglądał się krwi, a potem mężczyźnie. Jemu i mnie.

- Dobre serce - wychrypiał demon z naciskiem, od tych słów oczy zaszyły mi łzami, które spłynęły na moje policzki, kiedy położył szponiastą łapę na mojej piersi. - Nie utrac dobrego serca.

Przetarłam oczy. Świt dotykał mojej skóry, drżąc wraz z pierwszym blaskiem słońca wschodzącego za ścianami i chmurami.

- Idź spać. Dziś w nocy znajdą się wszystkie odpowiedzi.

- Maxine - szepnął Zee żałośnie. - Boję się... Odpowiedzi zabijają.

Dek i Mai przestali nucić. Raw i Aaz zerknęli na Jacka. Próbowałam zrobić to samo, ale mogłam spojrzeć tylko na jego buty, nogi, na jego bladą dłoń i czubki palców pokryte krwią.

- W takim razie lepiej będzie, kiedy dowiemy się dlaczego - wyszeptalam, a gdy weszło słońce, przygotowałam się na to, co miało nadejść.

Stało się to szybko. Szybciej niż jedno uderzenie serca, w ułamku sekundy: chłopcy znikli. Rozpłynęli się w dymie, który znów pojawił się na mojej skórze.

Spoglądałam na swoje ramiona i dłonie. Moja skóra nie widziała słońca od czasu, gdy matka została zamordowana. I nigdy już go nie zobaczy. Blade ciało znikło, pokryte teraz całkowicie tatuażami: wijącymi się, splątanymi kształtami, wyrytymi węglem i rtęcią, połyskującymi żyłkami srebrzystego ognia. Łuski, szpony, zęby i języki, wędrujące po mojej skórze, pokrywające każdy centymetr od palców u stóp po głowę i między udami. Tylko twarz była od nich wolna, ale to próżność, szybko korygowana w obliczu zagrożenia, które dość często się zdarzało, gdy strzelano i wrzucano mnie pod autobusy.

Śmiertelna w nocy. Nieśmiertelna w dzień. Nic nie mogło mnie zabić od teraz aż do zachodu słońca. Ani bomba jądrowa, ani woda czy ogień, ani najgorsze monstrum na tym lub jakimkolwiek innym świecie.

Mój ród powstał, by walczyć z potworami, aby chronić świat przed najbardziej przerażającymi stworami, o których istnieniu nikomu nawet się nie śniło. Kiedyś prócz mnie byli inni. Teraz zostałam sama. Tylko ja stałam naprzeciw armii demonów, zamkniętych w więzieniu otaczającym ziemię. Ja przeciwko ludziom Jacka: awatarom, obcym istotom, które przed dziesięcioma tysiącami lat stworzyły mój ród i były niemal tak groźne, jak demony uwięzione za zasłoną.

Potarłam dłonie, zeschnięta krew znikła, wchłonięta przez chłopców. Czarne paznokcie, dostatecznie twarde, by przeciąć stal, połyskiwały w świetle lampy niczym oleista plama. Nawet zbroja zmieniła wygląd jak kameleon - wryta w postaci węzłów i zwojów przypominających róże. Czułam się cięższa. Chłopcy mieli dużą masę. Czerwone oczy spoglądały na mnie z dłoni: Dek i Mai spali na moich rękach. Chłopcy nigdy nie spoczywali dwa razy w tym samym miejscu. Tak jak ja.

Ale to nieprawda. Miałam dom. Zapłaciłam korzenie, mieszkałam tutaj przez...

...niemal dwa lata, powiedziałam sobie. Dwa lata żyłam w cieple.

Czułam to ciepło. Nie wysoką temperaturę, lecz coś głębszego, w swoich trzewiach - jak gdybym obserwowała życie jakiejś innej Maxine Kiss. Innej kobiety z moją twarzą i krwią, wiodącą życie, o jakim nawet dla siebie nie marzyłam. Życie, w którym, jak pamiętam, siedziałam przy stole z dziwnymi przyjaciółmi i chłopcami, wszyscy razem - bez tajemnic, ze śmiechem, czując szczęście pod skórą. Pod dachem, który... był mój?

- Maxine - rzekł cicho mężczyzna.

Siedziałam przez dłuższą chwilę, próbując dojść do siebie. Wstałam powoli, ignorując wyciągniętą ku mnie pokaleczoną i krwawiącą rękę. Krew mi nie przeszkadzała, ale obawiałam się go dotknąć, tak samo jak bałam się spojrzeć mu w oczy. Dajcie mi demona do zabicia, ale nie to. Wyślijcie mnie na wojnę, ale nie pakujcie mnie w to.

Grant. Zee nazwał go tak. Miał na imię Grant.

Zmusiłam się, by wytrzymać jego wzrok. To był błąd. Kiedy na mnie patrzył, czułam się obnażona, odarta do kości i mięśni, pozostawało tylko moje chore, dudniące serce, drżące pod żebrami. On tylko mi się przyglądał, co jednak wystarczyło, by zachwiać tę część mojej osoby, która nie mogła pozwolić sobie na rozpad. Nie teraz.

- Naprawdę mnie nie pamiętasz - wyszeptał, a w tym cichym, niskim głosie brzmiał ogromny ból.

Pokręciłam przecząco głową.

- Ani trochę.

Wciągnął powietrze, jakbym go uderzyła.

- Kochasz mnie.

Zwariowałeś, niemal mi się wyrwało.

Nie powiedziałam tego jednak. Zamilkłam.

Ponieważ wystarczyło zobaczyć wyraz jego oczu i sposób, w jaki chłopcy się przy nim zachowywali, by wiedzieć, że mówi prawdę.

Kochałam kiedyś tego człowieka.

Ale teraz już nie.

Rozdział 3

Cofnęłam się, odsuwając od niego. Czułam się osaczona w tym przestronnym pokoju. Obcasami wdepnęłam w krew.

- Nie uciekaj ode mnie - powiedział. - Jestem ostatnią osobą, której powinnaś się bać.

- Nie boję się.

Uśmiechnął się smutno, pełen napięcia i lekkiej goryczy.

- Kłamczucha.

Odwróciłam się od niego. W stronę ciała Jacka. Przez chwilę udawałam, że patrzę na zwłoki, ale tak naprawdę starałam się opanować nerwy. Kłamczucha, kłamczucha, spodnie palą się, aż bucha.

Nie przypominałam sobie tego człowieka bez względu na to, jak mocno chłopcy obejmowali jego nogi. Nie znałam go, choć dziwnie na mnie patrzył: jakbym do niego należała. W sposób, który miał coś wspólnego z sekretami i trzymaniem się za ręce, z oddychaniem tym samym powietrzem. Z nagą skórą.

Wystarczy. Jesteś wojowniczką.

A więc walcz.

Głęboko nabrałam w płuca powietrza i skupiłam się na Jacku. To było gorsze niż jazda kolejką w lunaparku. Czułam, że żołądek zaraz wywinie mi się na drugą stronę, serce podskakiwało do gardła jak niezdarny pijak. Z trudem przełknęłam ślinę - udając, że wcale nie powstrzymuję wymiotów - po czym zdusiłam niechęć i odrazę, by spojrzeć na woskową twarz Jacka.

Miał podcięte gardło. Już to widziałam. Krążyłam wzrokiem po jego ciele, wciąż jeszcze szukając jakichś wskazówek. Nie byłam zbyt dobrym detektywem. Zazwyczaj w sprawach drobnych szczegółów zdawałam się na chłopców, ale to musiało poczekać do wieczora.

Głupia. Powinnam była kazać im zbadać zapachy.

A może już sami to zrobili. Może nie było żadnych woni. Tylko nasze. Może coś poszło nie tak. Coś złego stało się ze mną.

- Lubisz sobie dogadzać - powiedział mężczyzna za moimi plecami. - Kiedy winisz siebie. Kiedy nawet tylko o tym myślisz.

Zamarłam, po czym powoli odwróciłam głowę.

- Co powiedziałeś?

- Słyszałaś. - Mężczyzna pokuśtykał w moją stronę z tak twardym i zimnym wyrazem twarzy, że nie miałam bladego pojęcia, co tutaj z nim robię. - Zawsze najpierw oskarżasz siebie. Myślisz o sobie jak najgorzej.

- Jestem zabójczynią - rzuciłam odruchowo, choć nie miałam zamiaru się odzywać. - Jeśli mnie znasz...

- Znam cię - zachrypiał. - Znam cię, Maxine. Kiedy wyłonił się przede mną, nie ugięłam się i poczułam falę ciepła przepływającą od jego ciała do mojego. Pachniała cynamonem i innymi ciepłymi rzeczami. Kojarzyła się ze światłem słonecznym i ogniem.

Podszedł bliżej i stanął, obserwując mnie uważnie. Nie wiedziałam, czemu jest to takie denerwujące. W mojej pamięci błysnęły oczy innych mężczyzn - szalone, groźne, przebiegłe, zimne - ale wzrok żadnego z nich nie palił mnie tak, jak spojrzenie tego człowieka.

Miał rację: kłamałam. Przestraszył mnie. Byłam niezniszczalną kobietą, chyba że ktoś zaczynał od innej strony.

- Zamierzasz rozmawiać czy patrzeć? - spytałam szeptem, nie mogąc odezwać się głośniejszym głosem. - Mój dziadek nie żyje. Stoisz w jego krwi.

- Jack wcale nie jest martwy. A ty nie zamordowałaś jego ciała. Mogę założyć się o swoje życie, że to prawda. -Przyjrzał się mojej twarzy. - Jak dużo pamiętasz? Chyba wiesz, że Jack nie jest właściwie...

- Człowiekiem. Tak.

- I wiesz, gdzie jesteś?

- W Coopie - odparłam bardzo wolno, wyczuwając, do czego to zmierza, i bojąc się tego.

Mężczyzna odchylił się do tyłu, ściągając brwi.

- Dlaczego tu mieszkasz? I z kim? Przełknęłam z trudem i wskazałam ciało Jacka.

- Nie zmieniaj tematu.

- Tematem jest twoja pamięć.

- Nigdy bym cię nie pokochała - odparłam.

Wsparł się na lasce, na chwilę stracił dech w piersi. Ugryzłam się w język, czując do siebie lekką niechęć, i odwróciłam się w stronę Jacka. Właściwie nie było już prawie nic, czego bym wcześniej nie dostrzegła: poderżnięte gardło, ubranie w całkowitym porządku. Ludzie, którzy walczą o życie, zwykle mają rozdartą odzież, wyglądają, jakby się szamotali. A Jack tak nie wyglądał. Przykucnęłam we krwi i ujęłam jego rękę. Skóra robiła się zimna. Coraz bardziej przypominał skorupę, woskową figurę. Coś nierzeczywistego.

Pod paznokciami widniała krew, chyba jego krew. Nie miałam jednak możliwości, by się upewnić. W końcu podniosłam nóż. Chłopcy wyskali krew z ostrza i metal połyskiwał teraz w świetle lampy.

- Czy tak leżał, kiedy go znalazłaś? - spytał mężczyzna cichym, szorstkim głosem, trochę zbyt spokojnie.

Zawahałam się.

- Leżał na boku.

- Żaden z mebli nie był przewrócony. Nie wygląda, by walczył.

- Może nie miał czasu na walkę.

- Może znalazłaś go nieżywego. Twoja pamięć mogła zostać skradziona potem. To nie byłby pierwszy raz.

Wstałam, unikając jego przenikliwego spojrzenia. Zastanawiałam się, jak wiele mu powiedzieć, ale wydawało się, że wie już wszystko. Znowu pomyślałam o chłopcach, o tym, jak Raw i Aaz obejmowali nogi tego mężczyzny, tuląc twarz do jego kolan, i zmusiłam się, by na niego spojrzeć. Przyjrzeć mu się naprawdę.

Kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, miał oczy szaleńca, i ta dzikość wciąż w nich tkwiła, teraz złagodzona tępym bólem, który rzucił się cieniem na jego twarz. Niezbyt piękny mężczyzna, lecz przystojny. Wygląda! na kompetentnego. Nie dostrzegłam w nim przebiegłości, jedynie prostolinijność, i zdecydowanie, jeśli jego nieustępliwe spojrzenie stanowiło jakiś wskaźnik.

- Masz rację - odparłam. - Moja matka skradła mi kiedyś wspomnienia, kiedy miałam osiem lat. Później je odzyskałam. Wiem, że Zee potrafi to samo. Zrobił to kiedyś mojej babce.

- Tak - odrzekł mężczyzna ostrożnie. - Mówiłaś mi o tym. Kiedyś, żeby jej pomóc, cofnęłaś się w czasie. Za pomocą tego... - Wskazał broję osłaniającą moją rękę. - On ukradł jej potem pamięć o tobie.

Powoli wypuściłam powietrze z płuc.

- Gdybym nie widziała, jak chłopcy zachowują się przy tobie...

- Nie strasz mnie - przerwał. - Gdyby mnie nie pamiętali...

- Straciłbyś rękę. Albo stałoby się coś jeszcze gorszego. - Ruszyłam w stronę sypialni. Moje stopy były lepkie. Zostawiałam na podłodze ślady krwi. Przeszłam przez otwarte drzwi i włączyłam światło - potknęłam się lekko na widok zmiętej pościeli i ubrań na podłodze, moich i męskich - a potem skierowałam się do łazienki. Pod zlewem znajdowała się apteczka. Nie zastanawiałam się, skąd wiem, że tam jest. Po prostu była i pamiętałam o tym.

Odłożyłam nóż. Umyłam ręce, choć nie musiałam. Dostrzegłam maszynkę i krem do golenia; czarny stanik zawieszony na klamce. Dwa komplety ręczników, brudne męskie skarpetki na podłodze pod koszem na brudną bieliznę; dwie szczoteczki do zębów wstawione razem do brzydkiego kubka w kształcie głowy Statuy Wolności. *Poleciałaś samolotem do Nowego Jorku, po raz pierwszy, żeby pomóc starszej kobiecie i staruszkowi, i kupiłaś to na lotnisku, ponieważ ktoś powiedział, że powinnaś to zrobić - ale dlaczego - to był dowcip, śmiałaś się, ale nie sama, nie byłaś sama, a za każdym razem, kiedy patrzysz na ten przedmiot, przypominasz sobie tamto rozbawienie i znowu się uśmiechasz.* Właśnie teraz uświadomiłam sobie, że się uśmiecham, i przetarłam usta grzbietem dłoni.

Pomyślałam, że jestem w innym świecie. W strefie Cienia. Traciłam zmysły, orientację. Inne wymiary istniały. Może znalazłam się w jednym z nich. Za wszystkie swoje problemy mogłam winić podróże między wymiarami, poczynając od mojej pierwszej poprzedniczki oraz istot, które ją stworzyły i pojawiły się na ziemi przed tysiącami lat.

Moje refleksje nic nie pomogły. Wyglądałam strasznie: czarne splątane włosy, blada cera, cienie pod oczami. Odgarnęłam włosy do tyłu i przyjrzałam się szramie pod uchem. W każdym razie próbowałam. Była zakryta przez jednego z chłopców; wytatuowany ogon wił się pod linią włosów, pokrywając skrócone wzory, wyryte na mojej skórze: znak zostawiony przez demona.

Charakterystyczny ślad, który tak przeraził Jacka oraz innych. Jedna z moich poprzedniczek miała taką bliznę: prezent od tego samego demona, który na mnie wyrył ów znak.

Oturu. Istota stworzona z nocy, noży i koszmarów. Śniłam o nim czasami, ale w tych snach zawsze byłam kimś innym - inną kobietą - widziałam tam krew, śmierć, długie polowania, które zdawały się rozgrywać w międzygwiazdnych przestrzeniach.

Oturu mnie naznaczył, ponieważ, jak powiedział, przypominałam mu jedną z moich poprzedniczek: kobietę z moich snów. To raczej nie komplement. Według mojego dziadka najmiłszą rzeczą, jaką można by o niej powiedzieć, było to, że omal nie zniszczyła świata.

Przycisnęłam apteczkę do piersi i wyszłam z łazienki. Mężczyzna czekał na mnie oparty o drzwi sypialni. Swobodna, luźna postawa - z wyjątkiem oczu. Jak u wilka, doszłam do wniosku. Kolejny typ łowcy.

- Twoja ręka - powiedziałam.

- A Jack? - zapytał.

- Może poczekać. Tak jak stwierdziłeś, nie jest martwy - mówiłam z trudem. Wyduszałam z siebie słowa, które brzmiały tak, jakbym miała wadę wymowy. - Może szuka innego ciała.

- Miejmy nadzieję, że takiego poza łonem. Wolałbym nie czekać na niego, aż dorośnie i znajdzie nas, zanim otrzymamy jakieś wyjaśnienia.

Stęknęłam i wskazałam mu gestem, by wyszedł z pokoju. On jednak spojrzął na mnie i utykając, podszedł do łóżka. Usiadł na brzegu. I czekał.

Miałam ochotę kopnąć go w chorą nogę. Łóżko - i on siedzący na nim - przypominało mi pułapkę na niedźwiedzie. Kiedyś za dnia wpadłam w taką na Alasce. Kolce odłamały się, uderzając w moją nogę, ale cholernie trudno było rozchylić żelazne szczęki, żeby się uwolnić.

Ale ta pułapka nie pachniała seksem.

Nie usiadłam przy mężczyźnie. Otworzyłam apteczkę, położyłam ją na brzegu materaca, wyciągnęłam bandaż i maść. Mężczyzna patrzył na mnie przez cały czas, czego nie znosiłam. Nie wiedziałam nawet, dlaczego robię to, co robię, czułam tylko, że powinnam.

- Daj mi rękę - mruknęłam.

- Weź ją - odparł, wciąż trzymając pięść przy brzuchu. Przód jego koszuli był zakrwawiony.

- Nie baw się ze mną w gierki.

Pokręcił głową, nie spuszczać ze mnie wzroku.

- To nie jest zabawa.

- Dotykanie cię nie wróci mi pamięci. Uniósł kącik ust w gorzkim uśmiechu.

- Weź mnie za rękę, Maxine. Albo wyjdź stąd. Albo cię uderzę, pomyślałam.

Chwyciłam go za nadgarstek. W porównaniu z wychudzonymi mięśniami jego przedramienia, moje wytatuowane palce wydawały się drobne, kobiece, co nie było określeniem, jakie zwykle wobec siebie stosowałam. Zaskoczyło mnie też ciepło płynące z jego skóry. Chłopcy zazwyczaj zostawiali mnie w ciągu dnia znieczuloną, niezdolną do odczuwania ciepła czy zimna, chyba że na twarzy lub we wdychanym powietrzu.

Nie pamiętałam tego faceta. Nie przypominałam sobie, żebym kiedykolwiek dotykała mężczyzny, najwyżej podczas egzorcyzmów. Nie umiałam być delikatna.

Jednak gdy się skrzywił, stwierdziłam, że spróbuję. Rozluźniłam uścisk, ostrożnie odciągnęłam jego rękę od brzucha. Palce nadal miał skurczone, przyciśnięte do krwawiącej dłoni. Wsunęłam pod spód swoją dłoń - małą w porównaniu z jego ręką - delikatnie rozprostowując jego palce.

Mógł zrobić to sam. Przecież wcześniej pomógł mi wstać. To był sprawdzian. Obserwował moją twarz, krzywiąc się tylko jeszcze raz, kiedy powiedziałam:

- Jesteś manipulatem.

- Może - przyznał po chwili.

Nie powiedział nic więcej, kiedy bandażowałam mu przeciętą rękę. Z powodu krwi skaleczenie wydawało się poważniejsze niż w rzeczywistości, okazało się tylko powierzchowną raną szarpaną, która zapewne piekielnie bolała. Nie miałam zbytnej wprawy w naprawianiu ludzi, ale sądziłam, że znośnie wykonałam zadanie.

- Nie czuję palców - oznajmił. - Ale liczę na to, że nadal je mam.

- Mazgaj - mruknęłam, patrząc, jak próbuje zgąść dłoń. Niezbyt mu się to udało. Bandaż, który założyłam, owijał jego rękę ciasno jak wąż.

Zsunęłam wszystkie papierowe opakowania na podłogę. Chłopcy zjedzą je później - ta myśl przyszła mi łatwo. Niemal nie dostrzegałam, jak dziwne było takie myślenie. Wręcz niepokojące. Znowu zdałam sobie sprawę, że to dom. Nawet chłopcy tak traktowali to miejsce. Widziałam ich zabawki na podłodze: nadjeżdżone pluszowe misie, żyletki, numery „Playboya”. Rzeczywistej wielkości postać Bon Jo-viego, wyciętą z tektury i stojącą w kącie, z wielką czupryną.

Wskazałam na to.

- To nowe.

- Zee skorzystał z twojej karty kredytowej - odparł mężczyzna. - Pamiętasz?

- Tak - odparłam wolno, z zastanowieniem. - Teraz tak. To przyszło wczoraj rano. Nie spodziewałam się tego. - Zerknęłam na niego i wytrzymałam jego spojrzenie. - Myślisz, że kłamię z tym pamiętaniem?

- Nie. Dziwię się tylko, dlaczego przypominasz sobie jego, a mnie nie.

- On ma lepszą fryzurę - odparłam, wychodząc z sypialni. - A może chodzi o skórzane ciuchy.

Prychnął i zawołał.

- Jak mam na imię, Maxine?

Zatrzymałam się w pół kroku, a potem ruszyłam dalej.

- Zee nazywał cię Grantem.

- Dobrze - odparł z gorzkim rozbawieniem. - Nie zapomnij tego imienia.

Rozdział 4

Kiedy dorastałam, miałam jedyną przyjaciółkę, nie licząc chłopców.

Moją matkę. Jedyną osobę, na którą mogłam liczyć.

Niezwykłą, piekielnie podłą w walce, bezwzględną, przebiegłą - i najlepszą ze wszystkich, jeżeli idzie o pieczenie ciast. Jej owsiane ciasteczka mogłyby wskrzesić umarłego. Albo sprawić, że mała dziewczynka czuła się kochana po ciężkim dniu pełnym demonów i długich podróży, wiedząc, że to nigdy się nie skończy, a takie dni będą tylko trwać nadal i nabiorą większej ostrości.

A potem matka zmarła. I przez pięć lat byli tylko chłopcy i ja. Mieszkaliśmy w hotelach i moim samochodzie, podróżowaliśmy po kraju, polując na demony.

Samotne życie było łatwiejsze. Żadnego ryzyka, tylko samotność. Nikt jeszcze od tego nie umarł.

Ale wtedy coś się we mnie zmieniło, pomyślałam, zbliżając się do kuchni schroniska dla bezdomnych. Po latach podążania uczciwą drogą - czyli życia w samotności - coś się zmieniło i nie mogłam sobie przypomnieć co takiego. Nie pamiętałam, czemu osiadłam w tym miejscu, mimo że to, jak zostałam wychowana, dobitnie wskazywało, że nie powinnam tego robić.

A to nasunęło mi myśl, że mam coś wspólnego - a właściwie wiele - z kuśtykającym za mną posępnym, milczącym mężczyzną.

Z Grantem. Powiedziałam mu wcześniej, żeby nie przychodził. Nie potrzebowałam towarzystwa. Zwłaszcza jego. Za dużo tego i za prędko.

Miał na sobie czyste ubranie. I ja też. Rękawiczki, golf. Byłam zakryta od szyi w dół. Rzadko odsłaniałam swoje tatuaże. Zbyt wiele pojawiało się pytań, gdy tatuaże znikwały w nocy.

Spojrzałam na Granta, a potem szybko odwróciłam wzrok. Zdążył jednak zauważyć. Podeszedł nieco szybciej, kulejąc, i pochylił się.

- Nie patrz tak na mnie. Próbowalem cię ostrzec.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Mamy wspólną szufladę na bieliznę - odparł krótko szeptem. - Czystą bieliznę, na szczęście. To naprawdę nie koniec świata.

- Czy ja coś powiedziałam?

- Wydaje mi się, że krwawiły ci oczy. Spojrzałam na niego.

- Później. Porozmawiamy, kiedy będziemy sami.

- Czy pozwolisz mi tak się do siebie zbliżyć? - Grant nachylił się z twardym wyrazem twarzy, nieugięty. - Pozwolisz mi znowu być z tobą sam na sam?

Ciepło zalało mi twarz. Byłam twardą kobietą. Pokrytą demonami. Przyzwyczajoną do obcowania z potworami. Seks z obcym człowiekiem - a zakładałam, że sypialismy ze sobą - to nic takiego. Naprawdę. Nawet jeśli nie pamiętałam, żebym kiedykolwiek była z mężczyzną.

Nigdy. Nawet się nie całowałam.

- Cholera jasna - powiedziałam głośno.

Kilka głów się odwróciło, ale gdy zaskoczeni wolontariusze zobaczyli, że to ja, odprężyli się, wymieniając zrezygnowane, niemal pogardliwe spojrzenia. Wysunęłam ku nim środkowy palec.

Grant nawet nie mrugnął, ale jego usta złagodniały.

- Moja dziewczyna.

Odwróciłam się. Coś w tonie jego głosu, poczucie humoru ukryte pod surowością i gniewem - moja dziewczyna, moja dziewczyna - utkwiło w drobnych pęknięciach w moim sercu. Jakby umieszczono tam tonę cegieł. Poczułam mdłości.

Kuchnia wyglądała tak, jak zapamiętałam, co było trochę pocieszające. Muzyka zespołu Journey huczała, szorstki głos wokalisty wznosił się i opadał, na podłogę ciskano skrzynki z pomarańczami i przesuвано na bok wokół podniszczonych kartonowych pudeł wypełnionych torbami makaronu hurtowej wielkości. Kielbaski skwierczały, gdy wrzucano je do metalowych pojemników, z których je serwowano, obok naleśników i jajecznicy - jednak te zapachy niemal ginęły pod wszechogarniającą słodką wonią ciepłych cynamonowych bułeczek, wyciąganych świeżo po upieczeniu z wielkich pionowych piekarników. Zaburczało mi w żołądku. Potrzebowałam pożywienia - nie tyle dla siebie, co dla chłopców.

Chociaż nie bardzo mi się śpieszyło do jedzenia.

Grant przestał stukać laską. Powiedziałam sobie, że nie będę patrzeć, ale i tak się odwróciłam i zobaczyłam, że rozmawia z mężczyznami, którzy rozładowywali pomarańcze. Byli to wielcy faceci o zmiętych, szorstkich twarzach i mięśniach prężących się pod kurtkami mokrymi od deszczu; trzymanymi w dłoniach rękawiczkami wciąż uderzali o uda - niecierpliwili się, chcąc wrócić do roboty. Spoglądali jednak na Granta z szacunkiem i słuchali go w całkowitym skupieniu.

Doszłam do wniosku, że to jego miejsce. Jego przytułek dla bezdomnych i jego mieszkanie.

Zerknął na mnie. Gdy nasze spojrzenia się spotkały, poczułam kolejny wstrząs, więc zakłopotana i rozgniewana odwróciłam wzrok.

Skup się, nakazałam sobie, przygnębiona. Skup się, bo wyjdzie na to, że jesteś nic niewarta.

Rozejrzałam się po kuchni, szukając osoby, po którą tutaj przyszłam. Teraz, gdy ciało Jacka było martwe, mogły pojawić się inne problemy. Być może. Nie miałam pewności. Nie chciałam jednak niczego zakładać. Staruszek leżał na górze pod prześcieradłem. Nie chciałam, żeby ktoś jeszcze skończył podobnie.

Zobaczyłam w kącie dziewczynę układającą bochenki lekko czerstwego białego chleba. Miała na sobie patchwor-kowy fartuch, który na pewno pochodził z domu, wyblakła fioletowa chustka zakrywała warkocze. Nie znałam jej imienia. Sądziłam, iż to dlatego, że jestem osobą beznadziejną, a nie dotkniętą amnezją amatorką trawy.

- Hej - zawołałam i dziewczyna podskoczyła, biorąc gwałtowny wdech.

Niepewny uśmiech przemknął przez jej usta, kiedy zobaczyła, że to ja, ale była też trochę zdenerwowana. Pewnie z powodu mojej świetnej reputacji. Przypominałam sobie niejasno, że widziałam ją poprzedniego dnia w tłumie, który przyglądał się, jak usadziłam pewnego faceta za napastowanie kobiety. Na oczach kilkunastu przerażonych ludzi złamałam mu nos, rzucając na podłogę - co było i głupie, i rozsądne. Głupie, ponieważ ściągnęłam na siebie uwagę, a rozsądne, bo niewielka doza brutalności to dobry środek odstraszający.

Uchodziłam tutaj za kobietę o różnych zdolnościach, ale głównie siłowych. Gdy pojawiał się jakiś problem z ochroną, wszyscy przychodzili do mnie. A gdy wylaniały się inne kłopoty...

Nie mogłam sobie przypomnieć. Nie pamiętałam nawet, skąd ci ludzie mnie znali, wiedziałam tylko, że mnie rozpoznają. Mieszkałam tutaj prawie od dwóch lat. Przez dwa tajemnicze lata z jakiegoś sekretne powodu.

Usłyszałam stukot laski o podłogę i poczułam zapach cynamonu. Wmawiałam sobie, że to woń płynąca z piekarnika, a nie od mężczyzny, który ogrzewał moje ramię, nawet mnie nie dotykając. Jak kaloryfer.

Dziewczyna spojrzała obok mnie i uśmiechnęła się promiennie, bardziej prawdziwie i uroczo. Odchrząknęłam.

- Byron miał być tutaj.

Oderwała wzrok od Granta i ściągnęła brwi.

- Och, nie widziałam go. - Odwróciła się, rozglądając po kuchni i mocniej marszcząc czoło. - To dziwne, prawda? On nigdy się nie spóźnia.

Odeszłam bez słowa i skierowałam się do drzwi. Kiedy tylko znalazłam się na korytarzu, zaczęłam biec. Grant zawołał mnie po imieniu, co sprawiło, że popędziłam szybciej.

Schronisko dla bezdomnych składało się z kilku połączonych ze sobą magazynów i stanowiło część dawnej fabryki mebli położonej na południu Seattle. Znajdowały się tutaj miejsca sypialne dla mężczyzn, kobiet i rodzin, a także niewielki ośrodek opieki dziennej i centrum szkolenia zawodowego. Przystałek Coop miał też drugie skrzydło z mieszkaniami wynajmowanymi na krótkie okresy, zarezerwowanymi dla specjalnych gości.

A Byron stanowił taki właśnie szczególny przypadek.

Jego pokój znajdował się na końcu korytarza. Zastukałam do drzwi. Po drugiej stronie panowała cisza, wyciągnęłam więc z kieszeni pęk kluczy. Usłyszałam stukot laski na schodach i poczułam się głupio, ponieważ chciałam wyprzedzić człowieka utykającego na jedną nogę - i ponieważ w ogóle chciałam mu uciec.

Mieszkasz z nim, powiedziałam sobie, otwierając kluczem drzwi. On zna twoje sekrety. Nie podjęłabyś lekko tej decyzji.

A chłopcy nie tolerowaliby go, gdyby go nie lubili.

- Cholera - powiedziałam znowu i uchyliłam drzwi. W środku panował mrok. Przydałoby się trochę świeżego

powietrza. Pomieszczenie było urządzone jak standardowy pokój hotelowy: łóżko, toaleta, jedno okno i obok łazienka. Na ścianach wisiały plakaty: z filmów *Hellboy*, *Łowca androidów* oraz parę innych, które Byron zdobył w ostatnich kilku miesiącach. Na biurku leżały sterty książek, otoczone stosami papierów. Nie było komputera. Byron wolał pisać ręcznie, a mnie nie obchodziło, czy umie korzystać z Internetu lub klawiatury. Zależało mi tylko na tym, żeby się uczył. Zdobywałam kiedyś edukację w domu i chciałam, żeby on robił to samo. Był dobry z historii i matematyki. Wątpię, czy przeciętny uczeń college'u dorównywał mu inteligencją i dojrzałością.

Nastolatek był w łóżku. Nie musiałam włączać światła, żeby go zobaczyć. Spał, widać niespokojnie, bo częściowo się odkrył, a jedna skarpetka zwisała mu z palca u nogi. Nadal miał na sobie białą koszulkę z szekspirowskim logo.

Grant ukazał się w drzwiach.

- Nic mu nie jest?

Podniosłam rękę i uklękłam przy łóżku. Policzki chłopca, zwykle blade jak kreda, były pokryte czerwonymi plamami. Ściągnęłam rękawiczkę i dotknęłam jego skroni. Poczułam ciepło przez tatuaż. Zbyt duże ciepło.

Potarłam mu ramię, patrząc, jak drgają mu powieki.

- Ma gorączkę.

Woda pociekła z kranu w łazience. Grant zjawił się ponownie z moką ścierką w zabandażowanej ręce. Przyłożyłam kompres do skroni chłopca, odgarnęłam do tyłu jego ciemne włosy, odczuwając osobliwy niepokój, odbierający mi dech, co sprawiło, że po raz kolejny zaczęłam się zastanawiać, czy właśnie to się czuje, będąc matką.

- Skąd wiesz? - spytał cicho Grant.

- Nie wiem. Ale on i Jack... - przerwałam, wciąż nie mogąc poradzić sobie z faktem, że ten człowiek, na dobrą sprawę, jest kimś obcym. Nie byłam już dzieckiem, ale rada zabraniająca rozmawiać z obcymi wciąż wydawała mi się słuszna. To bezpieczniejsze. Powodujące mniej problemów. Niewymagające wysiłku.

Grant skierował na mnie wzrok.

- Jack robił eksperymenty na chłopcu. Uczynił go nieśmiertelnym, wywołał przewlekłą amnezję. Żadne z nas nie potrafiło stwierdzić, po co to zrobił, i kiedy, ale na podstawie tego, co powiedział Zee, wiemy, że to było, zanim Pompeje stanęły w płomieniach i zamieniły się w popiół. - Wskazał na ścianę. - Wystarczy ci? Możesz teraz zacząć walić głową.

- Mądrała.

- Gdybyśmy zamienili się rolami...

- Przestań...

- ...i gdybym cię nie znał...

- Nie obchodziłoby mnie to.

Grant pochylił się, wytrzymując moje spojrzenie.

- Ja też byłbym ostrożny, Maxine. Ale nie... rozmyślnie ślepy.

Z jakiegoś powodu to mnie zabolalo.

- Nie pouczaj mnie.

- A ty mnie nie odtrącaj. Jeszcze nie teraz.

Spojrzałam na swoje dłonie, a potem na chłopca. Chciałam powiedzieć Grantowi, że „jeszcze nie teraz” jest „w tej chwili” i że może sobie iść do diabła. Ale słowa uwięzły mi w gardle i zdołałam jedynie wykrztusić:

- Powinnam była dokładniej wypytać Jacka o to, co zrobił Byronowi.

- Jack nie odpowiada na kłopotliwe pytania. - Grant usiadł ostrożnie na brzegu łóżka, kładąc laskę na podłodze. Przyglądał się Byronowi tak intensywnie i tak długo, że zaczęłam się zastanawiać, czy nie powinnam się zaniepokoić. - Słusznie się martwiłaś - rzekł nagle. - To nie wirus wywołał u niego gorączkę. To coś głębszego, ale nie potrafię dokładnie określić...

Byron lekko uchylił powieki. Odemknął je tylko trochę, ukazując wąskie szparki ciemnych, rozpalonych oczu. Wstrzymałam oddech, kiedy na mnie spojrzał; pojawiły się wspomnienia, obrazy przemykające jak błyskawica: zobaczyłam go w mokrym kartonowym pudle, jak wtedy, gdy go poznałam; i później, kiedy zombi przyłożył mu broń do skroni, a ciemne oczy chłopca otwarły się szeroko ze strachu.

Jednak wspomnienia o tym, jak siedział obok mnie, posilał się razem ze mną lub czytał, wydawały się najwyraźniejsze, ponieważ Byron był taki sam jak ja, nieufny wobec ludzi. Nieprzyzwyczajony, by mieć przyjaciół.

Jednak mi ufał. Z bożą pomocą, ale ufał.

- Cześć, młody - powiedziałam łagodnie.

Patrzył na mnie przez długą chwilę, po czym skierował wzrok wyżej, na Granta.

- Czemu... jesteście tutaj oboje?

- Wygląda na to, że zachorowałaś na coś zeszłego wieczoru. - Przełożyłam wilgotną ściereczkę na drugą, chłodniejszą stronę. - Powiedz, jak się czujesz.

- Gorąco mi - wymamrotał i znowu zamknął oczy. - Miałem zły sen.
- Opowiedz mi go.
- Śniła mi się jakaś kobieta. Lub mężczyzna. Nie wiem. Miała obrożę. A jej głos... - Byron dotknął szyi. - Nie chciałem słuchać, jak ona... on... mówi.
Skrzywiłam się. Grant pochylił się do przodu.
- Jak wyglądała?
- Wyraźnie - wyszeptał i przełknął z trudem. - Chce mi się pić.
- Przyniosę ci wody - odparłam i poszłam do łazienki, rozmyślając o kobiecie, która mogła być mężczyzną, o obrożach i głosach. To nie musiało być nic szczególnego, ale chłopak zachorował, Jack nie żył, a ja nie wierzyłam w przypadki.
Kiedy wróciłam, Grant rozmawiał przez telefon komórkowy. Jedną rękę trzymał na ramieniu chłopca, ale chłopiec wydawał się odprężony, a na jego twarzy nie było śladu nieufności czy napięcia. Miałam wrażenie, jakbym znowu patrzyła na Zee albo Rawa i Aaza, obejmujących kolana tego mężczyzny. Musiałam się z tego otrząsnąć.
Grant odłożył telefon.
- Rex ma znaleźć Mary, żeby posiedziała z Byronem. Nie zapytałam, skąd wie, że ja nie zostanę z chłopcem,
ani dlaczego on się do tego nie zgłosił. Nie dlatego, żebym mu ufała. Nie byłam pewna, czy w ogóle mu wierzę, ale wszyscy inni zdawali się padać mu do stóp. Mogłam potraktować to jako wskazówkę. Nie być rozmyślnie ślepa na to, że może nie bez powodu chłopcy - i Byron - mu ufali.
Z tego samego powodu moja bielizna była wymieszana z jego rzeczami.
O Boże. Czułam się od tego chora.
Chłopak westchnął.
- Mary jest szalona.
- Tylko trochę - przyznałam, co było niedopowiedzeniem graniczącym z kłamstwem, z wieloma cholernymi kłamstwami.
Mary była wojowniczką i ochroniarzem w innym życiu, w innym świecie i wymiarze. A teraz starą kobietą uzależnioną od marihuany, robiącą na drutach i...
Koniec. Nie mogłam sobie przypomnieć.
Nie pamiętałam.
- Ona cię lubi - oznajmiłam chłopcu, zakłopotana tym, że mój głos brzmi ochryple. - Jeśli przyniesie ci trawkę...
- Wiem - odparł, opadając gwałtownie na poduszki. - Nie jestem głupi.
Stłumiłam śmiech i zmierzwiłam mu włosy.
- Nie startuj w maratonie, dopóki nie wrócę. Czy chcesz, żebym ci coś przyniosła?
Pokręcił przecząco głową, oczy mu pociemniały.
- Nie czuję się dobrze, Maxine. - Podrapał się po szyi, a potem po klatce piersiowej. - Nie czuję się najlepiej.
Boję się. Odniosłam wrażenie, jakby to mówił. *Boję się.* Pomyślałam o leżącym na podłodze martwym Jacku. O tym, jak obudziłam się w jego krwi, zobaczyłam jego podcięte gardło. Mój dziadek. Mój dziadek został zamordowany. Nie mogłam temu zapobiec. Nie pamiętałam nawet, jak to się stało.
Uklękłam i przycisnęłam mocno usta do skroni Byrona, sprawdzając, czy ma wysoką gorączkę. Chłopiec przestał oddychać, kiedy go dotknęłam, a potem objął moje ramiona i znowu wstrzymał oddech.
- Wszystko będzie dobrze - szepnęłam. Wpił się palcami w moje barki.
- Zawsze tak mówisz.
- Bo jesteś mój. - Ledwo słyszałam własny głos. Nie wiedziałam, po co to mówię; zdawałam sobie tylko sprawę, że boję się stracić również tego chłopca. Najpierw straciłam dziadka, potem Granta: człowieka, którego podobno kochałam. Odeszli. Moje życie się rozpadało.
- Jesteś mój - powtórzyłam z uporem. - Nic ci się nie stanie.
- Dobrze - szepnął Byron i poklepał mnie po plecach. - Nie mogę oddychać.
Puściłam go i wstałam.
- Niedługo wrócę.
Podeszłam do drzwi. Choć nie zamierzałam się odwracać, zrobiłam to i poczułam się strasznie. Przepelniła mnie groza, gdy spojrzałam na chłopca. Miał zamknięte oczy i przez chwilę wyobraziłam sobie, że nie żyje i jest zimny. Grant stanął między nami i przycisnął mi usta do ucha.
- Wystraszy się, gdy zobaczy, jak na niego patrzysz.
Schyliłam głowę i wyszłam. Zatrzymałam się dopiero w korytarzu. Potem ruszyłam dalej. Grant dogonił mnie na szczycie schodów. Nic nie mówił. Ja też milczałam.
Wyszliśmy z budynku. Nikt nas nie zatrzymał. Podeszłam do mojego samochodu, wdychając zimne, wilgotne powietrze i rozkoszując się deszczem padającym na twarz. Deszcz zawsze wydawał się realny.
Miałam małego czerwonego mustanga. Klasyczny model, który w posępny ranek w Seattle przypominał lśniący wiśniowy klejnot. Wsiadłam do środka. To samo zrobił Grant. Chwyciłam za kierownicę, mówiąc:
- Nie zapytałeś, dokąd jadę. Otarł deszcz z włosów.
- Nie pozwolę, żebyś znikła mi bez śladu.
- A jeśli nie dam ci wyboru?
Uśmiech przemknął przez jego usta, ale nie był to miły uśmiech.
- Po prostu jedź, Maxine.
Tak też zrobiłam. Szybko cofnęłam, po czym ruszyłam do przodu i gwałtownie skręciłam kierownicą, gdy wyjeżdżaliśmy z parkingu na drogę, ledwie omijając stojącą furgonetkę firmy usługowej i człowieka, który z niej wysiadał. Wrzasnął głośno; osunęłam się w fotelu i pogłośniłam radio. Grał *Eye of the Tiger*. Grant spojrzał na mnie z ukosa, kącik jego ust drgnął.
- O co chodzi? - wymamrotałam.
- O nic - odparł i pogłośnił radio tak, że aż poczułam w piersi basowe drgania. Chłopcy zaczęli pulsować na mojej skórze w rytm muzyki.
Piętnaście minut później dotarliśmy do Thunderdome.

Rozdział 5

Thunderdome to bar, ale taki, do którego japiszony i bogate dzieciaki z college'ów mogłyby się wybrać, by najeść się trochę strachu, ale niekoniecznie dostać nożem, udając się do toalety. Popularne były tutaj sobotnie wieczory ka-raoke, zachęcające do pijackich występów na ladzie baru oraz skopywania drinków i pustych szklanek na innych upojonych alkoholem hulaków. Coś takiego działo się tutaj nie tylko w weekendy, ale przez większość wieczorów, gdy właścicielka podawała drinki, błyskając odkrytym udem i głębokim dekoltem. Bar działał dopiero od paru miesięcy, ale kiedy tu przychodziłam, zawsze był zatłoczony.

Teraz jednak był czwartkowy poranek i chodnik przed wejściem cuchnął rzygami. Podobnie jak młody mężczyzna w dżinsach i kaszmirowej marynarce - bez koszuli - który chrapał, leżąc w przejściu. Trąciłam go czubkiem mojego kowbojskiego buta, ale on tylko prychnął cicho i wtulił się w wyschnięte pozostałości napojów i kolacji - składającej się z brokułów i chyba jakiegoś hamburgera - brudząc sobie twarz.

- Od dzisiaj nic nie jem - powiedziałam. - Nigdy.

- Wydaje mi się, że mógłbym zostać alkoholikiem - odparł Grant, naciskając dzwonek przy drzwiach. - Zasmakuję w wódce i będę chodził do portu uczyć się rosyjskich przyspiewek od marynarzy.

- Moja matka kiedyś tak zrobiła. - Cofnęłam się, patrząc na zasłonięte okna na pierwszym piętrze. - Wzięła mnie ze sobą. Miałam wtedy trzynaście lat. Nauczyłam się grać w pokera od jednookiego, bezzębego olbrzyma, którego oddech śmierdział jak pudło z gnijącymi pachami. Grant spojrzał na mnie.

- Nie znam tej historii.

- To dobrze - odparłam, gdy po drugiej stronie porysowanych drzwi do baru rozległ się odgłos kroków. - Cieszę się, że nadal mam jakieś tajemnice.

Zazgrzytał zamek i drzwi się otworzyły. Wyjrzała z nich kobieta. Niższa ode mnie, ale nogi miała długie - co było wyraźnie widoczne z powodu obciętych dżinsów: tak krótkich, że mogłam zobaczyć koronkę różowej bielizny. Ubrana w wiśniowo-czerwone botki i spraną różową bluzę, trochę za dużą i zsuwającą się z jednego ramienia. Miała krótkie czarne włosy i piegi na nosie; była Chinką, z niewielką domieszką jakiejś innej krwi.

- Kto umarł? - spytała, zerkając głównie na mnie.

- To nie jest zabawne - odparłam.

- Mówię poważnie - powiedziała. - Kto nie żyje, do cholery?

- Killy - zagrmiał Grant, przechodząc niezgrabnie nad pijanym mężczyzną. - Chodzi o Jacka.

Wykrzywiła się, robiąc niezbyt zropaczoną minę, i odsunęła się od drzwi.

- O rany. Ma podcięte gardło.

To nie było pytanie, nie zdziwiłam się też, że ona wie. Dlatego tu przyjechałam. Mnie pokrywały demony, za to Killy miała własny dar - należała do bocznej linii starożytnej ingerujących w ludzkie DNA.

Bogowie i potwory, powiedział kiedyś Jack. Herosi i mity oraz dziwne istoty z legend, pojawiające się naprawdę, wyłaniające się z umysłów istot mających nadmiar mocy: stworzeń, które opuściły ziemię głównie po wojnie z demonami.

Kiedyś, dawno temu, Jack był jednym z tych bogów. Przypuszczałam, że nadal jest. Stary Jack, Stary Wilk.

Nie uszło mojej uwagi, że Killy zna Granta.

Znałam ją od sześciu miesięcy. Poznaliśmy ją w Szanghaju podczas szczególnie mroźnego krew w żyłach spotkania z jednym stworem z gatunku Jacka - awatarem, który został uwolniony ze swojego więzienia na ziemi i rozpoczął eksperymenty genetyczne na ludziach, tworząc nowe monstra wyłącznie za pomocą myśli.

Jednak w chwili, gdy myślałam o Szanghaju, przypominałam sobie też, że nie byłam w tym mieście z uwagi na nią czy owego awatara. Nie mogłam sobie przypomnieć, po co tam pojechałam, a zimna dziura w moim sercu się poszerzyła. Spojrzałam na Granta. Zauważyłam, że patrzy na mnie. Killy przyglądała się nam obojgu.

- Ojej - odezwała się. - To beznadziejne.

- Przestań czytać w moich myślach - powiedział jej Grant, odrywając ode mnie wzrok. Zdażyłam jednak dostrzec w jego oczach smutek, przygnębienie i rozpacz. Dobrze ukryte pod wyraźnym uśmiechem, jakim obdarzył Killy, ale to wrażenie pozostało we mnie. I zabolalo.

Wewnątrz było ciemno i chłodno, powietrze pachniało popielniczkami i wanilią. Boksy przy ścianach, zbudowane z drewna i stalowych prętów, oraz stoliki, wypełniające wąską przestrzeń, były okrągłe, kwadratowe, długie albo krótkie, stłoczone na kształt labiryntu, w którym mało miejsca zostawało na chodzenie. Błat baru, metrowej szerokości i długi na niemal całą salę, był zarysowany i ponacinany, jakby używano go jako tarczy w walce.

Znajdowaliśmy się tu tylko we troje. Usłyszałam kapanie wody. Potem głuchy odgłos nad naszymi głowami, a po nim szcęk łańcuchów.

- Czy to naprawdę konieczne? - spytał Grant. Killy wzięła butelkę wody z kontuaru.

-Miał kiepską noc.

- Zdecydowanie kiepską.

-Wciąż jest wściekły. I wydaje mi się, że zjadł kota. -Podeszła do obrotowych drzwi prowadzących do kuchni. -Chodźcie. Ucieszy się, gdy was zobaczy.

- Nie przyszliśmy tutaj z wizytą - powiedziałam. -Mam problemy.

- Ty zawsze masz problemy - odszczeknęła się Killy. -Jesteś jak wypadek kolejowy. Zrujnowałaś mi życie.

- Kupiłam ci ten bar.

- Lubiłam mój dawny bar. W Chinach. - Potarła twarz kostkami palców. - Całe miesiące zabrało mi przestawienie mózgu po tym, co mi zrobiono. Całe miesiące, żebym mogła spać w nocy i nie słyszeć każdej cholerniej myśli w tym budynku. A teraz przychodzisz i potrzebujesz pomocy, kiedy wiesz, że jesteś jedyną osobą, której myśli nie potrafisz odczytać.

Zacisnęłam zęby.

- Jesteś jedyną osobą o zdolnościach paranormalnych, jaką znam.
- Mam to gdzieś. - Killy sięgnęła za bar i wyciągnęła stamtąd małą metalową flaszkę. - Mam własne problemy, nie mówiąc już o wilkołaku na górze, który przeżywa kryzys sumienia, bo nie może się zdobyć na rezygnację ze stanu kapłańskiego. - Wypiła duży łyk czegoś, co znajdowało się w butelce, zakrztusiła się i otarła usta wierzchem dłoni. - Naprawdę lubiłam tego kota.

Grant trochę zbyt uważnie przyglądał się swoim butom.

- Wyraży współczucia.

Killy pokazała mu środkowy palec.

- Nie jesteś lepszy od Maxine. Tylko inny rodzaj koszmaru. W ogóle nie powinnam z wami rozmawiać. - Odwróciła się, dźgając mnie tym samym palcem w twarz. - Jesteście tutaj, bo Jack nie żyje, a ty nie możesz sobie przypomnieć, co się stało. Przyjechałaś tutaj, bo nie pamiętasz Granta, co mnie dziwi, ponieważ oboje wydajecie się tacy ckliwi, że aż mdli. - Wypiła kolejny duży tyk i między napadami ostrego kaszlu stwierdziła: - Nie potrafię naprawić tego, co się wam przydarzyło. Wiem, że coś się stało, tylko dlatego, że wychwytyję to od niego. - Wskazała na Granta, spoglądając na niego twardym wzrokiem. - A tak przy okazji...

Zamknęła jednak usta i nie dokończyła. Obróciła się na pięcie i podeszła szybko do obrotowych drzwi obramowanych setkami gwoździ wbitych w ścianę; każdy wcelowany w sam środek czoła innej głowy wyciętej ze zdjęć przedstawiających głównie rozmaite osoby, ale też różne postacie publiczne. Ściana wudu. Killy trzymała młotek i gwoździe za barem. Wbicie jednego kosztowało dolara i można to było zrobić wyłącznie na trzeźwo.

Minęliśmy kuchnię i weszliśmy po wąskich schodach na pierwsze piętro, które było zamknięte na klucz. Dochodził stamtąd intensywny zapach wanilii. Usłyszałam cichy szmer, który przeszedł w warkot. Zabrzęczały łańcuchy. Zatrzymałam się na myśl o Jacku i jego poderżniętym gardle.

- To strata czasu - stwierdziłam. - Przykro mi z powodu ojca Lawrence'a, ale jeśli nie możesz mi pomóc w odzyskaniu pamięci, będę musiała znaleźć inny sposób na zdobycie potrzebnych informacji.

Killy przeszła mnie wzrokiem.

- Do kogo pójdziesz, Maxine? Kogo jeszcze masz? Nic nie odpowiedziałam. Poczułam ciepło w dole pleców

Grant trzymał rękę w powietrzu. Ostrzeżenie czy pocieszenie. Nie byłam pewna, ale zaniepokoiło mnie to.

Killy dodała cicho:

- Jeśli odejdziecie, nie dowiecie się niczego. Jeśli zostanieie, możecie sprawić, że cierpiący człowiek poczuje się lepiej. A więc Jack nie żyje. To nie potrwa długo. Pewnie teraz unosi się nad naszymi głowami. Mam go gdzieś.

No, nie, pomyślałam. To ty się odchrząń.

Grant odchrząknął.

- Może będę mógł zrobić coś dla Franka?

- Nikt nie potrzebuje tego rodzaju pomocy. - Killy wskazała drzwi w końcu korytarza. - Ale przypuszczam, że starania znaczą więcej niż rezultat.

Grant zacisnął szczęki; nie wiedziałam, czy ze złości, czy z irytacji. Zastanawiałam się, co dokładnie Killy ma na myśli - co takiego Grant mógł zrobić, że starała się chronić siebie i Franka. Cokolwiek to było, z pewnością nie obchodziło mnie na poziomie osobistym. Nie, jeśli mnie... roztkliwił.

Roztkliwił. Właśnie.

Próbowałam sobie przypomnieć. Pomyślałam o Mary, Reksie, o sypialni ze skotłowaną pościelą. Usiłowałam sobie przypomnieć, dlaczego mieszkam w Coopie. Czemu przestałam jeździć i osiadłam w końcu tutaj, w mokrym od deszczu Seattle.

Jednak ilekroć czułam, że znajduję się na krawędzi tej informacji, trafiałam na zionącą czernią dziurę w głowie i sercu. Pustkę, opuszczone miejsce, jakby czyjaś bezwzględna ręka znalazła i wyszarpnęła nić będącą tym człowiekiem: na chybił trafił, nie zważając na to, co zostało. Wystarczyło już, że nie pamiętałam okoliczności, w jakich zamordowano mojego dziadka. Ale o ile wiem, było to pojedyncze wydarzenie w czasie.

Jeśli zaś chodzi o Granta, miałam wrażenie, jakby ktoś próbował wymazać całą jego egzystencję z mojego umysłu. Wszystko. W ogóle nie zważając na niekonsekwencje, jakie z tego wynikną.

Grant pokuśtykał przed siebie. Patrzałam na niego, zwracając uwagę na szczegóły: szerokie ramiona opięte kurtką z polaru, smukły tułów, zgrabny tyłek. Widok niezajomy, ale miły

- Gapienie się nic nie pomoże - mruknęła Killy. - Ani też seks z nim.

Zamrugłam powiekami.

- Co takiego?

Spojrzała na mnie surowo, ale teraz stałyśmy bliżej siebie, więc zobaczyłam, że ma zaczerwienione oczy, a kącik jej ust opada jakby z wyczerpania. Też miała ciężką noc.

- Szukasz czegoś, co wywoła jakąś reakcję. A jeśli nie, będziesz szukać dalej czegoś, co wstrząśnie twoją pamięcią. Jednak nie wystarczy przyglądanie się ani seks. W pierwszym przypadku jest zbyt duży dystans, w drugim zbyt duża intymność.

- W takim razie co? - Splotłam ręce na brzuchu. Poczułam, jak Zee przesuwają się między moimi piersiami, poruszając się przez sen. Zbroja na mojej prawej ręce zamrowiła. - Co mam robić?

- Nie spiesz się - odparła, kiedy Grant zatrzymał się na końcu korytarza i zapukał lekko kostkami palców do drzwi. - Nie myśl o tym. Po prostu kieruj się własnym instynktem. Pamięć nigdy nie przepada zupełnie. Mózg jest na to zbyt poskręcany. Można w nim coś zakopać, ukryć, zepchnąć na bok... ale to zawsze tam będzie.

- Nie mogę sobie przypomnieć tego człowieka - powiedziałam po prostu, kiedy Grant na nas zerknął.

Wyraz jego twarzy wydawał się nieprzenikniony, choć może dlatego, że nie byłam przy nim dostatecznie długo, by znać jego nastroje i wiedzieć, co znaczy, kiedy tak na mnie patrzy - z błyskiem w oku, zaciśniętymi szczękami i lekko ściągniętymi brwiami.

Nie odwracałam spojrzenia, dopóki on tego nie zrobił. Trwało to dłuższą chwilę. Nie były to zawody, raczej ocena. Czułam, że przygląda się, jakby rozkładał mnie na części samym tylko wzrokiem. Nie podobało mi się to, ale nie pozbawiając go oczu lub przytomności czy też po prostu odchodząc, nie mogłam zrobić nic, żeby przestał na mnie patrzeć.

A może na tym właśnie polegał problem. Nigdy nikt tak na mnie nie patrzył. Jakby widział mnie naprawdę, jakby przejrzał mnie do głębi.

W końcu Grant odwrócił wzrok. Wpatrywał się w pustkę, w dal, zamyślony, po czym otworzył drzwi i, utykając, wszedł do pokoju, obdarzony osobliwą spokojną mocą, która emanowała bardziej z jego obecności niż czegokolwiek fizycznego.

- Nie pamiętasz go, ale coś czujesz. - Killy oparła się ościanę, pocierając kark. - Widzę to w twoich oczach. Zaufaj temu, a uzyskasz lepsze rezultaty, niż pukając do moich drzwi o cholerną siódmą rano.

- Ze niby wtedy śpisz?

- Myślałam o tym - powiedziała, ściągając brwi i spoglądając na korytarz. - Cholera. Oni prawie się obmacują.

Nie byłam tutaj od miesięcy, ale pamiętałam przestronny pokój z niewielką liczbą mebli i nikłą dawką światła. Niewiele się tu zmieniło, oprócz tego, że znikło łóżko i przybył stół - rozklekotany stary grat pokryty łuszczącą się zieloną farbą; cały blat był zastawiony różnej wielkości palącymi się białymi świecami. Niektóre osadzono w słoikach, z innych wosk ściekał do wyszczerbionych miseczek, a kilkadziesiąt pozostałych paliło się w kandelabrze, który wyglądał, jakby go wykopano w ruinach gotyckiej komnaty miłości. Światło było słabe i złociste, a intensywny zapach wanilii w końcu nabrał sensu.

Po drugiej stronie pokoju na podłodze leżało posłanie. Miękkie poduszki, kołdra, Biblia i sterta łańcuchów krępujących wilkołaka.

Brązowe futro pokrywało krzepkie, korpulentne ciało - zaokrąglone na brzuchu, który zwisał nad gumką ciasnych spodni od dresu. Zobaczyłam czarne pazury, długie zęby, jedno oko fioletowo-złote, a drugie piwne jak ludzkie. Żadnej wilczej głowy, szpiczastych uszu, ale w tym człowieku wilkołaku tkwiła jakaś dzikość, która była nieludzka i nigdy już ludzka nie będzie.

Ojciec Frank Lawrence. Mógł być jedynym człowiekiem na świecie w... takim szczególnym stanie... chociaż wątpiłam w to, biorąc pod uwagę skłonności seksualne istoty, która go stworzyła.

W ostatnich sześciu miesiącach czytałam w gazetach doniesienia o dziwnych wydarzeniach na peryferiach Paryża i Madrytu: dotyczyły mężczyzn i kobiet pokrytych futrem, napadających na chybił trafił, a potem uciekających od swoich ofiar - zazwyczaj wołając przy tym o pomoc. Media obwiniały o to przebranych w kostiumy wariatów. Natomiast ja widziałam w tym zaawansowane manipulacje genetyczne stosowane jako broń czy też zabawka przez stworzenie uważające się za bóstwo.

Ojciec Lawrence siedział po turecku, opierając dłonie na kolanach. Nadgarstki i nogi w kostkach miał skrępowane żelaznymi łańcuchami, ale zdawał się ich nie zauważać. Był całkowicie skupiony na Grancie, który też siedział na posłaniu, jego laska leżała obok. Mówił coś cicho i z naciskiem, ale zamilkł, kiedy weszliśmy do pokoju.

- Hej - powiedziałam, zmieszana tym, jak obaj na mnie spojrzeli: jak sportowcy, którzy wyszli spod prysznic w chwili, gdy ktoś obcy pojawił się w szatni. Zakłopotanie, jakie odmalowało się na ich twarzach, szybko, znikło, zamieniając się w coś bardziej tajemniczego. To było dziwne, jakby nagle wyrosły jakieś odgradzające mnie ściany. Przeważnie działo się odwrotnie.

- Maxine - przywitał mnie ojciec Lawrence, a jego głos niewiele różnił się od pomruku. Raw i Aaz na moich nogach wyciągnęli się w jego stronę: śniąc o moim życiu, a może i żywotach wszystkich kobiet, które były przede mną. Śniąc przez dziesięć tysięcy lat.

Gdy weszłam do pokoju, poczułam na twarzy ciepło kilkudziesięciu płonących świec.

- Chcecie doprowadzić do pożaru?

- Zamierzamy medytować - wychrypiął, obdarzając mnie uśmiechem, który obnażył jego ostre białe zęby. - Zauważyłem, że moje objawy łagodnieją przy odrobinie refleksji.

- A co z łańcuchami? Jego uśmiech zbladł.

- Muszę trochę więcej porozmyślać. Grant odchrząknął.

- Powiedziałem mu, co się stało.

Przyjrzałam się świecom. Myśląc o Jacku, czułam się mała i zziębnięta.

- Ico?

- Chciałbym z tobą porozmawiać - oznajmił ojciec Lawrence ochryłym głosem, a jego słowa zakończyło warknięcie. - Na osobności.

Grant odwrócił wzrok, zamyślony, ale nie zdziwiony.

- Frank.

- Wynoś się stąd - odparł Lawrence, nawet całkiem uprzejmie. - Poproś Killy, żeby dla ciebie podsłuchiwała.

Killy wypuściła powietrze, spoglądając w dół i szurając jednym botkiem po deskach pokrytych śladami zadrapań. Grant wstał, zapierając się laską o podłogę. Gdy prostował nogę, jego usta wykrzywił ból. Niemal rzuciłam mu się na pomoc. Mój pierwszy odruch.

Nie ruszyłam się jednak, ignorując przejmujący skurcz w sercu, dokuczliwe poczucie, że jestem naprawdę zimna i podła - jednak zupełnie inne niż wcześniej. Zerknęłam na Franka i zobaczyłam, że patrzy na mnie z marsem na czole. Przynajmniej tak mi się wydawało. Trudno to było stwierdzić przy jego gęstym futrze.

Nie spojrzałam na Granta, gdy kulejąc, przeszedł obok mnie, on również na mnie nie spojrzał. Kiedy mijal mnie w wąskim przejściu, jego mały palec otarł się o moją opuszczoną przy boku dłoń w rękawiczce. Nie był to nawet prawdziwy dotyk - dzieliła nas skórzana rękawiczka i demony - ale Dek poruszył się na mojej dłoni i poczułam ciepło. Czułam ciepło.

Grant nieznacznie odwrócił głowę. Widziałam tylko kącik jego ust, ale nawet to miało w sobie intensywność, która zaczynała mi się z nim kojarzyć, jakby wszystko, co robił, było czymś naładowane.

A może chodzi po prostu o ciebie, a to, co widzisz, jest tym, co czujesz.

Gdy chciałam zamknąć za nim drzwi, mignęła mi Killy, obserwująca mnie z korytarza. Jej oczy wyrażały jedynie troskę. Nie o mnie jednak.

Znikła za drzwiami, ale nie puszczałam klamki.

- No więc?

- Usiądź - rzekł cicho Frank.

Już chciałam grzecznie odmówić. Ale ojciec Lawrence był zbyt dostojeiny i poważny, nawet w tym futrze i łańcuchach, a ja nie musiałam niczego udowadniać.

Zanim weszłam na koldrę, zrzuciłam kowbojki, po czym ostrożnie osunęłam się po ścianie obok niego. Otarliśmy się łokciami, jego sierść zaszurała po rękawie mojej kurtki. Czulałam tylko zapach wanilii i leciutką woń zmokłego psa.

- Powiedz mi, co się stało - poprosił.
- Nie chcę - wyznałam otwarcie. - Nie przyszedłam w tej sprawie.

Ojciec Lawrence uniósł pokryte futrem ręce i łańcuchy zabrzączały.

- Cholera. Nikt z nas nie dostaje tego, co chce. Zdjęłam rękawiczki i potarłam oczy, wciąż zapuchnięte od płaczu. Od lat nie wylałam tyle łez.

- Czy naprawdę potrzebujesz łańcuchów?

- Nie przez cały czas - przyznał. - Nie są mi potrzebne, kiedy jestem w ludzkim ciele. Ale gdy się przemieniam, muszę tylko raz być groźny. Jeden raz zabić lub zrujnować czyjeś życie. Te... środki ostrożności... warte są pewnego dyskomfortu. Poza tym... - dodał, krzywiąc się - chyba zeszłej nocy zjadłem kota.

Poklepałam go po ramieniu.

- Chłopcy spałaszowali kiedyś niedźwiedzia grizzly. Pogadamy, jak uda ci się taki wyczyn.

Ojciec Lawrence stęknął.

- Przykro mi z powodu Jacka.

- Nie umarł zupełnie.

- Częściowo tak. Jego fizyczna część, która znała twoją babkę, matkę i ciebie, jest martwa. Znałaś go tylko jako Jacka Meddle'a, pomarszczonego staruszka o zmierzwionych siwych włosach. To ciało było cenne. Musisz przyznać, Maxine.

Spojrzałam na swoje wytatuowane ręce, tkwiące w nich czerwone oczy połyskiwały. Zbroja lśniła w blasku świec, zatrzymując światło, a kiedy obróciłam prawą dłoń, odbita poświata podążyła za nią wolniej, jakby jej część została uwięziona lub zatraciła się wewnątrz zbroi.

- To wydaje się niewdzięczne - odparłam cicho. - Zbyt sentymentalne. Prawdziwy Jack jest tylko energią. Energią ze świadomą intencją. Powiedział mi to kiedyś. Nazwał to duszą. A jego dusza...

- Potrafi stwarzać rzeczy. Zajmować ciała. Zmieniać je. - Ojciec Lawrence spojrzał na moje ręce. - Nigdy wcześniej go nie straciłaś. Nie jesteś pewna, że wróci.

- Mogę zabić tych z jego gatunku. - Zamknęłam oczy; od blasku świec kręciło mi się w głowie. - Coś we mnie, Frank. Coś, co mnie dotyczy. To wystraszyło Jacka. To go przeraziło. - Postukałam szramę na końcu mojej szczęki, pod uchem. - Nie udawaj, że się tego nie boisz. Miałeś to wytatuowane na ramieniu. - Uśmiechnęłam się ponuro. - Czy jacyś członkowie tej sekty wciąż się z tobą kontaktują?

- Tak - odparł, co tylko trochę mnie zdziwiło. - Nie wszyscy zostali zepsuci przez ojca Cribariego i Króla Erla.

Istnieją tacy, którzy wciąż są oddani misji stworzonej przed wiekami przez Jacka dla naszego zakonu.

- Obserwują członków mojego rodu, czekając, aż jedna z nas, kobiet, zniszczy świat.

Ojciec Lawrence trącił mnie lekko.

- Królowa dramatu. Jakbyś była kimś szczególnym. Uśmiechnęłam się wbrew sobie.

Frank dodał:

- Czemu nie porozmawiasz o tym z Grantem? - A potem, nim zdążyłam odpowiedzieć, poprosił: - Odchyl brzeg tego koca. Coś mi jest potrzebne.

Zrobiłam, co mi kazał, powstrzymując się od jakichkolwiek złośliwych komentarzy, i wyciągnęłam przezroczystą torebkę pełną ciasteczek. Niektóre były pokruszone, a kremowe nadzienie rozsmarowało się na wewnętrznej stronie folii.

Potrząsnęłam tym.

- Co to? Kontrabanda?

Ojciec Lawrence poklepał się po brzuchu.

- Jestem na specjalnej diecie. Otwórz to i opowiedz mi o Grancie.

Wsunęłam torebkę w jego kosmate dłonie.

- Sam otwórz. I nie myśl, że ci coś powiem. Nie rozmawiam o tym człowieku.

- Ten człowiek. - Ojciec Lawrence próbował otworzyć torebkę, ale zaczął pazurami o folię, rozdierając opakowanie. Ciastka wysypały się na jego kolana. Westchnął, patrząc na mnie z wyrzutem. - Ten człowiek cię kocha. Wręcz uwielbia.

- Nie znam go.

- Znasz. Tylko go nie pamiętasz.

- Co to może znaczyć? To samo mówiła Killy i nie chcę więcej tego słuchać. Nie przypominam sobie, że bym go znała. Jest kimś obcym. I jeśli o mnie chodzi, może tak zostać.

- Tchórz z ciebie - powiedział cicho ojciec Lawrence. - Jesteś strasznym tchórzem.

Wzięłam ciastko i włożyłam je do ust.

- Możliwe.

- Dobrze. - Kapłan bardzo delikatnie ujął ciastko w szpony i ostrożnie ugryzł. Kły rozkruszyły je na kawałki, które spadły między okruszki leżące na jego kolanach. - Nie zamierzam więc ci nic powiedzieć.

- Przestań starać się zachowywać grzecznie - powiedziałam cicho. - Musisz włożyć do ust całe ciastko.

- Ale ty go kochałaś - ciągnął, zmiatając okruszki na rękę i wsypując je sobie do ust. - Na Boga, kochałaś go. Potrzebowaliście siebie nawzajem. Bardziej niż możesz sobie wyobrazić.

Przymknęłam oczy - policzyłam do dziesięciu - a potem sięgnęłam do torebki po ciastko. Przyłożyłam je do skóry-stych warg kapłana.

- Otwórz usta.

Spojrzał na mnie z ukosa, ale zrobił, co mu kazałam. Wsunęłam całe ciastko, aż wybrzuszył mu się policzek.

- Tak naprawdę, Frank, to chcę się dowiedzieć, kto zamordował mojego dziadka.

- Hm - mruknął. - Można było się spodziewać, że Jack zostanie zabity.

- Co takiego?

- Jack mnie ostrzegł. - Ojciec Lawrence uniósł ramię i pod futrem dostrzegłam zarys poskręcane tatuazu. - Stary Wilk wciąż jest moim panem, drugim po Bogu. A ja mam ciebie pilnować, Tropicielko, i pomagać w razie potrzeby. Mimo mojej obecnej... niedyspozycji. - Opuścił rękę i łańcuchy zabrzączały.

- Jack - powiedziałam, starając się ignorować wszystko inne, co mi wyjawiał. Przypuszczenie, że niewielka grupa mężczyzn i kobiet śledzi każdy ruch moich przodków od kilku tysięcy lat, niezbyt mi się podobało.

Ojciec Lawrence złożył na okrągłym brzuchu swoje kosmate ręce zakończone pazurami.

-Jack powiedział, a ja cytuję: „Status quo musi się zmienić”. Ten ciąg wydarzeń doszedł do punktu, w którym on musiał podjąć pewne działania mogące przynieść... złe skutki.

- Tak - odparłam. - Podcięto mu gardło.

- To jest... coś złego - powiedział łagodnie. - Ale wydaje mi się, że martwił się o poważniejszą sprawę.

- Widziałam go zeszłego wieczoru, czuł się dobrze, był zrelaksowany i cały w uśmiechach. Nie zachowywał się jak człowiek spodziewający się czegoś strasznego. - Zawahałam się, wpatrując w świecę. - Ale Grant... Grant powiedział, że Jack dzwonił w środku nocy. Twierdził, że musi mi powiedzieć coś ważnego.

- A więc albo ci powiedział, albo nie. Jednakże biorąc pod uwagę twój zanik pamięci, przypuszczam, że jednak wyjawiał ci coś istotnego.

- Coś takiego, że ktoś inny nie chce, żebym to pamiętała. - Odchyliłam się do tyłu, kręcąc głową. - Chłopcy też nie pamiętają. A to... to nie powinno być możliwe. Nikt nie może nimi manipulować.

- Chyba że ci, którzy stworzyli twój ród. Albo - ciągnął, unosząc rękę pokrytą ciemnym futrem, by uprzedzić moje uwagi - jakaś inna siła, której jeszcze nie znasz. Na ile niespodzianek natknęłaś się w minionym roku, Maxine? Oboje nie rozumiemy tylu rzeczy. Jesteśmy dziećmi w porównaniu z otaczającym nas, uśpionym bezmiarem.

Byłam pewna, że nic nie ma na myśli, ale moja ręka dotknęła brzucha i żeber.

- Wiem.

Ojciec Lawrence z trudem usiłował zjeść kolejne ciastko. Pozwoliłam, żeby zrobił to sam, i jakoś udało mu się wepchnąć je do ust. Nakruszył przy jedzeniu, ale tylko dlatego, że jego usta miały nieodpowiedni kształt.

- Grant to zupełnie inna sprawa - wymamrotał.

- O Boże - jęknęłam.

- Są rzeczy, które musi wyjaśnić - odparł z wielką powagą. - A kiedy to zrobi, powinnaś zastanowić się jeszcze raz, czemu go nie pamiętasz. Dlaczego właśnie jego? Jaki byłby z tego pożytek?

- Czemu nie zapomniałam wszystkiego? Wydaje się, że tak byłoby łatwiej?

- Łatwiej, tak. Zakładając... że ktoś ukradł twoją pamięć.

- Jasne, że ktoś to zrobił. - Ściągnęłam brwi, próbując uchwycić jego wzrok, który stawał się odległy i zamysłony. - O czym myślisz?

Zawahał się, a cisza, jaka zapadła wokół nas, stała się ciężka, powietrze zaś tak gęste, że trudno było oddychać.

- Oboje zrobilibyśmy wszystko, żeby chronić tych, których kochamy - oznajmił ojciec Lawrence. - Ja krępuję się łańcuchami, kiedy przestają być sobą. Ukrywam się w tym pokoju ze świecami i modlitwą. A co ty byś zrobiła, żeby chronić Granta?

- Nie wiem. Nie jestem taką kobietą.

Obdarzył mnie przerażająco smutnym uśmiechem. Chłopcy poruszyli się na mojej skórze, ciągnąc w stronę drzwi. Nie musieli dwa razy prosić. Wstałam i włożyłam botki, nie mogąc patrzeć na ojca Lawrence'a.

- Zastanawiałam się, czy to ja go zabiłam - wyrwało mi się. - Wciąż się zastanawiam. Mój nóż tam był. Ale przecież nie potrzebowałabym broni, żeby tego dokonać.

- Nie wydaje mi się, żebyś to zrobiła ty - odparł łagodnie ojciec Lawrence. - Nie skrzywdziłabyś przecież własnego dziadka. A nie jesteś osobą, która zabija z zimną krwią.

- Ale zabijam. - Zapiekły mnie oczy. Zamrugałam powiekami, by powstrzymać łzy. - Do zobaczenia, Frank. Trzymaj się z daleka od kłopotów. I nie nabieraj Killy - dodałam po chwili namysłu. - Twoja obecność tutaj jest dla niej niełatwa. Wiesz, co ona do ciebie czuje.

- Nie wiem - odparł.

- Nie wiesz - stwierdziłam i wyszłam z pokoju.

Rozdział 6

Wiedziałam, że coś jest nie tak, zanim trafiłam na schody. Chłopcy byli zbyt niespokojni. Nawet zbroja pulsowała; odczuwałam to jednak dziwnie i niezależnie od tego, co Zee oraz inni mi mówili. To było wystarczająco niepokojące.

Dotarłam do baru i zastałam tam mnóstwo zombi.

Było ich niemal dwudziestu kilku, rozsiansych jak muchy na zgniłym owocu: gotowych, by zacząć się żywić i latać. Mężczyźni, kobiety, nawet paru nastolatków, wszyscy z czarnymi aurami, unoszącymi się nad ich głowami niczym burzowe chmury. Spoglądali na mnie martwymi oczami, z obojętnym wyrazem twarzy. Siedzieli i stali przed drzwiami i oknami. W garniturach, zwyczajnych ciuchach, a jedna matka w dresie z dzieckiem przywiązanym do piersi i pistoletem w lewej dłoni.

Opętani ludzie pod rządami pasożytów karmiących się bólem. Wśród nich siedzieli Killy i Grant. Killy, blada, miała zaciśnięte usta i ręce złożone na brzuchu. Czubkiem czerwonego botka stuknęła w podłogę tak głośno, jakby to był karabin maszynowy.

Grant był o wiele spokojniejszy, ale tylko w ciele. Otwarte dłonie przyciskał do zniszczonego blatu stołu, szczęki miał zaciśnięte i głęboką zmarszczkę między oczami. Kiedy jednak na niego spojrzałam, tylko przez moment, powietrze wokół jego ciała zdawało się drgać falami ciepła i światła -nie była to aura, lecz coś płonącego w jego wnętrzu.

Napotkał mój wzrok. Nie dostrzegłam strachu w jego oczach. Nawet śladu. Tylko posępną pewność siebie, głęboko zakorzenioną, niezachwianą. Równie dobrze mogłabym to nazwać wiarą. Nie wiedziałam tylko w co, a nie śmiałam zgadywać. Zastanawiałam się, dlaczego zakładam, że on wie, kto go otacza. Większość ludzi nie potrafi odróżnić zombi od orzecha ziemnego. Nawet bycie ze mną nie zmieniłoby tego. Trzeba to widzieć. Czuć. Znać.

Po drugiej stronie stołu jakaś kobieta siedziała z nim i Killy. Jej aura była wzburzona, poprzecinana czerwonymi błyskawicami, przepływającymi od czubka głowy w dół, do stóp. Kobieta miała rude włosy i czerwoną sukienkę pod trenczem w kolorze kości słoniowej, a na stopach czerwone szpilki. Jej długie, gołe i białe jak śnieg nogi były tak grubo posmarowane środkiem nawilżającym, że aż błyszczały. Powoli sączyła kawę z filizanki i na mój widok uśmiechnęła się znad obłóczka pary.

- Tropicielka - wyszeptała Krwawa Mamuśka. - Najdroższa mała Tropicielka.

Jeśli chodzi o demony, istnieją pewne reguły - zasady i hierarchie - które dopiero zaczynałam poznawać. Moja matka nigdy nie uznawała za ważne wyznaczania różnic między odmiennymi rodzajami demonów - a przynajmniej nie robiła tego przy mnie. Jeśli coś nie było człowiekiem lub zwierzęciem, stanowiło martwe mięso. Gdy natomiast było jednym lub drugim i usiłowało nas skrzywdzić, również stawało się martwym mięsem. Moja matka się nie patyczkowała.

Najgroźniejszymi z demonów, jak wieść głosi, byli Rzeź-nicy, czyli Królowie Kosiarze.

Niektórzy z moich przodków nazywali ich kiedyś Pożeraczami Światów. Żyli tylko po to, by zapełniać swoje brzuchy, polować i zabijać.

Nie wiedziałam nic o Królach Kosiarzach poza tym, że siali śmierć i byli przywódcami armii demonów. Od dziesięciu tysięcy lat byli uwięzieni w Pierwszym Oddziale, w samym środku zasłony. Próbowałam kiedyś wypytywać o nich Jacka, ale z mnóstwa rzeczy, o jakich mój dziadek nie chciał rozmawiać, oni zajmowali pierwsze miejsce.

Moja matka jednak mnie ostrzegła, ale w bardzo krótkich słowach.

„Nie zdołasz przed nimi uciec, maleńka.

Jeśli ich powstrzymasz, wszystkiemu położysz kres”.

Dobrze. Łatwe. Dzięki za rady.

Na najniższej pozycji w uwięzionej armii znajdowały się pasożyty. Szczury, karaluchy, pchły. Przedostawały się przez pęknięcia w zewnętrznym pierścieniu więziennej zasłony, by żerować na bólu. Niektóre były młode, inne stare. Starsze mogły przejąć całkowitą kontrolę nad żywicielami. Młode po prostu się podłączały, wybierając ludzi podatnych na maltretowanie i tylko ich podpuszczając. Nie mogłam za każdy akt przemocy obarczać winą pasożytów, zamieniających niektórych ludzi w marionetki zombi, ale wszędzie, gdzie było cierpienie, lęk i śmierć - wszystkie trzy razem - tam prawdopodobnie w pobliżu znajdował się demoniczny pasożyt, żywiący się tą mroczną energią.

Kobieta zombi siedząca naprzeciw mnie była ich królową. Władczynią demonicznych pasożytów. Królową rysztołowych szczurów.

Podeszłam do stolika, odwróciłam krzesło i usiadłam na nim okrakiem. Rękawiczki miałam zdjęte. Zrzuciłam kurtkę i podciągnęłam rękawy. Tatuaze przeżyły się na mojej skórze, łuski lśniły i falowały, a czerwone oczy na moich dłoniach połyskiwały ogniście. Grant i Killy spoglądali na mnie, ale ja na nich nie patrzyłam. Przyglądałam się tylko Krwawej Mamuśce. Jej zimnemu uśmiechowi.

- Napij się czegoś - powiedziała w momencie, kiedy zombi z włosami jak strąki, w dzinsach i klapkach, wyszedł zza baru i postawił na stole tacę z trzema filiżankami gorącej kawy.

Killy spojrzała na zombi z niesmakiem.

Wylałam trochę kawy z każdej filiżanki na wytatuowany palec, pozwalając chłopcom spróbować.

Krwawa Mamuśka powiedziała:

- Trucizna, moja droga, jest dla nieokrzesanych jaskiniowców. Ja jestem ponad to.

- Pociski nie są lepsze - odparłam i napiłam się z ostatniej sprawdzonej filiżanki; powolny łyk, który palił wargi i wewnątrz ust. Spojrzałam na innych. - Jest okej.

Usta Granta drgnęły w słabym uśmiechu, który mnie zaskoczył, podobnie jak fakt, że niemal go odwzajemniłam. Tylko trochę. Jakby to była jakaś gra. I była, ale nie taka, która by zachęcała do wygłupów.

- Nie znam cię. Lepiej cię nie znać - powiedziałam mu cicho, kiedy podniósł filiżankę. Killy zastukała stopą trochę głośniej i wskazała podbródkiem na zombi, który właśnie przyniósł kawę.

- Nie. On właśnie zrobił kupę i nie umył rąk. Tak naprawdę śmierdziały mu z tego powodu.

Grant się zawahał. Odstawiłam swoją filiżankę. Zombi odsunął się od stołu i Krwawej Mamuśki, która również przyglądała się swojej kawie.

- Niezdara - powiedziałam.

Krwawa Mamuśka wyciągnęła gwałtownie rękę i chwyciła zombi za nadgarstek. Jego aura strzeliła jak ogień i na blade czoło wystąpił pot. Nie próbował się jednak uwolnić - zamarł jak królik - i wyczułam poruszenie wśród pozostałych zombi, głód w ich oczach kojarzył mi się z motłochem przyglądającym się egzekucji. Przerazenie i ekscytacja, dziwne pobudzenie: obietnica dobrego posiłku.

- Niedobre dziecko - szepnęła Krwawa Mamuśka. - Lubię tego żywiciela. Gdybym chciała zanieczyścić to miejsce, zatkałabym ściek.

Jej blada dłoń zacisnęła się mocniej. Usłyszałam trzask -kość, pomyślałam - ale było to tylko kłapanie oddechu zombi w ludzkich płucach, gdy jego głowa odskoczyła do tyłu z otwartymi ustami i wywróconymi oczami. Jego aura rozbłysła raz, olśniewająco ciemna jak burzowa chmura na prerii, a potem wessała się do środka, zmniejszając się do rozmiaru pięści. Przerazający krzyk wydobył się z jego gardła, zagłuszając stłumione łkanie. Grant odsunął krzesło.

- Przestań - powiedział cicho. - Daj mi go, jeśli go nie chcesz, ale przestań.

Przyglądałam się tej scenie. Krwawa Mamuśka uniosła wargi, odsłaniając zęby w groteskowym uśmiechu.

- Chcesz mieć kolejnego pupilka, Usta Światła? Nie. Ten jest mój.

Szarpnęła mocno za rękę zombi, który upadł na kolana, mamrocąc coś i płacząc. Jego aura skręcała się, poprzecinana smugami rozszalałego światła. Krwawa Mamuśka pochyliła się do przodu i uderzyła ustami o jego wargi. Nie był to pocałunek, lecz pożywanie się. Jej aura otoczyła zombi burzą czerwonych błyskawic. W zdumieniu pomyślałam, że ludzie muszą być ślepi, skoro tego nie widzą, nie czują i boją się tego.

Grant sięgnął po laskę, jakby miał zamiar wstać. Chwyciłam go za ramię. Rzucił mi twarde, udręczone spojrzenie, ale obojętnie, co zamierzał zrobić, i tak było za późno. Usłyszałam trzask. Ludzki żywiciel zwałił się na podłogę u stóp Krwawej Mamuśki, wciąż przekłuwany jej aurą. Kopnęła ciało czerwonym pantoflem na wysokich obcasach i delikatnie otarła usta.

Uklękłam i dotknęłam jego szyi. Odnalazłam silne tętno. Był tylko nieprzytomny. Obudzi się z zanikiem pamięci i chmurą grzechów na swoich barkach - nie będzie pamiętał, że je popełnił. Poczulałam głębokie współczucie.

- Mniam - mruknęła. - Powinnam to robić częściej.

- Pożarłaś własne dziecko - stwierdził Grant.

- Zrobię sobie inne. - Krwawa Mamuśka pstryknęła palcami i drugi zombi pospieszył, żeby zabrać kawę. - O czym to rozmawialiśmy?

- O niczym - odparłam, wracając na swoje krzesło i rzucając Grantowi ostrzegawcze spojrzenie. - Choć to nie przypadek, że jesteś tutaj.

- Czemu tak uważasz? Czy coś się stało? - Krwawa Mamuśka wciąż jeszcze z uśmiechem ocierała wargi. - Ach, tak. Jack.

- Jack - powtórzyłam jak echo. - Informacje szybko się rozchodzą.

- Zależy jakie. - Rozejrzała się po barze, zachowując się nonszalancko, zrelaksowana. Przesuwała palcami po nodze, jakby nie mogła przestać dotykać swojej skradzionej komuś ludzkiej skóry. - Wspomniałaś o zbiegu okoliczności, ale to jedynie ścieżka szukająca właściwego kierunku. Nazwijmy to przeznaczeniem. A jestem tutaj, Tropicielko, ponieważ poczułam, że coś niepokojącego przechodzi przez moją ścieżkę. I przez cały czas to było zamaskowane.

Opadłam na oparcie krzesła, patrząc jej w oczy.

- A więc zabrałaś ze sobą całą armię. To chyba przesada. Obie wiemy, że nie mamy prawa zabijać się nawzajem.

Przechyliła głowę, wykrzywiając usta w wyrazie zdziwienia, a może rozbawienia, więc zastanawiałam się, co powiedziałam nie tak. Zerknęłam na zombi stojących przy barze; żaden z nich nie mógł spojrzeć mi w oczy. Aury kurczyły się, kiedy na nie popatrzyłam.

I gdy oni spojrzeli na Granta.

Wyprostowałam się na krześle.

- Ostatnim razem widziałam tyle demonów w barze, kiedy miałam osiem lat. Z pewnością słyszałaś o tym wydarzeniu.

Zacisnęła czerwone wargi.

- Twoja matka powinna cię zabić, kiedy zobaczyła, do czego jesteś zdolna. Była na tyle młoda, że mogła urodzić następne dziecko. Bezpieczniejsze.

- Ale ty masz mnie.

Krwawa Mamuśka machnęła lekceważąco ręką, ale błysk w jej oczach wyrażał wszystko, tylko nie lekceważenie.

- Nie traćmy czasu na gadanie o przeszłości. Twoja gałąź rodu to zawsze było obrzydlistwo, choć nawet pozytywne. Nawet wojna ze skórą awatarów okazała się korzystna dla mnie i moich bliskich. Jak inaczej moglibyśmy tak dobrze się rozwijać przez tysiące lat, kiedy reszta starych Panów była zamknięta na cztery spusty w więzieniach?

Pochyliła się do przodu, a jej aura falowała tak gwałtownie, że aż stolik się zatrzęsł.

- Obie wiemy, że zasłona pęka. To tylko kwestia czasu, kiedy wewnętrzne pierścienie zostaną przerwane i armia wyjdzie na wolność. A teraz tamci awatarowie... te skóry... również będą powracać, przyciągani przez morderstwa na istotach ich gatunku, tutaj na ziemi. Obiema twoimi rękami. - Krwawa Mamuśka zerknęła na Granta. - Zastanawiam się, co gorsze: my, którzy chcemy zjadać was, czy też ci, którzy pragną się z wami bawić.

Nie byłam w stanie się odezwać. Nie miałam pewności, czy jestem w stanie spojrzeć na Granta, ale to zrobiłam, zastanawiając się, kim, do diabła, jest - i czym. A może nie wykazałam ostrożności i zbyt dużo wyraziłam twarzą, bo gdy spojrzałam ponownie na Krwawą Mamuśkę, zobaczyłam, że przygląda mi się z takim samym zdziwieniem jak wcześniej. Potem jej spojrzenie przesunęło się powoli na Granta.

- Z pewnością masz jakieś zdanie na ten temat - stwierdziła cicho. - Zwłaszcza że będziesz pierwszą osobą, którą awatarowie zniewolą.

- Myślę, że powinnaś raczej martwić się o siebie - zagrmiał Grant. - Nikomu przecież nie obiecywałem, że cię nie zabiję.

- Mówisz tak brzydtko. Nie przypuszczam, żebyś był już na mnie gotowy. Tyle mogłabym zrobić z twoim ciałem.

- A ja z twoim. Każde słowo, jakie wypowiadał, rozbrzmiewało we mnie, cicho i dźwięcznie, sprawiając, że chłopcy poruszali się na mojej skórze, przeciągając się jak koty wylegające się przy kominku. Mrowiące ciepło wniknęło w moje kości i serce. Poczulałam szarpnięcie, jakby coś się mnie uczepliło, ciągnąc ku Grantowi. Nie wiedziałam, co to znaczy, ale wydawało się to prawdziwe, jakby jakaś ręka ujmowała mój nadgarstek albo jakby dotykał mnie podmuch wiatru lub światło słoneczne.

Oczy Krwawej Mamuśki zwęziły się w szparki.

- Nie po to tutaj przyszedłem. Nie pozwolę, żebyś mną kierował.
- Nie będziesz miała żadnego wyboru - odparł Grant chłodno. - Myślę, że to może przynieść nam wszystkim wiele dobrego.

Z sykiem obnażyła zęby. Grant warknął, wypowiadając jedno słowo - które zabrzmiało jak rozszalała nuta - i oddech zombi utknął w jej gardle, oczy błysnęły, rozszerzając się z wściekłości i przerażenia. Jej aura zadrzęła.

- O cholera - mruknęłam, kiedy również Killy zerwała się z krzesła.

Jeden zombi chwycił stołek barowy i wymachując nim, podbiegł do Granta.

Zerwałam się i uderzyłam opętanego człowieka. Upadliśmy ciężko na bar, ale nie czułam nic poza lekkim naporem pod paznokciami, przekłuwającymi wełnę i ciało. Palce zatapiały się w tłuszczu jak gorący nóż w masle. Trysnęła krew, wchłaniając się natychmiast w moją skórę. ,

Zombi zatoczył się do tyłu, trzymając się za brzuch. To, co zrobiłam, nie było zabójcze, wymagało tylko kilku szwów i wizyty w szpitalu. Uszkodziłam go trochę bardziej, niż to zwykle czynią ludzkim żywicielom - tym niewinnym ofiarom. Poczułam się chora.

Cios mnie obalił i uderzyłam o podłogę tak mocno, że aż się od niej odbiłam. Drewno pękło pod wpływem zderzenia z tyłem mojej czaszki. Chłopcy zawyli przez sen, kiedy zombi mnie zniewolili: złapali mnie za ręce, nogi, usiedli mi na brzuchu, chwytając rękami za gardło. Poczułam zapach dymu: moje ubranie się paliło. Chłopcy płonęli. Jakby siedząc w wodzie, która powoli zaczynała wrzeć, zombi nie mieli pojęcia, co się dzieje, aż w końcu oderwali się ode mnie z rękami w płomieniach, dusząc się od krzyków.

Usiadłam, osmalona i dymiąca. Zombi stali między mną a Krwawą Mamušką. Nie słyszałam Granta. Nie widziałam go. Nie mogłam go wyczuć, przyszło mi do głowy mimo woli, a lęk, który mnie pustoszył, stał się alarmujący i zaciekły, przedzierając się prosto do mojego wnętrza, pod żebra, poniżej serca. Ciemność zwinięta w kłębek, mrugając, budziła się z głębokiego snu, pozostawiając mnie bez tchu, niepewną, chorą z przerażenia. Dawno nie czułam tego stworzenia w swoim wnętrzu, duchowej siły tak potężnej, że równie dobrze mogła być czymś fizycznym - oddzielonej ode mnie, ale ze mną połączonej. To coś miało własny umysł.

To było to, czego Jack się obawiał. To, czego obawiała się moja matka. Coś we mnie, czego nikt nie potrafił ani nie chciał wytłumaczyć. Uśpiona siła, której sen stawał się z czasem coraz lżejszy, nabierająca coraz większej mocy z każdym straszliwym przebudzeniem. Była powiązana z opadaniem więziennej zasłony. Wiedziałam to tak samo, jak zdawałam sobie sprawę, że jeśli pozwolę, jeśli kiedykolwiek stanę się zbyt słaba, by ją utrzymać, zniszczy wszystko, co kocham. A może nawet ten świat.

To niemal uczyniła moja poprzedniczka.

Zamknęłam oczy, ignorując wszystko wokół siebie. Skupiłam się tylko na własnym sercu, na tłumieniu rozrywającego, pulsującego doznania, które bębniło w moim brzuchu: ciała rozwijającego jak robak utworzony z bezkresnej nocy, przeciągającego się pod moją odwirowaną skórą i rozkładającego skrzydła jak motyl.

Moje mięśnie i kości stawały się coraz cieplejsze, płynne jak rtęć, a żyły napędzwały się ogniem, który wprawiał serce w taki łomot, że głośno dudniło. Chciałam krzyknąć, ale tylko się zakrztusiłam, a potem jeszcze bardziej zadławiłam się głodem.

Nie, powiedziałam temu czemuś, starając się odzyskać kontrolę; przestraszona i chora, co znowu mi przypominało, jak muszą się czuć ludzie opętani. *Nie teraz. Nie tutaj.*

Zombi z dzieckiem wystąpiła do przodu. Niemowlę wyrывało się, wydając żalosne, płaczliwe odgłosy. Nad jego głową nie było ciemnej aury. Miało demona za matkę, która celowała teraz w moją twarz z pistoletu. Krwawa Mamuška z ukrycia warknęła jakieś ostre słowo. Prawe oko zombi drgnęło, usta wykrzywiło niezadowolenie, ale kobieta opuściła broń i wycofała się, obchodząc opętanych mężczyzn i kobiety, przyciskając poparzone dłonie do piersi.

Większość demonów do tej pory opuściłaby już swoich żywicieli, ale ci zostali. Z powodu swojej królowej. W chwili, gdy ona odejdzie, ci ludzie zostaną porzuceni jak brudna bielizna, zostaną z bólem głowy i dłońmi jak hamburgery.

Krwawa Mamuška posuwistym krokiem obchodziła swoje zombi dzieci, stukając czerwonymi szpilkami o podłogę. Uśmiechała się przebiegle. Kiedy jednak spojrzała mi w oczy, zamarła, a jej uśmiech opadł jak przecięta wstążka.

- Nie jesteś sobą - powiedziała cicho, a ludzka skóra, którą miała na sobie, wędła pod wpływem mocy opętania, ciało zapadało się we wgłębienia, stawało się coraz bardziej wymizerowane i kościste.

- Może nie chcę być - odparłam, ledwie mogąc mówić i drżąc spazmatycznie, kiedy to coś we mnie odwinęło się jeszcze trochę, a głód stał się silniejszy. Straszliwy głód, łaknienie, ale nie jedzenia ani niczego, co potrafiłabym nazwać - z wyjątkiem może tej iskry tworzącej życie, płonącej u podstawy myśli lub bicia serca. - Pani Dziwka - wyszeptalam dwa słowa, które nie pochodziły ode mnie. Nie wymyśliłam ich ani nie znałam, a głos, który je wypowiedział, raczej nie narodził się we mnie.

Krwawa Mamuška jednak wzdrygnęła się, jej palce zadrgały i coś straszego pojawiło się w jej spojrzeniu: obawa albo przerażenie. Niemal skłoniła głowę - widziałam to - ale kręgosłup jej zeszywniał, aura rozblęła i Mamuška zebrała się w sobie.

- Nawet ty, marzycielko, wiesz, co znaczy obietnica - powiedziała przez zaciśnięte zęby, zwracając się w moją stronę, ale jakby nie do mnie. - Nie wykorzystasz mnie ponownie. Nie teraz. Nigdy.

Nigdy, powtórzył cichy głos w mojej głowie, przepelniony niesmakiem i pogardą oraz tym wszechogarniającym głodem.

Przymknęłam powieki, szukając po omacku prawej ręki i przyciskając palce do zbroi. Pomyślałam o dobrych rzeczach, o tym, co kocham, o swojej matce i Jacku, o Zee i chłopcach. Przywołałam na myśl zachody słońca, otwartą drogę i gwiazdy. I poczułam złotą nić ciągnącą mnie za serce na zewnątrz, tylko na zewnątrz. Pomyślałam o Grancie, chociaż wcale tego nie chciałam.

Powoli, bardzo powoli ciemność osiadła.

Zrobiłam wydech i otworzyłam oczy.

Powietrze w barze wydawało się zbyt jaskrawe, z domieszką błękitu - jakby mogło mieć kolor - i nawet cienie pod stołami zdawały się połyskiwać na brzegach, tętniąc jak uderzenia serca.

Krwawa Mamuśka wpatrywała się we mnie z kamienną twarzą. Oblizalam spękane usta i poczułam smak krwi.

- Grant. Killy.

- Tutaj - burknął cicho głos i grupka zombi przesunęła się, odsłaniając ojca Lawrence'a. Nie miałam pojęcia, kiedy przyłączył się do awantury i jak uwolnił się z łańcuchów, ale jego pazury były lepkie i ociekały krwią, a brązowa sierść pokrywająca ciało unosiła się, jeżąc się na rękach i klatce piersiowej.

Za nim siedziała na podłodze Killy, pochylając się nad Grantem. Kiedy go zobaczyłam, znowu zamglili mi się wzrok, ale nie na tyle, by nie zauważyć krwawej plamy na jego kołnierzu i jego bezruchu. Był taki nieruchomy.

- Wynoś się - powiedziałam cicho do Krwawej Mamuśki, tłumiąc przebiegające przeze mnie dreszcze. Później zawsze tak było. Wstrząs, wylewająca się ze mnie adrenalina. Musiałam usiąść.

Aura Krwawej Mamuśki drżała, ale ona sama nie - ludzkie oczy skamieniały, szczęka zastygła.

- Twoja matka była idiotką, że pozwoliła ci żyć.

- Może. - Podeszłam do niej. - Pani Dziwko. Zastanawiam się, co to znaczy?

Zacisnęła usta.

- Chcę wiedzieć, co Jack ci powiedział. Stałam przed nią.

- Co to jest ta rzecz we mnie? Skąd ją znasz?

- Jack - wyszeptala z odrobiną desperacji, a jej aura napała mocno na więzadła w jej ciele. - Powiedz, co Jack ci wyjawiał.

Zmrużyłam oczy.

- Po to tutaj przyszedłaś. Tylko po to. W sprawie Jacka.

- Powiedział ci coś.

- Jack to gaduła. A może ty mi powiesz, dlaczego uważasz, że to, co mi mówił, jest takie ważne.

Krwawa Mamuśka lekko uniosła podbródek. Ale zamiast mi odpowiedzieć, podeszła bliżej, sunąc z wdziękiem i kołysząc biodrami, gdy jej wysokie obcasy stuknęły ostro po podłodze. Nie zatrzymała się ani nie zawahała - po prostu patrzyła mi w oczy, a przechodząc obok, otarła się o mnie ramieniem. Jej twarz nie wyrażała niczego w momencie dotyku, ale jej aura drgnęła, odsuwając się ode mnie.

- Byłam taka pewna - powiedziała cicho. - Poczułam wezwanie, zew. Wszyscy go poczuliśmy.

Chwyciłam ją za ramię.

- Kto zabił Jacka?

- Masz na myśli jego ciało. - Spojrzała mi w oczy obojętnym, martwym wzrokiem. - Pewnie tam byłaś. I nie wiesz?

Pochyliłam się bliżej, czując jej oddech pachnący kawą i różami.

- Powiedz mi.

Mogłabym policzyć na palcach jednej ręki, ile razy rozmawiałam z Krwawą Mamuśką, ale nigdy nie okazywała niczego poza zimnym, okrutnym spokojem. Jednak teraz jej aura odsuwała się ode mnie, a w oczach błyskał niepokój. Nie ekscytowało mnie to ani trochę, tylko przerażało.

- Tropicielko - szepnęła. - Stary Wilk zawsze był i pozostał cwaną bestią. Jeśli pozwolił swojemu ciału umrzeć, zrobił to dlatego, że nadeszła odpowiednia pora.

Odsunęła się ode mnie. Pozwoliłam jej odejść i stałam z boku, gdy podeszła do drzwi. Zatrzymała się jednak z ręką na klamce i spojrzała na mnie.

- Uważaj na siebie, Tropicielko. Istnieją węzły, które się rozplątują, a ty z pewnością jesteś jednym z nich.

- Kim jestem w takim razie? - Klepnęłam się w pierś i zbroja zadrżała, podobnie jak chłopcy. - Czym jest ta rzecz? Nikt mi nie powie.

Słaby uśmiech przemknął przez jej usta, cierpki, gorzki, a nawet trochę smutny. Wszystko to wydało mi się niepokojące.

- Mówiono ci na wiele różnych sposobów - stwierdziła Krwawa Mamuśka, otwierając drzwi. - „Nikt nie jest straszniejszy od przywódczyni Łowów. Nikogo nie boją się bardziej. Jej pragnienie jest spełniane. Jej życzenie jest rozkazem”. - Wyszła na zewnątrz i przymknęła oczy, jakby w obronie przed wiatrem, który zmierzwił jej włosy. - Tosłowa Jacka, jeśli się nie mylę. Pewnie je znasz.

- To tylko zagadka.

- Zagadki są bezpieczniejsze. Biedacy, którzy się nad nimi głowią, ledwie dają szansę na ucieczkę temu, kto je ułożył. - Krwawa Mamuśka uśmiechnęła się nieco szerzej. - A więc się nie spiesz, Tropicielko.

Zamierzała wyjść, zamykając za sobą drzwi, ale nie zdążyła. Zombi, powłócząc nogami, ruszyli do wyjścia, jedni spokojnie, drudzy przepychając się, kilku poranionych wlokło się, paru innych niosło nieprzytomnych.

Stałam przed zombi, która była matką. Jej dziecko wciąż płakało, ale ona nie robiła nic, żeby je uspokoić. Pistolet schowała wcześniej do torebki. Sięgnęła po broń, ale było trochę za późno. Uderzyłam ją w skroń wytatuowaną ręką, wypowiadając cicho w języku martwym od tysięcy lat słowa, których niegdyś uczyła mnie matka.

Pasożyt w kobiecie wrzasnął. Ona krzyknęła. Jej aura usiłowała oderwać się od ciała, ale ja nadal recytowałam przez zaciśnięte zęby, a moi głodni chłopcy ciągnęli tego gnojka jak rybę na żyłce.

Aż w końcu pasożyt znikł. Pożarty. A kobieta była wolna.

Złapałam ją, nim upadła. Ojciec Lawrence pomógł mi posadzić ją na krześle. Była nieprzytomna, jej dziecko nie spało, tylko krzyczało dalej. Ojciec Lawrence uciszał je głosem i machał kosmatą łapą nad czołem niemowlęcia. Przestało szlochać i wpatrywało się w niego wielkimi oczami.

Odwrociłam się. Wszystkie zombi sobie poszły. Czułam zapach potu i strachu oraz spalonego ciała. I trochę woni zmokłego psa. Killy, mamrocząc coś pod nosem, przyglądała się kobiecie poddanej egzorcyzmom.

Grant jeszcze nie usiadł. Jednak oczy miał otwarte i patrzył na mnie.

Podeszłam bliżej i uklękłam przy nim. Szkło zachrząściło pod moimi kolanami. W którymś momencie podczas awantury kilka filiżanek z kawą spadło, rozpijając się na podłodze. Kawa przesiąkła przez moje dżinsy, ale chłopcy ją wessali i wkrótce spodnie znowu były suche.

- Pewnego dnia - zaczął, jakby opowiadał jakiś stary dowcip, który znaliśmy tylko my oboje. I przez moment chciałam, żeby tak było. Rozpaczliwie pragnęłam czegoś dobrego i ciepłego.

- Nie chcesz, żebym cię pamiętała - powiedziałam tak bliska błagania, jak jeszcze nigdy w życiu. - Jeśli to ma to oznaczać. Tę przemoc.

Nie uśmiechnął się, ale w jakiś sposób czułam, że uśmiech w nim powstaje. Wyczuwałam ciepło w jego oczach, w przelotnym dotyku jego palców, muskających wierzch mojej dłoni. Zaczęło mi się wydawać, że mogłabym zakochać się w tym człowieku. Może choć trochę.

Grant próbował usiąść. Tym razem mu pomogłam. Nie myślałam o tym, a po chwili już było za późno i objął moje ramię. Jego szorstki policzek otarł się o moją twarz. Zamknęłam oczy.

- Zawsze mówisz takie rzeczy - szepnął. - Ale wciąż jestem tutaj, Maxine. A więc nie przypominaj mnie sobie. Nie przypominaj. Pamiętaj mnie tylko od teraz.

- Dobrze - odparłam.

Rozdział 7

Killy nie chciała naszej pomocy przy sprzątanii baru. Nie miałam jej tego za złe. Wychodziło na to, że mam brzydki nawyk ściągania do jej lokalu przemocy.

Pojechałam z powrotem z Grantem do Coopa. Deszcz tłukł mocno w przednią szybę, zagłuszając radio, tak że w końcu słyszałam tylko perkusję i strzępki melodii. Grant gapił się przez okno, nucąc coś pod nosem. Nie umiałam rozpoznać melodii, ale słyszałam go wyraźniej niż radio i deszcz, a jego głos przepływał przeze mnie, ponad mną. Chłopcy przeciągali się i drżeli.

- Przestań - poprosiłam.

Grant spojrział na mnie, ale nie udawał głupka.

- Muszę ci coś powiedzieć.

Ojciec Lawrence ostrzegł mnie przed tym. Nie uwierzyłam mu.

Dlaczego nie pamiętam tego człowieka? - zastanawiałam się. Czemu akurat jego?

- Twój głos - rzekłam, ściągając niespokojnie brwi. - Co zrobiłeś Krwawej Mamuśce, że coś ci powiedziała? Nazwała cię jakoś.

- Usta Światła. - Grant bawił się drewnianą laską. - To imię, z którym nie czuję się dobrze. Ale jest moje. To tak, jak imię Tropicielki nadane ci przez demony.

Usta Światła. To imię słyszałam już wcześniej od Jacka. Kontekst wydawał mi się mętny, ale czułam, jak słowo rezonu je w moim sercu.

Skręciłam na stację benzynową i zatrzymałam samochód. Słuchałam deszczu bębniącego o dach, szumu wycieraczek poruszających się na przedniej szybie i wyjącego radia, gdzie leciała *Bohemian Rhapsody* zespołu Queen. Wsłuchiwałam się w słowa tej piosenki i wyobrażałam sobie, jak chłopcy wtórują w mojej głowie.

Me ma ucieczki od rzeczywistości. Przejrzyj na oczy.

Przejrzyj na oczy.

Nie wyłączając silnika, wysiadłam z auta. Tym razem Grant nie wyszedł za mną. W budynku stacji przejścia były wysprzątane, a powietrze jaskrawe od sztucznego światła. Dziewczyna w brudnej brązowej bluzie

patrzyła na mnie zza lady. Zignorowałam ją i podeszłam prosto do miejsca z gorącym jedzeniem. Nie przyglądałam się zbyt temu, co tam było. Wzięłam po prostu hamburgery opakowane w folię i zonglując nimi, podeszłam szybko do zamrażarki po lody. Wzięłam też napoje orzeźwiające. Kilka hamburgerów wypadło mi po drodze do kantorka, ale nawet nie próbowałam ich podnosić. Kopnęłam je i poleciały po podłodze jak miękkie hokejowe krążki. Dziewczyna patrzyła na mnie tak, jakby miała zamiar wezwać ochronę. Zastanawiałam się, czy po walce w barze nie mam przypadkiem zakrwawionej twarzy. A może śmierdzącą spalonym mięsem. Moje ubranie było trochę osmalone.

Zapłaciłam za jedzenie, a ona wrzuciła wszystko do plastikowej torby. Kiedy wróciłam do samochodu, wciąż było słychać *Bohemian Rhapsody*. Grant spoglądał na mnie w milczeniu.

Wzięłam jednego hamburgera i podsunęłam mu torbę z resztą. Po chwili zajrzał do środka i wyjął lodowy baton. Trudno mu było go odpakować z zabandażowaną ręką, ale jakoś sobie poradził.

- Wiesz, że tego wieczoru, kiedy się poznaliśmy, poszliśmy do McDonalda na lody i hamburgery - powiedział.

Zakrztusiłam się lekko.

Grant patrzył, jak pochłaniam hamburgera w trzech kęsach i sięgam po następnego.

- Myślałem, że już nigdy więcej nic nie zjesz.

- A ja myślałam, że się upijesz.

- Mm... - odparł i dodał: - No więc pytaj.

- Nie wiem jak. - Skończyłam drugiego hamburgera. Był tani, ale dobry. Od dawna czegoś takiego nie jadłam. Przywykłam do prawdziwego jedzenia i odzwyczaiłam się od fast foodów. Odwinęłam z folii trzeciego hamburgera. -To, co zrobiłeś, to, co wydawało się, że robisz, nie powinno być możliwe.

- A co twoim zdaniem zamierzałem zrobić? Przestałam jeść i odłożyłam hamburgera.

- Opętać ją. Zabić.

- Opętanie - powiedział w zamyśleniu. - Nigdy tego tak nie nazywaliśmy. Ale owszem, to mniej więcej prawda. Chciałem ją przemienić.

- Ściągnęła dodatkowe siły ze względu na ciebie. Nie na mnie. Na wypadek gdybyś spróbował.

Grant dotknął zabandażowaną dłońią guza puchnącego na linii włosów.

- Gdyby nie było żadnej ingerencji, może udałoby mi się osiągnąć coś bardziej trwałego. Może. Nigdy wcześniej tego z nią nie próbowałem.

Powiedział to z taką łatwością. Opętać demona, nic wielkiego. Zawładnąć ich królową to ciekawy eksperyment. „Udałoby się osiągnąć coś trwałego”. Tak, jakby ją skłonił, żeby zamieniła swoje czerwone szpilki na kapcie w formie króliczków lub by pożerała chili zamiast dusz. Nie potrafiłam sobie tego wyobrazić.

- Nie mam rogów - powiedział, a ja zamrugłam, powracając do przytomności i wpatrując się w niego. Nie uśmiechał się, ale też się nie krzywił. Jego wzrok był po prostu życzliwy. - Jeszcze nie - dodał.

- Ja nic nie mówię - odparłam.

- Już kiedyś tak rozmawialiśmy. Historia nie powtarza się dokładnie, ale jest podobna. Nie wydajesz się taka ponura jak kiedyś.

- Ponura.

- Miałaś ku temu powody.

Odwróciłam wzrok i spojrzałam przez okno. Patrzyłam, jak jakiś człowiek wlewa benzynę do baku ciężarówki. Zwyczajne to i codzienne. Nie byt zombi. Jakaś kobieta minęła go i weszła na stację z głową pochyloną przed deszczem, szarpiąc niespokojnie ciasny różowy sweter. Nawet na nią nie spojrział. Oboje byli sami we własnych światach.

- Kiedy się poznaliśmy? - spytałam.

- A pamiętasz, kiedy przyjechałaś do Seattle? Gdzie się zatrzymałaś? Dokąd poszłaś?

Jego pytania mnie drażniły.

- Prawie dwa lata temu. Zatrzymałam się w Hyatt. Miałam wyjechać tego wieczoru, ale poszłam na Pike Place Market na spacer... chociaż wiedziałam, że narażam się na kłopoty. Zasłona więzienna jest tam słaba. - Spojrzałam na Granta, ściągając brwi. - Następnie pamiętam to, co było już później. Przeprowadzkę do Coopa.

- Ale nie wiesz, czemu się tam przeniosłaś.

- Zaczekaj - powiedziałam ze znużeniem.

Przestał mówić i dalej jadł lody. Patrzyłam, jak dziewczyna w różowym wychodzi ze stacji z pojemnikiem mleka, wciąż szarpiąc sweter. Wyglądała żałośnie i samotnie, jakby ktoś wtargnął dziś rano w jej sny i kazał jej pójść umrzeć w rowie.

Zerknęłam na Granta i zobaczyłam, że też przygląda się dziewczynie. Wydawał się zasmucony.

- Ona myśli o tym, żeby się zabić - powiedział, przekręcając się w fotelu i patrząc, jak kobieta wsiada do zniszczonego zardzewiałego wozu. - Nie robi tego, ale kielkuje w niej taka myśl.

Wierzyłam mu. Nic na to nie mogłam poradzić. Nie wiadomo dlaczego, miałam ochotę pobiec za dziewczyną i potrząsnąć nią. Przecież to nie był mój problem. Miałam wystarczająco dużo na głowie.

- Lubisz Killy?

- Nie - odparł. - Jestem inny.

Dziewczyna odjechała. Kiedy znikła, poczułam chłód i pustkę, jakbym zrobiła coś złego.

Wysypałam resztę hamburgerów z plastikowej torby, zostawiając w środku lody. Zwinęłam ją tak, że przypominała cegłę, i przycisnęłam lekko do spuchniętej głowy Granta. Siedział nieruchomo. Nie patrzyłam mu w oczy.

- Powiedzmy, że mówisz prawdę.
- Co za wspaniałomyślność z twojej strony.
- Owszem - odparłam. - Do tej pory Krwawa Mamuśka powinna była cię zabić. Albo próbować zawładnąć twoim ciałem.

- Próbowała to zrobić ponad rok temu. - Grant położył zabandażowaną dłoń na mojej ręce. - Wtedy właśnie się poznaliśmy. Uratowałaś mi życie. Przy Pike Place Market.

Cofnęłam dłoń, pozwalając, aby sam trzymał przy głowie mięknący zimny pakunek.

- I nigdy już nie wyjechałam.

- Chyba doszłaś do wniosku, że mnie lubisz. Tak trochę. Chyba bardziej niż trochę, skoro spaliśmy w jednym łóżku. Dla własnego dobra zaczęłam dociekać, jak do tego wszystkiego doszło.

- A kim ty jesteś?

- Człowiekiem - odparł poważnym i posępnym głosem, a wypowiedziane przez niego słowo zawisło ciężko w powietrzu, jakby znaczyło więcej, niż dotąd sądziłam. A może rzeczywiście znałam jego znaczenie, tylko różniło się od tego, co sobie przypominałam. Byłam człowiekiem i nie byłam. Człowiekiem i demonem; składałam się też z innych części złączonych razem w sposób, jakiego nie rozumiałam. Byłam człowiekiem. I trochę nie.

- W dzieciństwie rozpoznano u mnie synestezję - oznajmił Grant. - Wiesz, co to jest, prawda? Neurologiczna przypadłość polegająca na tym, że różne zmysły, na przykład słuchu i wzroku, mieszają się ze sobą. Dla niektórych ludzi litery lub liczby mają zapachy, a nawet własne osobowości. A ja, kiedy słyszę dźwięki, widzę kolory.

Słyszałam o takim zjawisku. Lubiłam muzykę. Przed laty czytałam o tym, że Duke Ellington i Jan Sibelius widzieli kolory w nutach i melodiach.

- A więc kiedy gniotę tę folię...

- Widzę jaskrawopomarańczowe błyski. Odgłos deszczu wygląda jak ciemnoszare perły. Kiedy słyszę pracujący silnik, widzę głęboką zwirową szarość przypominającą zęby, a gdy słucham *Bohemian Rhapsody*, otacza mnie tęcza fioletów i czerwieni, które tryskają w górę, a potem mieszają się ze sobą jak gorący wosk.

- A kiedy ja coś mówię?

- Widzę światło - odparł i ze zdziwieniem zobaczyłam, że jego oczy stały się trochę zbyt jasne, zaczerwienione na brzegach i rozpalone. - Widzę światło, Maxine.

Z trudem złapałam oddech..

- Ico?

- Właściwie nie tyle widzę dźwięk, co energię. Aurę. Wokół ludzi. - Odwrócił wzrok i spojrzał na na wpół zjedzone lody, które trzymał w ręce. - Mogę zmieniać tę aurę. Potrafię nią manipulować.

Poczułam, jak hamburgery ciężą mi w żołądku.

- Co to znaczy?

Grant odsunął plastikową torebkę od czoła i wrzucił do niej resztkę swoich lodów.

- Mogę przemieniać ludzi. Zmieniać ich aż po samą duszę. Nie tylko ludzi.

- Demony też?

- Wszystko, co żyje.

- A mnie?

- Ty jesteś odporna, Bóg wie czemu, i chyba tylko ty jedna. A nawet gdybyś nie była... - Grant przerwał, a cisza stała się długa i głęboka; byłam wdzięczna chłopcom na mojej skórze, że ich serca biją w jednym rytmie z moim. - Nie skrzywdziłbym cię, Maxine - wyszeptał - ale istnieją granice, które mógłbym przekroczyć. I myślę, że czasami to robię.

Pozbierałam leżące wokół mnie śmieci. Grant wręczył mi foliową torebkę. Wsiadłam i wyrzuciłam wszystko do kosza. Wzięłam długi i głęboki oddech, choć powietrze cuchnęło spalinami. Usłyszałam w oddali syreny. Zee pociągnął raz...

...i zbroja przekręciła się na mojej skórze. Było to całkiem namacalne szarpnięcie, jakby próbowała oderwać się ode mnie. Przycisnęłam rękę do brzucha, oddychając przez zaciśnięte zęby.

I to znowu się stało. Ściągnęłam rękawiczki. Powierzchnia zbroi poruszała się, lśniąc, a wyryte sploty i róże sączyły się przez organiczny metal jak płatki i nitki rzucone na wodę. Przestałam oddychać. Zaczęłam dopiero wtedy, gdy nagle zbroja znowu znieruchomiała.

Wsunęłam się z powrotem do samochodu. Mars na czole Granta się pogłębił.

- Coś nie tak?

- W myślach też umiesz czytać?

- Znam cię.

- Pewnie tak - odparłam cicho i chwyciłam drżącymi rękami kierownicę. - Zapnij pasy. Mamy kłopot.

Ruszyliśmy z powrotem do Coopa. Usłyszeliśmy syreny, zanim zobaczyliśmy pojazdy. Wmawiałam sobie, że to nie ma nic wspólnego ze zwłokami w mieszkaniu, ale już myślałam nad nowymi nazwiskami dla Granta i Byrona. I dla Mary też. Moglibyśmy udać się do Teksasu. Na starą farmę, gdzie została pochowana moja matka. A może do Chicago lub Nowego Jorku. Miałam tam domy, które odziedziczyłam, pełne gotówki, broni i dokumentów. Było tam wszystko, czego potrzebowała dziewczyna, żeby zacząć życie od początku.

Nie kwestionowałam tego, dlaczego włączam w to Granta. Wmawiałam sobie, że robię tak, ponieważ nie odgadłam jeszcze do końca tajemnicy związanej z nim, z nami - nie wiedziałam kto, co i dlaczego o niego chodzi. Chyba to była prawda.

Padał ulewny deszcz, niebo pociemniało i dlatego nie zauważyliśmy dymu wcześniej.

Nie musieliśmy. Przez skrzyżowanie przed nami przemknęła karetka, a za nią dwa wozy strażackie. Grant, gapiąc się przez przednią szybę, tak pochylił się do przodu, że uderzył nosem w deskę rozdzielczą. Zee coraz gwałtowniej ciskał się na mojej skórze i poczułam, jak zbroja się ogrzewa, a potem staje się zimna jak lód; tętniła w rytmie uderzeń serca, sprawiając, że moja prawa ręka drgała mimowolnie. Miałam wrażenie, jakby prąd elektryczny utknął w moich mięśniach. Oderwałam palce od kierownicy i wsunęłam rękę za plecy, starając się trzymać ją tam możliwie jak najbardziej nieruchomo. Grant patrzył, ale nic nie mówił.

Skręciłam za róg i zobaczyłam Coop. Wozy strażackie i ambulans otoczyły schronisko dla bezdomnych. Zajmowało cały kwartał w dzielnicy magazynów. Była to ogromna przestrzeń.

Paliło się. Ale tylko drugie skrzydło. Piętro, na którym znajdowały się mieszkania. Tam, gdzie był Byron.

Ostro zahamowałam. Granta szarpnęło do przodu; oparł się o deskę rozdzielczą, napinając pasy bezpieczeństwa. Być może zaparkowałam samochód. Nie wiem i nie obchodziło mnie to. Wyskoczyłam na drogę i pobiegłam.

Tłum zebrał się na chodniku i w ogrodzie; wolontariusze i bezdomni próbowali uspokajać się nawzajem. Strażacy otaczali teren kordonem. Przedarłam się przez nich wszystkich, nie zwracając uwagi na wołania i krzyki. Tuż przed wejściem do budynku podniosłam wzrok na czarny dym wydobywający się z okien - jedno z nich wcześniej eksplodowało. Wyglądało to tak, jakby ktoś podłożył bombę.

Po chwili znalazłam się w środku. Korytarz na dole był zadymiony, ale coś niecoś było widać. Minęłam strażaków w maskach. Próbowali mnie zatrzymać, ale wyrwałam się im i uderzyłam jednego, który był zbyt natarczywy. Gdy roztrzaskałam mu maskę, uderzył ciężko o ścianę. Nie zatrzymałam się. Wbiegając na schody, miałam wrażenie, że wkraczam do innego świata, gorącego, pełnego dymu i popiołu. Oczy mnie piekły, płuca paliły.

Nie trwało to długo. Chłopcy prześlizgnęli się na moją twarz i usta, a potem na nozdrza. Dziwne wrażenie. Jakbym tonęła. Potknęłam się na schodach, spanikowałam i dotknęłam warg. Poczułam tylko gładką skórę. Dotknęłam nozdrzy i zobaczyłam, że znikły. Kiedy zamrugałam, powieki wydały mi się grubsze i cięższe; świat pociemniał, przesłonięty srebrzystopierłową mgłą.

Kiedy wzięłam wdech, powietrze wypełniło moje płuca. Miało ciepły posmak siarki. Chłopcy oddychali za mnie. Już kiedyś w ten sposób uchronili mnie przed uduszeniem. Zapewne podobnie uratowali niegdyś moją babkę. Była w Hiroszimie, kiedy zrzuciono bombę atomową. Zagubiona w tym piekle, patrzyła, jak ciała zamieniają się w popiół.

Nie czułam gorąca. W parę chwil dotarłam na pierwsze piętro i zobaczyłam płomienie pełzające po ścianach i suficie, przetaczające się po dywanie falami światła. Przebiegłam przez ogień i moje ubranie się zapaliło. Tak samo jak włosy. Czułam, jak znikają, skwiercząc, kiedy przechodziłam przez zbitą ścianę płomieni.

Szukałam szczelin w podłodze, pędząc w stronę pokoju Byrona. Dym był gęsty i oślepiający, ale chłopcy szaleli i ciągnęli mnie do przodu, wiedzeni własnym nieomylnym instynktem. Pod moim sercem ciemność się poruszyła - kierując się w górę - ale bezlitośnie sprowadziłam to stworzenie na dół. Nasłuchiwałam krzyków, wołania o pomoc z sąsiednich pokoi, ale nic nie usłyszałam.

Przed pokojem Byrona znalazłam martwe ciało.

Tego człowieka jeszcze nie ogarnęły płomienie, w przeciwieństwie do wszystkiego dokoła. W rzeczywistości wyglądało to tak, jakby po prostu padł martwy, uduszony dymem. Nie rozpoznawałam jego twarzy. Był blady i dobrze zbudowany, a resztki jego odzieży przypominały lniane stroje, które lubili nosić ludzie w rodzaju Ziemskiego Ojca z Seattle, kiedy udawali joginów. Części ubrania paliły się powoli, jakby coś znajdującego się w materiale powstrzymywało ogień.

Mężczyzna wyglądał spokojnie, i to mnie wystraszyło.

Drzwi do pokoju Byrona były uchylone. Przeszłam ponad zwłokami i pchnęłam drzwi, otwierając je na oścież. Ujrzałam tylko ogień i dym. Jeśli Byron był tutaj, jeśli nie został stąd niepostrzeżenie wyprowadzony...

Jego łóżko było jednak puste. Stało w ogniu. Obeszłam szybko pokój, upewniając się, że chłopca tu nie ma.

Zastałam kogoś zupełnie innego.

Kobietę. Wyszła z łazienki, idąc przez dym jak biały duch, nie przejmując się pożarem. Wydawało mi się, że jest naga, ale ubranie miało po prostu taki sam kolor jak jej skóra i przywierało do niej zwiewnymi fałdami niczym jedwab. Płomienie ją musnęły, ale nic się nie zapaliło. Kobieta miała bardzo długą szyję, a wokół niej żelazną obrozę. Jej włosy były krótkie i rude.

Znalazłam się w opalach. I to cholernie poważnych. Wiedziałam o tym.

Nie ugięłam się, postanowiłam czekać. Ona zrobiła to samo. Budynek płonął wokół nas, czas jakby się zatrzymał.

Dopóki się nie poruszyła. I nagle nie była już kobietą, lecz mężczyzną. Przemiana stała się zupełna, zaskakująca, i kiedy przyjrzałam się jej - jemu - bliżej, wciąż była to ta sama osoba. Tylko jakby widziana pod innym kątem.

- Jesteś Strażniczką - powiedziała, przechylając lekko głowę i na powrót przybierając żeńską płęć; blask ognia rozgrzewał jej mocno zarysowane kości policzkowe. - War-towniczką. Szaloną kobietą.

Nie mogłam się odezwać. Nie miałam ust. Podeszłam bliżej i kobieta opuściła wzrok, przyglądając się mojej płonącej odzieży, która odpadała, ukazując nagą, wytatuowaną skórę. Spojrzała na moje piersi, brzuch, potem niżej, aż w końcu jej wzrok zatrzymał się na zbroi pokrywającej moją prawą dłoń. Mrugając powiekami, zamknęła oczy. Odchyliła głowę do tyłu jakby z rozkoszy czy bólu.

- Czuję go - szepnęła, chwiejąc się.

I znikła. Rozpłynęła się w powietrzu. Jakby nigdy nie istniała. Jak zaczarowana.

Ale to nie były czary. Już wcześniej widziałam coś podobnego. Robił to Jack i inni. Nawet ja potrafiłam przesuwając się w przestrzeni za pomocą zbroi na mojej ręce. Ale takie przemieszczanie się w moim przypadku miało swoją cenę. Zawsze trzeba było za to płacić.

Usłyszałam krzyki, ciche i odległe. Oderwałam wzrok od miejsca, gdzie wcześniej stała kobieta, i pomyślałam o Byronie, Jacku - czułam go, czułam - a potem pobiegłam do drzwi. Spojrzałam w korytarz i za ścianą ognia ujrzałam zwalistą postać.

Jeden ze strażaków. Przyszedł szukać głupiej baby, która powaliła kogoś z nich, wbiegając do budynku. Wokół szalały płomienie, gęste i gorące, pełznąc po ścianach i liżąc sufit nad jego głową. Przyglądałam się, rozdarta wątpliwościami. Nie byłam pewna, czy mnie dostrzegł. Nie mogłam pozwolić, by mnie zobaczył.

Ale stopy mi zadrżały, potem całe nogi, a jęk wtoczył się przez moje uszy w mięśnie i kości. Piętro się waliło.

Podbiegłam do strażaka. Wycofywał się już w kierunku schodów, ale zbyt wolno, zbyt późno. W ostatnim momencie zauważył, że się zbliżam. Nie wiem, co zobaczył, ale pod maską jego oczy rozwarły się szeroko, a krzyk, jaki z siebie wydał, był głośniejszy od trzasku belek pękających nad naszymi głowami. Wpadłam na niego, gdy sufit się zawalił.

Kiedys została potrącona przez autobus i teraz czułam się tak samo. Nie doznawałam bólu. Całym ciężarem upadłam na mężczyznę i przez chwilę ujrzałam swoją twarz odbitą w jego masce.

Ale nie miałam twarzy. Nie miałam ust ani nosa. Nawet oczy zagubiły się gdzieś w czarnych łuskach i rtęciowych węzłach, a każdy centymetr mojej skóry pokrywały demoniczne postacie. Najstraszniejszy widok, jaki widziałam w życiu. W dodatku byłam łysa.

Przez własne odbicie spojrzałam w oczy strażaka. Wciąż się we mnie wpatrywał ze strasznym krzykiem, a jego strach nie miał nic wspólnego ze spadającym na nas sufitem i ogniem. Zwinęłam prawą dłoń w pięść i zbroja zadrżała.

Chwilę później osunęliśmy się w ciemność.

Trwało to zaledwie jedno uderzenie serca, długie jak tysiące lat, ale gdzieś pomiędzy dopadł mnie dawny koszmar; byłam zagubiona na zawsze w ciemności, bez ciała, bez serca, bez gruntu pod stopami. Krzycząc, czułam tylko na swojej skórze chłopców, którzy stanowili skorupę otaczającą moją pustkę i mój umysł.

Wpadliśmy do innej części Coopa, do korytarza w pobliżu holu, gdzie dzieci wymalowały na ścianach tęcze i pałace. Przejechaliśmy po podłodze i sturlałam się z tego człowieka. Naga, miałam na sobie tylko resztki skórzanych kowbojskich butów. Wciąż się paliły. Żółty kombinezon strażaka dymił. Wycofywał się niezdarnie, wpatrując się we mnie z przerażeniem.

Nie mogłam mu nawet powiedzieć, że wszystko będzie w porządku.

Uderzyłam w podłogę pięścią pokrytą zbroją, myśląc o Byronie, Jacku i... Grancie. I znikłam.

Rozdział 8

Nie ma czegoś takiego jak magia. Cuda, być może. Ale nie czary. Arthur C. Ciarke wyraził to najlepiej, twierdząc, że każda dostatecznie zaawansowana technika nie różni się od magii. Zapalki, lustra, a nawet siła przyciągania magnesu mogą się wydać jaskiniowcowi czymś takim jak wu-du. Będzie potrafił z nich korzystać,

ale bez rozumienia, czym dany przedmiot jest i jak powstał. Może to tylko dar bogów - wymysł zjaw, błyskawic oraz duchów krwawych przodków.

Równie dobrze mogłabym być takim jaskiniowcem, neandertalczykiem czy nawet wypęłzającym z morza ślimakiem bez skorupy. Zbroja tak bardzo mnie wyprzedzała - stanowiła kawałek innego świata, gdzie rzeczywistość kształtowały możliwości, sny oraz moc czystej woli. Była kluczem, którego nawet czas nie mógł związać.

Ale należała do mnie. Aż do mojej śmierci.

Bóg pomaga nam wszystkim.

Kiedy ponownie weszłam do świata, znalazłam się w mieszkaniu. Książki, ceglane ściany i mój dziadek na podłodze, przykryty mokrym od krwi prześcieradłem.

Byłam sama.

Najpierw zobaczyłam Mary. Stała przy sofie, ubrana w podomkę wyszywaną w słoneczniki i motyle, przewiązaną

w talii starym skórzanym paskiem. Nogi miała gołe, stopy bose, pokryte siecią ciemnych naczyń krwionośnych. Stare ślady pokrywały jej żylaste ręce. Gęste siwe włosy odstawały od jej głowy, najeżone i zmierzwiłone.

Oburącz trzymała rzeźnicki nóż. Stała zupełnie nieruchomo, patrząc na kobietę z ognia.

Ja też jej się przyglądałam. Kobieta klęczała obok nakrytego prześcieradłem ciała Jacka, pochylając głowę tak nisko, że niemal dotykała czołem lepkiej od krwi podłogi. Nieruchome dłonie opierała płasko, w głębokim ukłonie wyginając kręgosłup w idealny łuk. Nie potrafiłam stwierdzić, czy oddycha. Jeśli żyła, miała za sobą długie lata praktykowania takich pokłonów.

Rozejrzałam się dookoła, ale nigdzie nie dostrzegłam Byrona.

Kiedy podeszłam do Mary, przeniosła wzrok, milcząco przyglądając się mojej twarzy. Ani śladu zdziwienia czy zaskoczenia, tylko lekkie napięcie zmarszczek wokół oczu. Dotknęłam swoich ust i wyczułam jedynie skórę. Nie było warg. Ani nozdrzy. Czułam jednak język uwięziony w zamkniętych ustach; smakował siarką i krwią.

Mary wyciągnęła w moją stronę jeden ze swoich noży. Pokręciłam głową.

Być może nasze ruchy przyciągnęły jej uwagę - a może nie - ale kobieta, klęcząca dotąd na podłodze, przesunęła się i powoli usiadła. Nie patrzyła na nas; jej spojrzenie powędrowało w stronę sufitu, zamruwała powiekami, a jej usta poruszały się jakby w cichej modlitwie.

To nie jest istota ludzka, pomyślałam, mogąc teraz przyjrzeć się jej lepiej. Nie była człowiekiem, o czym świadczyło wiele drobnych cech: długość szyi, małe oczy i dziwnie ułożone kości policzkowe. Nazwałam ją kobietą, ale trudno było dokładnie określić jej płeć - gdy światło się zmieniało, równie łatwo można było uznać ją za mężczyznę.

Nie należała jednak do tego świata. Zdawałam sobie z tego sprawę, tak jak wiedziałam, czym jest woda czy ogień. Nie urodziła się na ziemi.

Trzepoczące powieki znieruchomiały, kobieta zamknęła oczy, po czym mrugając, otworzyła je powoli jak sowa.

Spojrzała na mnie. Uspokoiliam się, zadowolona, że chłopcy spoczywają ciężko na skórze. Przez całe życie spotykałam wariatów, szaleńców i niebezpiecznych osobników, ale w oczach tej kobiety było coś takiego, że poczułam się mała, drobna i zmarznięta. Nie chciałam, żeby zbliżała się do kogoś, na kim mi zależało, nawet do martwego.

- Strażniczko - powiedziała. - Skóra naszego Stwórcy leży skalana, a mimo to żyjesz. Wyjaśnij.

Chciałam wyjaśnić, chociaż zastanawiało mnie, czemu nie zapytała o to Mary, stojącej obok mnie z nożami.

Podeszłam do kobiety w milczeniu; słychać było tylko szuranie moich osmalonych butów po podłodze. Chłopcy przemieścili się na mojej twarzy tylko tyle, by przywrócić mi usta i nos. Chłodne powietrze zalało moje płuca. Zwilżyłam wargi - miały smak żelaza. Kobieta przyglądała mi się, mrużąc oczy, zaciskając wąskie usta w twardą kreskę.

- Odpowiedz - warknęła.

Zatrzymałam się, ale tylko ze zdziwienia. Jej głos brzmiał dziwnie, jakby podłączyła swoje struny głosowe do stereo i elektrycznej gitary i włączyła sprzęt. Te dwa słowa spłynęły na mnie z siłą fali uderzeniowej, pulsując mocą.

Przypominała mi Granta.

- Niewolnica. Zrodzona, ukształtowana i wychowana - mruknęła Mary.

Wolałabym, żeby siedziała cicho, ale kobieta nawet na nią nie spojrzała. Patrzyła tylko na mnie, jej wzrok stawał się coraz bardziej ponury, zaś oczy zwęziły się w szparki.

- Ty powiedz - odezwała się znowu takim samym głosem: więcej w nim było tonów niż słów, a jeszcze więcej melodii, która wznosiła się i opadała jak kołysanka śpiewana małemu huraganowi. Chłopcom od razu to się spodobało, przetaczali się po mojej skórze, rozradowani. Uśmiechnęłam się.

- Kim jesteś? I po co tu przybyłaś?

Kobieta zamrugnęła, wpatrując się we mnie. A potem wolno wstała. Gdy całkiem się już wyprostowała, znowu zaczęła przypominać mężczyznę, zarówno twarzą, jak i ciałem. Nie miała biustu, a jej policzki i linia szczęki bez trudu zmieniały charakter z żeńskiego na męski i odwrotnie.

Nie byłem pewna, czy mi odpowie, ale wyszeptała:

- Niech będzie pochwalona ich wola. - I przyłożyła dłoń do żelaznej obroży. - Jestem Posłanniczką. Zostałam wysłana po naszego Stwórcę, Pana Aetara, chwała jego światłu w Boskiej Naturze.

Chwała jego światłu. Naszego Stwórcy, Pana Aetara. Wszystkie te słowa dotyczyły mojego dziadka, Jacka Med-dle'a. Starego człowieka. Nieśmiertelnego, awatara.

Powiedziała to tak, jakby naprawdę w to wierzyła. Dotknęłam własnej szyi, celowo naśladowując jej gest.

- Dlaczego zostałam wysłana?

- Pewnie wiesz. - Kobieta odsunęła się od ciała Jacka, nie spuszczać ze mnie wzroku, chociaż czułam, że obserwuje mieszkanie: przestrzeń, książki i okna, doskonale i kinestetycznie świadoma siebie w relacji do wszystkiego, co ją otacza. - Nasi Stwórcy wyczuli, że dwóch z nich zostało zamordowanych w tym świecie. To niemożliwe morderstwa. Nigdy nikogo to nie spotkało od czasu wojny z Królami Kosiarzami. Ale zasłona... - Kobieta zamknęła oczy, przechylając głowę. - Zasłona wciąż istnieje. A więc ktoś inny zabił naszych bogów i Stwórców. - Wskazała na zwłoki Jacka. - Jeden pozostaje. Mam zabrać go do innych na przesłuchanie.

- To będzie trudne. Porzucił swoją skórę.

- Znajdzie inną. A może już znalazł. - Wciąż mi się przyglądała z przechyloną głową. - Czemu pozwoliłaś na skalenie jego skóry?

- Masz na myśli to, że go zamordowano? - Podeszłam bliżej, wytrzymując jej wzrok. - Na nic nie pozwalałam. Znalazłam go w takim stanie. Szukam jego zabójcy.

- Szukaj sobie, czego chcesz. I tak już zawiodłaś, dopuszczając do zbezczeszczenia naszego Stwórcy. Jeśli masz honor, popełnisz samobójstwo - powiedziała, przesuwając palcem po szyi - kiedy znajdzie się ten, kto go sprofanował. Pomogę ci.

Wyrażała się w sposób zwyczajny i rzeczowy, bez złośliwości. Może tak okazywała życzliwość. Nie przestawałam się uśmiechać.

- To miło. A jeśli nasz... Stwórca... nie ma ochoty iść z tobą?

- Jestem Posłanniczką. Głosem naszych Panów Aeta-rów. Ich słowo jest rozkazem, a ja wypełniam ich wolę w Labiryncie. On musi iść ze mną - kobieta powiedziała to w taki sposób, jakby sprzeciw był nie do pomyślenia, jakby jej słowa miały coś dla mnie znaczyć. Może powinny mną wstrząsnąć, sprawić, że stanę na baczność i zasalutuję.

Nie byłem taka sprytna, ale całkiem nieźle wiedziałam, do czego zmierza.

Dopóki nie spojrzała na Mary.

Wcześniej założyłam, że już dostrzegła staruszkę, ale Posłanniczka dziwnie znieruchomiała, utkwivszy w Mary wzrok. Jej oczy niepostrzeżenie się rozszerzyły, a usta drgnęły. Była to drobna, lecz wyraźna reakcja. Nie spodobała mi się.

- Jesteś inna - zwróciła się kobieta do Mary. - Wydajesz się... stara.

Nie sądziłam, by miała na myśli zmarszczki i siwe włosy. Wypowiedziała słowo „stara” w taki sposób, jakby mówiła o dawnych legendach, górach lub piramidach. Chodziło jej o jakąś poważniejszą starość, w rodzaju tej powiązanej z opowieściami.

Mary niespiesznie przesunęła językiem po płaskiej stronie jednego ze swoich rzeźnickich noży. A potem uczyniła to samo z drugim, nie spuszczać wzroku z Posłanniczki. Byłby to śmieszny gest, gdyby zrobił go ktoś inny, ale nie Mary.

- Stara jak grzech - odparła, rozchylając usta w strasliwym uśmiechu. - Jak grzechy twoich Stwórców. Grabarzy. Zdzir.

- Przestań - powiedziałam.

Posłanniczka odsunęła się, zupełnie mnie ignorując.

- Nie mów takich rzeczy.

Uśmiech Mary stał się posępniejszy i bardziej zawzięty.

- Żadnych łańcuchów wokół mojego serca. I zaatakowała.

Spodziewałam się tego, znając Mary, ale kiedy się poruszyła, zaskoczyła mnie jej szybkość. Nie zdołałabym jej powstrzymać, nawet gdybym chciała. Silna staruszka pod wpływem adrenaliny przeleciała obok mnie, błyskając nożami, w śmiertelnej ciszy.

Druga kobieta odskoczyła do tyłu. Mary trzymała się blisko niej. Żadna z nich nie wydawała z siebie jakichkolwiek dźwięków, obie poruszały się coraz szybciej, a noże i pięści splotły się ze sobą w strasliwym tańcu bloków i ciosów. Nieludzkie było to, co działo się między nimi; niczego z tego świata nie można było do tego porównać. Posłanniczka jednak zdobyła przewagę.

Była młoda.

I miała pazury.

Migały mi przed oczami. Wcześniej ich nie miała, ale w którymś momencie walki jej paznokcie wysunęły się na przedłużonych czubkach ostrych jak igły palców. Zobaczyłam je najwyraźniej wtedy, gdy w końcu udało jej się wymierzyć Mary cios.

Staruszka odskoczyła w ostatniej chwili, a Posłanniczka, zamiast wydrzeć jej gardło, przeorała palcami po jej klatce piersiowej, rozdzierając podomkę. Długie pomarszczone piersi zwisały jak gruszki, a między nimi błyszczał wyryty na mostku złocisty krąg zwiniętych i splątanych linii, skręcających w gąszcz. Labirynt.

Widziałam już kiedyś ten dysk i ten wzór. Kiedy teraz zobaczyłam go znowu, zakręciło mi się w głowie, poczułam się zagubiona, przygębiona tą głęboką czarną dziurą niepamięci, która zaczynała przybierać kształt jednego konkretnego człowieka.

Granta. Przez chwilę wydawało mi się, że pamiętam go z czasów poprzedzających dzisiejszy ranek - pamiętam ten obraz jak żywy: to, jak biegnę w jego stronę, gdy zombi celuje mu z pistoletu w głowę; on kryje twarz w moich włosach, gdy stoimy na brzegu oceanu; słyszę jego głos, jak śpiewa.

A potem nic.

Te wspomnienia odeszły, jakbym je wymyśliła.

Zdumiona posłanniczka zamarła, wpatrując się w Mary i złoty dysk wyryty na jej mostku. Z czubków jej palców kapłała krew.

- Nie - wyszeptała.

Mary obnażyła zęby i wypięła swoją zakrwawioną pierś. Już niemal myślałam, że zabębni w nią pięściami, w których wciąż trzymała rzeźnicze noże.

- Jeszcze żyjemy - powiedziała i rzuciła się do przodu. Kobieta nie odskoczyła. Chwyciła rękami za oba noże, ostrza zatopiły się w jej ciele; wytrzymała to, wydając z siebie jedynie bolesny jęk.

- To niemożliwe - wykrztusiła przez zaciśnięte zęby. - Ten ród został wytrzebiony.

Moc ostatniego słowa - straszliwa moc, która przeze mnie przeszła, nie wpłynęła na mnie, ale Mary wydała z siebie wibrujący syk i odchyliła głowę do tyłu, jak gdyby z bólu.

- Jak uciekłaś? - spytała kobieta. - Czy są inni? Inni. Nie musiałam odzyskiwać pamięci, żeby wiedzieć, że był jeden. Grant.

Mary krzyknęła. Chwyciłam Posłanniczkę za szyję, wyginając ją do tyłu i skręcając z całych sił. Łamanie karku nigdy nie jest tak łatwe, jak to pokazują w telewizji, ale w końcu usłyszałam trzask i kobieta zwała się na ziemię.

Podobnie jak Mary, której noże zabrzęczały o podłogę. Skórę miała szarą, zapadniętą, jakby życie z niej uszło. Sprawdziłam tętno. Było szybkie i słabe.

Zerknęłam na Posłanniczkę, spodziewając się, że zobaczę zwłoki.

Ale ona nie była martwa, tylko sparaliżowana. Mrugała, rozchylając usta, ale tylko to się w niej poruszało. Uklęknęłam, oddychając ciężko.

- Wystarczy - powiedziałam. - Nie zabierzesz nikogo z tego świata.

Wpatrywała się we mnie. Nigdy nie zapomnę wyrazu jej oczu pełnych wyrzutu i zawodu, jakbym nie dopełniła świętej obietnicy, jaką jej złożyłam.

Takiej obietnicy, którą jedna kobieta składa drugiej, jak sobie uświadomiłam. Jak towarzysze broni. Spodziewała się, że stanę po jej stronie. Założyła, że tak będzie.

- Profanka - wystękała i łzy spłynęły z kącików jej oczu przez grzbiet nosa i policzek.

- Nie - odparłam, nie znosząc sama siebie. - W tym świecie są sprawy, których nie rozumiesz.

Zamknęła oczy.

- Jestem Posłanniczką. Głosem naszych Panów Aeta-rów. Ich słowo to wola, a ja im pomagam w Labiryncie. To wszystko, co muszę rozumieć.

- Mylisz się - odparłam, ale powstrzymałam się przed powiedzeniem czegoś więcej. Za drzwiami mieszkania usłyszałam stuk. Laski.

Nie pamiętałam Granta sprzed tego poranka, ale przypominałam sobie inne sprawy, dziwne rzeczy związane z jego osobą - wspomnienia napływające falami. Było ich tyle, że coraz lepiej pojmowałam sytuację w większej skali, zwariowaną i mocno niepokojącą.

Nie mogłam pozwolić tej kobiecie zobaczyć Granta. W każdym razie do czasu, aż zrozumie dokładnie, o co chodzi, a nawet potem.

Podbiegłam do drzwi. Ale się spóźniłam.

Grant, utykając, wszedł do środka... I zatrzymał się, wgapiiony. Ogarnęło mnie poczucie déjà vu, jakby życie przewinęło się do tego momentu przed świtem, kiedy ujrzałam go pierwszy raz. Miał taki sam wyraz twarzy, zaniepokojony i znużony, i błędny wzrok. Jego policzek i ubranie pokrywała sadza. Włosy były od deszczu przyklejone do czaszki. Spojrzał na mnie, a potem skierował oczy na kobietę na podłodze.

- Co... - zaczął.

W tym momencie ona wydała się z siebie paskudny odgłos, jakby się zakrztusiła. Wpatrywała się w niego tak, jak zwykły człowiek patrzyłby na mityczne zwierzę, Wielką Stopę, małych szarych ludzików z kosmosu lub wielkanocnego królika dzierżącego piłę łańcuchową - z przerażeniem, zaskoczeniem i niedowierzaniem. Przez to wydała mi się młoda. Poczułam, jakbym miała brud na rękach za to, że ją zraniłam.

- Usta Światła - wydusiła. - Ohyda. Pchnęłam Granta w stronę drzwi.

- Wyjdź.

Zachwiał się, spoglądając ponad moją głowę.

- Maxine, ona jest...

- Idź.

- ...jak ja - dokończył.

Kobieta wrzasnęła na niego. Nie ze strachu czy bólu, ale z wściekłości. Jej głos zabrzmiał jak wycie syreny zagrane na elektrycznej gitarze, nieludzko i niesamowicie, dziko. Słyszając ten krzyk, chłopcy zafalowali na mojej skórze.

Ciało Mary drgnęło, a potem dostała ataku.

Grant przesunął mnie na bok tak gwałtownie, że omal nie upuścił laski. Zachwiał się, złapał równowagę i krzyknął.

Tylko jedno słowo, ale takie, które stało się narastającym dźwiękiem, wydobywającym się z jego gardła niczym grzmot. W odpowiedzi poczułam szarpnięcie w sercu, jakby moje ciało było połączone z siłą tego głosu.

Przypomniałam sobie też, co Grant mi powiedział - o energii, aurach i o tym, że może przemieniać ludzi. Szybko się odwróciłam, patrząc na kobietę, która wciąż wrzeszczała na niego tak, jakby nie musiała oddychać.

Przetrafiłam jej kark. Usłyszałam trzask, widziałam, jak ją sparaliżowało. Ale ona znowu się poruszała, ręce jej drgały, a nogi się trzęsły. Mary wciąż była nieprzytomna; oddech grzechotał jej w gardle. Atak, jakiego doznała, ustał, ale gasła, jakby w jej serce była wbita rurka, która wysysała krew i radość istnienia.

Jej życie skradziono, by uleczyć kogoś innego. Grant warknął. Przeszłam przez pokój dwoma krokami i zaatakowałam Posłanniczkę, uderzając ją kolanem w pierś. Kość pękła. Chwyciłam rękoma za szyję kobiety. Głos zamilkł. Coś drobnego we mnie wciąż krzyczało, gdy ją dusiłam, wrzeszczało, jakbym była małą dziewczynką oglądającą film grozy, ale zacisnęłam zęby i nie przestawałam.

Spojrzała na mnie. W jej oczach nie było strachu. Jedynie obietnica. Odniosłam wrażenie, że jest rzetelna w dotrzywaniu przysięg.

Nie zdziwiłam się, gdy znikła, zostawiając mnie z pustymi rękami, z ciszą dzwoniącą w uszach. Zaskoczyło mnie jednak to, jak bardzo byłam zawiedziona, że nie zabiłam jej wcześniej.

Ten błąd mogłam naprawić. Położyłam lewą rękę na prawej, mocno obejmując zbroję. Zamknęłam oczy, skupiając się z całych sił na kobiecie. Musiałam za nią podążyć. Dokończyć to, co zaczęłam, dla dobra nas wszystkich.

Lód przepłynął z metalu w moje kości - stał się ogniem, przenikając prosto do szpiku palców i nadgarstka. Zebrałam się w sobie.

Nic jednak się nie stało. Nie osunęłam się w ciemność.

Otworzyłam oczy i spojrzałam na zbroję. Nigdy nie wiedziałam, co robię, kiedy jej używam. To był po prostu instynkt. Zew. Głód. Zawsze dawała mi to, czego najbardziej potrzebowałam, ale to, co było mi niezbędne, i to, czego chciałam, nie zawsze było tym samym.

Musiałam zabić tę kobietę. Uśmiercić ją, zanim kogoś skrzywdzi. Nie mogłam czekać.

- Nie rób tego - powiedziałam do zbroi. - Nie teraz. Zbroja zatętniła dwukrotnie: dwa uderzenia serca. Jakby mówiła: „Odczep się”.

Spróbowałam jeszcze raz, skupiając się na swoim dążeniu, a nawet potrzęsając prawą pięścią, jakby to był magiczny pocisk. Nie uzyskałam nic w zamian. Mówiono mi, że zbroja ma własny rozum. Dobrze. Niech więc sama się z tym męczy. Przez złośliwość mogłabym po prostu odciąć sobie rękę.

Spojrzałam przez ramię. Grant siedział na podłodze, kładąc sobie Mary na podolku. Szczęki miał zaciśnięte, wzrok twardy, ale teraz wiedziałam, co taki wygląd oznacza - gniew, żal i determinację.

- Ona żyje - powiedział, nie patrząc na mnie. - Ledwo. Wstałam chwiejnie, a potem znowu ciężko usiadłam.

Głowa mnie bolała. Oddychałam z trudem. Nic mi się nie stało. Nie byłam ranna, ale czułam się tak, jakby jakieś części mojego ciała zostały wywrócone na lewą stronę. Łącznie z umysłem.

Nadal widziałam rzeczy, kiedy spojrzałam na Mary i mieszkanie - wspomnienia nakładały się na rzeczywistość, przebłyśki światła, fragmenty muzyki, granej na fortepianie i flecie, wrażenie, że obejmują mnie ciepłe ręce, podczas gdy moje palce wystukują walca *Chopsticks*; zapach prażonej kukurydzy, chrzęst obgryzanych paznokci, chichot chłopców oglądających stare filmy Disneya z Deanem Jonesem...

I ta woń cynamonu wszędzie wokół mnie, we włosach, na ubraniu, na mojej skórze.

Przypominałam sobie te rzeczy. Nie zapominałam ich. Ale mając je tuż pod powierzchnią umysłu, czułam się oddalona, usunięta, poza ciałem. Jakbym żyła życiem innej kobiety.

Znowu spojrzałam na zbroję i zacisnęłam pięść. Tamta kobieta mogła być wszędzie. A ja nie mogłam polować bez pomocy, wciąż był dzień. Utknęłam. Stanowiłam łatwy cel. A ta kobieta znajdowała się gdzieś tam, prawdopodobnie wykorzystywała swój głos przy jakiejś nieszczęsnej duszy. Zastanawiałam się, ile żywotów zajmie leczenie przetraconego karku.

Przyskoczyłam bliżej.

- Czy z Mary będzie wszystko w porządku?

- Tak - odparł Grant stanowczo, ale takim tonem, jakby naprawdę oznaczało to: „Nie, ale doprowadzę do tego, nawet jeśli będę musiał wydrzeć dziurę w piekle”. - Kim była ta kobieta? - spytał, a potem pokręcił głową.
- Poczekaj. Daj mi najpierw mój flet.

- Gdzie jest?

- Tam, pod oknem.

W końcu zdołałam wstać i chwiejnie ruszyłam we wskazanym kierunku. Zobaczyłam stół i kilka fletów - większość z drewna, ale był też jeden połyskujący złociście, piękny instrument. Wydawało mi się, że właśnie tego potrzebował Grant. Wzięłam go, odwróciłam się i... stanęłam jak wryta.

Na podłodze obok stołu stał kufer mojej matki. Staromodny, z mocnego drewna. Nic nadzwyczajnego, z wyjątkiem tego, co znajdowało się w środku. Czasopisma, fotografie, broń, różne drobne cząstki pozostałe z życia mojej matki i mojego dzieciństwa. Trudno mi było odwrócić wzrok. Pamiętałam, jak wносиłam kufer po schodach do tego mieszkania. Przypominałam sobie, jak stawiałam go w różnych miejscach, próbując znaleźć to właściwe, gdzie można by go przechować.

Widziałam w wyobraźni, jak wyjmuję zdjęcia i rozkładam je na stole, a potem wskazuję na twarz matki, mówiąc: „Masz rację, rzeczywiście wyglądamy podobnie. Ale tak było zawsze z nami wszystkimi”.

Podeszłam do Granta. Nucił coś. Brzmiało to jak fragment z *Jeziora łabędziego*. Podałam mu flet, ale złapał mnie za rękę, nim zdążyłam się odsunąć.

- Coś ci się stało? - zapytał i zorientowałam się nagle, że jestem naga. Nikt - z tego, co pamiętałam - nigdy nie widział mnie bez ubrania. Nie wyobrażałam sobie nawet, że ktoś mógłby mnie taką zobaczyć. To za wiele, to zbyt obłąkane. Demony pokrywały moją skórę. Być może przypominały tatuaże, ale ja znałam prawdę.

Grant jednak nie patrzył na moje ciało, tylko w oczy.

- Maxine - powiedział, ściskając mnie za rękę. - Ma-xine, odpowiedz mi.

Próbowałam się wyrwać.

- Nie można mnie zranić. Jeśli wiesz o mnie cokolwiek...

Przerwał, całując mnie w rękę. Zrobił to tylko raz, delikatnie, a jednocześnie jakby z desperacją, i mój głos zamilkł. Nie powinnam czuć tego pocałunku, ale go poczułam - chłopcy mi na to pozwolili - i jego ciepło wniknęło w moje mięśnie i kości.

Mój pierwszy pocałunek.

Grant przycisnął policzek do mojej dłoni i puścił mnie.

- Lepiej się ubierz - rzekł ochryple. - Wkrótce ktoś zacznie nas szukać. Może tu przyjść.

Skinęłam głową, nie mogąc wydobyć głosu. Podeszłam do drzwi frontowych i zamknęłam je na klucz, a potem minęłam Granta i Mary, kierując się do łazienki. Oszczędziłam sobie patrzenia na ciało Jacka, wciąż nakryte prześcieradłem. Mój dziadek. Chwała jego światłu.

Zaczynał cuchnąć.

Grant zagrał na flecie. Powietrze wypełniła tęskna melodia, boleśnie piękna, wnikała w moją pierś jak ostrze z cudownego blasku: pierwszej poświaty, brzasku, delikatnej porannej zorzy, która wypełniała okna i ogrzewała skórę oraz pościel.

Poczułam to światło w swoim wnętrzu, słuchając muzyki wygrywanej przez Granta. Wyczułam pięć serc bijących pod moją skórą w miarowym rytmie tych wznoszących się i opadających doskonałych dźwięków. Pięć serc i jedno moje, wszyscy razem, jakbyśmy byli jednością.

I szóste, jak sobie uświadomiłam. Szóste serce tętniło cicho pod moim sercem.

Było tam i znikło. Dotknęłam tego miejsca, wstrzymując oddech. Czekałam, aż wyczuje je znowu.

Wciąż jeszcze czekałam, nawet wtedy, gdy zaczęłam rozglądać się za ubraniami.

Rozdział 9

Chciałam trzymać się z daleka od łazienkowego lustra. Jedno spojrzenie wystarczyło. Byłam łysa. Całą moją głowę pokrywały tatuaże. Wyglądałam jak dziwoląg z piekielnego cyrku, w którym rządzą klauni. To mój najgorszy koszmar. Nie znosiłam klaunów.

- Ej - zawołałam, pocierając policzki. Tarłam je i tarłam, aż w końcu Dek i Mai załapali, o co chodzi, i wycofali się z mojej twarzy. Spod czarnych łusek i srebrzystych szponów wyłoniła się blada skóra, a moje usta przemieniły się z szarych w różowe. Myślę, że chłopcy zatrzymaliby się na czole, przed linią włosów, ale nie miałam peruki ani czapki czy chustki. Dopóki nie znajdę jakiegoś nakrycia głowy, chłopcy musieli siedzieć przez cały dzień pod moją szczęką.

Potarłam szramę pod uchem. Wyglądałam strasznie.

Moje kowbojskie buty były zniszczone. Zrzuciłam je z nóg. Włożyłam nowe dżinsy, golf i cienką kamizelkę. Znalazłam buty do biegania i skarpetki. Kiedy skończyłam się ubierać, wyglądałam niemal normalnie. Tyle że miałam cienie pod oczami. No i brakowało mi włosów.

Na szczęście pozostały mi brwi. Niezbyt udane, ale w takiej sytuacji byłam zadowolona z czegokolwiek.

Na koniec wciągnęłam rękawiczki. Wysunęłam prawą rękę i obróciłam ją dookoła, przyglądając się zbroi. Urosła. Wiedziałam, że tak się stanie, kiedy przeniosłam się z holu na dole. Niezbyt dużo, bo zaledwie ułamek centymetra na moim nadgarstku, ale były to milimetry, których już nigdy nie odzyskam.

- Chrzęć się - powiedziałam do niej. - Mam nadzieję, że miałaś słuszny powód.

Grant przestał grać na flecie. Zawahałam się, wychodząc z łazienki, ale kiedy otworzyłam drzwi, wciąż siedział na podłodze. Mary miała oczy otwarte. Uśmiechała się do niego tak słodko, że aż mnie to bolało. Obdarzyła mnie podobnym uśmiechem, choć nieco słabszym.

To jednak wystarczyło. Staruszka nie uśmiechała się do każdego.

- Żyję - powiedziała, klepiąc Granta po dłoni. - Ładna piosenka.

Wyglądała zdrowo. Skórę miała zaróżowioną, oczy jasne. Wydawało mi się, że jej włosy są trochę mniej siwe; a niektóre zmarszczki nawet się wygładziły.

- Co zrobiłeś? - spytałam Granta.

- Przywróciłem jej to, co zostało zabrane. Z małym dodatkiem. - Potarł twarz. - Niewiele brakowało.

Niewiele. Wyglądał na zmęczonego. Usiadłam, rozmyślając intensywnie o tym, co zobaczyłam, usłyszałam i co sobie przypomniałam. Składałam wszystko razem.

Miałam różne pytania, ale prócz jednego wszystkie inne mogły poczekać.

- Mary - powiedziałam. - Gdzie jest Byron?

Policja była wszędzie. Odniosłam wrażenie, że szukają Granta, gdyż miałam przeczucie, że to on jest właścicielem tego miejsca. Został jednak ze mną, gdy schodziliśmy do suterenu. Mary poszła z nami, przebrawszy się w jakieś moje ciuchy. Spodnie wyglądały na niej dziwnie. Podobnie jak długie rękawy. Skłoniłam ją do zostawienia noży rzeź-nickich w kuchni.

Nikt nas nie zauważył. Zerkając przez okna, można było się przekonać, że policja wciąż trzyma wszystkich na zewnątrz budynku. Słyszałam jednak głosy rozchodzące się echem po zadymionych korytarzach, wypowiadające takie słowa jak „podpalenie” oraz „integracja strukturalna”.

W suterenie nie śmierdziało dymem, a powietrze było zimne i wilgotne. Wiele lat wcześniej magazyny, w których teraz mieścił się Coop, należały do fabryki mebli. Część dawnego wyposażenia wciąż tkwiła w ciemnych podziemiach - masywnych żelaznych konstrukcjach, których przeznaczenia nie potrafiłam odgadnąć, chociaż chłopcy lubili czasami schodzić na dół i wspinać się po nich. Dobra rozrywka podczas polowania na szczury. W czasie ostatniej wyprawy mieli na sobie kapelusze safari i trzymali maczety. Zjedli jedno i drugie, razem ze szczurami.

W suterenie było tylko kilka lamp i żadna z nich nie została włączona. Zostawiłam to tak. Widziałam światło dobiegające z pokoju Mary, przenikające przez szparę pod zamkniętymi drzwiami, kładące się ścieżką na betonowej podłodze. Nasze kroki oraz stukot laski Granta odbijały się głośnie echem. Nie słyszałam nikogo innego, tylko nas. Mary zaczęła nucić *Oh, What a Beautiful Morning* i obróciła się na palcach jak tancerka.

Nie byłam w pokoju Mary od tygodni. Niewiele się w nim zmieniło. Przy ścianach stały regały pełne drewnianych płaskich pojemników, w których rosły gęsto młode sadzonki marihuany, oświetlone lampami słonecznymi. Podczas mojej ostatniej wizyty chłopcy zjedli rośliny i cały sprzęt. A więc te musiały być inne. Ale byliśmy tutaj i rośliny też. Miałam tylko nadzieję, że policja, szukając kogoś, nie zejdzie do suterenu.

Byron leżał w kącie na polowym łóżku, przykryty cienkim kocem, z pięćdziesięcioma chyba motkami włóczki w jaskrawych kolorach. Siedział przy nim zombi, trzymający broń.

Rex. Przez ułamek sekundy nie rozpoznawałam go, ale potem pamięć mi wróciła. Zatrzymałam się przy drzwiach, podczas gdy inni weszli do środka i przyglądali się tej piorunującej aurze. Stary pasożyt. Najstarszy, jakiego widziałam od pewnego czasu, włączając w to poranne starcie w barze Killy. Ciemna chmura jego aury unosiła się nad twarzą pokrytą zmarszczkami oraz innymi oznakami starzenia się i stresu. Żywiciel Reksa miał ciężkie życie, zanim został opętany.

To jednak nie wyjaśniało, czemu tolerowałam obecność tego demonicznego pasożyta ani też dlaczego wydawało się to naturalne i zupełnie właściwe.

Nawrócenie. To słowo przyszło mi do głowy. Przemiana.

Rzuciłam ostre spojrzenie na Granta. Demony. Grant potrafi nawracać demony. Zmienić ich.

Zamknęłam oczy, zadowolona, że mogę oprzeć się o framugę drzwi. Odszukałam swoje wspomnienia o Reksie oraz innych zombi mieszkających w Coop. O opętanych mężczyznach i kobietach, którzy przychodzili i odchodzili, ale często też zostawali. W mojej obecności zawsze czuli się nieswojo, gotowi jednak podjąć ryzyko. Jako że byli... byli...

Nawróceni. Przełamali się, by stać się kim innym. Karmili się nie bólem, lecz...

Otworzyłam oczy. Rex gapił się na mnie. Podobnie jak u Granta, w jego oczach dostrzegłam tylko współczucie. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnim razem ktoś patrzył na mnie z taką akceptacją, jakby wszystko było w porządku: ja sama, to, kim jestem i co robię.

Pewnie dręczył mnie z samej tylko czystej przekory. Powinien mnie przerazić, ponieważ był dziwnym mężczyzną, a ja dziwną kobietą i łączyła nas jakaś bardzo osobliwa historia, której nie pamiętałam ani nie rozumiałam. Ale pominęłam to. Miałam większe problemy. I podobało mi się to, jak na mnie patrzył.

Wskazałam głową na broń w ręku Reksa.

- Spodziewasz się kłopotów?

- Jedynie ciebie - odparł, rozbłyskując aurą. - Nie podoba mi się wyraz twoich oczu. Mam wrażenie, że powinienem szykować się do ucieczki.

- Może i powinieneś. Odejdź od tego chłopaka. - Odsunęłam się od framugi i podeszłam do łóżka. Rex wstał i szedł mi z drogi. Zignorowałam go. Byron miał oczy zamknięte, oddychał miarowo. Dotknęłam jego skroni. Był ciepły, a jego skóra nabrała lepszej barwy.

Miałam ochotę go obudzić i zmusiłam się, by cofnąć się o krok.

- Co to?

- Tęcze - odparła Mary, pociągając za kawałek fioletowej włóczki.

Rex przewrócił oczami i wsunął broń za pasek dzinsów.

- Ona stwierdziła, że szykują się kłopoty i kazała mi przenieść chłopaka tutaj, na dół. Powiedziała, że mam stać na straży, a ona pójdzie zarżnąć jakiegoś sukinsyna.

Grant przyjrzał się chłopcu, ściągając brwi.

- Wybuchł pożar - rzekł z roztargnieniem. - Spaliło się całe drugie skrzydło.

Rex wybałuszył oczy. Mary oderwała listek z lodygi marihuany i wepchnęła sobie do ust.

- Sforsowane wrota - mruknęła Mary, mocno przeżuając. - Labirynt płonie, kiedy się go rozedrze.

Labirynt.

To zawsze sprowadza się do tego miejsca. Do tej drogi.

Demony nie pochodziły z ziemi. Tak naprawdę nie były nawet demonami - w każdym razie w sensie biblijnym. To tylko nazwa na określenie stworzeń polujących na ludzi i żywiących się nimi. Zombi, których ścigałam, też nie przypominali tych z filmów. Byli to po prostu opętani ludzie, marionetki. Nazwami posługiwano się tylko dla wygody.

Demony, takie jak awatarowie - i ludzie - podróżowali na ziemię przez sieć międzywymiarowych tras. Przez skrzyżowania między tym miejscem a tamtym, poza przestrzenią lub czasem bądź czymkolwiek, co potrafiłabym pojąć. Podróże mogły się odbywać tylko dzięki temu, że istniał Labirynt, owa kwantowa róża, splątana sieć dróg między niezliczonymi światami.

Ziemia była jednym z nich.

Pomyślałam o martwym człowieku leżącym przed drzwiami do pokoju Byrona.

- Twierdzisz, że ona wyszła z Labiryntu wewnątrz Coopa?

- Ona przychodzi wraz z potrzebą, a potrzeby stwarzają bramy. - Mary postukała się w pierś i wskazała na chłopaka. - Poluje na Starego Wilka. I jego skórę.

- Byron nie jest skórą - powiedziałam stanowczo.

- Każdy jest skórą - odparł Rex. - Co się dzieje?

- Przestańcie. - Grant uniósł rękę, odrywając wzrok od Byrona. - Kim była ta kobieta? Dlaczego chce Jacka?

Przez moją głowę przebiegały twarze i imiona. Ahsen. Pan King. awatarowie, obaj szaleni. Zbyt groźni, by żyć.

Słyszałam ich krzyki. Przypominałam sobie, jak ich zabijam. Najpierw gołymi rękami. Potem... z kimś innym.

Kto był tylko dziurą w mojej pamięci.

Spojrzałam na Granta.

- Ona przybyła z powodu tych dwóch awatarów, którzy zginęli. Ci z gatunku Jacka wyczuli, że tamci zostali zamordowani, i wysłali ją, żeby przyproceedziła go z powrotem.

- Z powrotem.

- Gdy dwóch takich jak ty zostaje zabitych, nie przybywasz sam, tylko wysyłasz kogoś innego, żeby zbadał sprawę.

- Kogoś, kto potrafi wpływać na awatara. - Grant zerknął na Mary. - Tamta kobieta i ja mamy taki sam dar. Jak to możliwe? Myślałem, że nie ma innych.

- Nie ma innych wolnych. - Mary wyciągnęła rękę i czule odgarnęła włos z jego twarzy. - Dzieci urodzone w łańcuchach, wychowywane w łańcuchach, przekształcane, szkolone i zniewalane w łańcuchach. Cała armia w łańcuchach.

Nie starałam już trzymać się z dala od Byrona. Usiadłam na łóżku; kłębki włóczki spadły na podłogę wokół moich stóp. Chłopak się nie poruszył. Oddychał, ale był pogrążony w głębokim śnie. Dotknęłam jego nadgarstka, wyczuwając tętno. Silne i miarowe.

- Przypominam sobie - powiedziałam - że Jack o tym mówił. Ale szczegóły są bardzo niejasne.

- Pewnie dlatego, że to miało coś wspólnego ze mną. - Grant westchnął, pocierając twarz. - Nie jestem z tego świata, Maxine. Moja matka przywiodła mnie tutaj, kiedy byłem dzieckiem. Przeszliśmy przez Labirynt.

- Uciekaliście przed awatarami.

- Tak. - Przyjrzał mi się ostrożnie. - Co jeszcze pamiętasz?

Pamiętałam tylko to, co powiedział mi Jack. Ale to wystarczyło. Wciąż miałam w uszach jego głos, gdy mówił stanowczo i z naciskiem:

„Usta Światła i ludzie, których oni strzegą, byli pierwszymi istotami ludzkimi, znalezionymi w jednym świecie. Pewnym odległym, obecnie martwym świecie. Wszyscy ludzie, moja droga - każdy człowiek - są ich potomkami.

My skradliśmy ich ciała. Wychowaliśmy ich, ukształtowaliśmy ich cielesną powłokę. A kiedy określona rasa ludzka została poczęta, ten świat został znaleziony przez Labirynt i obsiany tą odmianą ciał. Pozwolono im ewoluować i się rozwijać. Czas płynie inaczej w Labiryncie. To, co trwa miliony lub miliardy lat, my możemy mieć natychmiast, tylko otwierając i zamykając drzwi”.

Światy obsiane życiem przez awatarów, wykorzystywane jako place zabaw i zamki w niebie. Fantastyczne krainy połączone ze sobą Labiryntem, płataniną nieskończonych możliwości.

Ludzie zostali sprowadzeni na ziemię jako białka i cząsteczki. „To część laboratorium, farma - stwierdził mój dziadek. - Wielki eksperyment. Zbiornik na ciała”.

Ciała pochodzące od Ust Światła. Pierwszych ludzi.

W końcu przypomniałam sobie, że słyszałam już kiedyś to określenie we właściwym kontekście. Jack mówił o Ustach Światła rozpaczliwym tonem, nazywając ich strażnikami, sędziami, wojownikami oraz tymi, którzy mówią prawdę. Polowano na nich i mordowano ich z powodu umiejętności manipulowania energią. A zatem byli także awatarami.

Krwawa Mamuśka miała rację. Nie wiedziałam, czy demony mogą być gorsze.

A jeśli Grant był Ustami Światła, oznaczało to, że... że...

Przymknęłam oczy, próbując się skupić.

- Liczy się fakt, że ta kobieta cię zobaczyła. Poznała, kim jesteś. Nie możemy pozwolić jej odejść, by powiedziała wszystkim, że znalazła tutaj Usta Światła.

- Może już opuściła ten świat - odparł Grant. Mary pokręciła głową, skubiąc włóczkę.

- Nie odeszłaby bez Wilka. Niewolnicy wypełniają polecenia.

- Ona chce Jacka, co oznacza, że musimy znaleźć go pierwsi. Powinniśmy go chronić. Musimy ją powstrzymać.

Grant zachnął się sfrustrowany.

- Nie podoba mi się to. Wstałam.

- Co możemy zrobić, żeby ochronić chłopaka? Wcześniej ją do niego ciągnęło. Prawdopodobnie z powodu powiązań, jakie miał z nim Jack.

Mary odsunęła koc. Na piersi Byrona leżał ciężki złocisty wisiołek, płyta kompaktowa, będąca spletanym zwojem bez końca i początku, warstwami kutego metalu, splecionego razem we wzór mamiący wzrok. Kiedy spoglądałam na wisiołek, jego środek wydał mi się tak głęboki i odległy, że gdybym chciała go dotknąć, moja ręka zapadłaby się w nim. Sam widok przyprawiał o zawrót głowy.

Wzór jednak wyglądał znajomo. Widziałam coś podobnego wyrzytego na mostku Mary.

- To mojej matki - rzekł Grant.

- Maskuje jego znak - odparła Mary z przebiegłym uśmiechem. Ale było to wszystko, co powiedziała.

Usłyszałam jakiś szcęk i echo głosów na zewnątrz pokoju.

- Policja - mruknął Rex. - Cholera. Grant ścisnął mocniej laskę.

- Zajmę się tym. Pilnujcie chłopaka.

Kuśtykając, wyszedł z pokoju Mary. Po chwili ruszyłam za nim.

Mężczyźni schodzili po schodach z latarkami. Szybko wyprzedziłam Granta, poruszając się cicho w swoich butach na miękkich podszewkach, i nacisnęłam wyłącznik na ścianie. Zapaliło się światło. Usłyszałam zdumione chrząknięcia i przyjrzałam się trzem mężczyznom w mundurach -jednemu policjantowi i dwóm facetom ze straży pożarnej. Policjant miał znajomą twarz, ale nie mogłam przypomnieć sobie jego imienia. Nie miałam pamięci do nazwisk.

- Przepraszam - powiedziałam. - Jesteśmy tak przyzwyczajeni do tego miejsca, że wcale nie potrzebujemy światła.

Nie wiem, czy mi uwierzyli i czy w ogóle mnie usłyszeli. Wydawali się zbyt pochłonięci wpatrywaniem się w moją łysą głowę. Zapomniałam, że brakuje mi włosów. Nie miałam pojęcia, jak to się stało. Moja głowa wydawała się lekka i chłodna. Omal nie dotknęłam jej w zażenowaniu.

Grant przykuśtykał bliżej, przyciągając spojrzenia policjantów.

- Ralph. Szukałeś mnie?

Policjant, szczupły mężczyzna po czterdziestce, błysnął przepaszającym uśmiechem.

- Przepraszam, ojcie Cooperonie. Jedna z pań powiedziała, że schodzisz czasem na dół, żeby... hm... zaopiekować się którąś z mieszkańek.

- Tak - odparł Grant z pewnością i zadziwiającym spokojem. - Zamierzałem odszukać pana, gdy ją uspokoję. Czy jeszcze coś się stało?

Przepraszająca mina Ralpa nabrała głębszego wyrazu.

- Wiem, że to był trudny poranek, ojciec, ale chciałbym, żeby zerknął pan na... ciało... które wyciągnęliśmy z pożaru. Tylko jedno - dodał pośpiesznie. - To biały mężczyzna, prawdopodobnie dwudziestoparoletni. Bez dowodu tożsamości. Mamy nadzieję, że rozpozna pan jego twarz.

Ledwie go słyszałam. Mój mózg utknął na czymś, co policjant powiedział na początku. „Ojciec Cooperonie. Ojciec Cooperonie”.

Jak gdyby Grant był duchownym.

Ralph spojrzął na mnie.

- Ścięła pani włosy.

- Spaliły się w ogniu - odparłam słabym głosem, który mnie rozśmieszył. Zerknęłam na pozostałych mężczyzn. - Jak tam wasi ludzie, którzy weszli do budynku?

Zawahali się, spoglądając jeden na drugiego.

- Dobrze.

- Bzdura - wtrącił Ralph, wchodząc na górę po schodach. - McKenzie przechodzi załamanie nerwowe. Twierdzi, że widział potwora. Mięczak.

Jeden z facetów uśmiechnął się do mnie krzywo.

- Kogoś bez twarzy, jak twierdzi. Pokrytego łuskami. Jakąś węzową damę.

Udałam, że drzę. A potem zatrzęsłam się naprawdę, kiedy drugi mężczyzna obrzucił mnie przeciągłym spojrzeniem i powiedział:

- Z wyjątkiem włosów wygląda pani jak kobieta, na którą natknął się McKenzie. Wciąż jeszcze jej nie znaleźliśmy.

Ralph odwrócił się, stojąc na szczycie schodów.

- Zostaw ją w spokoju. Słyszysz kaszel, czujesz na niej zapach dymu? Każdy, kto wszedł w to piekło, zasługuje na kostnicę, bo jest za głupi, aby żyć.

Grant zakaszłał. Spojrzałam na niego spode łba. Lekki uśmiech rozciągnął kącik jego ust. Gdy mijał mnie, utykając, uszczypnął mnie w biodro. Wzdrygnęłam się. Pochylił głowę, musnął ustami moje ucho i szepnął:

- Wyglądasz pięknie, węzowa damo.

Był szalony. Powtarzałam to sobie, kiedy wchodziliśmy po schodach.

Przeostało padać. Większość ludzi wciąż jeszcze kręcących się przed Coopem była wolontariuszami. Część bezdomnych przebywających tu na stałe rozproszyła się, pewnie z uwagi na obecność policji. Jak też nie czułam się najlepiej w pobliżu policjantów. Przez lata zламаłam zbyt wiele przepisów.

Grant nie miał problemów ze stróżami prawa. Stałam na uboczu, wypatrując pęknięć przeciążeniowych, napięcia, ale wszyscy ludzie w mundurach spoglądali na Granta z poważaniem i szacunkiem. Jak gdyby był to zwyczajny człowiek chodzący o lasce, ubrany w splowiałe dżinsy i grubą flanelową koszulę. Po prostu zwykły, niezłomny mężczyzna.

Postawny, seksowny facet, pomyślałam mimo woli. Człowiek, który wygląda jak wilk z porównaniu ze wszystkimi wokół niego, nieco inny, nieco bardziej wyrafinowany.

Nieurodzony na ziemi. Zdolny manipulować ludźmi za pomocą głosu. Potrafił przemienić demona, aż do samego sedna jego istoty.

I zabić awatara.

Nie pamiętałam tego, ale wiedziałam, że to prawda. Kto wie, co on jeszcze potrafił.

Można się było o tym przekonać na przykładzie Krwawej Mamuśki.

Krwawa Mamuśka. Królowa demonów. I chociaż nie mogłam sobie przypomnieć Granta z czasów poprzedzających ostatni poranek, pamiętałam tych awatarów, Ahsen i pana Kinga, którzy bali się czegoś, kogoś z mojego otoczenia. Obawiali się i czuli głód.

Bali się jego.

I czegoś we mnie. Ciemności, która spała tak lekko.

- Usta Światła - wymamrotałam do siebie, badając to słowo.

Nie wzbudzało żadnych wspomnień, ale z jakiegoś powodu musiałam dotknąć klatki piersiowej, wsłuchując się w szóste bijące serce. Po chwili przestałam. Nie chciałam tym myśleć. Bałam się. Nawet Grant mnie przerażał. Był niebezpieczny. Moja matka mogłaby go zabić z powodu samej tylko możliwości, że on się wkurzy. Nie było przy życiu nikogo takiego, kto miałby tego rodzaju moc.

Włączając w to mnie.

Zbliżyłam się do Granta, którego prowadzono do worka ze zwłokami. Jedna z policjantek obrzuciła mnie wzrokiem uśmiechnęła się cierpko.

- Ofiarowałaś swoje włosy na cele dobroczynne?

- Tak - skłamałam szybko i zobaczyłam za nią strażaka, którego uratowałam. Siedział w karetce, wpatrując się w przestrzeń, miał koc na ramionach i maskę tlenową na twarzy. Odwróciłam się zrezygnownie, tak by stanąć do niego plecami.

Ralph włożył lateksowe rękawiczki i odsunął zamek w worku na zwłoki. Wcale się nie zdziwiłam, gdy ujrzałam mężczyznę, na którego natknęłam się wcześniej przed drzwiami do pokoju Byrona. Miał popalone oczy, ale nie tak bardzo, jak się spodziewałam. Nawet skrawek ubrania, jaki zobaczyłam, wydawał się tylko minimalnie zwęglony.

Zastanowiło mnie jednak to, że jego rysy były niepokojąco nijakie, nawet jak na martwego człowieka. Jakby ktoś wziął gumkę do ścierania i wytarł wszystko z wyjątkiem ust, nosa i oczu. Mężczyzna wyglądał nierealnie. Przypominał lalkę.

- Nigdy go wcześniej nie widziałem - oznajmił ponuro Grant. - Nie mam pojęcia, skąd się tam wziął. Czy był tam tylko on?

- Na szczęście. - Ralph się zawahał. - Zna pan kogoś, kto mógł chcieć was spalić?

- Nie. - Grant spojrział mu prosto w oczy. - Mam nadzieję, że to wypadek.

Ralph patrzył, jakby nie mógł oderwać wzroku od Granta.

- Śledczy to rozgryzą.

Zadał jeszcze kilka pytań, obiecał, że będzie w kontakcie, po czym pozwolił nam odejść do wolontariuszy, którzy zaczęli się tłoczyć przy policyjnej taśmie, obserwując Granta z niepokojem w oczach. Kilka spojrzeń padło na mnie. Ale byto jasne, komu ci ludzie są wdzięczni.

Uspokojenie wszystkich nie zabrało zbyt dużo czasu. Grant zalecił wolontariuszom, żeby poszli do domów, ponieważ przez kilka dni schronisko będzie zamknięte. Poprosił parę kobiet, aby zatelefonowały tu i tam i znalazły miejsca noclegowe dla wszystkich stałych mieszkańców. Powiedział, że jeśli będzie trzeba, mają zapłacić za pokoje hotelowe, i dał im swoją kartę kredytową. Nikt się nie spierał, nikt nie jęczał. Patrzyłam na tłum i słuchałam głosu Granta.

- Nie posłużyłeś się swoim darem - powiedziałam, kiedy wracaliśmy do budynku.

- Nie musiałem. - Grant zerknął na mnie. - Wiesz, ludzie potrafią być rozsądni. A także przyzwoici.

- Ale z ciebie Pollyanna.

- A z ciebie pesymistka.

- Czy potrafisz dostrzegać przyzwoitość? - Poruszyłam szybko palcami, jakbym rysowała sylwetkę człowieka. - Kiedy na kogoś patrzysz?

- Widzę wiele rzeczy. Czasami więcej, niżbym chciał. Niekiedy więcej, niż potrafię wytrzymać. - Wzruszył ramionami z posępną miną. - Ludzie przychodzą tutaj z problemami. Mają różne nałogi, choroby psychiczne, napady wściekłości. Ja ich ulepszam.

- Zmieniasz ich.

- Raczej im pomagam.

- Czy są takimi samymi ludźmi, kiedy skończysz im pomagać?

- Tak. - Zerknął na mnie. - Przeważnie.

- Pozostawiasz sobie otwartą furtkę, co?

- Facet bijący żonę nie będzie takim samym człowiekiem, kiedy sobie z nim poradzę - przyznał Grant. - Ale też nie stanie się robotem. Nie opętuję ludzi, Maxine.

- Bawisz się w Boga. Ale tylko trochę. Grant się zawahał.

- Ty też.

Nie odpowiedziałam, nieco dotknięta. Czułam lekki niedosyt. Nie prowadziłam takiej rozmowy od... no cóż, od tak dawna, że nie mogłam sobie przypomnieć. Co najwyraźniej niewiele znaczyło.

Ale łaknęłam słów. Bardziej niż powinnam.

Nigdy nie chodziłam do szkoły. Swoich rówieśników widywałam z daleka, ale nawet z bliska wydawali się oddaleni o miliony kilometrów. Mówiłam „cześć” kilku chłopcom, kiedy dorastałam, ale tylko w przelocie: w przejściach między regałami w bibliotece lub w sklepie spożywczym, kiedy z mamą udawałyśmy się do jakiegoś miasteczka, żeby kupić jedzenie. Nigdy nie zatrzymywałyśmy się nigdzie na tyle długo, by potrzebne było coś więcej niż słowa powitania. A nawet gdyby tak było, moja matka nie pozwoliłaby na to. Miałyśmy za wiele sekretów. A ona miała zbyt dużo demonów do zabijania.

Jednak dużo czytałam. Dowiadywałam się o świecie z książek i telewizji, i z tego, co widziałam na własne oczy. Wyobrażałam sobie, że są dzieci, które mają o wiele gorzej. Wiedziałam zawsze, że jestem kochana. Zawsze byłam chroniona.

Jednak przebywanie z Grantem, tu i teraz, uświadomiło mi ponownie, jak dużo mnie ominęło i jak bardzo wciąż pragnę choćby pozorów normalnego życia. Dobrego, prostego życia.

Racja. Teraz ja byłam ta szalona.

Grant pokuśtykał, mijając drzwi do suterenu. Wpatrywałam się w jego plecy.

- Dokąd idziesz?

Spojrzał przez ramię, ale nie odpowiedział. Nasłuchiwałam chłopców na mojej skórze, poruszyłam rękami, ale milczeli. W pobliżu nic nam nie zagrażało. W każdym razie w tej chwili.

Grant zaprowadził mnie do biura. Nie było tam wiele mebli, tylko stół i kilka krzeseł. Żadnego telefonu. Zdjęcie wielkości dłoni, oprawione w ramkę. Byłam na nim. Podobnie jak Grant. Siedzieliśmy razem na plaży, na kawałku drewna wyrzuconego na brzeg. Oboje się uśmiechaliśmy. Nie były to wymuszone uśmiechy, ale takie, które zaczynały się i kończyły prawdziwym rozbawieniem.

- Wyglądam na szczęśliwą - powiedziałam cicho.

- Pamiętaj o tym. - Grant wyjął fotografię z ramki i wcisnął mi w dłoń. - Nie jesteś sama, Maxine. Nie jesteś... niekochana.

Wypuściłam gwałtownie powietrze.

- Znaczy to tylko, że mam więcej do stracenia.
- Więcej czegoś, o co warto walczyć.
- Więcej kul u nogi, niż da się wytrzymać.

Grant się uśmiechnął.

- Ale ja mam zgrabne nogi.

Roześmiałam się, nim zdołałam się powstrzymać. Nie był to głośny dźwięk ani chichot, tylko porządny śmiech, który sprawił, że zrobiło mi się ciepło i poczułam się bardziej sobą, niż to czułam od chwili, gdy obudziłam się tego ranka w kałuży krwi.

Grant przysiadł na krawędzi stołu, patrząc na mnie.

- Jak myślisz, co się dzieje, Maxine? Czy tamta kobieta ma coś wspólnego z twoją utratą pamięci?

Spoglądając na fotografię, pokręciłam przecząco głową.

- Wydaje mi się, że Jack wiedział, że ona ma przybyć. Chyba dlatego chciał ze mną porozmawiać. To, co wydarzyło się ostatniej nocy... - przerwałam i oparłam się o ścianę. - Szkoda, że nie widziałeś wyrazu jej twarzy, tego, jak... kłaniała się... przed ciałem Jacka. Oddawała cześć jego gatunkowi. Ona uważa ich za bogów. Zarzuciła mi, że go nie chroniłam, jakby fakt, że ja żyję, a jego ludzkie ciało jest martwe, świadczy! przeciwko mnie. Wydaje mi się... ona chyba wierzy, że to ja go zabiłam. Nazwała mnie profanką.

- Wygląda na fanatyczkę.
- Fanatyczką, która za pomocą głosu wyssała życie ze staruszki.
- Ten facet w worku na zwłoki był jak wydrenowany.
- Skąd wiesz?

- Wydawał się bardziej pusty niż zwyczajny martwy człowiek. Świeży trup nadal zachowuje resztki energii. A tamten mężczyzna nie miał nic. Mary umarłaby w taki sam sposób, gdybyś nie powstrzymała tej kobiety.

- Ty mogłeś ją powstrzymać.
- Byłem zbyt zajęty wlewaniem energii w Mary. - Grant uśmiechnął się ponuro. - Powiniennem być zrobić coś innego. Zaatakować.
- Podążałeś za swoim instynktem. Uratowałeś ją. Nie ma w tym nic złego.
- Z wyjątkiem tego, że ta kobieta znikła. Jest nadal gdzieś tam. Pewnie szkodzi innym. - Grant spojrzął na swoje dłonie. - Ona wie, co robi. Została wyszkolona. Nie tak jak ja, Maxine. Nadal nie rozumiem wszystkiego, co potrafię robić. Całe życie poświęciłem na odgrywanie tego ze słuchu.

- A twoja matka?

- Nigdy mi nic nie powiedziała. Zmarła, kiedy miałem kilkanaście lat. - Wskazał na zdjęcie w moich dłoniach. - W ostatnich dwóch latach nauczyłem się o sobie więcej, niż mogłem sobie wyobrazić. Więcej niż chciałem sobie wyobrazić. Bez ciebie... to byłoby trudne.

- Nie mam pojęcia, jak mogłam ci to ułatwić. Nie jestem dobrą pośredniczką.

Grant pokręcił głową, uśmiechając się krzywo.

- Jesteś moim jedynym przyjacielem, Maxine. Przed tobą nie miałem nikogo takiego. Nikogo, z kim mógłbym porozmawiać o tym, kim jestem. Nikogo, z kim mógłbym być szczery. Chyba rozumiesz, co to znaczy. Lepiej niż ktokolwiek inny.

Wpatrywałam się w niego. Nikt nie mógłby patrzeć tak na mnie i kłamać. Żaden łgarz nie zdołałby przeżyć tak długo blisko mnie, bo chłopcy by go zamordowali. I nikt oprócz tego człowieka nie mógłby patrzeć bez mrugnięcia okiem na moje tatuaże i łysą głowę, na to, jak duszę kobietę gołymi rękami, wypędzam z ludzi demony i gadam o końcu świata.

Co straciłam?

- Tylko cię wystraszyłem - rzekł Grant cicho.
- Tak, bardzo się ciebie boję.
- Boisz się być szczęśliwa? Uniosłam zdjęcie.
- To jest przytłaczające. Powinnam spędzić całe życie sama.

Ale stworzyłaś dom.

- Tak - przyznałam. - Szkoda, że cię nie pamiętam. Grant odsunął się od stołu, opierając się mocno na lasce.
- Chodź. Mary i Rex pewnie już przygotowują skręty. Wsunęłam zdjęcie do kieszeni kamizelki.

- Ten policjant nazwał cię jakoś. Ojcem Cooperonem. Czy jeszcze coś chcesz mi powiedzieć?

Grant uśmiechnął się i przytrzymał otwarte drzwi do biura.

- A jak myślisz, co to znaczy?
- Nie chcesz wiedzieć, co myślę.

Nachylił się do mojego ucha. Nie poruszyłam się, wstrzymałam oddech, przestałam mrugać. Ale zamiast coś powiedzieć, Grant przesunął się odrobinę i pocałował mnie w policzek, lekko i delikatnie, trzymając wargi przy mojej skórze. Zalało mnie ciepło. Serce mi waliło. Bardzo chciałam odwrócić głowę i przekonać się, jak smakują jego usta. Może cynamonem. Może słońcem.

Ale tego nie zrobiłam. A on odsunął się, zanim zdołałam się poruszyć.

Mój drugi pocałunek, pomyślałam.

Wracając do sutereny, nie odzywaliśmy się do siebie. Chciałam porozmawiać. Miałam więcej pytań. Nie było czasu, by go marnować na milczenie. Ale czułam się wytrącona z równowagi. Nie mogłam liczyć na to, że dopisze mi głos.

U podnóża schodów Zee zaczął drzeć. Nie było to ostrzeżenie, ale nie chciałam uważać niczego za rzecz oczywistą. Zostawiłam Granta i pobiegłam do pokoju Mary.

Otworzyłam drzwi. Najpierw zobaczyłam, że Byron siedzi. Rex i Mary stali po drugiej stronie zagraconego pomieszczenia, gapiąc się na niego. Żadne z nich nie wyglądało na zadowolone.

- Hej - zwróciłam się do chłopca, podchodząc szybko do łóżka. - Jak się...

Przerwałam, gdy Byron spojrzał na mnie. Nie był ze mną spokrewniony, nie był też moim dzieckiem, ale go znałam. Znałam tego dzieciaka tak dobrze, jak wszyscy.

Ale nie znałam chłopaka siedzącego przede mną.

- Maxine - powiedział Byron. - Moja uroczą dziewczyna. Czując, że muszę się czegoś przytrzymać, chwyciłam za

półkę stojącego obok mnie regału. Metalowa listwa zgięła się w mojej dłoni. Chłopak się wzdrygnął. Przez jedną krótką chwilę wydawało mi się, że w jego oczach błysnął strach.

- Wybacz mi - powiedział, ale jego głos stał się głębszy, akcent bardziej poprawny, a jego oczy... to, jak na mnie patrzył...

Byron znikł. A Jack znalazł nową skórę.

Rozdział 10

Jack Meddle. Wścibski Człowiek - tak nazywał go Zee. Pełen zagadek. Przypuszczam jednak, że kiedy się ma dziadka starszego niż gwiazdy, trzeba brać pod uwagę różne ekscen-tryczości i sekrety.

Z wyjątkiem tych, które kosztują życie.

- Jak mogłeś? - spytałam, zadowolona, że w ogóle znowu potrafię mówić.

Byliśmy tacy szczęśliwi zeszłego wieczoru. Nawet Byron. Byron, który zmył naczynia i posprzątał cały bałagan po pieczeniu placków przez Jacka - ponieważ były to moje urodziny i wiedział, że gdyby nie on, to ja sprzątałabym po staruszku.

Przypomniałam sobie tego chłopaka w fartuchu. Pamiętałam jego lekki uśmiech pełen zadowolenia.

Całym ciałem Jacka wstrząsnął dreszcz, a spojrzenie, jakim mnie obdarzył, nie miało nic wspólnego z tym, co kiedykolwiek widziałam na twarzy Byrona, a nawet tego starca: były to lęk, niepewność i nienawiść do samego siebie. Uniósł drżącą rękę, jakby mnie odpędzał.

- Nie mów tak. Nie mogę już tego słuchać. Wiem, że moje przeprosiny są bez wartości, ale zrozum, że nigdy nie mieliśmy zamiaru skrzywdzić ani ciebie, ani też żadnej kobiety z twojego rodu. Byliśmy zrozpaczeni. To był jedyny sposób. Do tego czasu myślałam, że go rozumiem.

- Co?

Znieruchomiał.

- To nie ma nic wspólnego z ostatnim wieczorem, staruszku - wtrącił Grant.

Twarz Jacka stała się woskowo blada. Chciałam się poruszyć, ale nie mogłam. Czułam się ciężka, moje nogi osłabły. Kiedy oddychałam, powietrze nie docierało do moich płuc.

- Stary Wilku - wykrztusiłam w końcu. - Wynoś się z tego chłopca.

- Chłopca - powtórzył powoli, jakby to było obce słowo, jak gdyby zapomniał, gdzie jest, w kim mieszka. - Nie dzieje mu się nic złego.

Chwyciłam go za rękę - za ten skradziony guzowaty nadgarstek - i pochyliłam się nad jego twarzą. Piekielnie mnie kusilo, żeby zobaczyć oczy, które nie należały do Byrona. Nie było tam też jego duszy. Jednej iskry życia tego chłopaka ani jego samego.

- Jak śmiałeś - powiedziałam. - Jak mogłeś mu to zrobić. Dziadek, krzywiąc się z bólu, wyswobodził nadgarstek

i przeniósł nogi na skraj łóżka, poruszając się niepewnie.

- To tylko na jakiś czas - odparł, ale ja słyszałam jedynie głos Byrona, który został mu wykradziony; myślałam tylko o znajdującym się gdzieś wewnątrz chłopcu, który być może to obserwował, był świadomy - zamknięty we własnym ciele. Opętany wbrew własnej woli.

Nie pozwoliłam Jackowi wstać.

- Co innego wejść w embrion w łonie lub nawet w pacjenta pogrążonego w śpiączce... ale to jest coś innego. Byron nie jest twój.

Jack złapał mnie za rękę i mocno ścisnął. Z rozpaczą w oczach. Obawą. Żalem.

- Nie zrobiłbym tego, gdyby istniał jakiś inny sposób. Rozumiesz? Nie ma czasu, Maxine. Jak myślisz, dlaczego przyszedłem do ciebie zeszłego wieczoru?

- Nie pamiętam poprzedniego wieczoru, Jack. Obudziłam się w twojej krwi. Obok twoich zwłok. - Poczułam w brzuchu zimny, twardy węzeł, taki sam, jaki tkwił we mnie przez cały dzień, tyle że większy, jak guz. - Co się stało? Kto ci poderznął gardło?

Rex westchnął cicho ze zdziwienia. Grant rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie, a Mary ulokowała się przy regałach i gładziła listki swoich roślin, w zamyśleniu spoglądając przeciągle na Jacka.

Dziadek nie odpowiedział na moje pytanie. Siedział tylko oparty, przyglądając mi się tak, jakby nigdy wcześniej mnie nie widział.

- Jak to możliwe, że nie pamiętasz?

- Ty mi powiedz. - Spojrzałam mu twardo w oczy; myślałam, że głowa mi pęknie. - Ktoś przybył po ciebie. Teraz uczyniłeś z Byrona cel. Jeśli ona uszkodzi jego ciało, jeżeli zabierze go Bóg wie gdzie z twojego powodu...

Jack wychylił się do przodu.

- Kto przybył?

- Kolejna gończa suka - odezwała się Mary, stukając się w pierś długim kościstym palcem. - Wyczuła twój zapach, Wilku.

- Cholera - mruknął Rex, a jego aura opadła, oplatając mu ramiona jak wąż. - Ten świat staje się zbyt zatłoczony.

- Twierdzi, że nazywa się Posłanniczka - odparłam, ignorując Reksa. - Została wysłana przez Panów Aetar. Chwała ich światłu.

Kiedy wypowiedziałam te słowa, czysta odraza owinęła mi się wokół kręgosłupa. Poczułam suchość w ustach.

- Widziałam wyraz jej oczu. Ona będzie przychodzić tak długo, póki nie umrze albo nie znajdziesz się z powrotem w Labiryncie. A jeśli nie wróci do domu, ci z twojego gatunku po prostu wyślą kogoś innego. A może się mylę?

Jack zrobił ponurą minę. Spojrzał w dół, zobaczył amulet zawieszony na swojej szyi i zadrżał. Wepchnął go pod koszulę.

- Pozwól mi wstać.

Grant odsunął mnie na bok. Dotknął mnie delikatnie, ale w wyrazie jego twarzy wcale nie było łagodności.

- Podaj mi choć jeden słuszny powód pozostawienia cię w ciele tego chłopca.

- Nie mogę - odparł Jack, sprawiając wrażenie, jakby nie pragnął niczego innego, tylko wsunąć się z powrotem w pościel i naciągnąć kołdrę na głowę. - Ale nie mamy czasu na nic innego. Ani na szukanie łona, ani człowieka cierpiącego na śpiączkę, którego mózg musiałbym zreperować. Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił, gdyby istniał inny sposób.

- To chore - powiedziałam. - To wszystko wydaje się chore.

- Takie jest życie - odparł ochryple Jack. - Chodzi o przetrwanie.

- Nie pozwolę, by ktoś podciął Byronowi gardło.

- Przestań choć tylko na chwilę martwić się o tego chłopca. To, o czym musimy porozmawiać, nie ma nic wspólnego z moją... śmiercią.

- A z czym w takim razie?

Poruszył się niespokojnie, pocierając dłonie, jakby je mył, aż skóra się zaczerwieniła. „Precz, przekłeta plamo”¹.

- Nie pamiętasz. Powinnaś sobie przypomnieć. Chwyciłam Jacka za rękę.

- Rozerwiesz mu skórę, jeśli nie przestaniesz tego robić.

- To nie ma znaczenia. - Jack zamknął oczy. - Czy wiesz, ile razy ten chłopak umierał w ciągu ostatnich trzech tysięcy lat, bo został zamordowany, pobity albo po prostu głodował?

Zamarłam, czując chłód w dole brzucha. Zee przekreślił się na mojej skórze. Dotknęłam mostka, uspokajając jego i siebie.

Jack szepnął:

- Tak bardzo kochasz Byrona.

- Kocham go. - Ledwie mogłam mówić. - Nie jest moim dzieckiem, ale go kocham.

Jack skrzywił się, jego oczy na moment wypełniły boleść i smutek, a potem potarł je mocno i westchnął. Zdumiewające, jak wiele ze staruszka mogłam dostrzec w Byronie: to, jak ruszał szczęką, przechylał głowę, jak przyglądał się Grantowi, a potem mnie. Niczym toporna karykatura nastolatka. Musiałam odwrócić głowę.

- Nie powinno tak być - powiedział Jack. - Uświadomiłem sobie zeszłego wieczoru po przyjęciu, że ktoś po mnie przybywa. Wyczuwałem fale z Labiryntu i były pewne rzeczy, które powinnaś wiedzieć, na wypadek gdyby spotkanie przebiegło źle. Teraz muszę powiedzieć ci to jeszcze raz.

¹William Szekspir, *Makbet*, akt V, scena 1, tłum. J. Paszkowski (przyp. tłum.).

Coś w jego głosie mnie zaniepokoiło. Nie mogłam nawet przełknąć śliny.

- Co to takiego, Jack? - spytał Grant.
- Chodzi o to, kim naprawdę jest Maxine. - Dziadek przeniósł spojrzenie z Granta na mnie. - Ponieważ cię kocham, moja droga. Nie powinienem był pokochać twojej babki, ale ją pokochałem. Nie powinienem kochać córki, którą z nią miałem, ale kochałem ją z całego serca. Tak jak ciebie. Proszę, pamiętaj o tym.

Zee szamotał się gwałtowniej, podobnie jak reszta chłopców. Nawet zbroja zadrżała. Zwinęłam dłoń w pięść i przycisnęłam do brzucha. Chłopcy się wycofali.

- Powinni cię przywiązać - powiedział Jack. - Lina nie będzie dość mocna. Ani też łańcuchy, ale pewnie będą musieli tak zrobić.

Grant wydał z siebie jakiś cichy odgłos. Utkwiłam w nim wzrok. Dziadek obdarzył nas mrocznym, pustym spojrzeniem.

- To dobry uczynek z życzliwości.
- Myślisz, że skrzywdzę Byrona, żeby dobrać się do ciebie - powiedziałam, wstrząśnięta tym, co sobie uzmysłowiłam. - Och mój Boże - dodałam.

Grant naprężył rękę. Odepchnęłam go, cofając się tak, że wpadłam na regał.

- Ja cię zabiłam. Podciąłam ci gardło.
- Nie - odparł Jack łagodnie. - Ale nie powstrzymałaś Zee, kiedy to robił.

Grant wkroczył między nas.

- Dość.
- Nie - powtórzył Jack.

Nie widziałam go, bo zasłaniał mi Grant. Głos Jacka wydawał się stłumiony, jakby dobiegał z daleka. Miałam chęć wtopić się w podłogę lub eksplodować przez skórę. Chciałam dać nogę i nigdy nie wrócić.

- Nie - powtórzył Jack po raz trzeci, jeszcze ciszej, jak gdyby to słowo było pieśnią lub modlitwą.

Wysunęłam się zza Granta i stanęłam przed dziadkiem.

- Zee zabił cię z powodu czegoś, co nam powiedziałaś.
- Zareagował emocjonalnie. To wydarzyło się tak szybko, że chyba nie zdołałabyś go powstrzymać, nawet gdybyś chciała.
- Maxine nigdy nie zgodziłaby się, by cię zranić - wtrącił Grant cierpko.
- Usta Światła - odparł Jack. - Może dostrzegasz mniej, niż ci się wydaje.

Rozejrzałam się po pokoju, ale nie zobaczyłam żadnych lin ani łańcuchów - niczego, czym można by mnie związać. Biorąc wszystko pod uwagę, nie zależało mi szczególnie na tym, by mnie skrupowano. Potrzebowałam jedynie odpowiedzi, czegoś, co rozproszy napięcie narastające w mojej czaszce.

- Powiedz mi - powiedziałam. - Chłopcy śpią. Jestem bezbronna. Nie skrzywdzę Byrona ani ciebie bez względu na to, co masz do powiedzenia.

Jack milczał tak długo, że nie wiedziałam już, czy mam się czuć urażona czy wystraszona. Zdawało się, że ledwie oddychał. Grant również znieruchomiał, a w jego milczeniu skwierczały napięcie i moc. Żałowałam, że nie widzę jego oczami. Chciałam wiedzieć, jak świat wygląda jako energia i światło. Co we mnie zobaczył takiego, co go nie wystraszyło.

Jack przysunął się bliżej i wyciągnął rękę. Rękę Byrona. Ujęłam ją i Dek zadrżał na mojej skórze. Grant chwycił moją drugą dłoń i uściśnął. Ciepło przeszło przez nią i całe ramię aż do serca.

- Chcę ci opowiedzieć pewną historię - oznajmił Jack.
- Uprość ją. Powiedz mi prawdę.
- Nie jesteś tym, czym ci się wydaje - rzekł z bólem, jak człowiek przyznający się do morderstwa. - Twój ród nie jest taki, jaki myślisz. Istoty z mojego gatunku nie stworzyły Strażniczek do pilnowania więziennej zasłony i mimo że twoje poprzedniczki żyły wśród nich i wierzyły, że do nich należą, to te matki i córki wcale nie były na początku Strażniczkami.

Przerwał, blade i spocony. Rex mruknął cicho, skonsternowany, jakby nagle coś wskoczyło na swoje miejsce. Nie patrzyłam w jego stronę, ale wyczułam, jak cofa się przy regałach, wpatrując się w nas oboje z wyraźnym przerażeniem.

- Jack - szepnęłam.
- Muszę się czegoś napić - odparł.
- Jack - powtórzyłam, kiedy chłopcy zaczęli drzeć na mojej skórze, kipiąc ze złości, co odczuwało się jak lekkie trzęsienie ziemi albo drapanie papierem ściernym.

Usłyszałam szuranie gdzieś na zewnątrz pokoju. Jack uniósł raptownie głowę. Mary zbliżyła się do drzwi posuwistym krokiem, napinając mięśnie, jakby zanosilo się na użycie siły. Rex sięgnął po broń.

Drzwi się otworzyły.

Stała w nich Posłanniczka.

Czas spowolnił swój bieg. Patrzyłam na nią, a ona na mnie. W świetle sutereny jej małe oczy połyskiwały złością. W każdym szczególe wyglądała jak przybysz z kosmosu - jej szyja była zbyt długa, oczy za małe, a policzki zbyt ostro zarysowane i przesadnie delikatne. Mogłaby od biedy uchodzić za człowieka, ale tylko od biedy. Matki pewnie chowałyby przed nią swoje dzieci. Ja bym tak zrobiła. Nie z powodu budowy jej kości.

Promieniowała odmiennością, która nie tylko była przedziwna, ale też zimna, wyniosła i groźna w taki sposób, jak niebezpieczny może być drapieжник - ze spokojem, cierpliwością i zapowiedzią przyszłych wydarzeń.

Coś się szykowało.

Nie była sama. Ujrzałam za nią kobietę i dwóch mężczyzn, pogrążonych w cieniu: nie byli to zombi, lecz ludzie w dzinsach, garniturze i stroju do biegania. Z pustką w oczach i zwiotczalymi ustami.

- Nie ma takiego miejsca, w którym można by się przede mną ukryć - rzekła cicho, a w jej głosie zabrzmiała moc. - Jestem wysłanniczką, światłem, sprawiedliwością i działam szybko w imię naszych Panów Aetar. Chwała niech będzie ich światłu.

Grant wysunął się przede mną. Już miałam przeciąć mu drogę, ale Jack był jeszcze szybszy i wyrwał się przed nas oboje. Szczupły, w młodym ciele, stary jak gwiazda.

Posłanniczka skupiła się wcześniej na Grancie i na mnie, ale kiedy zobaczyła Jacka, przeszył ją dreszcz. Nie spodziewała się, że go tutaj znajdzie - to było jasne. Amulet zadziałał.

Dreszcz przeszedł w lekkie drżenie - aż zatrzepotała jej powieka - a potem skierował się w dół i jej kolana uderzyły o podłogę tak mocno, że usłyszałam trzask. Gdy ustał, zupełnie znieruchomiała.

- Stwórco - powiedziała. - Chwała twemu światłu.

- Nie - odparł Jack. - Nie.

Przez ułamek sekundy myślałam, że mówi, by nie oddawała mu czci. I może przez chwilę o to chodziło. Ale Posłanniczka wyciągnęła głowę do góry, gapiąc się na Granta, a potem na mnie.

- Nie skalasz go ponownie - powiedziała, chwytając go za ramię.

Już zaczynałam wykonywać ruch, ale dwie sekundy okazały się wiecznością. Dwie sekundy nie mogły rywalizować z szybkością myśli.

Jack wytrzeszczył oczy. Wyciągnęłam rękę...

A oni nagle znikli. Podobnie jak troje pozostałych przybyszów. Chwiejnym krokiem podeszłam do miejsca, w którym ostatnio stał Jack, owiana zewsząd powietrzem, a potem szybko stanęłam tam, gdzie przed chwilą znajdowało się pięć osób.

Upadłam na kolana. Uderzyłam w podłogę pięścią pokrytą zbroją. Beton pękł i wzleciał w górę. Grant chwycił mnie za ramię. Nie próbowałam go odpychać. Zamiast tego wpatrywałam się w zbroję.

Proszę, pomyślałam. To musi się zdarzyć.

Zbroja zatętniła raz. Wyobraziłam sobie głos, który odpowiada: „Tak, musi”.

A potem nic. To, co widziałam, odeszło, rozpluwając się w czerni. Serca dudniły na mojej skórze. Czułam chłód pustki w duszy, a kiedy pomyślałam, że za długo byłam zagubiona, zbyt długo dla tej duszy, wpadłam na skałę.

Dzień. Srebrzyste niebo, ulatniająca się mgła i drobny deszcz. Widziałam swój oddech i czułam zapach roślinnych soków. Ponad gęstym poszyciem drzew wylaniały się spowite chmurami, urwiste góry, pokryte śniegiem.

Ciężki oddech. Cichy jęk bólu. Znalazłam Granta, który klęczał, ściskając laskę. Dłonie miał zbiele. Dolna warga krwawiła. Może pogryziona. Był śmiertelnie blady, ale w jego oczach nie widziałam strachu.

- Za mną - powiedział. - Słuchaj.

Nie musiałam nasłuchiwać. Ten kobiecy głos rozbrzmiewał wszędzie, przepływając między drzewami w dziwnej molowej tonacji, przypominającej odgłos drapania paznokciami po szkolnej tablicy. To sprawiło, że chłopcy zafalowali na mojej skórze. Teraz nawet Grant przemówił twardym głosem, który przetoczył się przeze mnie ciężko jak fala oceanu. Oprócz tego byłam rafa, górą z korzeniami w skale.

- Zostań tutaj - powiedział Grant, po czym chwycił mnie za rękę, wspierając się na niej, by się podnieść. Jego siła zdumiała mnie. A kiedy już wstał, nie traciłam czasu, by go przekonać, żeby z powrotem usiadł. Wystarczyło, że na mnie spojrzał. Uważnie, w ponurym zamyśleniu. A potem kącik jego ust drgnął, a spojrzenie wypełniło się ciepłem i determinacją. Jakby to, co mieliśmy zrobić - czymkolwiek to mogło się okazać - było niczym.

Poddałam się. Każdy człowiek, który potrafił wystraszyć Krwawą Mamuszkę, zabić awatara samym tylko głosem, nie był głupcem ani kimś, kto potrzebuje ochrony.

Chociaż ja sama jej potrzebowałam, wydając ostatnie tchnienie.

Odwróciłam się i pobiegłam. Grant, dźgając laską ziemię, podążał za mną kilka kroków z tyłu. Poruszał się szybko jak na człowieka z uszkodzoną nogą.

Zobaczyłam Jacka pierwsza. Stał z zamkniętymi oczami i twarzą wzniesioną ku niebu. Drżał. Trząśnięcie pod wpływem zimna lub strasznego napięcia. Wydawało mi się, że chodzi o to drugie. Posłanniczka stała obok niego, również z uniesioną głową i tak szeroko otwartymi ustami, że mogłaby połknąć pięć dużego mężczyzny. Jej szczęki nie były ze sobą połączone. Żyłka na długiej szyi drgała niczym skrzydła kolibra. Wyglądało to groteskowo. Tak samo brzmiał jej głos.

Na początku słyszałam melodię, ale wydawało się, jakby coś zostało wprowadzone, zamknięte, a teraz ona potrzebowała tylko mocy. Troje ludzi leżało na ziemi, jeden na drugim. Wyglądali na nieżywych. Jakby przez tydzień przebywali na pustyni, wysychając na słońcu.

Nie przestawałam biec. Przyspieszyłam i wpadłam na Posłanniczkę z całą siłą. Uderzyłyśmy o najbliższe drzewo. Usłyszałam serię trzasków. Kości. Może drewno. Nic nie czułam, ale Posłanniczka zakaszlała krwią, a jej szczęka obwisła jak stara, znoszona bielizna.

Jednak głos wciąż wydobywał się z jej piersi, nieustannie się wznosząc. Nawet kaszel był melodyjny, a każdy dźwięk zaprawiony mocą. Każdy dźwięk był pełen energii.

Wpatrywała się we mnie. Zaciśnęłam zęby i uderzyłam jej głową o drzewo. Nie zamierzałam pozwolić jej uciec. Nie po raz drugi. Wciąż na mnie patrzyła. Nie spuszczała mnie z oczu. Niesamowita, złocista. Nawet nie mrugnęłam. Mogłam ją zabić, nie wzdragając się przy tym.

- Nie! - zawołał Jack za moimi plecami.

Grant padł na kolana, blisko, i ręką uderzył kobietę w skroń. Krzyknęła, próbując mu się wyrwać, ale wdrapałam się na nią i przytrzymałam nieruchomo.

- Otwórz oczy - powiedział Grant.

Każde słowo drgało w powietrzu i czepiało się jego głosu, który zapadał mi w serce. Moje serce było silniejsze od mózgu, ponieważ w tym momencie zobaczyłam pewne rzeczy, przebłyski ciepła i wspomnień pełnych Granta: staliśmy razem na plaży, śmiejąc się, gdy wiatr smagał nas tak mocno, że rozkładaliśmy ramiona, udając, że latamy; albo wieczory przy świecach w małych restauracyjkach, gdzie boksy były zaciszne i dawały poczucie intymności, a my dotykaliśmy się stopami pod stołem; lub jego dłonie ześlizgujące się z moich nagich ramion w dół pleców, kiedy przyciągał mnie do siebie mocno, coraz mocniej, zawsze...

Wydałam z siebie krzyk, dotykając głowy. Tonęłam, przytłoczona. Próbowałam przypomnieć sobie więcej, ale było tego zbyt wiele i wszystko na raz. Głowa mnie bolała. Musiałam oprzeć się mocno o drzewo.

- Nie! - zawołał ponownie Jack, nadal poza moim polem widzenia. - Nie możesz.

- Otwórz oczy - powtórzył Grant, zwracając się do kobiety i ignorując mojego dziadka.

Wiedziałam, co próbuje zrobić. Zdawałam sobie z tego sprawę, ponieważ go znałam. Pamiętałam.

Kobieta wrzasnęła. Jack krzyknął. Grant skrzywił się, ale umocnił się w tym, co robi, z twarzą niemal nierozpoznawalną. Nucił bardzo cicho, ledwo słyszalnie. Czułam to jednak. Ziemia drżała od jego głosu. Opadłe igliwie wibrowało, podobnie jak skały, odrywając się od twardej ziemi. Chłopcy szaleli na mojej skórze, płynąc do góry i rozlewając się na mojej twarzy i głowie.

Krzyk kobiety nie ustawał. Wznosił się tylko coraz bardziej, a jej szczęka kołysała się luźno na boki, gdy Posłanniczka próbowała wyrwać się Grantowi. Jego oczy płonęły. Podobnie jak jej spojrzenie. Nie powiedziałam, żeby przestał. Bałam się. Usłyszałam kolejne trzaski, ale dochodziły z dołu, z ziemi i z drzew. Zbroja mieniła się i falowała. Tak samo jak srebrzyste żyły przebiegające przez moje ręce i czerwone rozżarzone oczy na mojej skórze. Wszystko piekło. Każdy gorący oddech. Poczulałam zapach siarki.

Jack upadł obok mnie. Krew pociekła mu z nosa. Wzrok miał rozszalały. Próbował się mnie uchwycić, ale jego ręka odbiła się od powietrza otaczającego moje ciało i przycisnął ją do piersi. Mój dziadek. Byron. Patrzył na mnie z takim przerażeniem.

- To rozdzierające - wykrztusił. - Maxine...

Wciąż rozpruszał mnie Grant, wspomnienia o nim. Nie rozumiałam, co do mnie mówi. Zwymiotowałam.

Nie miałam nic w żołądku, ale ta czynność była gwałtowna i wstrząsająca. Nigdy nie wymiotowałam. Nigdy.

Jedynie raz. Tylko z jednego powodu.

Poczulałam bolesne uczucie w głowie. Zee naciągnął mi skórę tak mocno, że byłam niemal pewna, że się uwolnił. Usiłował. Wszyscy oni próbowali z całych sił. Rozejrzałam się dookoła, z sercem tłukącym się w gardle...

...i świat zaczął krwawić światłem. Potokiem światła. Dzikim, przejmującym światłem, które było rozpalone do białości, pieszczone odcieniami głębokich czerwieni i fioletów, pocałunkami turkusowej barwy, która rozpadała się jak syczące iskry. Ten blask mnie oślepił.

W końcu uniosłam wzrok i zobaczyłam ciemność.

Zamrugalam i światło się rozproszyło, a las nagle znowu mi się ukazał. Wciąż czułam się oślepią, chociaż pewnie dlatego, że świat wydawał się nijaki: szary, wykrwawiony, wycieńczony.

Była tam jednak ciemność. W niebie, ponad naszymi głowami. Pęknięcie w niebie, szew w kształcie błyskawicy, czerwony i krwawiący poprzez chmury. Czułam zapach krwi. Słyszałam krzyki po drugiej stronie.

- Maxine - szepnął Jack.

Widzę to, chciałam mu powiedzieć, ale mój głos nie działał.

Zasłona więzienia się rozwarła. Miało przez nią przejść coś większego od pasożyta.

GZułam się jak dzieciak w jednym z tych koszmarów, w których korytarze nigdy się nie kończą, wszystkie drzwi są pozamykane. Nie możemy się odwrócić, żeby zobaczyć, co jest z tyłu. Cały czas słyszymy czyjś ciężki oddech i czujemy na szyi jego ciepło. Wiemy, że jeśli przystaniemy choćby na moment, wydarzy się coś gorszego od śmierci.

Jak na razie korytarze ciągnęły się w nieskończoność. Drzwi były pozamykane. Ale ja nie uciekałam. Widziałam zbliżającego się potwora.

Wrzaski stały się głośniejsze, wiatr jednym gwałtownym powiewem przedarł się przez las, szarpiąc moje ubranie i sprawiając, że drzewa kołysały się, skrzypiąc przeraźliwie. Poczułam zapach krwi - wyraźny i przesłodzony. Wydawało mi się, że w tle tych straszliwych krzyków słyszę odgłos rozbijających się sztormowych fal.

Grant w końcu umilkł, obserwując niebo z ponurym przerażeniem. Nawet Posłanniczka spoglądała ponad jego ramieniem, otwierając szeroko małe oczka. Spojrzałam na Jacka, ale on patrzył na kobietę.

- Głupia - powiedział do niej. - Myślałaś, że otwierasz Labirynt? Istnieje więcej niż tylko jeden rodzaj drzwi. Posłanniczka się wzdrygnęła. Chwyciłam Jacka za rękę.

- Czy on można go zamknąć?

- Ja tego nie zrobię. - Spojrzał na pozostałych. - W każdym razie nie sam.

- Powiedz, jak tego dokonać - poprosił Grant.

- Chłopcze - odparł Jack powoli. - Mówiłem ci. Niemal cały mój gatunek budował zasłonę, a i tak zginęło kilku z nas. To ci się nie uda.

Grant znieruchomiał.

- Nie mamy innego wyboru, musimy spróbować. Wstałam, chwiejąc się na nogach, i spojrzałam w niebo. Wyczuwałam ciężar czegoś, co się zbliża, ale jakaś jego część znajdowała się we mnie: coś we mnie ciągnęło do tej dziury z przejmującym pragnieniem graniczącym z tęsknotą za domem. Jakbym musiała znaleźć to, co się tam znajdowało, obojętnie, co to było. Musiałam tego dotknąć, poczuć, zobaczyć.

To wszystko twoje, mówił w moim umyśle jakiś falujący głos. *Ty masz tym kierować i to utrzymać.*

Oderwałam wzrok od dziury, żeby spojrzeć na Jacka. To była walka. Na początku go nie dostrzegałam, mimo że patrzyłam mu w twarz. Moja głowa wciąż znajdowała się w niebie, usta miałam wyschnięte.

- Idź. Jeśli potrafisz przeciąć przestrzeń, to idź. Weź Granta i ją, i zabierajcie się stąd.

- Nie - wtrącił Grant, próbując wstać.

Jack pokręcił głową, patrząc tylko na mnie. Jego wzrok mnie przerażał. Bałam się tego, co mógłby dostrzec w moich oczach.

Chwyciłam Posłanniczkę mocno za gardło. Jej oszołomione spojrzenie się przejaśniło i stwardniało, skupiając się na mnie.

- Dzieją się rzeczy, których nie rozumiesz - powiedziałam głosem łamiącym się z desperacji. - Może nie potrafisz. Może nie jesteś do tego podłączona. Ale dbasz o ich bezpieczeństwo. Chronisz ich. To pewnie rozumiesz.

Pokręciła głową, krzywiąc twarz jakby w agonii.

- Rozumiem, że jesteś jedną z nich. I że on... Usta Światła... coś mi zrobił. - Musnęła brew drżącymi palcami, a jej zbolęły już wzrok stał się jeszcze bardziej udręczony. - Nie muszę ci niczego przyrzekać.

Spróbowała chwycić Jacka za rękę. Mój dziadek wyrwał się z jej uścisku, patrząc na nią z przerażeniem.

- Nie, nie uciekniemy. Nie. Ona to moja krew. To krew mojej skóry i duszy...

Przerwałam mu ostro:

- Pamiętasz, co zrobili Ahsen, dlatego że była awata-rem. - Spojrzałam na Posłanniczkę. - Nie dbam o to, co się ze mną stanie. Ty ich chronisz.

Posłanniczka spoglądała to na Jacka, to na mnie; jej wzrok się wyostrzył, ale jakoś inaczej. Wydawała się niemal zamyślona.

- Jeśli jesteś pewna... - zaczęła.

- Nie - rzucił Jack. Zmusiłam się do uśmiechu.

- Kocham cię, Stary Wilku. Dbaj o Byrona. - Spojrzałam na Granta. - Idziemy.

- Nie ma mowy. - Gwałtownym ruchem chwycił Posłanniczkę za ramię. - Pamiętasz, co ci powiedziałem.

- Moje oczy zawsze były otwarte - odparła, a jej głos załamał się na ostatnim słowie.

Grant milczał. Jack sięgnął w moją stronę, a ja się cofnęłam. Zbroja poruszyła się na mojej ręce, pulsując chłodnymi falami. Paskudny ciężar, który zwałił się na moje barki, stał się nieco większy, a wewnątrz mnie, pod sercem, przebudziła się ciemność, otrząsając się z płytkiego snu.

Nigdy nie spaliśmy, szepnął znowu tamten głos. *Tylko czekaliśmy.*

Wciągając powietrze przez zęby, napotkałam udręczone spojrzenie Jacka.

- Pamiętasz, co powiedziałam. Zmarszczył twarz.

- Nie...

Ale było za późno. Posłanniczka rzuciła się do przodu i objęła go ramionami, po czym oboje znikli. Bardzo żałowałam, że nie mogę za nimi podążyć.

Grant objął mnie w pasie. Zwały się na mnie wspomnienia. Jego dotyk był jednocześnie znajomy i obcy.

- Powinieneś odejść - powiedziałam do niego z drzeniem. - Wolałabym, żebyś to zrobił.

Grant pocałował kostki swojej drugiej dłoni i uczynił znak krzyża. A potem pocałował mnie w czubek głowy i przyciągnął do siebie.

- Życie jest zbyt krótkie, żeby marnować je na ucieczki. Nie zostawię cię samej.

Przełknęłam z trudem.

- Nie jestem tą, która może umrzeć.

- Więc dlaczego wciąż powtarzasz, że cię przeżyję? -Grant pogładził kciukiem moje wargi. - Ty i ja, Maxine.

Chwyciłam przód jego koszuli, stanęłam na palcach i pocałowałam go mocno w usta. Smakował ciepłą słodyczą -znajomą i zarazem nową - a ciemność we mnie poruszyła się nieco mocniej, wznosząc się i odwijając, by wypełnić moją skórę. Mogłam zobaczyć to w myślach, okrążając drugie złociste tętno, otaczające moje serce, puls należący do Granta.

Nasza więź, przypominałam sobie - powiązanie, które nas łączyło aż po duszę. Czułam, co nas oboje wiąże, to płonęło we mnie, jak gdyby słońce mieszkało w moim sercu. Zastanawiałam się, jak mogłam zapomnieć cokolwiek, co dotyczyło tego człowieka.

Posłanniczka stworzyła więź z ludźmi, by wykradać ich energię. Grant, korzystając ze swojego daru, także potrzebował źródła mocy, ale nie musiał tego nikomu zabierać. W każdym razie nie mnie.

Dwa serca żyją pomyślałam, obejmując go jeszcze mocniej i wczepiając palce w jego ramiona.

Zadrżał i szepnął z wargami tuż przy moich ustach:

- Chyba będzie z nami dobrze.

Wyczułam w górze jakiś ruch i odsunęliśmy się od siebie. Zee podskoczył na mojej skórze jak szalony. Wszyscy chłopcy krzyczeli przez sen. Ciemność znowu się poruszyła, ale jej nie odepchnęłam.

W moim umyśle otworzyło się jedno oko - należące do niej - i pomyślałam: Tak, tym razem cię potrzebuję.

Oni cię potrzebują, rzekł tamten falujący głos, syk w mojej głowie, przypominający myśl uwięzioną między snami a jawą. Zaplątataś się w te wszystkie zakrwawione kości i wojownicze serca. Twoje węzły przebiegają tak głęboko, jak śmierć i niekończąca się noc.

- Nie - odparłam głośno. Grant spojrział na mnie przelotnie. Z przecięcia w niebie opadły ciała. Serce podeszło mi do gardła, miotano się tak, jakby za chwilę miały ze mnie wypaść wszystkie wnętrzności.

Doliczyłam się kilkudziesięciu, może nawet stu, spadających z nieba srebrzystych ciał, które przedzierały się przez mgłę jak blade duchy. Czułam się jakby poza sobą, obserwując różne szczegóły przybyszów z przestrzeni - długie, nagie kończyny, spływające włosy, człekopodobne męskie ciała - a w końcu, kiedy przyjrzałam się bliżej, ujrzałam dziury w ich oczach, a potem z jeszcze z mniejszej odległości ostre rysy ich twarzy. Po chwili pojawili się blisko, uderzając o ziemię tak mocno, że aż się zatrzęsa. Niektórzy wylądowali na drzewach iglastych, łamiąc gałęzie, ale żaden z demonów nie upadł - nieważący więcej niż powietrze, zwyczajnie zeskoczyli na ziemię, by dołączyć do swoich braci.

Grant przesunął się i stanął za moimi plecami, patrząc na tego, który wylądował przed nami. Mój kręgosłup i klatka piersiowa zaczęły drżeć, jakby ktoś przycisnął kamerton do miejsca między łopatkami. Jego głos dudnił tak cicho, że tylko mogłam go czuć. Zgięłam rękę i zbroja zamigotała, rozpalona do białości, oślepiająca...

...aż pojawił się w mojej dłoni miecz.

Była to znajoma broń. Przedłużenie zbroi. Z głowicy do mojej dłoni biegł łańcuch; cienki jak ostrze, długie i smukłe, z wygrawerowanymi runami. Metal połyskiwał wewnętrznym światłem - blaskiem księżyca, gwiazd i lodu - a kiedy potarłam brzeg kciukiem, posypały się iskry. Trzymając miecz, czułam się dobrze. Lepiej. Bardziej ugruntowana.

Zmusiłam się, by oddychać, powoli i głęboko, i myśleć o swojej matce. Mojej nieustraszonej matce.

Ona zjadłaby tych tajdaków na śniadanie. A ty możesz ich pożreć na lunch.

Było ich tak wielu. Białych i szarych jak zmarli, z siwymi włosami, które sterczały najeżonymi kosmykami i opadały w postaci długich warkoczy. Żyłaści, wychudli, ubrani w same tylko skórzane paski. Ich palce przypominały zęby wideł, twarze miały niemal równie ostre rysy. Mieli srebrzyste oczy i usta oraz łańcuchy dzwoniących srebrnych haków, zwisające z ich uszu do wąskich nozdrzy. Większości brakowało przynajmniej jednego ramienia lub części uda; a ich dłonie były pełne dymiących pasożytów, wciąż krzyczące dzieci Krwawej Mamuśki.

Požerali te pasożyty. Odrywali im głowy zębami, a potem odrzucali kopące resztki. Patrząc, jak konsumują pomniejsze demony, nie odczuwałam ani obrzydzenia, ani litości. Zee i chłopcy, gdyby mogli, zrobiliby to samo.

Ale ja też chciałam tego posmakować. To pragnienie uderzyło mnie mocno w pierś, gdzie przetaczała się ciemność.

Demony obserwowały nas - zastygłe w niesamowitym bezruchu. Z błyszczącymi oczami i twarzami zapadłymi z głodu. Ślina ciekła im z ust. Wydawały mi się niepokojąco ludzkie lub tak podobne do ludzi, że zastanawiałam się, skąd pochodzą. Zastanawiałam się też, co widział Grant, kiedy na nich patrzył.

Chciałam wiedzieć, dlaczego jeszcze nie próbowały nas zabić.

- Czekają - odparł Grant, jakby czytał moje myśli. -Coś się zbliża.

Coś nadchodzi z góry.

Samotna postać wypadła przez pęknięcie w niebie. Mogłam stwierdzić, nawet z pewnej odległości, że ten stwór jest większy od pozostałych demonów, które się poruszyły, spojrzały w górę i zaczęły odpychać się nawzajem, żeby zrobić miejsce. Trzaski wypełniły powietrze, najgłośniejsze pośród stłoczonych ciał. Usłyszałam przeżuwanie i przypomniałam sobie ludzi, których Posłanniczka wydrenowała na śmierć. Próbowałam wzbudzić w sobie wobec nich współczucie, a nawet niesmak, ale odgłosy pożerania wzmogły się i demony zaczęły walczyć, starając się dotrzeć do miejsca, gdzie ostatnio widziałam ciała. Przyglądałam się i czułam jedynie dziwną dumę, wręcz przyjemność: jak lwica obserwująca swoje małe przy posiłku.

Ugryzłam się od wewnątrz w policzek, a potem w język. Bezlitośnie. Z desperacją. Poczulałam smak krwi, a ostre ukłucie bólu wystarczyło, żebym się otrząsnęła i odzyskała poczucie siebie.

Czułam jednak tę dumę, tę przyjemność, gotową osiąść na moich barkach i w mym sercu niczym żelazna peleryna. Czułam ją mocno, tuż po drugiej stronie mnie.

To nie ja pomyślałam z rozpaczą. Nic z tego nie jest mną.

Ale to znajduje się pod twoją skórą, powiedział głos. Tak blisko. Tak blisko. Jesteśmy tak niedaleko.

Nowo przybyły wylądował miękko mimo swoich rozmiarów: olbrzym ze sznurami splecionych w warkocze włosów owiniętych wokół ciała niczym dziwaczna zbroja. U jego pasa błyszczało srebro. Miał wszystkie kończyny i nie brakowało mu żadnych części ciała. Ze wszystkich obecnych demonów on jeden miał mięso na kościach.

Przyglądał mi się. Tylko mnie. Kolor jego zielonych oczu wydawał się zadziwiający na tle matowej szarej skóry. Długimi, śmiertcionośnymi palcami stukał delikatnie w swoje potężne udo. Był zamyślony.

- Przyprowadźcie ich do mnie - zwrócił się do pozostałych.

Ledwo te słowa wyszły z jego ust, a już zaroilo się od demonów - zaatakowały, wyjąc i sycząc jak żmije. Miecz błysnął w moim ręku, zatoczył łuk niczym kij baseballowy, wysyłając błyskawicę przeciwko demonom, które usiłowały na mnie uderzyć. Poląła się krew. Poleciały odcięte kończyny. Nie patrzyłam na Granta, ale go słyszałam. Jego głos przechodził przeze mnie, wznosił się jak ogłuszający huk pioruna, pierwotny i nieludzki. Skupiłam się na jego głosie. Dopóki śpiewał, żył.

Podobnie jak ja. Chłopcy wściekali się na mojej skórze, paląc gorącem, a ciemność wewnątrz wznosiła się, przepelniając moją powłokę swoim duchowym ciałem, otrząsając się ze snu i leniwie mrugając okiem w moim umyśle.

Zostałam powalona. Padając, odwróciłam się i zobaczyłam Granta: klęczącego z zamkniętymi oczami i dłońmi zaciśniętymi w pięści. Ostre palce demonów unosiły się niebezpiecznie blisko jego twarzy, ale one same zamarły w bezruchu, wpatrując się w Granta z rozdziawionymi gębami i z wywróconymi, zapadającymi się w głąb czaszek oczyma.

Inni znajdujący się za nimi usiłowali przedrzeć się przez ich ciała, żeby dotrzeć do Granta. Niektórzy odwrócili się w ostatniej chwili i, broniąc go, zaatakowali swoich braci. Ci, którzy to zrobili, zostali rozszarpani bez litości. Coraz więcej innych zajmowało ich miejsce. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, ile kosztowało Granta zapanowanie nad tak wieloma umysłami.

Palce mnie dźgnęły i pękły. Włosy jak bicze smagały moją twarz, nie czyniąc jednak krzywdy. Wiergnęłam mocno, wymachując mieczem, a krew, jaka się poląła, była purpurowa i piękna. Tak wspaniała jak krzyki i strach, jaki dostrzegłam, oraz niepokój, jaki pojawił się na twarzach zapadniętych od głodu trwającego od dziesięciu tysięcy lat. Zee pomiędzy moimi piersiami wpadł w furję. Wszyscy chłopcy wzburzyli się z takim ogniem i gwałtownością, że miałam wrażenie, jakby powierzchnia mojej skóry zamieniła się w lawę.

Grant wciąż śpiewał. Kiedy o nim pomyślałam, złociste światło naszej więzi rozbłysło żarem w mojej piersi, otaczając ciemność. To coś nie uciekło ani nawet się nie wzdrygnęło, lecz zamruczało i zasililo więź częścią własnego duchowego ciała.

Głos Granta osłabł.

Nagle wszystkie szczęki wokół niego zamknęły się i zbiorowy dreszcz przeszył demony powstrzymywane dudniącą pieśnią Granta. Odwróciłam się, zapalając się instynktownie i wymachując mieczem, po czym odrąbałam ostro zakończone ręce i palce, które gwałtownymi ruchami zbliżały się do jego bezbronnej twarzy.

Nie zatrzymałam się. Chwyciłam Granta za ramię i pociągnęłam, żeby się podniósł i stanął tuż przy mnie. Oddychał z trudem, a jego skóra była ciepła jak ogień. Przycisnął usta do mojej głowy i tak pozostał.

Zacząłam się śmiać.

To nie był mój śmiech. Ale wydobywał się ze mnie, triumfalnie i z przekonaniem, a w moich ustach jego dźwięk miał fizyczny kształt i przypominał długi język badający powietrze, wyczuwający wyborny smak krwi i śmierci.

Poczulałam głód. Przejmujące, szalone pragnienie. Dawne, głębokie i nieskończone.

Grant znieruchomiał przy mnie. Atakujące nas demony się zawahały. Ja nie. Rzuciłam się do przodu i złapałam okaleczonego jednorękiego demona, w którego czarnych

oczach malowała się bardzo ludzka konsternacja, a przez moment także ludzka rozpacz. Kiedy go dotknęłam, chłopcy zakłębili się na moją rękę i mój śmiech stał się głębszy.

Demon spojrzał na mnie z przerażeniem i wrzasnął.

Wciąż krzyczał, obracając się w popiół. Pierwsza rozsypała się jego ręka, rozfruwając się jak płatki srebrzystego śniegu, następnie pokruszyły się stopy i ramię, potem nogi i tułów, roztrzaskując się z impetem jak kruche szkło, a na końcu twarz - szczęka, czaszka i spoglądające na mnie oczy; wszystko rozpadało się na grudki, które zamieniły się w proch.

Testowałam smak echa jego wrzasków w swoim wnętrzu jak wino: turlając każdy dźwięk po języku, delektując się warstwami jego przerażenia i przekonując się, jakie są czyste, dobre i słodkie. Dłoń miałam pełną prochów demona, uniosłam je i wsypałam sobie te szczątki do ust.

Część mnie również krzyczała, ale ciemność przetaczała się z zadowoleniem, a kiedy mieszałam prochy ze śliną i połknęłam je, to nie było już tylko moje ciało. Stałam się piątym kołem u wozu. W ustach miałam smak trucizny.

Wszystkie demony zamarły, gapiąc się na mnie. Czułam Granta za plecami, ale nie wyczuwałam jego dotyku.

Rozejrzałam się za olbrzymem i zobaczyłam, jak stoi, przerastając o głowę pozostałe demony. Jego zielone oczy błyszczały, podchodził do nas, nie spuszczać ze mnie wzroku. Inne demony ustępowały mu z drogi, a te, które poruszały się zbyt wolno, były spychane na bok. Na skraju pola widzenia ujrzałam zmarłego, który został ukradkiem wciągnięty w to stado. Usłyszałam kolejne trzaski pękających kości i cichy odgłos rozdzieranego ciała.

Olbrzym zatrzymał się przed nami. Nie odzywał się. Padł na kolana, przycisnął długie, ostro zakończone ręce do piersi i pochylił głowę. Pozostałe demony bez wahania również padły na ziemię za jego przykładem. Klęczały przede mną. Z opuszczonymi głowami i zamkniętymi oczami.

Przyglądałam się im zaskoczona, ale ciemność wzniosła się w moim gardle z uśmiechem, który miał smak śmierci.

- Wybacz nam - zagrzemiał demon. - Wybacz nam wszystkim. Nie rozpoznaliśmy cię.

Miecz zabłysł, a runy zafalowały na jego powierzchni, przepływając na zbroję na moją rękę. Pomyślałam, że mówi do mnie, ale czułam tylko bicie serca w metalu i uderzenia pięciu pozostałych na skórze. Bicie serc płonących w mojej piersi. Płonących jak moja więź z Grantem, która wydawała się tak odległa, jakby pod skórą moja dusza znajdowała się na mrocznej równinie, patrząc na jego światło z odległości wielu kilometrów.

Ciemność wdrapała mi się do ust i tchnęła słowa na mój język.

- *Ha'anie* - rzekła cicho przeze mnie. - *Co z innymi Panami?*

- Nie wiem - odparł, obrzucając moją twarz przelotnym spojrzeniem. - Byliśmy w drugim kręgu, a pęknięcie dotarło tylko do nas. Nic nie wiem o Draeanie, K'ra'anie ani o innych, ale Pani Dziwka wciąż się trzyma, a my będziemy karmić swoje brzuchy jej dziećmi, dopóki możemy polować. - Zawahał się. - Uwolniliście nas. Myśleliśmy... że może odeszliście na zawsze.

- *Jesteśmy wieczni* - odparła ciemność. - *Ale to czas snu.* Wyraz twarzy demona był zadziwiająco ludzki.

Potwór

ściągnął brwi tak, jak zrobiłby to każdy skonsternowany człowiek.

- Zasłona została rozwarta, moi Królowie. To zaledwie ułamek Mahati, którzy są gotowi wam służyć, wystarczy tylko o to poprosić. Błagamy tylko o jedzenie. O dobre łowy. - Spojrzał za mnie na Granta. - Wygląda na to, że ludzie wciąż tu mieszkają. Oni wystarczą.

- Nie - odparłam i tym razem byłam to w zupełności ja. Ciemność spoczywała w moim gardle, ale wydawała się zadowolona, pozwalając mi wymówić to słowo.

- Nie - powtórzył demon jak echo i złość błysnęła w jego zielonych oczach. - My cierpieliśmy, a ty nam odmawiasz?

- To nie wasz świat.

- A czy jest twój? - Słowa te były wyzywające, pełne zjadliwości i pozostałe demony poruszyły się niespokojnie.

Wyprostowałam się, ogarnięta gniewem, który mógł być mój albo ciemności, ale wydawał się sprawiedliwy i silny. Popatrzyłam demonowi prosto w oczy i wiedziałam - czułam instynktownie - że mogłabym go zabić. Samym tylko dotykiem. Pocałunkiem.

Moc wynikająca z tej wiedzy sprawiała mi przyjemność.

Zamknął raptownie gębę i odwrócił wzrok.

- Wybacz mi.

Podeszłam do niego i zatrzymałam się dopiero w miejscu, z którego mogłabym go dotknąć. Okrążyłam go, spoglądając na resztę demonów. Zerknęłam na Granta, ale patrzenie na niego sprawiało, że coś we mnie płonęło i ciemność cofnęła się, podobnie jak ja. Wystarczyło jednak ujrzeć jego oczy: ciemne, niezgłębione, obserwujące mnie, jakbym była kimś obcym.

- Ten świat jest mój - powiedziałam, a ciemność pochłonęła mój język i dodała: - *Należycie do mnie. Wszyscy.*

- Wybacz mi - powtórzył, prężąc ramiona. - Oczywiście, należymy do ciebie. Mahati zawsze byli lojalni. Ale jeśli inni się uwolnią, powiedzą to, co jest już w moim sercu. Musimy polować, inaczej umrzemy.

- A więc umrzecie - odparłam.

Demon Ha'an spojrzał na mnie. A potem uczynił to Grant. Spojrzenie demona wyrażało niepewność, lecz po chwili pojawiły się w nim twardy sprzeciw i determinacja tak chłodna i instynktowna, że poczułam to w kręgosłupie, w dole brzucha, gdzie cały mój strach zbił się w maleńką zapłakaną grudkę.

- To nie w porządku - powiedział cicho. - Nie tak było. Jesteście inni, moi Królowie. I chodzi nie tylko o to, w co się wcielacie. - Uniósł się, górując nad nami. - Zabijcie mnie, jeśli to sprawi wam przyjemność, ale ja jestem Panem Mahati, a my jesteśmy ostatnimi ocalałymi. Nie poświęcę naszego życia, które już zostało złożone w ofierze z całym honorem i w rzeczywistości, skoro nie wiem, czy nadal można wam ufać.

Czekałam, aż ciemność przemówi, ale ona milczała. A ja też się nie odezwałam. Tylko z uśmiechem patrzyłam w oczy Ha'ana.

Pan demonów może nie tyle się wzdrygnął, ale to, co zobaczył w moich oczach, wystarczyło, żeby się zachwiał.

- Prowadźcie nas - powiedział, niemal błagalnie. - Proszę. Jeśli tego nie zrobicie, jeśli nas porzucicie, inni Panowie nie spoczną, póki nie przejmą władzy. A my nie jesteśmy tak silni jak oni.

Nie odpowiedziałam. Ha'an cofnął się, kręcąc głową.

- Tylko wy możecie nas poskromić. Wy, nasi Królowie Kosiarze.

Zamarłam na dźwięk tego imienia. Zee przekręcił się na mojej skórze i poczułam szarpnięcie przypominające łkanie.

Na szczęście Ha'an już się odwrócił. Spojrzał na otaczające go demony, a ciemność też ich obserwowała - przepełniona innym rodzajem pragnienia, doznaniem podobnym do powolnego wznoszenia się wagonika w kolejce w lunaparku w stronę pierwszego szalonego zjazdu. Ciemność chciała opaść. Miała ochotę zapolować.

Ha'an spojrzał na mnie przez ramię.

- Mogę dać wam tylko trzy dni, moi Królowie. Trzy dni... czy też tyle czasu, ile oznacza to na tym świecie. A potem poprowadzicie nas albo zabijecie.

Wyskoczył prosto w niebo, w stronę pęknięcia w zasłonie. Nie spodziewałam się, że będzie latać, ale przychodziło mu to z taką łatwością, jak spacer po ziemi.

Pozostałe demony podążyły za nim, niosąc zmarłych. Żaden się nie oglądał. Patrzyłam na nich, nie mogąc się poruszyć ani oddychać. Czułam coraz większy zawrót głowy, kiedy te ciała niczym srebrne pociski znikwały w czerwonej mgielce rozwartej więziennej zasłony.

Ciemność chciała podążyć ich śladem - a może ja miałam na to ochotę - moje serce tak mocno oplatało tę istotę, że nie potrafiłam już stwierdzić, co jest mną. Wiedziałam tylko, że pragnę iść za Mahati. Chciałam przejść przez zasłonę, zobaczyć zgromadzoną armię, odetchnąć tamtym powietrzem i dotknąć tych ciał, które były moje, moje, ja miałam je prowadzić...

Dotknęły mnie czyjeś dłonie. Wzdrygnęłam się.

Grant przycisnął pierś do moich pleców. Oddychał, potem i ja zaczęłam. Brałam głębokie wdechy. Uświadomiłam sobie, że przez cały ten czas wstrzymywałam dech. Bojąc się zachowywać przed demonem tak, jakbym potrzebowała powietrza.

Obawiałam się samej siebie.

- Maxine - powiedział Grant.

Zdałam sobie sprawę, że się trzęsie. Drży.

- Nic jeszcze nie mów - wykrztusiłam i podniosłam miecz do ust. Pocałowałam ostrze; zamigotało jak miraż i wtopiło się w zbroję. Zbroję także pocałowałam.

- Jack - powiedziałam. I spadliśmy.

Rozdział 12

Kobiety w mojej rodzinie prowadziły dzienniki. Nie po to, by notować własne przemyślenia, ale by nauczać z za grobu.

Jedną z moich protoplastek - Angielką imieniem Re-becca - pisała kiedyś o Królach Kosiarzach. Nie podała dokładnej daty, tylko rok - 1857. Przebywała w Londynie i, wróciwszy z podróży do Afryki, zamierzała się przenieść do Paryża. Miała zamiar badać odległe dżungle, gdzie nie docierali biali ludzie.

Wspomniała o Królach Kosiarzach na końcu i jedynie mimochodem.

Jesteśmy z konieczności samotnymi kobietami, dryfującymi poniekąd w mroku i przemocy. Sądzę więc, że nic w tym dziwnego, iż mam chęć zbadać Czarny Kontynent, o którym tak wielu mówi zarówno z wyższością, jak i obawą. Ja się nie boję, gdyż jestem chroniona; nie uważam się za kogoś lepszego, ponieważ wiem, jak to jest z osądami. Wszyscy jesteśmy

ludźmi we wszelkich dziedzinach, jakie się liczą, ale nie wiadomo dlaczego z małoszkowatych powodów stajemy się ślepi na siebie nawzajem.

Kiedy rozmyślam o ludziach, przychodzi mi na myśl demony. Za zasłoną znajduje się wiele demonów - ich armia jest olbrzymia, jak głosi wieść gminna. Nie wszystkie będą takie same, jak ich bracia - wiem to. Nie wierzę też-po latach polowania na słabsze rasy, które uciekły zza zasłony - że wszystkie demony mają tylko jedno wspólne nerce i jedno oko, którym widzą świat. Tak nie może być. Słabsze boją się swoich Panów - mówiły mi o tym przed śmiercią, jak również o tym, że ich Panowie są bardzo przebiegli i mściwi wobec siebie nawzajem.

Podobnie jak ludzie. Zupełnie jak ludzie.

Myślę, że to gorzej. Gdyż żadna armia skłóconych jednostek nigdy nie była prowadzona lekką ręką.

Królowie Kosiarze rzeczywiście muszą być przerażający.

Gdybym wiedziała, dokąd zbroja nas zabierze, byłabym bardziej konkretna. Powiedziałabym, że Jack może poczekać. Tak samo jak moje pytania. Demony za zasłoną też mogły poczekać i gnić w swoim piekle - podobnie jak ja w swoim. Powiedziałabym to wszystko, gdybym wiedziała.

Razem z Grantem wyszliśmy z pustki prosto do kuchni.

Była to stara kuchnia z kremowymi szafkami, zakurzonymi zasłonami w zielone kropki i linoleum w szachownicę na podłodze, po niemal siedmiu latach wciąż poplamiona krwią, której nawet chłopcy nie byli w stanie usunąć.

Dom. Pomieszczenie, gdzie została zamordowana moja matka.

Przez okna wpadało światło słoneczne. Powietrze smakowało upałem i pachniało stęchlizną oraz zmęczeniem. Nie miałam sił. Moje serce i mózg były gdzie indziej.

Ale kiedy zobaczyłam płamę - gdy to do mnie dotarło -zebrałam się w sobie.

Kolana się pode mną ugięły. Usiadłam ciężko na podłodze, zataczając się do tyłu. Wyciągnęłam się na całą długość, gdyby moje ramiona nie dotknęły starej lodówki. Oparłam się o nią, przytłoczona, zagubiona wśród ścian popękanych jak skorupki jaj, obok blatu z odlepiającym się laminatem. Ciężkie drewniane krzesła i kuchenny stół wciąż stały tak, jak je zostawiłam; podobnie jak tablica, jaką zawiesiłam nad północnym oknem, przez którego szybę wpadł kiedyś pocisk i rozerwał głowę mojej matce.

Wciąż czułam zapach ciasta. Czekoladowego.

- Maxine - powiedział Grant, osuwając się na podłogę obok mnie.

Uniosłam głowę, pragnąc, aby milczał. Za wiele tego wszystkiego. Demony. Moja matka. Ja.

My, odezwał się głos ciemności, zwijającej się pod moim sercem. *To nie jest skomplikowane.*

Traciłam rozum. To było to. Jack się obawiał, że taki właśnie los spotkał moją poprzedniczkę. Traciła rozum na rzecz czegoś spoczywającego wewnątrz - co zarazem było częścią mnie i nie było. Przytłoczona przez głosy, pełzająca z głodu, pożerająca demony...

Czułam popiół w ustach i, krztusząc się, pochyliłam się na bok.

Grant objął mnie ramionami. Próbowałam go odepchnąć, ale był silny, a ja chciałam, by mnie trzymał. Potrzebowałam jakiegoś zakotwiczenia. Zaciśnęłam dłoń na jego koszuli.

- Jestem potworem - oznajmiłam. Pokręcił głową.

- Nic podobnego.

- Widziałeś, słyszałeś...

- Maxine - przerwał mi ostro, ale nie dodał nic więcej.

Przypominałam sobie ten błysk w jego oczach, kiedy patrzył na mnie, jakbym była kimś obcym - a wstyd i żal, które zawyły po tym wspomnieniu, stały się czymś, co ledwie mogłam znieść. Zee się pokręcił, a pozostali zrobili to samo, najpierw mocno, a potem delikatnie, ciągnąc mnie za skórę, aż miałam ochotę uderzyć siebie, ich i w końcu wrzasnąć. To ciało nie należało do mnie. Ani od środka, ani od zewnątrz.

Wpatrywałam się w płamę krwi na podłodze. Moja matka. „Do nikogo nie należysz - mawiała. - Tylko do siebie”.

- Przykro mi - szepnął Grant. - Za wszystko.

Poprosiłam o to - odparłam. - Tamtej nocy. O ciasto, znieruchomiał, a potem rzekł bardzo cicho:

- Maxine.

- Mogłyśmy wyjść - powiedziałam, nie mogąc przestać mówić. - Znaleźć się w jakimś publicznym miejscu. Ale ja chciałam zjeść ciasto. Jej ciasto.

Znowu zamilkł na długą chwilę.

- Nie wiedziałeś, co się stanie. To nie powstrzymałoby niczego.

- Dzień. Jeden dzień więcej. Może dwa, trzy, może tydzień. Wszystko byłoby lepsze. Miałaby więcej czasu. Objął moją dłoń, gładząc kciukiem nadgarstek. Grant był ciepły. Silny. Rozsądny.

Znajomy. Przypominałam sobie, jak kiedyś trzymał mnie w ten sposób za rękę, ale inne wspomnienia były odległe i zwiślały z czubków palców na skraju mojego umysłu. Bałam się ich dotknąć, obawiałam się, że się rozproszą.

- Czy coś ci się stało? - spytałam. - Czy któryś z nich...

- Nie - przerwał. - A tobie? Zamknęłam oczy.

- Nie rozumiem tego, co się właśnie wydarzyło.
 - Powstrzymałaś armię.
 - Niemal się zagubiłam. *Odnalazłaś siebie*, rzekł głos.
 Odsunęłam się od Granta, chcąc wstać, biec... ale musiałam się zatrzymać, bo ogarnęły mnie mdłości.
 Oparłam się na rękach, starając się nie wymiotować. Łokcie mi drżały. Grant położył mi rękę na plecach.
 - Oni nie mogą być Kosiarzami - wyszeptalam. - Moi chłopcy. Ani to coś we mnie.

- Czy to ma znaczenie? Spojrzałam na niego błędnym wzrokiem.
 - Możesz o to pytać?
 - Znam chłopców. I ciebie.

- Zajrzałeś do mojego wnętrza. Tam. Widziałam, jak na mnie patrzyłeś, jakbym była...
 - ...obca - dokończył z powagą.
 To słowo głęboko mnie ukuło. Sprawilo, że poczułam się mała. Odwróciłam wzrok.
 - Dobrze. To... dobrze. Nie jesteś już przy mnie bezpieczny.
 - Mniej mi grozi niż tobie - odparł nieporuszony. - To, co powiedziałem, to nie plama na twoim charakterze, Maxine. Ani odrzucenie.
 Wciąż nie mogłam na niego spojrzeć.
 - Miałam ochotę iść z nimi. Chciałam coś zrobić.
 - To nie byłaś ty.
 - Część z tego wydawała się mną. Pokręcił głową.
 - Widzę cię, Maxine. Widzę twoje wnętrze przez cały czas, codziennie, kiedy patrzę, jak śpisz, kiedy ze mną rozmawiasz albo tylko siedzisz i czytasz lub spoglądasz w przestrzeń, myśląc, że nikt cię nie widzi. Ale ja cię widzę. Wiem, co w tobie drzemie. Ujrzałem to wyraźniej właśnie teraz.
 W końcu spojrzałam mu w oczy.
 - Co zobaczyłeś?
 - To samo, co zawsze. Ciebie. Moc. - Grant wyciągnął rękę i musnął czule kciukiem moje wargi. - Po prostu... moc. Powiedziałaś mi kiedyś, że chłopcy są tylko tak dobrzy, jak kobieta, która im przewodzi. Jedynie tak dobrzy, jak to, co jest tam. - Wskazał na moje serce. - Czemu myślisz, że to coś innego?
 - To jest żywe, głodne. Ma własny umysł. Przejęło władzę nad moim ciałem podczas walki. Może zawładnąć mną na stałe.
 - Ale nie nad nami obojgiem. - Grant pochylił się bliżej, zaglądając mi w oczy. - Nie znaczę dużo, ale zawsze coś. Nie jesteś sama, Maxine, bez względu na to, co się stanie.
 Chciałam mu powiedzieć, że się myli, ale w moim sercu pojawiło się drugie tętno, które wypływało ze światła wiążącego nas ze sobą: to światło, jego światło, tkwiące tak głęboko we mnie jak ciemność skąpana w jego blasku.
Nigdy sama, rzekł ów mroczny duch. *Jesteśmy jednym.*
Wszyscy z nas to jedno i to samo.
 Wzięłam głęboki wdech.
 - Słyszę to w mojej głowie.
 - A więc porozmawiaj z tym - odparł Grant, jak gdyby to była błahostka. - Może wiesz, że to, co myślisz, jest błędne.
 - Błędne - powtórzyłam z niedowierzaniem. - Jeśli przyjmiemy na chwilę, że ten demon miał rację i chłopcy oraz ta rzecz we mnie w jakiś sposób są po części Królami Kosiarzami... - przerwałam z drżeniem, czułam jak wnętrzności podpełzają mi do gardła.
 - Maxine - odparł. - Jeśli oni są, jeżeli ty jesteś...
 Uniosłam rękę, przerywając mu, ale natychmiast musiałam zakryć usta, żeby nie zwymiotować.
 - Nie rozumiesz. Jeśli Królowie Kosiarze wydadzą się na wolność, zniszczą wszystko. Słyszałeś tego demona.
 Chciał, żebym poprowadziła jego podopiecznych na polowanie na ludzi. Żeby się najedli. Słyszałem go. I wiem też, że mu odmówiłaś. Dość stanowczo. - Chwycił mnie za rękę. - Niektórzy nazywają mnie Ustami Światła. I ohydą. Ale ja nie czuję się ani jednym, ani drugim. Wiem, kim jestem. Wiem, na kogo mnie wychowano. I ty też, Maxine.
 Wyrwałam mu rękę.
 - Chcesz mi powiedzieć, że się nie bałam.
 - Byłam przerażony. Gdybym był słabszy, musiałbym teraz zmienić spodnie.
 - To nie jest śmieszne. To coś we mnie...
 - Ocaliło nas. - Potarł swoją pierś. - Mam wrażenie, że to mnie dotknęło.
 Znowu poczułam mdłości. Pochyliłam głowę, zamykając oczy i skupiając się na mrocznym duchu zwiniętym mocno w zakątkach mojej duszy. Wyczuwałam go, oddzielonego ode mnie, jakby był nowotworem z żelaza, ciężkim i nijakim, z metalicznym posmakiem krwi.
 A może tylko ugryzłam się w język. Bolało. Ugryzłam się znowu.

Trzymaj się od niego z daleka, powiedziałam do ciemności tkwiącej we mnie. *Me zbliżaj się do niego*. Poczulałam, jak to coś się uśmiecha, i odwróciłam głowę od Granta, bojąc się, że moje usta odzwierciedlą zadowolenie tej tkwiącej we mnie istoty.

My jesteśmy tobą, ty jesteś nim, a on jest tobą. Wszyscy stanowimy jedność, jesteśmy razem, szepnął miękki głos. *Me możesz przerwać tej więzi, teraz, kiedy jej posmakowaliśmy*.

Nie pozwolę ci go skrzywdzić.

Nie krzywdzimy samych siebie.

Wierzyłam w to. Ale istniały inne sposoby zaszkodzenia komuś, a ta rzecz we mnie działała, opierając się na innych standardach dotyczących dobra i zła. Wciąż czułam w ustach smak tamtego popiołu i ból bezmiennego pragnienia, którego, jak sądziłam, nigdy nie da się zaspokoić.

Łowy, a będziesz zadowolona, powiedział głos. *Skosztuj śmierci, a twoje pragnienie się zmniejszy*.

Odczep się, pomyślałam i otworzyłam oczy - tuż przede mną widniała stara plama krwi. Wpatrywałam się w nią, a potem wyciągnęłam rękę i przycisnęłam ją do matowego skrawka linoleum. Nie poczułam nic, ale Dek szarpnął mnie za skórę, Zee przetoczył się we śnie i wszyscy chłopcy stali się niespokojni.

- To coś dotknęło cię przez nasze połączenie - powiedziałam. - Jeśli zrobi to jeszcze raz...

Nie zdołałam dokończyć. Grant spojrział na mnie ostro.

- Skąd wiesz o tym powiązaniu?

Ze znuzeniem wzruszyłam ramionami.

- Może pamiętam pewne rzeczy.

Miłość. Przyjaźń. Akceptację. Wszystko, czego straty nie mogłabym znieść. Wszystkich powodów, których potrzebowałam, żeby uchronić go przed sobą.

W drugim pomieszczeniu zaskrzypiała deska w podłodze. Zesztywnieliśmy, wpatrując się w otwarte drzwi. Usłyszałam nowy skrzyp.

Stary wiejski dom. Niemal wszystkie zawiasy, schody i deski miały swoją pieśń, którą rozpoznawałam nawet po siedmiu latach. Wciąż słyszałam na podłodze kroki swojej matki, a także własne i chłopców; trudno było oddychać.

Wstałam, gestem nakazując Grantowi, żeby się nie podnosił. Przeskoczyłam przez głośnie miejsca na kuchennej posadzce i zajrzałam do salonu. Tam w mroku stała Posłanniczka. Była sama, zwrócona twarzą w stronę kuchni. Widząc ją w domu mojej matki, poczułam się nieswojo. Nikt nie powinien tu być. Nawet ja.

Stanęłam w jej polu widzenia. Posłanniczka się nie poruszyła ani też nie dała znać, że mnie dostrzeża. Gapiła się tylko obojętnie, jakby była myślami daleko.

Laska Granta zastukała na podłodze. Kobieta poruszyła się dopiero wtedy, gdy znalazł się w zasięgu jej wzroku. Ale tylko nieznacznie. Było to mrugnięcie, zaciśnięcie ust. Drzenie.

- Ocaleliście - szepnęła.

- Myślałaś, że nie przeżyjemy? - spytałam ostro. Grant dotknął moich pleców. Ostrzegając. Jego dotyk wywołał wrażenie déjà vu, napływ wspomnień, które bardziej czułam, niż widziałam, znikających natychmiast gdzieś w głębi mojej głowy. Staralam się nie chwiać.

- Nie wiem, co myśleć - odparła zwyczajnie. - Uciekliście?

- Walczyliśmy - odrzekł jej Grant. - Odparliśmy ich. Całe jej ciało drgnęło.

- Gdzie Jack? - zapytałam.

- Co to za miejsce? - odpowiedziała pytaniem Posłanniczka. Jej głos wydał mi się głuchy i słaby. - Wyczuwam coś w tych ścianach. Echa. Tu mieszkał ktoś silny. - Utkwiła we mnie twarde spojrzenie. - Osoba podobna do ciebie.

Nic nie powiedziałam. Przeszłam przez salon w stronę frontowych drzwi. Chłopcy śpiący na mojej skórze szarpnęli lekko do tyłu, w kierunku kuchni, przypominając sobie. Dotknęłam klatki piersiowej, a potem przyjrzałam się swoim wytatuowanym rękami. Dek i Mai wpatrywali się czerwonymi połyskującymi oczami. Raw i Aaz przywarli mocno, grzejąc moje nogi.

Moi chłopcy.

Stałam na zadaszonym ganku, wyglądając na zewnątrz. Było późne popołudnie. Oślepiająco błękitne niebo i złocista łąka, rozciągająca się daleko, jak sięgał wzrok. Żwirową drogę dojazdową pozarastały chwasty, farba odłaziła, ale poza tym w ciągu siedmiu lat niewiele się zmieniło. Czas zamarł tego wieczoru w dzień śmierci mojej matki i tylko ja byłam inna.

Wszystko we mnie się zmieniło.

Upajałam się świeżą wonią dzikich traw i czystego, gorącego wiatru. Wczesna wiosna w Teksasie była przyjemna, miła dla oka. Już zapominałam, jak wygląda słońce.

Ukochany świat, pomyślałam, drżąc, a potem zwróciłam się do tkwiącej we mnie ciemności: *To wspaniały, piękny świat. Nie pozwolę ci go zniszczyć. Nie dopuszczę do tego, żebyś się mną posłużyła, by mu zaszkozić.*

Nie otrzymałam żadnej odpowiedzi.

Wciąż czułam w dłoni ciężar miecza. W głowie słyszałam krzyki. Krew, wojna, śmierć. Chwyciłam się balustrady, opierając się o nią mocno, i w pewnej odległości koło starych dębów, na niewielkim wzniesieniu obok strumienia, dostrzegłam poruszenie. Wpatrywałam się przez długi czas, obserwując siedzącą na trawie

zgarbioną postać, przepelnioną strachem i pragnieniem. Moim czystym pragnieniem, nie pochodzącym z ciemności, która zwinęła się teraz, jakby śpiąc.

Pozerka, powiedziałam do niej.

Opuściłam ganek i przeszłam przez podjazd na trawę. W zasięgu wzroku wciąż miałam dęby oraz siedzącego tam nastolatka.

Jack był zwrócony do mnie plecami, a ja wcale nie skradałam się cicho. Wiedział, że się zbliżam. Siedział, opierając podbródek na kolanach, i grzebał rękami w ziemi, chwytając kępki trawy i wpatrując się w grób mojej matki.

Mogła nie była oznaczona; leżała tu tylko wielka płyta z wapienia, którą umieścili tam chłopcy Zee pazurami wyrył w skale imię mojej matki. Tego wieczoru, kiedy zginęła, byliśmy wszyscy razem. Chłopcy wykopali grób. Ja siedziałam przy ciele. Pochowaliśmy ją i odeszłam z tego miejsca dopiero następnego dnia po zachodzie słońca.

Minęło siedem lat. Wszystko wyglądało tak samo, tylko trawa urosła.

- Jesteś bezpieczna - powiedział Jack, nie patrząc na mnie.

- Wiedziałeś, że będę - odparłam. - W każdym razie jeśli chodzi o moje ciało.

- To istotne rozróżnienie. - Jack wpatrywał się w swoje dłonie. - A co z Grantem?

- Żyje. - Usiadłam obok niego i dotknęłam płyty nagrobnej mojej matki. - Oni nazywają siebie Mahati.

Zadrzał.

- Zwiadowcy.

- Chcieli, żebym im przewodziła. Jack spojrzął mi w końcu w oczy.

- Co im odpowiedziałas?

- Siedzę tutaj. Więc jak myślisz?

- Wydaje mi się, że... - zaczął powoli, ale zaraz przerwał. - Nie mam pojęcia, co myśleć, moja droga.

Imię mojej matki na kamieniu wyglądało surowo, litery zostały wyryte tak głęboko, że palec wchodził w wyżłobienia. „Jolene Kiss. Córka Jean”.

Przycisnęłam czoło do płyty.

- Chciałam się zgodzić. Pragnęłam tego, Jack. Chciałam poczuć tę moc.

- Władza nad życiem i śmiercią - powiedział. - Jeśli ktoś raz tego posmakuje, nigdy już nie odejdzie.

- Mówisz z własnego doświadczenia?

Odwrócił spojrzenie i utkwił wzrok w grobie mojej matki. Zrobiłam to samo, starając się nie myśleć o jej pogrzebie. Usiłując przypomnieć sobie jej twarz, cierpki uśmiech, błysk w jej oczach.

Utrwaliłam w pamięci jej wizerunek, po czym położyłam się na trawie i słuchałam wiatru, spoglądając w błękitne niebo. Żadnych rozpadlin, nigdzie. Żadnych oznak kłopotów. Jedynie kolejny dzień i kolejna noc dla sześciu miliardów ludzkich istot.

- Nie przyjeżdżam tutaj zbyt często - powiedział Jack. - Szkoda.

- Mnie nie było przez siedem lat. - Zamknęłam oczy, oddychałam z trudem, bo coś uwięzło mi w gardle. - Jack... Kim jestem? Powiedz prawdę. Tylko tego chcę. Żadnych zagadek.

- Żadnych zagadek - powtórzył i usłyszałam szuranie w trawie. Odemknęłam lekko jedną powiekę i to wystarczyło, bym ujrzała Granta, który do nas podszedł. Wyglądał poważnie, ale potężna stabilna moc płonęła w głębi jego oczu. Mogłabym nazwać to współczuciem lub wiarą, ale było to coś jeszcze głębszego, na co nie znalazłam określenia. Czułam się tak, jakby w moje serce wtłoczono słońce - nieokiełznane światło, potężniejsze niż moje życie, ale tak bardzo należące do mnie, że wydawało mi się, iż wciąż będę płonąć, nawet gdy umrę.

On został z tobą. Walczył u twego boku. Nie cofnął się. Mój mężczyzna, pomyślałam.

Wyciągnęłam ramię. Najpierw usiadł ciężko obok na trawie, połaskotał moją rękę palcami, a następnie ujął ciepłą dłoń. Jack patrzył na nas z rozżaleniem w oczach, z jakąś bolesną tęsknotą.

- Nie wiem, gdzie Jeannie jest pochowana - rzekł cicho.

- Ani ja - odparłam. - Mama nigdy mi nie powiedziała.

Jack pochylił głowę, przesuwał rękami - rękami Byrona - po twarzy. Nie mogłam oddychać, patrząc na niego. Ani też myśleć czy się poruszyć. Nawet Grant znieruchomiał.

- Przegrywaliśmy tę wojnę - powiedział Jack. Czekałam, ale nie dodał nic więcej, nie od razu. Grant przyciągnął mnie nieco bliżej. Nie opierałam się, nie myślałam o wszystkich powodach, dla których miałabym to robić. Zdaje się, że przechodziłam to wiele razy przez ostatnie dwa lata. Wciąż byliśmy razem. Pewne sprawy w życiu były po prostu trwałe, i tyle.

- Stary Wilku - powiedziałam.

- Maxine - odparł ochryplym głosem. - Mój gatunek nie mógł opanować armii demonicznych panów, a oni polowali na istoty ludzkie, na naszych ludzi, żeby zdobyć pożywienie i niewolników. Moglibyśmy to ścierpieć, bo mieszkaliśmy w wielu światach, ale nie moglibyśmy znieść istnienia Królów Kosiarzy.

Zee, pobudzony, pociągnął mnie za skórę.

- Oni mogli zabić twój gatunek.

- Nie mogliśmy się przed nimi ukryć. To tak, jakby wyczuli nas w powietrzu. Pięć demonów z jednym wspólnym umysłem, mających niewyobrażalną moc, Maxine. Ale nie mogę ci powiedzieć, co wyprawiali.

- Nie próbuj - odparłam. - Naprawdę tego nie rób. Nie byłam pewna, czy Jack mnie słyszy; jego wzrok wydawał się taki odległy.

- Nikt nie sądził, że to podziała, ale byliśmy zrozpaczeni. Potrzebowaliśmy czegoś, co ich pokona, oddzieli od ogromu ich mocy. Tak więc znaleźliśmy wśród ludzi kobietę i odpowiednio ją zmodyfikowaliśmy. A potem... potem połączyliśmy z nią Kosiarzy. Zwiąaliśmy ich ze śmiertelnym ciałem na poziomie... kwantowym. Grant zacisnął dłoń.

- Jak to w ogóle możliwe? Wiem, że to zrobiliście, ponieważ Maxine jest dowodem, ale jak?

Jack pokręcił głową.

- Nie potrafię tego wyjaśnić. Musielibyście być nami, żeby to zrozumieć. Tego, co zrobiliśmy tamtego dnia, nie dałoby się już powtórzyć. To była sprawa... szczęścia i mocy. Musieliśmy użyć więcej mocy, niż ktokolwiek z nas sobie wyobrażał. Wielu zmarło przy tworzeniu tego więzienia. Nawet ja sam omal nie straciłem życia. A nawet wtedy zawsze... zawsze wiedzieliśmy, że to nie przetrwa.

- Jack - wykrztusiłam.

- Istnieją dwa więzienia - ciągnął, mrugając, by strząsnąć łzy. - Pierwsze zobaczyłaś dzisiaj. To miejsce poza tym światem; tam przebywa armia. Ale nie jest to więzienie, którego pilnowali Strażnicy przed tysiącami lat. I nie ono zniszczy świat, kiedy się zawali. - Jack zatrząsł się, spoglądając na swoje dłonie, na poplamione czarną farbą, obgryzione do żywego mięsa paznokcie. - Ty jesteś tym drugim więzieniem, Maxine. Twoje ciało i dusza. Gałąź twojego rodu. I to jedyne więzienie, które się liczy. Z powodu demonów, jakie masz w sobie...

- Królów Kosiarzy - wyszeptalam, a chłopcy się poruszyli. Położyłam rękę w miejscu, gdzie spał Zee. Poczulałam mdłości i zawrót głowy, czułam się taka mała.

Potrzebowałam matki, ale ona była w grobie.

- Moi chłopcy - zachrypiałam. - Moi chłopcy nie są tacy, Jack.

- Zmienił się - przyznał. - Ale nie wiem, czy dlatego, że zostali odseparowani od mocy, która ich stworzyła... czy też naprawdę stali się inni. Dziesięć tysięcy lat to niezbyt długo, moja droga.

- To długo, jeśli jest się śmiertelnym - zagrmiał Grant, obejmując mnie tak mocno, że ledwie mogłam oddychać. Wciąż jednak niedostatecznie. Splotłam palce z jego palcami, a on przyłożył szorstki, kłujący podbródek do mojego ucha.

Znowu ogarnęło mnie deja vu, przyływ świadomości, przekonanie, któremu towarzyszyły błyski wspomnień, a szczególnie jednego: siedzimy razem tak jak teraz, na łóżku; duża dłoń Granta rozczapierzona na moim brzuchu i jego szept: „Pewnego dnia chciałbym zostać ojcem”.

Wciągnęłam gwałtownie powietrze. Grant objął mnie mocniej i rzekł chłodno:

- Jack, Maxine niczego nie zniszczy.

- Zniszczenie i odrodzenie ściśle wiążą się ze sobą - odparł cicho mój dziadek, spoglądając na grób mojej matki. - Są tym samym. Wszystko się rozpada. A kiedy się rozpadnie, rodzi się ponownie.

- Nie jestem zła - powiedziałam. Jack spojrzela na mnie ostro.

- Wiem. Jesteś dobrym człowiekiem. Dlatego właśnie przyszedłem do ciebie zeszłego wieczoru. Chciałem, żebyś wiedziała. Tym razem chciałem postąpić inaczej. Twoja poprzedniczka straciła rozum i w szaleństwie, pod wpływem wściekłości, niemal zniszczyła świat. Zasłona była wtedy mocna, nie tak jak teraz, ale nawet wtedy zdawało się, że ona jest w stanie dotrzeć do kontrolowanej energii Królów Kosiarzy. Czasami myślę, że gdybym jej wtedy po prostu powiedział, pomógł jej zrozumieć... - przerwał, pocierając twarz. - Byłem zbyt zły, zbyt związany tajemnicami. I obawiałem się jej. Żałośnie się jej bałem.

Ona lekka się sama siebie, rzekła ciemność, jej głos przepływał przeze mnie. Ale wciąż poluje. Wstrzymałam oddech.

- Wy, nieśmiertelni - odezwał się Grant - tak wielu rzeczy się boicie. Znam dzieci, które mają więcej odwagi.

- I ja też - odparł Jack, dotykając płyty nagrobnej mojej matki z tak wielką czcią, że aż serce się krajało. - Dużo się od nich nauczyłem.

Zbyt wiele było tego wszystkiego. Wyzwoliłam się z objęć Granta.

- Co mam robić?

- Nic. Tylko być sobą.

- Sobą - powtórzyłam. - Nie byłam sobą teraz, kiedy walczyłam z demonami. Pozwoliłam tej rzeczy we mnie przejąć kontrolę. I to było... całkiem dobre.

- Maxine - rzekł ostro Grant, dotykając mojej ręki.

Spojrzałam na niego i poczułam zaskoczenie - nie tylko z powodu ostrzeżenia malującego się w jego oczach, ale też tego, co usiłował mi przekazać. Od dawna nikogo nie znałam aż tak dobrze.

I wtedy nagle wydało mi się, że to wcale nie trwa długo.

Pamiętałam go. Przypomniałam sobie uczucie, jakiego doznałam, napotykając w tłumie jego wzrok, a także przekonanie, że wiem o nim wszystko, wystarczył krótki uśmiech, błysk w oku. To cenne ziarenko pamięci osiadło, ogrzewając moją pierś.

Później, przekazał mi wzrokiem. Porozmawiamy później.

Kiedy będziemy sami. Z dała od Jacka.

Zerknęłam na dziadka i zobaczyłam, że przygląda się nam z wahaniem. Gdyby nie jego oczy, można by pomyśleć, że siedzi tam Byron. Miałam ochotę położyć głowę na trawie, stać się znowu małą dziewczyną i zaszczoać. Wyplakać wszystkie łzy.

Ale to nikomu nie zapewniłoby bezpieczeństwa.

Trzymałam się niepewnie na nogach, patrząc w dół wzgórza na wiejski dom. Na ganku stała Posłanniczka i czekała na nas.

- Co z nią? - spytałam.

Grant podążył wzrokiem za moim spojrzeniem, milczał przez długą chwilę.

- Otworzyłem jej oczy - rzekł w końcu cicho.

- Co to znaczy?

- Zniszczył jej uwarunkowania. - Jack otwarcie przyglądał się Grantowi. - Do tej pory nikt tego nie zrobił.

- Bo nikt nie próbował.

- Dawno temu niektórzy próbowali z innymi Posłanniczkami, innymi potomkami uprowadzonych Ust Światła. - Uśmiechnął się gorzko. - Ale nie wydaje mi się, żebyście teraz mieli ochotę wysłuchiwać tej historii.

Grant ściągnął brwi, jakby się z tym nie zgadzał.

- Wiem, kiedy kłamiesz, staruszk. Potrafię cię przejrzeć. Jak to jest, że ona tego nie robi?

- Nie potrafi czytać w myślach przedstawicieli mojego gatunku. Dla niej i dla jej podobnych jesteśmy jak niezapi-sane tablice. To była pierwsza rzecz, jaką zmodyfikowaliśmy. Prawda jest trucizną, młody człowieku.

Spojrzałam na swojego dziadka, który siedząc przy grobie córki, wydawał się taki mizerny i samotny. W tych jego skradzionych oczach, w skórze, którą sobie przywłaszczył, widziałam starca, i to mnie zabolalo. Podeszłam bliżej, położyłam mu dłoń na ramieniu i pocałowałam w czubek głowy. Jack znieruchomiał i wstrzymał oddech.

- Nie tak wczoraj zareagowałam, prawda? - stwierdziłam ponuro.

- Nie chcę sobie przypominać twojej reakcji - odparł cicho. - Z perspektywy czasu prawdopodobnie najlepiej, żebyś i ty o niej zapomniała.

Mogłam z tym żyć. Zerknęłam na Granta.

- Czy ona stanowi jakieś zagrożenie?

- Nie dla mnie - odrzekł cicho. - Przypilnuję jej. Skinęłam głową i jego również pocałowałam, w usta.

- Kocham cię - szepnęłam mu do ucha tak, żeby tylko on to usłyszał.

Oddaliłam się, nie spoglądając za siebie.

Rozdział 13

Moja matka na całym świecie miała wiele domów i majątków ziemskich, które odziedziczyła po swoich poprzedniczkach. Większości z nich nie przekroczyłam nawet progu, a w tych, które odwiedziłam, nigdy nie mieszkałam dłużej niż rok. Teraz wszystko należało do mnie. Ale nie myślałam o tym zbyt wiele.

Idąc jednak aż do zachodu słońca, nie zobaczyłam ani jednego płotu, ani jednej ludzkiej istoty.

Znajdowałam się w starym sosnowym lesie, gdy słońce się zniżyło, osiadając na miękkiej połaci ziemi. Poczułam mrowienie, ciężar nocy napierający na moją skórę. Wiedziałam dokładnie, w którym momencie horyzont pochłoniął słońce.

Chłopcy się przebudzili.

To stało się szybko. Przewróciłam się do tyłu, mając wrażenie, jakby gorące ostrza żyłek żywcem obdzierały mnie ze skóry: między nogami, pod paznokciami, na piersiach i ramionach. Wszędzie, gdzie spali chłopcy, w każdej części mojego ciała, z którego się odlepiali.

Zsuwali się ze mnie z bólem. Zaciśnęłam zęby i zniosłam to, patrząc, jak spod mojego ubrania wydostaje się dym drżący od czerwonej błyskawicy. Ich przebudzenie nie różniło się od wszystkich innych, jakie obserwowałam od czasów dzieciństwa - najpierw na mojej matce, a potem na sobie.

Teraz jednak odczuwałam je inaczej. Zobaczyłam to innymi oczami.

Dwa długie ciała owinęły się wokół mojej szyi, gorące języki pieściły uszy i nagą czaszkę. Zamknęłam oczy i słuchałam, jak urocze wysokie głosiki nuca piosenkę: *I Just Called to Say I Love You*.

I love you, I love you, przypomniałam sobie z bólem w sercu. Nigdy nie uważałam siebie za szczególnie niewinną, ale teraz poczułam, jakby nóż wbił się we mnie i uśmiercił tę część, która była jeszcze zdrowa i młoda.

Drobne dłonie zakończone pazurami owinęły się ciasno wokół moich rąk. Takie znajome i ciepłe.

- Słyszałeś - powiedziałam. - Słyszałeś wszystko.

- Tak - odparł Zee głosem zachrypłym od żalu.

Przekręciłam się na drugą stronę, drżąc. Raw i Aaz przywarli do moich pleców, a ich ciała grzały jak ogień. Dek i Mai owinęli się ciasniej wokół mojej szyi. Zee zgarbił ramiona i powłóczył nogami. Jego kolce opadły.

- Wiedziałeś - stwierdziłam.

- To było jak zły sen - odparł cicho. - Dawny sen, gwałtowny jak oberwanie chmury.

Gapiałam się, bezradna i przerażona.

- Ale żaden z was nie jest...

Nie wiedziałam, jak dokończyć. Co miałam powiedzieć? Że żaden z nich nie jest nikczemnikiem? Że Królowie Kosiarze nie czepiają się kurczowo pluszowych misiów ani nie czytają „Playboya”? Że najgorsze i najbardziej niebezpieczne z demonów nie potrafią kochać? I nie potrzebują miłości.

A przecież wiedziałam, że oni to potrafią. Moi chłopcy kochali. Zawsze zdawałam sobie z tego sprawę. Oprócz mojej matki właściwie oni mnie wychowali: zmieniali mi pieluchy, karmili z butelki, kładli spać. Śpiewali mi kołysanki i uczyli czytać. Miałam nawet o nich wizję z przeszłości, jak wychowywali osieroconą Tropicielkę - noworodka. Wciąż widzę ich, jak śpiewają pieśń żalobną na pogrzebie matki tego dziecka, a potem zabierają dziewczynkę, chronią ją, troskliwie obejmują. I nie tylko dlatego, że od tego zależało ich przetrwanie... ale dlatego, że ją kochali.

To nie mogło być udawane. Moi chłopcy nie potrafiliby udawać.

- Maxine - szepnął Zee. - Boimy się.

Ja też się bałam. Raw objął mnie ramionami, przyciskając twarz do moich pleców. Aaz przesunął się parę kroków w bok i chwilę później wrócił, żeby wcisnąć mi w ręce papierowy kubek. Ze Starbucksa. Poczulałam zapach gorącej czekolady.

Tak. Z pewnością byliśmy zwiastunami apokalipsy.

Usiadłam - Raw wciąż do mnie przylegał - i napiłam się czekolady. Dzięki temu poczułam się lepiej. Bardziej zakorzeniona w ziemi. Wytrzymałam spojrzenie Zee, zastanawiając się nad wszystkimi dziwnymi rzeczami, o których słyszałam od lat - od Ahsen, Króla Erl, a nawet od Krwawej Mamuśki. Pomyślałam o matce i Jacku. Strzępy pamięci, rzeczy, które nigdy nie miały sensu. Części układanki wpadające na swoje miejsce.

Wciąż jednak było tego za dużo. Czulałam, że tonę. Chwyciłam Zee za rękę, ale on tylko kołysał się na piętach i drżał. Wydawał się taki mały.

- Dlaczego się obawiacie? Skoro zawsze wiedzieliście, czego możecie się bać? Wy, Królowie Kosiarze - wypowiadając to imię, miałam ochotę się skulić. Samo myślenie w taki sposób o Zee wydawało się śmieszne.

On jednak zamknął oczy, jakby słuchanie tego określenia, wypowiedzianego na głos, było dla niego wręcz nie do zniesienia.

- Przemilcz to imię - powiedział.

- Ale tym właśnie jesteście, prawda?

Mały demon warknął - wszyscy chłopcy to zrobili - ale nie na mnie. Zupełnie jakby to imię - to straszliwe określenie, sama myśl o nim - sprawiało im ból.

Zee oderwał się ode mnie.

- Nie my. Dawne czasy odeszły. Nie my, Maxine.

Rozsiadłam się wygodniej, wpatrując się w niego. Ręce Rawa zacisnęły się mocniej wokół mojej talii, podczas gdy Dek i Mai stanowili przyjemne i solidne obciążenie. Aaz podłubał w nosie, zlizął czarny dymiący glut z czubka swojego pazura i spojrzał na mnie, szczerząc zęby w słabym uśmiechu.

Nie potrafiłam odwzajemnić tego uśmiechu. Zee nie patrzył na mnie, tylko spuścił wzrok, jak gdyby obawiał się spojrzeć mi w oczy. Jakby się mnie bał.

Wiele rzeczy mogłam znieść, ale nie to. Nie w tym życiu. Nieważne, co było prawdą. Prawda to kit. Nie zawsze była realna.

Prawdziwe było to, co się czuło. To, co się wiedziało w głębi serca.

- Hej - zawołałam cicho. - Spójrz na mnie.

Zee zrobił to niechętnie. Znowu chwyciłam go za ramię, tym razem po to, by przyciągnąć go bliżej.

- A swoją drogą, kim są te palanty, Królowie Kosiarze? Mam ich w nosie. Nie mają nic wspólnego z moimi chłopcami. Moimi odważnymi, groźnymi chłopakami.

Zee pochylił głowę.

- Maxine.

- Jesteśmy rodziną czy nie? - Przesunęłam ręką po ostrej twarzy Zee, zanurzając palce w jego najeżonych włosach, i odchyliłam mu głowę do tyłu, żeby spojrzał mi w oczy. - Czy jesteśmy rodziną? - powtórzyłam pytanie.

- W naszej krwi, poza śmierć - zachrypiał.
 - A więc nie bójcie się - oznajmiłam ponuro. -1 ja też nie będę się bać.
 Zee wpatrywał się we mnie - wszyscy chłopcy patrzyli na mnie nieruchomym wzrokiem - i ujrzałam w jego oczach coś, dzięki czemu ucieszyłam się, że żyję, że jestem tutaj tym, kim jestem, z całym obciążeniem i zagrożeniem, jakie się z tym wiąże. Nie potrafiłam ani nie chciałam tego nazwać, ale czułam to tak mocno jak życie. Wiedziałam, że chłopcy również to wyczuwają.
 - Trudna droga - wyszeptał Zee.
 - Jak zawsze - odparłam. - Ale mamy twarde głowy. Zee zacisnął powieki, gwałtownie wypuścił powietrze i, wstrzymując oddech, obnażył zęby w uśmiechu.
 - Tak - powiedziałam. - O to mi chodzi.
 Puściłam go. Cofnął się, ale tylko trochę. Zostawił jedną szponiastą dłoń na moim kolanie. Dek i Mai mruclili tak głośno, że aż drżały mi błony bębenkowe. Raw i Aaz zwalili mi się na kolana. Wyciągnęli gdzieś z mroku czapki baseballowe - tym razem drużyny Yankees - i wcisnęli sobie na głowy. Pociągnęłam za daszki, ściągając je w dół.
 - Mama wiedziała - stwierdziłam. - Czy tak?
 - Prawda. - Zee zgarbił się, teraz w mroku przypominał grzyb. - Wszelkie rodzaje prawdy.
 - Jack jej powiedział.
 - Nie. - Demon przesunął pazurem po opadłych sosnowych igłach, tworząc krąg splątanych linii, układających się w węzeł. Super.
 - Labirynt. - Dotknęłam tego kręgu. - Ona była w Labiryncie. Zanim miała mnie.
 - Ześlizgnęła się w bok. Wypadek. - Zee się zawahał. - Poszła złymi drogami.
 - Dziwne, że tam się o was dowiedziała. Dziwne, że znalazła w Labiryncie kogoś, kto znał prawdę.
 Zee poruszył się niespokojnie. Wszyscy chłopcy tak zareagowali. Chciałam zapytać o coś więcej, ale znałam to spojrzenie: żadnych odpowiedzi na ten temat dziś wieczorem.
 Położyłam się i wszyscy chłopcy przysunęli się bliżej, napierając na mnie, obejmując ramionami moje ciało. Przytuliłam ich. Poprzez kołyszące się gałęzie sosen spoglądaliśmy w górę na pierwsze wieczorne gwiazdy.
 - Co pamiętacie? - spytałam cicho. - Z czasów poprzedzających... to?
 - Głód - odparł Zee. - Ciemność i głód.
 Dotknęłam swojej klatki piersiowej.
 - To właśnie jest we mnie. To coś... jest częścią mnie. Zee milczał. Raw i Aaz drżeli, a Dek i Mai nucili *Ask the Lonely* grupy Journey. Zamknęłam oczy.
 - Powinniście powiedzieć mi dawno temu. Wolałabym usłyszeć to od was. Nie od tamtych demonów. Ani od Jacka.
 - Prawda bodzie - mruknął Zee. - Prawda nas kole. Przestraszyła cię, zraniła, spaliła twoje serce na wiór. Ta prawda zrujnowała twoje życie. Stara matka czuła to samo. Dawała ci wskazówki, zagadki. Żeby ci było łatwiej. Żeby cię ocalić.
 - Ocalić mnie - powtórzyłam. - Przed tym?
 Zee położył swoją szponiastą łapę na mojej piersi tuż nad sercem.
 - Najgorszą częścią nas.
 Łzy piekły mnie w oczach i gardle, do tego doszło poczucie bezradności tak wielkie i straszne, że myślałam, iż mnie to rozerwie.
 - Jak? Jak zamierzała mnie ocalić?
 - Twoje serce - zachrypiał. - Kochane serce. Słodka Maxine.
 Moja matka była dobrą kobietą, ale niezbyt miłą. Twardą jak gwóźdź. Uśmiech i rozbawienie nigdy nie przychodziły jej łatwo. Mnie też wychowała na dobrego i silnego człowieka, ale nie uczyła, jak być słodką i miłą. Pokazywała tylko, co jest właściwe. Zawsze, bez względu na wszystko.
 Położyłam rękę na dłoni Zee.
 - Co się stanie, kiedy zasłona opadnie? Zee położył głowę na moim brzuchu.
 - Tajemnica. Staniemy się tym, czym byliśmy, albo ty staniesz się... czymś innym.
 - A jeśli umrę pierwsza? Wszyscy chłopcy zeszywnieli.
 - Nie - odparł Zee.
 - To byłoby warte poświęceń.
 - Nie - zaprzeczył ponownie. - Lepsza szansa, kiedy jesteś żywa.
 - Jaka szansa?
 - Zawsze szansa. Różne możliwości. - Zee zamknął oczy. - Zamieszkiwać tam.
 Potarłam mu głowę.
 - Czemu się tym przejmujesz? Jestem waszym więzieniem. „Wszystkie z nas były waszym więzieniem”.
 - To nie tajemnica. Wiadomo, że zostaliśmy pojmani.
 - Ale wy nie jesteście tylko demonami. To, czym jesteście...
 - Pięcioma sercami - wychrypiał Zee, pukając mnie pięć razy w pierś. - Pięć serc. Teraz szóste. Teraz siódme. Za jakiś czas będzie osiem. Wszystkie jednym. Wszystkie silne.

Ujęłam jego dłoń.

- Moje jest szóste.

- Usta Światła siódmy. Dziecko, dziewczynka, kiedy w przyszłości zakwitnie...

- Ósma. - Wzięłam głęboki wdech. - Czemu cię to obchodzi, Zee?

Raw i Aaz szeptali coś do siebie. Dek i Mai przestali nucić.

- Wściekaliśmy się - mruknął Zee. - Przez wiele żywotów wpadaliśmy w szal.

Czekałam na dalsze wyjaśnienia, ale nic już więcej nie powiedział. Nie nalegałam. Miałam na to ochotę, ale się bałam - jak gdybym stała na skraju straszliwej przepaści, zejścia w niekończącą się ciemność, i wiedziała, że wystarczy jeden niewłaściwy oddech, drobny ruch w złą stronę, a wpadnę tam. Przepadnę na zawsze.

Chłopcy byli Królami Kosiarzami. Moje chłopaki. Moi mali groźni chłopcy. Nie pojmowałam tego.

Nie rozumiałam tego, z czego się składałam.

Zee poklepał mnie delikatnie po głowie.

- Odpocznij, Maxine. Strzeżemy twoich snów.

- Pilnujcie Granta i Jacka - rzuciłam, przysmykając oczy. - Posłanniczka wciąż jest z nimi. Jeśli spróbuje coś...

- Zabijemy ją.

Nie sprzeciwiłam się, ale myśl o kolejnej śmierci przygnębiła mnie i zrobiło mi się niedobrze. Nie miałam prawa odbierać jej życia. Teraz jeszcze mniej niż przedtem. Nie chodziło o to, że mam coś do udowodnienia. Po prostu jeśli oni wszyscy mieli rację, moja zdolność niszczenia stała się niewyobrażalna. Czując się tak, jak się czułam, musiałabym odłożyć miecz i wcielić się w nowego Gandhiego.

- Nie mam pojęcia, co zrobię - powiedziałam.

Zee nic nie odpowiedział. Chodziło mi tylko o to, by zamknąć na chwilę oczy. Mieć trochę spokoju, razem z chłopcami. Może byliśmy potworami, ale nie dla siebie.

Dek i Mai śpiewem ukołysali mnie do snu.

Śniłam i nikt mnie nie uratował. Wcześniej przepadłam w ciemności. Zagubiona na Ziemi Jałowej, miejscu wewnątrz Labiryntu poza drogą światów, gdzie życie i sny popadły w zapomnienie. W lochu dla duszy.

Uciekłam, co nikomu innemu się nie udało. Żyłam tam, kiedy w ogóle nie powinnam istnieć, ale chłopcy podzielili się ze mną swoją siłą, a wreszcie oddechem i utrzymali mnie przy życiu.

Gdybym umarła, oni też by zginęli. Tak to było. Ale nie wiedziałam już, czy to prawda. Nic nie było prawdziwe. *Oprócz twojego serca*, usłyszałam szept matki. Nie było jej w moim śnie. Znajdowałam się z powrotem na Ziemi Jałowej; tyle że płatanina ścieżek, przez które szłam, uczyniona była z ciała, a nie z kamienia, i nie przebywałam w Labiryncie, lecz w brzuchu wielkiego wyrma.

Były w nim gwiazdy, połyskujące w ciemności jego brzucha, a za nimi zobaczyłam wirujące, obracające się leniwie szczyty galaktyk.

jesteśmy ogromni, szepnął głęboki, cichy głos. jesteśmy drugą stroną światła. Zrodzeni z pierwszej iskry, początkowej chwili i z pierwszego oddechu ust, które się otworzyły i nigdy nie zamknęły. Nadal są otwarte i nigdy się nie zamykają, a z nich wyłaniają się światły oraz sny, a także ogień niezliczonych gwiazd. Jesteśmy więksi od gwiazd, bo starsi, śpiewaliśmy u kolebki nowego życia i skosztowaliśmy go.

Zawsze musimy posmakować. Bo jesteśmy wiecznie głodni.

Gwiazdy zamigotały, gasnąc.

Ale są rzeczy, których nigdy nie poznaliśmy.

Galaktyki znikły.

I tak trwamy.

Brzuch wyrma się rozplynął.

Słuchając drugiej strony światła.

Zaczęłam spadać, zanim głos przebrzmiał, a te słowa ściagały mnie, gdy leciałam w dół przez ciemność. Nie mogłam krzyczeć ku górze - obracałam się, oślepiąca, słuchając bicia własnego serca.

Aż nagle znalazłam się gdzie indziej. I nie byłam sama.

Stałam na czele armii, ogromnej jak noc - stałam na czele tętniących zastępów, drżących od krzyków i głodu. U mego boku były wilki, podobne do chłopców. Moich roześmianych, bystrych chłopaków.

Na głowie korona z cierni. A wyżej krwawiące światło gwiazdy.

Nie miałam na sobie ubrania. Moja skóra była odziana tylko w krew. A kiedy krzyknęłam i uniosłam miecz trzymany w dłoni, armia wrzasnęła wraz ze mną...

...i podążyła za mną, gdy ruszyłam do ataku.

Kiedy się obudziłam, zobaczyłam gwiazdy. Trwała noc. Do świtu jeszcze daleko, bo inaczej czułabym słońce wschodzące na mojej skórze.

Poczułam zapach pizzy. Usłyszałam stłumiony zwierzęcy pisk. Rozejrzałam się za chłopcami i zobaczyłam ich na wyciągnięcie ręki, siedzących w liściach pośród różnych swoich ulubionych rzeczy. Dek i Mai mruczeł mi do uszu. Poglądziłam ich po plecach, zastanawiając się, jak to możliwe w jakiegokolwiek rzeczywistości, aby tych dwóch mogło poprowadzić armię.

- Zakładamy obóz? - spytałam. Mój głos brzmiał jak zardzewiały.

Raw się wzdrygnął i przestał polewać roztopionym serem ostrze piły łańcuchowej.

-Czekamy - odparł Zee.

Dek i Mai dostali czkawki. Raw spojrzął na Zee w napięciu i wpełznął sobie ostrze piły łańcuchowej do gardła. Odgłosy przeżuwania, jakie z siebie wydawał, przypominały skrobanie paznokciami po szkolnej tablicy. Nie widziałam nigdzie Aaza.

- Na co? - zapytałam.

Raw miauknął i chwycił się za brzuch. Gdy otworzyłam przed nim ramiona, wpełznął mi na kolana. Przyciągnęłam pluszowego misia i włożyłam mu w łapy. Zaczął obgryzać mu ucho. Jego kwaśna ślina sprawiła, że futerko zabawki dymiło. Pomasowałam mu brzuch i poczułam, jak mu w nim burczy. Ser z piłą łańcuchową. To nigdy nie było dobre połączenie.

- Zee - odezwałam się znowu. - Odpowiedz mi.

Ale nie musiał. Chwilę później szrama pod moim uchem ścierpła. Zaczęła mrowić.

Znałam to uczucie. Wiedziałam, co oznacza, i przestałam oddychać.

- Maxine - zachrypiał Zee.

Ledwie go słyszałam. Oblałam się potem. Dek i Mai zwinęli się ciasniej wokół mojej szyi, ich nucenie powoli ucichło.

Raw stoczył się z moich kolan, zaś Aaz wyskoczył z ciemności, ciągnąc za sobą samochodowy dekiel. Poślizgnął się i zatrzymał, po czym przycisnął dysk do piersi tak mocno, że przedarł go na pół, jakby był zrobiony z delikatnej koronki.

Wszyscy wpatrywali się w niebo.

Wygięłam szyję. Na tle gwiazd dostrzegłam jakiś poruszający się obiekt, ciemniejszy niż noc - przesłaniał gwiazdy jak kometa, pochłaniając światło. Sztylet na niebie.

- Dla ciebie - oznajmił Zee. - Wezwaliśmy go.

Uderzyło we mnie zimne powietrze, a sztylet uderzył w ziemię.

Ziemia pękła, a kamień rozpadł się z hukiem głośniejszym od wystrzału z broni palnej. Raw i Zee chwycili mnie za ramiona, żebym nie straciła równowagi. Ledwie ich poczułam. Powinna pamiętać, ale zapomniałam. Nie mogłam sobie przypomnieć nic na temat stojącej przede mną wielkiej postaci, wznoszącej się niczym filar czarnych płomieni, w niewielkim stopniu przypominającej człowieka.

Nigdy nie widziałam takich oczu. Kapelusz z szerokim rondem, opuszczonym nisko nad bladą twarzą, ukazywał jedynie ostry zarys szczęki i wąskie usta. Brak rąk. Mimo że nie było wiatru, długie czarne włosy poruszały się gwałtownie we wszystkich kierunkach, a ich końce wiły się jak węże. Stopy przybysza przypominały nóż do steków: pęki połyskujących ostrzy długości mojego przedramienia zagłębiały się czubkami w ziemi, jak w trakcie zabójczego piruetu.

Nie mogłam się poruszyć. Ani mrugnąć. Chłód gnał przez moją krew - najpierw zimno, potem ciepło, przyływ strachu i lekki, niebezpieczny dreszczyk emocji - ponieważ tu, właśnie tu był taniec: jedyne stworzenie na świecie, któremu chłopcy pozwoliliby mnie zabić. Bez walki.

- Oтуру - wykrztusiłam.

- Nasza Pani Tropicielka - wyszeptał demon. - Tęskniliśmy za twoją twarzą.

Rozdział 14

Mimo wszystko prowadziłam ograniczone życie. Bogate, lecz ograniczone. Wychowano mnie, abym wierzyła w jedną rzecz, i przez pierwsze dwadzieścia pięć lat nie podawałam jej w wątpliwość. Podważałam inne dziedziny własnej egzystencji, ale nie tę.

Demony są złe. Z wyjątkiem chłopców. To ich nie dotyczyło. Nawet moja matka miała w tej kwestii jasny pogląd. Chłopcy należeli do rodziny. Byli tak dobrzy jak serce, które ich prowadziło, ale ich zdolność do życzliwości wykraczała poza polecenia i oczekiwania, sięgając głębiej. Chłopcy potrafili odróżnić dobro od zła. Odczuwali współczucie - kiedy sami chcieli je mieć. Ale reszta... Resztę trzeba zabić. Wtedy przyjechałam do Seattle. Spotkałam Granta. I zaczęłam patrzeć na demony inaczej. Wciąż twierdziłam, że muszą ginąć. Ale teraz zabijałam je ze świadomością, że są zdolne zmieniać swoją naturę.

Ta wiedza przysparzała trudności. Łatwo zabić kogoś, gdy uważa się go za zagrożenie i uprzykrzenie, tak jak usuwa się pchłę lub kleszcza. Pasożyty musiały ginąć. Ale jeśli Grant mógł przemieniać instynkty demonów - jeśli nawet same demony chciały się zmienić - to ta decyzja oraz zdolność kontemplowania i

akceptowania głębokiej fundamentalnej przemiany tego, w co natura wyposażyła kogoś przy urodzeniu, stwarzały niepokojące możliwości.

A podążanie za naturalnymi, logicznymi wnioskami, jakie z tego wypływały, oznaczałoby, że się myliłam. Że moja matka była w błędzie. Wszystkie kobiety z mojego rodu popełniły błąd.

A może właśnie dowiadywałam się o czymś, o czym one przez cały czas wiedziały, tylko postanowiły to ignorować: o tym, że demony, tak samo jak ludzi, niełatwo osądzić.

Podobnie jak Oturu.

Jak mnie.

Jak chłopców.

Patrzyłam, jak przypominające sztylety czubki stóp Oturu unoszą się nad liśćmi. Nie docierało do nich światło gwiazd; a może otchłań, jaką tworzyła jego peleryna, była zbyt wielka, a jego ciało stanowiło tajemnicę nocy. Był stworem tak dalece wykraczającym poza ludzkie zrozumienie, iż słowo „demon” wydawało się jedyną nazwą, jaka miała sens, jedynym określeniem obejmującym wszystko, co w nim dziwne, groźne i piękne.

Spotkaliśmy się kiedyś tylko kilka razy. Na początku się go bałam. I częściowo było tak nadal. Ale przy każdym spotkaniu dostrzegałam coraz więcej i w końcu teraz, widząc go, odczuwałam dziwną przyjemność. Oturu nigdy nie trafił za więzienną zasłonę. Zawsze był wolny i oddany mojemu rodowi: mojej zabójczej poprzedniczce, która znalazła go w Labiryncie i zaprzyjaźniła się z nim.

Kosmyki jego ciemnych włosów skręcały się jak korkociągi w stronę mojej twarzy, tuż przy szramie pod uchem. Nie ruszałam się z miejsca, natomiast Dek syknął, a Mai wsunął się na mój policzek, prężąc się jak kobra.

- A więc - powiedziałam, dumna, że głos mi nie drży - znowu się spotykamy.

Wykrzywił usta w powolnym uśmiechu.

- Ty, Pani, z twoimi ogarami, gotowa na łowy. Ty, Królowo, stojąca coraz bliżej wieczności.

Byłam zbyt zmęczona na potyczkę.

- Gdzie Naganiacz?

Naganiacz. Człowiek, który był niewolnikiem tego stworzenia. Zdradzony przez moją poprzedniczkę, został przekazany Oturu i zmuszony, by mu służyć.

Wepchnął mnie kiedyś pod autobus. Nie miałam mu tego za złe.

- Naganiacz nie jest potrzebny - odparł Oturu, a jego włosy zaatakowały mnie znowu, wszystkie wyciągały się w moją stronę jak tysiące zręcznych palców. Nim zdążyłam mrugnąć, otoczył mnie, a jego peleryna rozwarła się gwałtownie, unosząc się jak wielkie skrzydła. Dek i Mai warknęli, lecz nie rzucili się na niego. Kosmyki włosów prześlizgnęły się po mojej szyi, pieszcząc czaszkę. Wpatrywałam się w otchłań jego peleryny i ciała, stojąc naprzeciw poruszających się cieni, które momentami wyglądały jak oczy lub ręce.

Słyszałam tylko bicie własnego serca. Jednak głęboko w środku poruszyła się ta zwinięta istota.

- Z ciemności jesteśmy zrodzeni - rzekł cicho Oturu. / *rodzimy się znowu, bez końca*, powiedział cichy głos w moim umyśle.

Zamknęłam oczy, stojąc nieruchomo i skubiąc palcami najeżone włosy i szpiczaste uszy, gdy Rex, Azz oraz Zee przysunęli się bliżej.

- Wiedziałaś przez cały czas, kim jestem. Odkąd się poznaliśmy.

- Nawet ty nie wiesz, kim jesteś. - Oturu przyciągnął mnie bliżej, a jego włosy ciasniej oplótły moje ciało; Dek i Mai warknęli. -1 nie dowiesz się. Nikt z nas się nie dowie... aż do twojego ostatniego oddechu. Dlatego że się zmieniamy, Tropicielko. Rozwijamy się. Przeobrażamy. Każde łowy sprawiają, że rodzimy się z czymś nowym. A w końcu nie możemy już więcej polować.

Uniosłam wzrok, próbując dostrzec jego oczy. Zasłaniało je rondo kapelusza, pod którym panowały głębokie ciemności. Mimo to czułam na sobie jego spojrzenie.

- Po co tu przybyłeś? - spytałam.

Puścił mnie, kosmyki jego włosów muskały moją łysą głowę, a potem znieruchomiały przy szramie pod uchem. Zee chwycił mnie za rękę.

- Wspomnienia - zachrypiał. - Prawdy, jakich potrzebujesz.

- Prawdy o naszej Pani, której drogą podążasz - rzekł Oturu z szacunkiem.

- Mojej poprzedniczki - odparłam z przerażeniem. - Czy jestem do niej podobna?

Oturu pochylił głowę tak nisko, że rondo kapelusza niemal zasłoniło mu usta. Jego włosy znowu uniosły się w stronę mojej twarzy jak cienkie poskręcane palce.

Zatrzymał się, po czym mnie dotknął.

- Poznamy jej serce. Poznamy jej duszę, bez względu na to, gdzie śpiewa. Tak jak znamy twoją. Nie jesteś nią, Pani Tropicielko; podobne jest w was tylko to, co się liczy. Twoje serce. Twoja moc.

Nasłuchiwałam ciemności wewnętrznym uchem wiecznie nakierowanym na moją duszę. Nie usłyszałam nic. Panowała taka cisza, że mogłam sobie wyobrazić, iż nigdy nie byłam zawładnięta, porwana czy też opętana: coś pełzało we mnie, zamieniając w popiół wszystko, czego się tknęłam.

I sprawiało mi to radość. Mnie. Nie tylko tamtej rzeczy.

Władza to swego rodzaju przyjemność, rzekł cicho tamten głos. Ale władza nad życiem i śmiercią...

Przestań, powiedziałam. Nie słucham tego.

Mogłabyś ocalić tak wielu. Tak wiele zrobić. Chronić ziemię przez Aetarem. Powstrzymać wojny. Zaprowadzić pokój.

Nie miałam pojęcia, czy to moje myśli, czy myśli mieszkającej we mnie siły, ale wydawały mi się one nazbyt znajome.

Potażałam usta, żalując, że nie mam wody, by je przepłukać, splunąć. Czułam, jak popiół chrzęści mi w zębach.

- O jakie prawdy chodzi?

- Powiedziano ci, że nasza Pani, twoja poprzedniczka, straciła rozum. Ale to nie jest cała prawda o niej. Ona zaczynała inaczej. Jej intencje były dobre. Tak jak będą twoje.

Moje zamiary raczej mnie przerażały.

- W takim razie jak to się zaczęło?

- Od zdrady - odparł Oturu i chłopcy zamknęli oczy, wszyscy naraz. - Musisz to wiedzieć. Ona została zdradzona, za nic innego, tylko za życie.

- Dlatego że się bała.

- Dlatego że oni byli nią zmęczeni. Zmęczeni pilnowaniem, możliwością zagrożenia. - Oturu przekreślił się, wyginając się do tyłu, a jego wirująca peleryna wzbijała się w górę. Ujrzałam czubki jego stóp podobnych do sztyletów, unoszące się nad liśćmi. - Pokażemy ci to, Tropicielko. Ona chciałaby, żebyś to zobaczyła.

Usłyszałam ostrzeżenie, wyczułam je, ale byłam zbyt powolna.

Zwinięta pięść z włosów śmignęła szybko jak bicz i uderzyła mnie w szramę pod uchem. Błysnął ból. Białe światło. Usłyszałam grzmot, krzyki i skowyt przypominający wycie wilków zaślubionych z wiatrem. Przewróciłam się do tyłu i spadałam, spadałam...

...i wykrwawiłam się do nieskończonej rzeki płynącej do innego świata.

Bez przechodzenia. Bez żadnych wyjaśnień. Nigdzie nie wylądowałam, nie zrobiłam sobie krzywdy, ale czułam ruch, a potem, kiedy przestałam się poruszać, spokój.

Otworzyłam oczy. Zobaczyłam, że leżę rozwalona na mokrej trawie, ze związanymi rękami i nogami. Z kneblem na ustach.

To było takie rzeczywiste. Czułam w powietrzu zapach deszczu i dymu. Wyczuwałam chłopców na swojej skórze, wściekających się jak nigdy dotąd - z brutalnością i oszałamiającym pragnieniem, które przelewały się przeze mnie, jakby moje wnętrza nasiąkały żółcią i kwasem.

Byłam otoczona. Przez trzech mężczyzn i jedną kobietę.

Kobieta miała skrzydła. Była wysoka i blada, a z rudymi włosami i długą szyją przypominała Posłanniczkę. Otwarta srebrna obręcz spoczywała ciężko na jej wystających obojczykach, był to naszyjnik z plecionymi końcówkami, w których osadzone były turkusy. Skrzydła miały kolor pereł.

Obok stał górujący nad nią wzrostem, potężny mężczyzna z jednym olbrzymim okiem pośrodku czoła, dłońmi tak wielkimi, że jedną mógłby dwa razy opleść mnie w tali. Przykucnął, patrząc na mnie i wykrzywiając z dezaprobatą gumowate usta.

- To nie w porządku.

- Chodzi o przeżycie - odparła skrzydlata kobieta. - Nie możemy podejmować ryzyka.

- Tropicielka nic nie zrobiła. Jest naszą strażniczką. Niektórzy nazywają ją przyjaciółką. Jeśli oni odkryją...

- Jeśli im powiesz, możesz się do niej przyłączyć - burknęło dwóch pozostałych mężczyzn, a ich głosy zlały się ze sobą w dziwną harmonię. Bliźniacy. Mieli długie czarne brody, rubiny osadzone w brwiach, a na sobie zbroje pokryte drżącymi płytkami obsydianu. - A może wolisz znosić to brzemie przez resztę naszego wiecznego życia?

- Otrzymaliśmy zadanie...

- ...i wypełniamy je - wtrąciła władczo kobieta, rozpościerając skrzydła. - W czasie, gdy demony pokrywają jej skórę, jest nieśmiertelna. Nigdy nie umrze w tym miejscu, do którego ją wysłamy. I nigdy nie zostanie zabita. Więzienie jej rodu się utrzyma.

- Więc co z nami? - zagrzniał olbrzym, marszcząc czoło wokół swojego jedyne oka, które nie mrugało. - To, co proponujesz, nie jest warte naszych serc. Ani naszego dzieła. Nie zostaliśmy stworzeni do tego zadania. Nasi bogowie na to nie pozwolą. To potępienie.

- A więc ona jest skazana na Ziemię Jałową - stwierdzili bliźniacy ochryplymi głosami. - I my też będziemy skazani, ale to musi być zrobione.

Olbrzym się odwrócił, a chrzęst jego butów był głośny jak grzmot.

- Potępiając ją, potępiamy jednego z nas.

- Nie może być porównania. Żadnego. Wiesz dobrze.

- Jeśli powiemy innym...

- Nie. To nasz sekret. Nasi Panowie Aetar obarczyli nas odpowiedzialnością za dowiedzenie się prawdy o niej. Kim są te wszystkie istoty z jej rodu. - Kobieta przykucnęła, zamiatając skrzydłami wokół siebie jak miękką peleryną.

Poczułam smak łez, słonych i gorących, i szloch, ale nie własny, nasilający się z szaloną mocą. Chłopcy się wściekli.

- Tropicielko - powiedziała skrzydlata kobieta o urodzie zimnej jak lód. - Tropicielko, trzeba to zrobić. Jesteś zbyt niebezpieczna. To, co masz na skórze, stanowi zbyt wielkie zagrożenie. Jeśli któraś z twojego rodu miała zginąć przed urodzeniem dziecka, jeżeli zasłona ma opaść... - Kobieta odwróciła wzrok, włączając skrzydłami po mokrej trawie. -Przykro mi, moja słodka. Bardziej niż możesz sobie wyobrazić. Nigdy nam nie wybaczysz.

- Ale przynajmniej nigdy nie usłyszymy twojego krzyku - powiedzieli bliźniacy i patrzyłam z przerażeniem, jak kopią moje ciało tak mocno, że aż się przetoczyłam.

Olbrzym wrzasnął, rzucając się do przodu, ale mnie nie dosięgnął.

Spadałam. Spadałam. Spadałam i ciemność w końcu mnie połknęła.

Nikt nie słyszał mojego krzyku.

Nikt. Nikt mnie nie słyszał.

Aż nagle poczułam dłonie głaszczące mnie po włosach.

Poczułam na języku smak sosnowych igieł i zamknęłam usta.

Usłyszałam bliźniacze głosy nucące mi do uszu, a kiedy poruszyłam nogami, okazało się, że nie są związane, podobnie jak moje ręce.

- Zdrada - odezwał się znowu Oturu. Ledwie go słyszałam.

Zee zasyczał. Dek i Mai drżeli owinięci wokół mojej szyi. Nie mogłam dostrzec Rawa i Aaza, ale czułam ich blisko i słyszałam trzaski, jakby zginali knykcie.

Przewróciłam się na plecy i powoli usiadłam. Głowa mnie bolała. Kręciło mi się w niej. Chłopcy mnie podtrzymywali, a ja głośno przełknęłam, żeby powstrzymać wymioty.

- Co to było? - spytałam ochryplym głosem.

- Wspomnienia - rzekł Oturu. - Wspomnienia, które dała nam nasza Pani.

- Wydawały się takie realne. - Zamknęłam oczy. -A tamci inni. Byli Strażnikami.

- Stworzonymi przez Aetar, awatarów, dla ich przyjemności. A przyjemność sprawiała im czuwanie nad naszą Panią, która im ufała.

Zadrżałam.

- To miejsce, gdzie ją wrzucili...

Nie byłam w stanie dokończyć. Poczułam dreszcze.

- Znasz je - szepnął Oturu. - Byłaś wewnątrz tego krętego labiryntu i szłaś ciemną ścieżką. Ale tylko ty wyszłaś na światło, nietknięta. Kiedy ona ledwie się wydostała, zataczając się...

On też urwał. Zrobiło mi się zimno i spojrzałam na Zee.

- Strażnicy wyrzucili moją poprzedniczkę na Ziemię Jałową.

Zee pochylił głowę, opuszczając ramiona.

- Nikt nie wie. Ani Wilk, ani nikt inny. Ani nawet wszyscy Strażnicy. Tylko niektórzy. Niekiedy źli.

- I co? Myśleli, że umieszczenie jej tam rozwiąże problem? Powstrzyma waszą piątkę przed wyjściem na wolność?

- To mogło podziałać - powiedział Oturu. - Ona nie powinna była się uwolnić. Podobnie jak ty.

- W tym miejscu znalazłam jakieś ciało. Wiem, że to jej.

- To było później. - Włosy Oturu powiewały dziko wokół jego postaci. - Wybrała śmierć, aby chronić córkę przed swoim szaleństwem.

Położyłam się na plecach i zapatrzyłam w gwiazdy. Zee podpełzł bliżej i wsunął mi się pod ramię. To samo zrobili Raw i Aaz. Pachnieli masłem, a ich pazury były otłuszczone.

- Ona straciła pewne części siebie - rzekł cicho Oturu. - Przebywając na Ziemi Jałowej, zbliżyła się do tego, co drzemało w środku. Na końcu przybliżyła się zbyt blisko.

- Pragnęła zemsty.

- Sprawiedliwości.

Wciągnęłam głęboko powietrze, po czym powoli je wypuściłam.

- To przez nią znikli wszyscy Strażnicy. Dlatego nikt inny nie pozostał, tylko nasz ród. Ona wszystkich pozabijała.

Nikt temu nie zaprzeczył, ale Raw i Aaz wymienili niepewne spojrzenia, więc zaczęłam się zastanawiać, czego jeszcze mogę się dowiedzieć. Zapytałabym, ale Zee chwycił mnie za rękę i mocno pociągnął.

- Wielu obawia się starej matki. Ale jej serce... jej serce było z żelaza i miodu.

- Ale zwariowała. Żaden z was temu nie zaprzeczył. Krzywdziła ludzi.

- Było zbyt wiele mocy. To, co zaczęło się od prawości, stało się potem czymś innym. - Oturu skłonił głowę, a jego włosy i peleryna znieruchomiały. - Pozostaliśmy z nią, nawet gdy łowy się pogorszyły. Byliśmy jej przyjacielami.

Przekazała nam wszystkie swoje tajemnice. Niektóre dalej zachowamy dla siebie. Ale ona się bała, że to, co ją zniszczyło, powstanie znowu.

- To coś we mnie. Odnalazła to przypadkowo. Ja urodziłam się już blisko tego.

- Tak jak twoja matka - odparł.

- Moja matka - powtórzyłam, kiedy Raw i Aaz zakrzutu-sili się cichutko. Zee nie chciał na mnie spojrzeć, a Dek i Mai przestali mrużyć.

- Ona nas wezwała. Pytała o naszą Panią Łowów, o swoje szaleństwo i tych, którzy ją zdradzili.

Przymknęłam oczy.

- Twoja matka właśnie wyszła wtedy z Labiryntu. Byłaś już w jej brzuchu.

Ciemność poruszyła się pod moim sercem. Zadrżała, lekko falując. Nie zepchnęłam jej w dół. Unosiłam się wokół tej siły, chłodna i spokojna, obserwując ją beznamiętnym wewnętrznym okiem, pozbawionym strachu i cierpienia oraz wszelkich ludzkich emocji. Istniałam. Tak samo jak to. Byliśmy razem.

Stałam się w końcu nieodwołalnie odrętwiała.

Oturu górował nade mną, ogromny i poważny, a jego peleryna powiewała gwałtownie.

- Tropicielko. Jest coś jeszcze.

Nie poruszyłam się. Zamierzałam leżeć tutaj tak długo, aż zapuszczę korzenie. Dek i Mai owinęli luźno swoje ciepłe ogony wokół mojej szyi i nucili cicho buntowniczą melodyjkę z *Keep the Faith* Bon Jovi. Pozostali chłopcy przywarli do moich nóg i talii, trzymając mnie za ręce. Odważni mali wojownicy.

Patrzyłam, jak długie włosy Oturu toną w otchłani jego wydymającej się peleryny, składającej się nie tylko z tkaniny, ale i z cieni, które wydawały się kieszeniami innych przestrzeni - być może pustki, przez którą przemknęłam, podróżując stąd tam - lub czegoś innego: energii i ciała oraz innych wymiarów zderzających się ze sobą, by stworzyć Oturu.

Powiedział mi wcześniej, że jest ostatnim ze swojego gatunku. Chciałam wiedzieć dlaczego. Może i dałoby się go o to zapytać, tyle że przyjrzałam się bliżej jego pelerynie i zobaczyłam twarze ślizgające się na jej powierzchni, przelotne zarysy powykrzywianych głów, wychylających się z otchłani z ustami otwartymi w bezgłośnym krzyku.

Ujrzałam twarz, którą rozpoznałam.

Naganiacza.

Jego widok przypomniał mi oglądanie horroru - ta jego twarz, otchłań uformowana na kształt jego rysów, śliska jak olej i jakby wpełzająca mu do ust. Nie miałam pojęcia, czy mnie widzi. Wyciągnęłam rękę, gotowa próbować go stamtąd wyciągnąć. Zee powstrzymał mnie, chwytając za dłoń.

- Zostaw tak, jak jest - mruknął.

Próbowałam go odepchnąć, ale nie chciał mnie puścić. Chciałam coś powiedzieć, ale głos mi się załamał. Przy drugiej próbie zdołałam wykrztusić zachrypłym głosem:

- Co mu robisz?

Oturu przechylił głowę, przyglądając mi się w zamyśleniu.

- Żal ci go.

- Jest w agonii. Tak jak wszyscy ci ludzie. Nie masz prawa.

- Mamy wszelkie prawa. Istnieją powody.

- Powody... - zaczęłam, ale Zee ścisnął mnie mocniej, rzucając ostrzegawcze spojrzenie.

- Sprawiedliwość - powiedział. - Sprawiedliwość i obietnice.

Zamknęłam usta.

Włosy Oturu wysunęły się z kłębiących cieni wewnątrz jego peleryny. W ciemnych kosmykach tkwił schwyty w nie mały kamienny dysk wielkości mojej dłoni. Na jego powierzchni były wyryte zwyczajne koncentryczne linie i nawet w nocy połyskiwał półprzezroczystym blaskiem, wydobywającym się z jego wnętrza. Wstrzymałam oddech na jego widok, a moje serce miaotało się, jakby chciało w ten sposób wydostać się z piersi lub przeniknąć do żołądka.

Nasienne koło. Fragment Labiryntu, taki jak zbroja na mojej ręce. Tylko że nasienne koło gromadziło wspomnienia, odcisk duszy: energii, pozostawiającej stały ślad życia. Mówiono mi kiedyś, że jest ono niewielkie i może zachować w sobie pamięć obejmującą jedynie dwanaście miesięcy. Rok. By uchwycić istotę całej egzystencji.

To konkretne należało kiedyś do mojej matki i zawierało w sobie jej życie. Zostawiła je Jackowi, aby mi je przekazał, jeśli kiedykolwiek go odnajdę. Znając przeznaczenie, a może i całą przyszłość, wiedziała już, co się wydarzy.

Odnalazłam swojego dziadka. Wykorzystywałam nasienny pierścień wcześniej, by zobaczyć wspomnienia mojej matki. Ale zostałam zmuszona, by powierzyć je Oturu.

Wyciągnęłam rękę. Czubki moich palców były zimne. Przepelniała mnie tęsknota za domem, tak rozpaczliwa i przytłaczająca, że trudno mi było oddychać.

- Dziękuję, że przyniosłeś mi to z powrotem. Oturu cofnął dysk.

- Musisz uważać. Ostatnim razem, kiedy trzymałaś nasienne koło, opuściłaś ten czas i przeniosłaś się do innego. Podróżowałaś tam, gdzie nie powinnaś.

Cztery razy do tej pory. Czterokrotnie przenosiłam się w czasie. Cztery razy oddychałam tym samym powietrzem co kobiety, które już teraz nie żyły.

- Nic się nie stało - odparłam. Ale to było kłamstwo. Nigdy nie mówiłam wiele w tych kilku przypadkach, kiedy odnalazłam swoją matkę i babkę, ale może podróżowałam w czasie więcej razy, niż to sobie uświadamiałam.

Może o czekającym mnie życiu matka wiedziała więcej, niż sądziłam. O życiu, jakie wciąż jeszcze było przede mną.

Do jakiego próbowała mnie przygotować. Oturu nadal trzymał nasienne koło.

- Jeśli nie będziesz ostrożna, znowu rozerwiesz czas. Nasienny pierścień nie ma mocy, ale powinnaś bać się tego, co masz na ręce. - Jego włosy musnęły moją prawą dłoń pokrytą zbroją. - Narodzone i wyryte w Labiryncie - szepnął, ledwo poruszając ustami. - Wykonane z rudy wykopanej w samym jego środku.

- Klucz do wszystkich drzwi, w każdym czasie i miejscu - powiedziałam, przypominając sobie jego dawne słowa.

- Klucz, który odzwierciedla pragnienia tego, kto go ma - dokończył Oturu, a potem dodał ciszej: - Musisz się wyćwiczyć w kontrolowaniu własnych myśli. Nie można długo pozostawać z taką mocą. Gdy ma się łowy w zasięgu ręki lub coś takiego, co w tobie drzemie. Nie można tego robić bez kontroli.

- Łowy - powiedziałam, ignorując resztę. - Czy wiesz o demonach, które spotkałam?

- Czuliśmy je. - Włosy Oturu drgnęły, gwałtownie smagając powietrze. - Pamiętamy Mahati, kiedy byli wolni. Oni nie polują, żeby się odrodzić w śmierci, tylko po to, by pomnożyć cierpienia.

- Chcą, żebym im przewodziła jako ktoś, kto jest narzędziem w rękach Królów Kosiarzy.

Wykrzywił kącik ust.

- Czy będziesz ich Królową?

Już nią jesteś, rzekł niski głos ciemności. Przymknęłam powieki.

- Maxine - mruknął Zee.

Jeśli się na to zdecydujesz, jeśli oni są głupcami, którym nie należy wierzyć.

Jedwabiste włosy musnęły moją brew.

Tak jak byli Królowie, tak teraz jest Królowa.

- Zaslona otwarta - oznajmił Oturu cichym głosem. - A sńiaca przemówiła.

- Żałuję, że nie mogę się zamknąć, do cholery. - Potarłam twarz, czując chłód i samotność. - To śmieszne. Nawet sama myśl o tym jest szalona. Nie będę im przewodzić.

Na ustach Oturu pojawił się ślad uśmiechu.

- Dlaczego nie?

Zee syknął na niego. Utkwiłam w nim wzrok.

- Oni zaszkożą ludziom.

- I tak to zrobią, kiedy zaslona opadnie. - Oturu przechylił głowę. - Zaczną teraz, gdy zaslona już pękła. Ktoś musi ich kontrolować. Jeśli nie ty, to jeden z nich. Komu ufasz bardziej jako przywódcy łowów?

Oderwałam od niego spojrzenie i spojrzałam w dół na Zee, Rawa i Aaza. Wszystkie trzy demony przykucnęły nieruchomo, wpatrując się w swoje stopy. Dek i Mai stali się bardzo cisi.

- Wasza piątka - szepnęłam. - Wciąż nie mogę w to uwierzyć.

- Kolejne życie, kolejny sen - wychrypiął Zee, zamykając oczy. - Staliśmy się tym, co w nas weszło. Tylko dlatego, że nie znaleźliśmy żadnego innego snu.

Uklękałam przed nim.

- Ta rzecz we mnie... weszła w was? Opętała was?

- To zbyt proste - rzekł cicho Oturu. - Nie ma słów, żeby opisać to, co mieszka w twojej duszy. Co mieszka w ich duszach.

Rzuciłam mu twarde spojrzenie.

- Jak się stało, że zostałeś ekspertem? Znieruchomiał. Zee spojrzał na niego żałośnie. Wszyscy chłopcy tak na niego spojrzeli.

- Nie powiemy ci - odparł słabym, ledwo słyszalnym głosem. - Nie powiemy.

Żalowałam, że nie widzę jego oczu, ale spokojniejsze ruchy jego włosów i peleryny wiele wyrażały, podobnie jak zbolaty głos. Wystarczająco dużo, bym odwróciła wzrok i wyszeptała:

- Dzięki za szczerść.

Znowu wyciągnęłam rękę. Po krótkim wahaniu włosy Oturu włożyły koło nasienne w moją dłoń.

Nie znikłam. Nie nastąpiły żadne wybuchy. Nic szalonego się nie stało. Trzymałam dysk, zastanawiając się, czy to jest to samo, co ujmowanie dłoni matki - chociaż niezbyt często trzymałyśmy się za ręce, odkąd skończyłam osiem lat. Wciąż chciałam być znowu małym dzieckiem, kiedy ona była tą, która radzi sobie ze światem.

Ile musiałaś znieść? - zastanawiałam się w milczeniu, myśląc o matce i o tym, co powiedział Oturu.

Wodziłam czubkiem palca po koncentrycznych liniach. Zbroja zadrżała. Panowałam nad sobą. Mój palec zbliżał się coraz bardziej do środka dysku. Zee i chłopcy znieruchomieli.

Dotknęłam centrum.

Nic się nie wydarzyło.

Nie bardzo wiem, dlaczego przypuszczałam, że coś się stanie. Może miałam taką nadzieję. Matka zostawiła mi koło nasienne z jakiegoś powodu, ale jeśli wiedziała o wielkiej mrocznej tajemnicy naszego rodu i jeżeli trafiła do Labiryntu, prawdopodobnie było jeszcze coś, co powinnam wiedzieć. Coś, co mogłoby mi pomóc.

Albo chociaż poprawić samopoczucie.

Spojrzałam na Zee, który wzruszył ramionami. Raw i Aaz obserwowali go wielkimi oczami. Wcześniej w jakiejś chwili udało im się wyciągnąć z ciemności wielki pojemnik pełny pieczonych kurczaków i wyjadali je teraz z niego tak nerwowo, że miałam ochotę zwinąć się przy nich i poprosić o udko.

Wsunęłam nasienne koło do kieszeni kamizelki.

- Ostatnie rady?

- Nie uchronisz się przed tym, co nadchodzi. - Oтуру przyplął bliżej. - Przybyliśmy nie po to, żeby cię uratować, ale by cię uspokoić.

Jego peleryna wydeła się, a splecione kosmyki długich czarnych włosów spłynęły wokół ciała jak pierwsze nitki kokonu.

- Nie jesteś sama - szepnął.

Nie sama. Przeciwno armii. Nie jestem sama w obliczu przypuszczeń, że w jakiś sposób zaszkodzę światu. W życiu.

Dotknęłam klatki piersiowej i poczułam bicie serca. Taka zwyczajna ludzka rzecz.

Drugie tętno nie wydawało się już takie zwyczajne.

Nie było zgrane z moim. Ciche i silne.

Grant. Wyobraziłam sobie jego głos na wietrze, a kiedy zamknęłam oczy, ujrzałam go jako światło, srebrzyste i złociste, i jako słońce wlewające się z nocy rzeką w moją pierś.

- Och - mruknął Oтуру. - Och, młoda Królowa. Jego słowa zabrzmiały tęsknie i z jakiegoś powodu mnie zasmuciły. Może oznaczało to również, że jestem idiotką, ale tym się nie przejmowałam. Złamałam już wszelkie zasady, w jakich mnie wychowano. Sama byłam taką złamaną regułą.

Wciąż jednak byłam sobą. Maxine Kiss. Nie miałam rogów na głowie. Nie ziałam ogniem. Obudzę się jutro i nadal będę uwielbiać muzykę lat osiemdziesiątych, gorącą czekoladę i deszcz. Będę gustować w kowbojskich butach, filmach z Clintem Eastwoodem i stekach tak krwistych, że mogłyby same zejść z talerza. Będę wciąż tęsknić za matką, kochać swoich chłopców i znajdę sposób, by stworzyć życie z człowiekiem, który głęboko tkwi w moim sercu.

Jesteś naiwna, powiedziałam sobie. Szurnięta.

Po całosci, odparła inna część mnie. *Me zostałam wychowana po to, żeby przestać żyć.*

Sięgnęłam po kosmyk unoszących się włosów Oтуру, owinęłam go sobie wokół dłoni i pocałowałam.

Zamarł.

- Dziękuję ci, przyjacielu - powiedziałam.

- Zawsze do usług - rzekł cicho, skłaniając głowę. - Zawsze.

Rozdział 15

Szłam całymi godzinami, żeby dotrzeć do tego miejsca w sosnowym lesie. Nie chciałam odkładać tak długo powrotu na farmę. Popukałam się prawą pięścią w klatkę piersiową i wniknęłam w próżnię.

Chwilę później znalazłam się koło grobu matki. Grant był tam, siedział na trawie. Nie widziałam jego twarzy, tylko plecy. Ubranie miał wymięte. Nikogo innego nie było poza nim w pobliżu. Czyste niebo, gwiazdy i szumiące na wietrze dębowe liście. Dostrzegłam światło w domu, a Zee i pozostali zbili się w gromadkę, żeby popatrzeć na grób.

Grant śpiewał coś bardzo cicho. Nie poznawałam melodii, ale kiedy przymknęłam oczy, by się w nią wsłuchać, wznosiła się i opadała jak wiatr, rzucając światło niczym spadające gwiazdy.

Raw i Aaz objęli go za wyciągnięte nogi, wspierając policzki na jego kolanach. Grant pochylił się do przodu i poklepał ich po główkach.

Obserwowałam tę scenę. Wyobraziłam sobie siebie jako kobietę, którą byłam wczoraj, przed całą tą krwią, bólem i straszną prawdą. Przypomniałam sobie placek, śmiech i płonące świece.

Czułam się niepewnie, podchodząc do Granta. Ostrożnie usiadłam obok niego na trawie. W końcu na mnie spojrzał i przestał nucić - ostatnia nuta zawisła w powietrzu. Przyglądaliśmy się sobie przed dłuższy czas. Wypatrywałam strachu na jego twarzy, ale jedynymi oznakami stresu były pogłębione bruzdy na jego czole i koło ust, które sprawiały, że wyglądał ponuro.

- Jakaś mała część mnie bała się, że nie wrócisz - powiedział.

- Nie powinnam była. - Uczepiłam się palcami swoich spodni. - Mam nadzieję, że nie siedziałeś tu przez cały czas.

Nie odpowiedział. Tylko nachylił się, płynnym ruchem objął moją szyję i pocałował mnie. Nie powinnam być taką niezdara. Jego usta nie znalazły się dokładnie tam, gdzie miały się znaleźć, ale jego wargi odnalazły

moje i odwzajemnienie pocałunku wydawało się takie naturalne, tak ciepłe, jak gdybym wracała ze śnieżnej nocy do złocistego domu.

Grant odsunął się trochę, oddychając z wysiłkiem. Tak jak ja. Chciałam się odezwać, ale nie mogłam. Zabrakło mi słów. I głosu.

- Nie pamiętasz tego? - zapytał. - Mnie... jak cię całowałem?

Musnęłam wargami kącik jego ust, rozkoszując się wonią Granta: zapachem cynamonu i słońca oraz wszystkiego, co ciepłe. Zerknęłam na jego dłonie. Mocne, z długimi, szczupłymi palcami. Chciałam ująć jego rękę, pogłaskać je, dotykać jego nadgarstków i ramion. Chciałam oprzeć się na jego piersi i słuchać, jak oddycha. Pamiętałam wszystko, ale wydawało się takie odległe i zarazem nowe - tysiące lat, nowe życie.

Usta mi drgnęły.

- Nie pamiętam tylko, w jaki sposób tamten pierwszy pocałunek na twojej klatce schodowej nakłonił mnie, żebym się ciebie trzymała.

Grant znieruchomiał, wpatrując się we mnie uważnie.

- Naprawdę? Nie pamiętasz tego?

- Ani trochę - odparłam. - I nie pamiętam tamtego niebezpiecznego duetu, który odgrywaliśmy na twoim fortepianie.

- Sonaty - wtrącił.

- ...ani tych twoich magicznych kwestii...

- Chcę cię wziąć do łóżka. - Jego głos był teraz cichy, spięty, a ból rozszedł się od mojego serca ku dołowi, kiedy Grant pocałował mnie bardzo delikatnie, ledwie muskając moje wargi, co odczułam aż w czubkach palców stóp. - Pamiętasz - szepnęła tuż przy moich ustach.

- Niektóre rzeczy. - Zamknęłam oczy, muskając ustami jego szczękę, przeciągając palcami wzdłuż mocnej, szczupłej szyi. - Coraz więcej.

Posadził mnie sobie na kolanach i zatopił twarz w zagłębieniu mojej szyi. Miał bardzo silne ramiona. Poczulałam, że przebiegł przez niego dreszcz, a jego oddech brzmiał chwilami chrapliwie.

Trzymał mnie w taki sposób, nic nie mówiąc - i mówiąc przez to wszystko - przez bardzo długi czas.

Na farmie było cicho. Nie widziałam Posłanniczki, ale Jack siedział w kuchni przy stole, gapiąc się na plamy krwi na podłodze. Zatkęło mnie, kiedy to zobaczyłam, i po omacku odszukałam dłoń Granta. Przyciągnął mnie do siebie, a potem wyprowadził na ganek.

Musiałam oprzeć się o balustradę.

- Nie potrafię go nienawidzić. Niezależnie od tego, co słyszałam, bez względu na to, co on przede mną ukrywa... wszystkie te sekrety, rzeczy, które zrobił... Nadal go kocham.

- A on kocha ciebie - powiedział Grant. - Zupełnie nie rozumiem jego rasy, ale on cię kocha, Maxine. Kochał twoją matkę. I twoją babkę.

Przywarłam twarzą do drewnianego słupka, a płyty starej farby obsypały się na podłogę ganku. Dek zaszczebiotał, liżąc moje ucho.

- Ze wszystkich Tropicielek z mojego rodu dlaczego właśnie Jean Kiss? Dlaczego zakochał się akurat w niej?

- Wiesz, nie wszystkie jesteście takie same. - Grant przybliżył się, opierając swą ciepłą pierś o moje plecy. - Może wyglądacie podobnie, ale jesteście różnymi kobietami.

Pomyślałam o Jacku siedzącym w kuchni, wpatrzonym w miejsce, gdzie straciła życie jego córka.

- On przeżyje nas wszystkich. Znikniemy w mgnieniu oka, jeśli porównać to z resztą jego życia.

- Nie. Nie w mgnieniu oka. - Grant nakrył moją dłoń swoją, a nasze palce się splotły. - Czas to coś względnego. A w odniesieniu do miliona, dziesięciu milionów lat, to, co on miał i stracił z twoją matką, babką i tobą, potrwa znacznie dłużej.

- On jest sam - powiedziałam. - Z nas wszystkich jest najbardziej samotny.

Grant westchnął.

- Chodź. Przejdźmy się.

- Gdzie Posłanniczka?

- O ile się orientuję, w sypialni na górze. Gapi się w ścianę.

- Zostawiła ją samą z Jackiem.

- Ona go nie skrzywdzi. I nie zabierze. - Grant potarł kark, najwyraźniej był zmieszany. - Weszła w etap autorefleksji.

- Tak - odparłam powoli. - A co to właściwie oznacza?

- Wolną wolę. - Grant poprowadził mnie za sobą na podwórze. - Chodźmy.

Pozwoliłam mu zaciągnąć się w stronę stodoły.

- Zachowujesz się tak, jakbyś tu mieszkał.

- Słucham, jak mówisz. A o tym miejscu mówiłaś tak mało, że zamieniałem się wtedy w słuch. Poza tym miałem czas, żeby się rozejrzeć. Ciekawiło mnie, gdzie dorastałaś.

- Nie dorastałam tutaj. Zerknął na mnie.

- Mówisz ludziom, że jesteś z Teksasu. Tu musisz czuć się jak w domu.

- Tu się urodziłam. W tym domu. - Popatrzyłam, jak Raw i Aaz kotłują się w mroku przed nami. - Zee pomagał przy porodzie.

Grant aż się potknął.

- O rany!

- Właśnie.

W budynku, będącym połączeniem obory ze stodołą, w ciągu ostatnich stu lat nie przebywało zwierzę większe od kota lub myszy, a moja matka zawsze tu zamiatała i sprzątała. Wewnątrz stał stary samochód typu kombi.

Na jego widok poczułam ból. Przeciągnęłam dłonią po zakurzonym, brunatnym składanym dachu wozu i zajrzałam do środka przez przednią szybę. Miałam w oczach matkę siedzącą za kierownicą i obok niej siebie z kucykami, w ogrodniczkach i czerwonych kowbojskich bucikach. To widma w moim umyśle.

Nawet chłopcy okazywali szacunek, liżąc metal wozu i przyciskając policzki do drzwi. Dek i Mai nucili melodię piosenki *I'm So Lonesome I Could Cry*, Grant też ją podchwycił, dośpiewując harmonijnie cichym i smutnym głosem.

Drzwi były zamknięte, ale Aaz przemknął przez mrok i otworzył samochód od środka. Rozszedł się zapach starej skóry i plastiku. Chciałam usiąść za kierownicą, ale powstrzymałam się w ostatniej chwili i weszłam do tyłu. Przesunęłam się, by zrobić miejsce Grantowi. Papier zaszeleścił pod stopami. W aucie panował mrok, ale ponieważ dobrze widziałam w ciemnościach, dostrzegłam mapy, hotelowe broszury, skoroszyty z rysunkami wykonanymi kredką i flamastrami. Dawne wspomnienia. Przestałyśmy korzystać z tego wozu, kiedy miałam dziesięć lat, i zostawiłyśmy go tutaj. Mama i ja nigdy go nie umyłyśmy.

Wzięłam jeden z rysunków i rozprostowałam zmięty papier na nodze.

- Przywieszę to sobie na lodówce - powiedział Grant.

Uśmiechnęłam się, przesuwając palcem po pięciu nagryzmołonych figurkach z czerwonymi oczami, wyrysowanych pośrodku wielkich purpurowych kwiatów, prawie tak wysokich jak patykowata postać z długimi czarnymi włosami, z podpisem „mama” pod spodem. Górowała nad drugą sylwetką, składającą się z głowy i nóg, z wzniesionymi w górę ramionami, z sercami zamiast dłoni. Z boku dopisałam: „ja”.

Dek i Mai zsunęli się po moich ramionach, by lepiej przyjrzeć się rysunkowi. Pozwoliłam im się napatrzeć, a potem schyliłam się i ostrożnie położyłam kartkę na przednim siedzeniu. Zerknęłam na stare kasety magnetofonowe, papiery, noże - i znowu usiadłam obok Granta.

- To twój dom - rzekł.

- Spędziłam w nim większość dzieciństwa. Czasami spałyśmy na tylnym siedzeniu. Byłam mała. Z mamą było wesoło, a chłopcy zawsze znosili mi różne rzeczy. - Zee wystawił głowę z cienia przy mojej stopie, więc pogłaskałam go po sterczących włosach. - Wtedy właśnie polubili pluszowe misie.

- Miękkie i miłusie - zacharczał Zee i z powrotem umknął w mrok.

Grant położył rękę na moim ramieniu i przyciągnął bliżej. Dziwnie się siedziało w wozie razem z nim. Dziwnie, ale i dobrze. Mimo że wspomnienia wydawały mi się odległe i nie potrafiłam ogarnąć w tej chwili naszych dwóch wspólnie spędzonych lat, to wystarczyło, żebym odczuła wagę naszej historii. Dawała mi oparcie.

- Widziałam się z Oturu - stwierdziłam spokojnie i opowiedziałam mu o wszystkim. O swojej matce, o przodkach. Zrzuciłam z siebie to brzemień, a Grant nie przerwał mi słowem, póki nie skończyłam.

- Dużo się działo - powiedział w końcu.

- Chyba jeszcze tego nie przetrwałam. I nie jestem pewna, czy w to wierzę.

- Wierzysz. Różnica w tym, że sama wiesz, co ważne. Jesteś silna. Kochasz tych chłopców. To, co powiedzieli ci Jack i tamte demony, w porównaniu z tym wydaje się nieistotne.

- Nieistotne - powtórzyłam, gorzko się uśmiechając. - Królowie Kosiarze. Koniec świata.

- Nieistotne - powtórzył bardzo łagodnie i trącił Zee stopą.

Mały demon podsłuchiwał z podłogi. Wszyscy chłopcy byli w samochodzie. Poczułam zapach prażonej kukurydzy i piwa, i usłyszałam, że Raw i Aaz głośno przeżuwiają, siedząc za naszymi plecami

- Co ty o tym myślisz? - Grant zwrócił się do Zee. - Skoro jesteś teraz połówką tego wszystkiego.

- Inną połową światła - wyszeptał Zee.

Inną połową snienia, dodał sprytny głosik w moim umyśle, a każde z tych słów sprawiło, że ciemność poruszyła się i rozwinęła nieco bardziej pod moją skórą. Przebiegł mnie dreszcz. Wzrok mi się zamglił. Przez chwilę mogłam tylko widzieć swój sen o tym, że jestem w brzuchu wyrma, otoczona przez połknięte gwiazdy.

Ale są rzeczy, o których wcale nie wiedzieliśmy.

- Maxine - odezwał się Grant.

Zamrugłam i świat powrócił. Ale nie byłam pewna, czy nadal jestem w tym świecie. Może już jedną nogą poza nim. Wszystko wydawało się takie odległe.

- Jestem zmęczona - powiedziałam mu, co odpowiadało prawdzie. W chwili, kiedy wypowiadałam te słowa, głęboko w duszy poczułam destrukcyjne znużenie. Zastanawiałam się, jak by to było, gdyby w końcu dać sobie spokój, po prostu położyć się i umrzeć. Nie byłam pewna, czy mam siłę na cokolwiek innego.

Grant zacisnął zęby i objął mnie mocnym uściskiem. Przywarłam do niego, tuląc policzek do jego piersi, chłonąc woń cynamonu i ciepło jego ciała. Dek i Mai się rozmruczeli.

- Daj spokój - rzekł chrapliwie, całując mnie w czubek łysej głowy. - Nie rań się.

Pomyślałam o swojej poprzedniczce, o sznurach owiniętych wokół jej kostek i rąk. Wrzuconej jak śmieć do dziury, gdzie miała spędzić wieczność pogrzebana żywcem. Moja matka w ciąży i samotna. Jeśli musiała dawać sobie radę z takim samym mrokiem, jaki we mnie tkwił, nie mówiąc nigdy ani słowa...

Mocniej wtuliłam twarz w pierś Granta.

- Boisz się - powiedział półgłosem. - Maxine.

- Przeraza mnie samotność - odparłam, z trudem wykrztusiłam te słowa. Ale nie byłam w stanie ich w sobie zatrzymać.

Grant przycisnął mnie do siebie ramionami.

- Nie ma się czego wstydzić.

- Jest. Nie rozumiesz tego.

Zaśmiał się nieco chrapliwie, ale był to odgłos pełny smutku.

- Nigdy nie byłem samotny, póki nie poznałem ciebie, Maxine. Nie odczuwałem samotności, póki nie uświadomiłem sobie, czym byłoby życie bez ciebie.

Zacisnęłam palce na jego koszuli.

- Nie mów tak.

Zesztywniał wpatrzony we mnie. Milczenie trwało tak długo, że stało się wręcz krępujące.

- Zee - odezwał się w końcu półgłosem. - Wynoś się stąd. I zabierz ze sobą chłopców.

Zee nie zaprotestował. Strzelił pazurami. Dek i Mai za-świergotali, polizali mnie po uszach i rozplłynęli się w cieniu. Odgłosy chrupania, jakie wydawali Raw i Aaz, zastąpiła głucha cisza.

- A teraz posłuchaj - powiedziałam, ale Grant pokręcił głową z zaciśniętymi szczękami i oczami lśniącymi tym dziwnym złocistym blaskiem.

- Nie, to ty posłuchaj - odpowiedział i pocałował mnie mocno w usta.

Żar rozlał się w mojej piersi, wezbrała we mnie dzikość, przesycona oszałamiającym pragnieniem. Szarpnęłam koszulę Granta, którą ściskałam w dłoniach, i przylgnęłam do niego tak mocno, że czułam teraz zarys jego ciała. Wydawało się, że upłynęły lata, całe wieki, odkąd byłam z nim tak blisko; i mała cząstka mnie ważyła każdą chwilę i wrażenia, przyrównując je do reszty mojego życia.

Grant przerwał pocałunek i chwycił moje ręce, przytrzymując je przy piersi. Wyczuwałam jego dudniące serce, a on pogładził kciukiem mój policzek. Oboje drżeliśmy.

- Posłuchaj mnie. Słuchaj, jak bardzo cię potrzebuję. I nie waz się... nie waz się, Maxine, mówić, że mam nie mówić, jak bardzo cię kocham.

I znów pocałował mnie delikatnie. Kiedy się odsunął, ja go pocałowałam, smakując słowa na jego języku. Całowałam go mocno, bojąc się tego, co powie, a on wzdychał przy moich ustach i obejmował mnie tak mocno, że ledwie oddychałam. Tak mocno, że gdyby świat się zawalił, on trzymałby mnie nadal.

Chciałam obejmować go równie mocno. Chciałam mu pokazać, jaki ból złagodził w moim sercu, jaką pełnię czułam tylko przez to, że trzymał mnie w objęciach. Pragnęłam, by się dowiedział, że on jest moim domem. W tej chwili wydawało mi się najważniejsze, aby to wiedział - ponieważ ja o tym nie wiedziałam. Zapomniałam. A ogrom tej straty odbierał mi dech.

Grant popchnął mnie na siedzenie wozu, zrzucając laskę na podłogę. Z trudem puściłam jego koszulę i zsunęłam dłonie po jego twardym brzuchu do paska jego spodni. Skóra Granta była gorąca. Mięśnie napięte.

Wydał cichy odgłos, dotykając mnie ruchami tak lekkimi i zwiewnymi jak jego oddech - byłam pewna, że nawet gdy umrę za sto czy tysiąc lat, już nigdy nie zapomnę jego spojrzenia.

- Twoje oczy - szepnęłam.

- Co z nimi? - Grant wsunął mi ręce pod sweter, kładąc wielką dłoń na moim brzuchu, a potem dotarł wyżej, do moich piersi.

Wyprężyłam się pod wpływem jego dotyku i z westchnieniem chłonełam jego słowa. Nie mogłam mu tego wyznaczyć. Nie mogłam mu powiedzieć, co we mnie wzbudza, patrząc tak z nieskrywanym pragnieniem.

Może jednak wiedział. Zdjął ze mnie kamizelkę, ściągnął sweter przez głowę. Zadrżałam, rozpinając jego spodnie. Poruszaliśmy się szybciej, pośpiech sprawiał, że zachowywaliśmy się mniej subtelnie. Potrzebowałam go. Potrzebowałam go tak bardzo.

Zdjęte ubrania zostały odepchnięte na bok, skotłowane. Skóra Granta była gorąca i napięta. Leżał teraz na plecach, a jego chroma noga zwisała z siedzenia. Nie mogłam mówić ani myśleć; mogłam tylko, oplatając mocno rękami, dotykać ciała Granta, zsuwając coraz niżej dłonie, pieszcząc ustami wewnętrzną stronę jego ud, a potem ssąc delikatnie czubek grubego, twardego penisa.

Grant aż krzyknął, unosząc biodra, by wsunąć się głębiej w moje usta. Przez chwilę gładził moją głowę i barki, następnie, oddychając chrapliwie, usiadł, starając się dosięgnąć moich piersi. Pieściłam go językiem, potem przesunęłam się przy jego ciele, zamykając oczy, kiedy wsunął palce między nas, dotykając mnie raz mocno, a raz lekko, nie odrywając warg od moich ust.

Ja też sięgnęłam ręką między nas i, nie przestając pocierać, nakierowałam go ku sobie. Grant natężył się, a jego twarz wyrażała niemal cierpienie. Pocałowałam go w szyję, wyczuwając słony smak potu, doznając bolesnej wręcz rozkoszy, gdy nadziałam się na niego biodrami. Wypełnił mnie aż do bólu. Potem ból zelżał i zaczęliśmy się poruszać gwałtownie, w coraz szybszym rytmie.

Jakimś sposobem przetoczyliśmy się tak, że Grant znalazł się nade mną, klęcząc na siedzeniu. Oplotłam go nogą, a on wsuwał się coraz głębiej, coraz mocniej, coraz bardziej nieustępliwie, co sprawiało, że krzyczałam

przy każdym ostrym pchnięciu. Nie zwolnił, kiedy dochodziłam, tylko objął mnie mocniej ramieniem i, wciąż poruszając się we mnie, wsunął rękę między nas, żeby dotykać mnie tak, jak trzeba. Szczytowałam po raz drugi, wbijając mu paznokcie w plecy. W końcu on także dotarł do kresu, wydając nieartykułowany okrzyk i poruszając biodrami tak mocno i długo, że mnie samą po raz trzeci i ostatni raz przeszył spazm rozkoszy.

Opadł na mnie, co bardzo mi się spodobało. Uwielbiałam go tak wyczerpanego, sama też wyczerpana: przyłgnęłam do niego, czując dudnienie jego serca przy swoim. Między nami coś przepływało - światło lub energia - a po chwili poświata, jaką sobie wyobraziłam we własnej piersi, zapłonęła rozgrzana do białości i otuliła zwinętego ducha, poruszającego się leniwie w swoich snach.

- Jesteś moim słońcem - szepnął Grant z wargami przy mojej szyi. - Na zawsze. Cokolwiek się wydarzy, pamiętaj o tym.

Pogładziłam jego gęste włosy.

- Mówisz to dziewczynie, która miała zanik pamięci. Jęknął.

- No nie. Tego chyba nie zniósł. Zabolalo mnie, kiedy patrzyłaś na mnie jak na kogoś obcego.

- Mogę się tylko domyślać, że próbowałam cię chronić. - Przytrzymałam jego dłoń przy swojej piersi. - Nasza więź... ta energia, jaką ze mnie czerpiesz... Zdajesz sobie sprawę, co ze mnie wyciągasz, prawda? Chłopcy mówią, że to coś we mnie, co wyrывa się na wolność, stanowi najgorszą część ich samych. To coś chce mnie zmienić. A skoro jesteś, to także ciebie...

- Podziwiam, jak bardzo zawsze mnie nie doceniałaś.

- Wcale nie.

Grant wsparł się na łokciach i długo nie spuszczał ze mnie wzroku.

- Nie da się wszystkiego robić prawidłowo. Czasami trzeba sobie po prostu odpuścić, zachowując trochę wiary w to, że świat nadal będzie się kręcić, słońce będzie wschodzić, a życie okaże się w porządku.

- Nie będzie tak - powiedziałam. - To niemożliwe.

- O czym mówisz? - Grant gwałtownie przeczesał palcami włosy, a w jego oczach pojawił się dziki błysk. - Wiem, że to, co kazało ci uciekać, było nie tylko po to, by mnie chronić. Bałaś się czegoś jeszcze. Nigdy przedtem nie widziałem cię tak niesamowicie wystraszonej.

- Bo cię stracę - odparłam odruchowo. - Kocham cię i utracę cię. Nic nie pozostaje bez zmian. Nie w moim życiu. Nawet w moim. I będzie to moja wina.

A życie znaczy dla mnie mniej od uczuć w sercu. Próbowałam usiąść. Grant przytrzymał mnie, kładąc mi rękę na ramieniu.

- Nie obwiniaj się o to, że twoja matka nie żyje.

- Umarła przeze mnie.

- Chłopcy przenieśli swoją ochronę. Jeśli już chcesz kogoś winić...

- Nie - zaprotestowałam ostro, czując w sobie napięcie i chłód. - Ona powinna mieć więcej czasu.

Grant znieruchomiał, wpatrując się w moje oczy takim wzrokiem, jak wówczas, gdy widział za dużo.

- Więcej czasu dla ciebie - powiedział. - Więcej czasu dla ciebie, żebyś się we wszystkim rozeznała.

Odwróciłam oczy, dotknięta do żywego.

- Nigdy jej nie doceniałam. Kochałam ją, ale często się na nią złościłam. Nie cierpiałam naszego życia. Nienawidziłam tego, że nigdy nie miałyśmy domu. Nienawidziłam tego samochodu, w którym właściwie mieszkaliśmy. Nie znośiłam, że nigdy nie mogę być sama. Nie znośiłam całej tej przemocy i świadomości... Świadomości, że nie mam wyboru, bo tak już jest. Nienawidziłam tego wszystkiego; a potem ona umarła. - Zmusiłam się, by mu spojrzeć w oczy. - Nie miałam czasu jej powiedzieć, że ją kocham. Nie zdążyłam jej nawet podziękować za to, że była moją matką. Nie rozumiałam. Myślałam, że rozumiem, ale nie rozumiałam. Nie rozumiałam, przez co przeszła, przed czym mnie strzegła, póki to wszystko nie stało się mną.

- Ona wie, że ją kochałaś. Ona to wie, Maxine. Wzięłam głęboki wdech, byłam roztrzęsiona.

- Wszystko, co mam tutaj... wszystko, co ma związek z tobą... Nigdy niczego więcej nie pragnęłam. Ale tamto... Miałam sny przed jej śmiercią. A potem wyzbyłam się pragnień. Odrzuciłam je. Po prostu robiłam to, co powinnam. I wmawiałam sobie, że tego właśnie chcę.

Grant objął mnie, przyciągając łagodnie do piersi. Jego ciepło wniknęło w moje mięśnie, jakbym skąpała się w promieniach słońca; i zanucił ton, który rozniósł się i rozbrzmiał we mnie w rytmie zgodnym z moim pulsem.

- Nigdy mi o tym nie opowiadałaś - powiedział cicho. Otarłam nos wierzchem dłoni, ale łzy wciąż płynęły.

- Sama nie pozwalałam sobie o tym myśleć. Milczał przez chwilę.

- Nie mogę ci powiedzieć niczego, co by polepszyło sprawy, Maxine, poza tym że wszystko się zmienia. Nie możesz dopuścić, żebyś przez to, co się stało, uwierzyła, że to, czego pragniesz, jest złe.

Ujęłam jego dłoń, gładząc ciepłe palce.

- Zawsze masz na wszystko odpowiedź.

- Uwielbiasz to we mnie.

- W dodatku wielki z ciebie egoista.

- Jestem pokorny. I wrażliwy jak baranek.

Chwyliłam go za ucho, przyciągając jego głowę do swojej. Grant objął mnie za szyję dużą dłonią.

- Jeżeli zapomniłaś i zostawiłaś mnie... - zaczął, ale przerwałam mu głębokim pocałunkiem.

Grant położył się na mnie. Uwielbiałam czuć jego ciężar. Uwielbiałam ciepło jego rąk, obejmujących moją twarz, a potem biodra, obłapiające talię, i jego kciuk, dotykający spodu moich piersi. Moje oczy i policzki były wilgotne od łez, ale jemu najwyraźniej to nie przeszkadzało.

Całował moje piersi - co z kolei mnie bardzo się podobało - kiedy Zee wyłonił się na przednim siedzeniu, z oczami zaczerwienionymi ze wzburzenia.

Zamarłam. Grant też znieruchomiał.

- Maxine - wycharczał Zee. - Kłopoty.

Rozdział 16

Wrzaski słyhać było aż w stodole. Wybiegłam, Grant ruszył za mną, a chłopcy pędzili jak wilki przez otaczającą nas ciemność.

Wpadłam przez frontowe drzwi i najpierw zobaczyłam Jacka. Żywego, pozornie nienaruszonego.

A potem spojrzałam dalej, na Posłanniczkę.

Stała na środku pokoju, wysoka i blada, jej ostre rysy były zarazem męskie i kobiece - a przy tym jakieś obce. Policzki miała wilgotne, poplamione - a oczy nabiegłe krwią. Płakała. Łzy strumieniem spływały z jej oczu. Nagie, poruszające, żalosne.

Unosiła rąbek swojej jedwabnej koszuli. Długi biały szal zakrywał jej tułów, w talii była przepasana cieniutką tasiemką, zakończoną wąską klamerką, którą Posłanniczka ostrożnie przytrzymywała. Koniec się wysunął i tasiemka z sykiem opadła z jej ciała. Wyglądała jak króciutki, kryształowy pejcz - aż do chwili, gdy Posłanniczka poruszyła nadgarstkiem i wstążka zamieniła się w ostrze cienkie jak igła. Stało się to w mgnieniu oka.

Chwyciłam dziadka, zamierzając go odciągnąć, ale stał jak wryty i nie spuszczał spojrzenia z Posłanniczki.

- Ptaszyno - zaklinał Jack, a w jego wzroku malował się ogromny smutek. - Proszę cię, nie...

Myślałam, że ona chce go zaatakować. Byłam tego pewna. Już chciałam rozkazać chłopcom, żeby ją zabili, gdy Posłanniczka skłoniła głowę, mocniej ujęła ostrze w dłoń i przytknęła je sobie do serca.

-Nie! - rzucił zza moich pleców Grant. Posłanniczka spojrzała na niego, a potem pełne żalu oczy przeniosła na Jacka.

-Chwała twemu światłu - wyszeptała i wbiła ostrze w swoją pierś.

Bez skutku.

Napięła mięśnie. Wszystko się w niej sprzęgło, żeby wbić ostrze w ciało. Ale ono przebiło tylko ubranie, nie wchodząc głębiej.

Jack westchnął. Kobieta rzuciła mu rozpaczliwe spojrzenie.

-Nie - powiedział Jack łagodnie. - Twój Stwórca wgrał ci w umysł komendę. Nie możesz popełnić samobójstwa ani zrobić sobie krzywdy.

Jęknęła, udreńczona, i spróbowała ponownie. Stałam za dziadkiem, wyczuwając, że Zee i Raw znajdują się w cieniu na prawo ode mnie. Aaz podkradł się z lewej strony, Ia Dek i Mai siedzieli cicho na moich ramionach. Gotowi.

Przyczajeni.

- Przestań - powiedziałam, czując pewien rodzaj szacunku dla nagłej zmiany jej nastawienia.

To, co widziałam, bardziej przypominało kobietę poznaną na poddaszu - całkiem różną od znajdującego się wcześniej w tym pokoju, wgapionego w ścianę robota. Coś się przełamało od tamtej pory. Całe to zadumanie nad sobą.

Spojrzała na mnie - naprawdę - a w jej oczach mignęła nienawiść, głęboka niechęć, która bardziej mnie zasmuciła, niż wystraszyła. Uniosła ostrze w dłoniach, zupełnie jakby była gotowa wbić mi je w pierś.

Wyciągnęłam ręce - ale nie w jej stronę, lecz do chłopców oczekujących w pobliżu z rozpalonymi oczami.

- Dlaczego to robisz? - zapytałam.

Dłonie Posłanniczki zadrżały gwałtownie, ostrze załśniło jak lód.

- Nic nie jest takie, jak powinno. Nawet ja. Podeszłam bliżej.

- A jakie powinno być?

Posłanniczka wydała z siebie zduszony dźwięk i machnęła mi ostrzem przed twarzą. Dek i Mai, osłaniając mnie, unieśli się jak syczące kobry, a kryształ pokruszył się na ich głowach. Raw i Aaz kręcili się u moich stóp, warcząc. Kobieta spojrzała na nich z góry i pokazała zęby.

- Zabij mnie - powiedziała. - Już kiedyś próbowałam. Tym razem nie ocale siebie samej.

- Nie - poleciłam chłopcom i spojrzałam prosto w oczy Posłanniczki. - Jestem bardzo przekorna. Zazwyczaj postępuję inaczej, niż się po mnie oczekuje. Skoro mówisz o śmierci, zmuszę cię do życia.

Posłanniczka wpatrywała się we mnie z miną przypominającą wyraz twarzy kobiety ze stacji benzynowej - tej w różowym swetrze - wyglądającej tak żałośnie, jakby ktoś ją zniewolił, zniszczył jej świat. To niezwykle, jak bardzo obie mi się ze sobą skojarzyły.

- Otworzyłam więzienną zasłonę - wyszeptała. - Byłam nieostrożna i nadużyłam mocy przekazanej mi przez moich Panów Aetar. Już to samo w sobie jest zbrodnią. Ale to, co czuję tutaj - urwała i dotknęła swojej głowy - jest równie straszne. Skompromitowały mnie moje wątpliwości. Jestem teraz nic niewarta.

- Nie - wtrącił Grant, ale powstrzymałam go ruchem ręki i podeszłam do kobiety tak blisko, że musiałam przekrzywić głowę, by zajrzeć jej w oczy.

- Powinny cię one skompromitować - powiedziałam. - Powinnaś być przestraszona, chora i roztrzęsiona z powodu ogromu niepewności w twoim świecie. Ale powinnaś też płonąć chęcią poznania prawdy. Bo przecież po to cię tu przysłano, abyś dowiedziała się prawdy. A prawda, proszę pani, jest taka, że nadchodzi wojna, że wojna już trwa.

Łowy, dopowiedział dobitnie głos w mojej głowie. *Łowy są tuż-tuż.*

Z trudem przełknęłam ślinę.

- Jeśli jesteś taka lojalna wobec swoich Panów Aetar, przestań być tchórzem, który pragnie umrzeć, lecz weź się w garść i walcz. Bo demony zza zasłony, gdy już poradzą sobie z tym światem, zaczną poszukiwać sprawców, którzy ich uwięzili. I z pewnością nie chciałabyś wiedzieć, co zrobiliby z Aetarami, których tak uwielbiasz.

Posłanniczka zadrżała.

- Jesteś jedną z nich. Jesteś jeszcze gorsza. Krążą o tobie opowieści. Nie wierzyłam, że możesz się okazać tą kobietą, ale musi tak być. Osłaniana ciałami swoich wrogów. Nosząca klucz. Ty, która przekraczasz granice: wczoraj w jednych światach, potem w innych, odległych o milion lat. Czas płynie tak dziwnie w kwantowej róży. Ale jesteś także kobietą, która zabiła Aetar. - Spojrzała za mnie, a potem na Granta. - A ty? Polowałam na dzikich i patrzyłam, jak Stwórcy odbierają im usta i odrzucają skóry w łańcuchach. Ale ty... ty jesteś inny. Widziałam emblemat na starej kobiecie, a jeśli wyszedłeś z Labiryntu z nią, z innymi... - urwała. Wyglądała tak, jak gdyby ją zemdliło. - Twoja rasa jest skalana zabójstwami wielu Aetarów. Twój ród wiódł armię przeciwko bogom.

Obróciła się wokoło i wbiła wzrok we mnie.

- A więc, kto jest prawdziwym wrogiem? Z kim powinnam walczyć?

Uśmiechnęłam się.

- Walcz ze mną, to cię zabiję, i nie uratujesz już nikogo. Walcz z demonami, tymi demonami zza zasłony, a ocalisz miliardy istnień, może nawet więcej. I sama możesz zginąć. Skoro tak ci na tym zależy.

Odwróciwszy się do niej tyłem, podeszłam do Granta i Jacka. Obaj się we mnie wpatrywali. Zrobiłam do nich minę. Dek i Mai zaczęli nucić melodię piosenki Eltona Johna *The Bitch is Back*. Wyciągnęłam dłoń i poklepałam ich lekko po głowach.

Łagodne powietrze miękko owiało moją czaszkę. Zerknęłam przez ramię.

Posłanniczka znikła.

Wypuściłam z płuc powietrze, które nieświadomie wstrzymywałam, ale barki nadal miałam spięte. Grant wsparł się ciężko na drewnianej lasce.

- Obeszłoby się bez tego - powiedział Jack bardzo cicho.

- Czy mamy ją ścigać?

- Jeszcze nie. Ona czuje się zagubiona i trochę żądna krwi. Ale tylko mojej i twojej. - Grant uniósł brew, spoglądając na mnie. - Co to właściwie miało być? Piekielna pogadanka terapeutyczna o trudnej miłości?

- A ty wolałbyś poświęcić całą noc na poprawianiu jej humoru? - Dźgnęłam go palcem w pierś. - Panie „otwierający oczy” na nowy, wspaniały świat...

Grant łypnął na mnie spode łba. Jack potarł dłonią twarz.

- To moja wina. Chciała wiedzieć, co tutaj robię, dlaczego toleruję was oboje. Kiedy próbowałem wyznać jej prawdę, że nie należę do bogów, ona...

- ...źle na to zareagowała - dokończył za niego Grant. - Wiesz co, Jack, nie mam nic przeciwko mówieniu prawdy. Ale jak na tak sędziwego człowieka czasami popełniasz fatalne błędy w ocenie sytuacji. A może - dodał w zamyśleniu, przypatrując się Jackowi bacznie, aby dać do zrozumienia, że zagłębia się głęboko w jego wnętrzu - to coś osobistego między tobą a nią.

Zmieszanie zamigotało w oczach Jacka. Zee podrapał się pazurami po rękach, a potem poskrobał podłogę, robiąc świeże wyżłobienia obok starych, pokrywających drewniane deski.

- Poczucie winy gryzie, Wścibski Człowieku - zacharczał. - Ile serc ścisnąłeś?

Jack obrzucił Zee ostrym spojrzeniem.

- A ty?

Zee odsłonił zęby w okropnym uśmiechu.

- Możesz nas nazywać Kosiarzami Świata, ale ty robiłeś to samo z łańcuchami.

- Uratowałem tyle istot, ile się dało - szepnął Jack i potarł sobie brew. Jednak jego palce po chwili znieruchomiały. Stał, zgarbiony, wstrzymując oddech i zakrywając twarz. - Ciągle uciekamy, ale nigdy dość daleko.

Zee przymknął oczy.

- Labirynt pamięta.

Jack zadrżał. Podeszłam do Granta, a on zbliżył się do mnie, nasze ramiona się zetknęły. Choć nie dotykaliśmy się dłońmi, czułam, że mnie obejmuje, tak jak ja jego. Dobrze mieć kogoś u boku. Dobrze.

- Pamiętam ją - powiedział Jack, zasłaniając twarz. - Nasza armia stanęła do walki z Ustami Światła tylko dlatego, że mogły nas pozabijać. Zabić nas i oddzielić od ludzkości, której tak bardzo pragnęliśmy. Więc rzuciliśmy na nich sztucznych ludzi, kolejne zastępy ludzi bez serc, bez mózgów, bez czegokolwiek, co Usta Światła mogły opanować swoimi mocami, i czyniliśmy to przez całe miesiące, przez lata, aż ci nieszczęśni strażnicy wysączyli życie ze swoich pobratymców, z własnego ludu, aż nikt nie pozostał... więc wykorzystali własne życie, żeby się nam przeciwstawić, i ginęli za tę sprawę. Pamiętam, jakie czarne było niebo, jakie lepkie były błota i jak ich głosy huczały w symfoniach rozpalających powietrze. To było piękne i straszliwe. Zabijaliśmy ich. A potem porwaliś ich dzieci. - Jack się zachwiał. - Uratowałem niektóre z nich. Były wtedy piastunki, byli żołnierze. Przekazałem im dzieci i wysłałem do Labiryntu. Zatarłem za nimi ślady. Ale obserwowano mnie.

Wszyscy obserwowaliśmy się nawzajem. W jednej z ostatnich bitew schwytano małą dziewczynę. Posłanniczka to jej potomek.

Patrzyłam na niego, wsłuchując się we wszystko, czego nie dopowiedział.

- Więc ty musiałeś przekazać to dziecko.

W końcu odsłonił twarz i spojrzał na Granta, nie na mnie. Oczy miał zaczerwienione, a na jego twarz wystąpiły plamy.

- Tak - powiedział.

Grant stał bez ruchu, ale w jego postawie czuło się napięcie, mimo że wspierał się mocno na lasce. Wzrok miał mroczny, zimny, analityczny. Ta historia nie powinna zaskakiwać - słyszeliśmy już wcześniej jej rozwodnioną wersję -lecz był to jeden z tematów, od jakich zawsze trzymałam się z dala. Częściowo dla własnego dobra.

Jednak Grant nie wypowiedział ani słowa. Nie odezwał się do Jacka. Wypuścił powietrze z płuc i obrzucił mnie przeciągłym, twardym spojrzeniem.

- Musimy zatkać dziurę w tej zasłonie. Usta Jacka zbiegły się w cienką linię.

- Chłopcze...

- Nie powiedzialesz, że to niemożliwe - uciął ostro Grant; potem zrobił głęboki wdech i, siląc się na spokój, dodał: -Nie mamy wyboru. Chyba że chcesz, by Maxine zamieniła się w... Królową Kosiarzy.

- To brzmi jak nazwa zespołu - odezwałam się, usiłując nie zdradzić, jak bardzo mną wstrząsnęło takie określenie. - Mogłabym założyć taki zespół z chłopcami. Coś jak Jem i Hologramy, tylko lepszy.

Raw i Aaz udawali, że brzdąkają na gitarach. Grant potarł szczękę, kręcąc głową.

- Jack, już kiedyś się udało, więc można to powtórzyć. Manipulowałeś energią, prawda? Właśnie z niej musi być utkana zasłona, inaczej Posłanniczka nie mogłaby jej rozedrzeć. - Grant pochylił się, skupiony i napięty. - Możesz mnie nauczyć. Możesz nauczyć ją. Posłanniczkę.

- Nawet gdybym potrafił - odparł szorstko dziadek -nawet gdybyście zrozumieli, jakie to skomplikowane... Wymaga ogromnej mocy. Większej niż można sobie wyobrazić.

Grant zacisnął szczękę, a jego twarz przybrała wyraz surowości. Spojrzał na mnie z rozmysłem. Wiedziałam, o czym myśli, więc pokręciłam przecząco głową.

- To zbyt niebezpieczne - powiedziałam. - Nie, nie możesz.

- A jakie mamy inne wyjście? - Chwycił mnie za ramię, choć nie tak mocno, żeby zabolalo, jednak poczułam jego desperację i złość. - Chcesz poprowadzić armię? Myślisz, że możesz z armią walczyć? Skoro tego chcesz, Maxine, będę przy tobie. Ale wolałbym poszukać innej drogi.

Innej drogi ku światłu, odezwał się cichy głos w moim umyśle. *Ścieżki, jaką jeszcze nie podróżowaliśmy.*

Miałam ochotę sama się uderzyć, byle tylko zagłuszyć ten głos w głowie. Ale zamiast tego otworzyłam oczy i zobaczyłam, że Grant obserwuje mnie ponuro.

- Będziemy musieli się na coś zdecydować - stwierdził cicho. - Teraz albo później. Skłonić cię do zajęcia jakiegoś stanowiska.

- Nie - rzucił Jack.

Przycisnęłam dłoń do piersi, czując wewnątrz ciężar, zwój.

- Będzie tak, jak chcesz, Grancie. A nawet jeśli nie, to masz rację. Musimy spróbować.

Jack zacisnął pięści.

- To wiąże się z ryzykiem. Grant położył mi rękę na ramieniu.

- Zaryzykuję razem z Maxine.

Mój dziadek chwycił palcami za nasadę nosa.

- Dobrze. Ale nim zaczniemy, coś będzie mi potrzebne.

- Co tylko chcesz - powiedziałam.
- Jedna z moich kości - odrzekł Jack.

Z próżni do pomieszczenia, przepelnionego złocistym światłem lamp, aromatem kawy i czekoladowych ciasteczek; gdzie lśniła drewniana podłoga, a tysiące książek zapełniały półki przy wysokich ścianach. Fortepian. Motocykl. Tureckie dywany, a także tu i ówdzie pluszowe misie, noże oraz puste torebki po cukierkach M&M's.

Świat się nie zawalił. Ciągle w nim byłam.
Tak samo dom. I ludzie, których kochałam.
Czerpałam przyjemności zewsząd, skąd tylko się dało.

Ciało Jacka znikło. Rex, na czworakach, szorował podłogę. Mary, wciąż jeszcze w moich ciuchach, przysiadła na kuchennej ladzie, trzymając w rękach rzeźnicze noże. Czułam zapach wybielacza.

Zaskoczył mnie widok zombi. To oraz dzikość jego aury zbiły mnie z tropu - był zszargany, roztrzęsiony, jakby tysiąc małych serc wyrывało się na wolność. Zupełnie jakbym zobaczyła demona cierpiącego na palpacje albo na skraju załamania nerwowego.

Rex wyprostował się szybko, gdy pojawiliśmy się w pokoju. Wpatrywał się tylko we mnie, omijając wzrokiem pozostałych.

Rozłożyłam ręce.

- Uuu!

To go nie odprężyło.

- Chrzanię cię.

- To stań w kolejce - odpowiedziałam. - Wiesz o zasłonie, prawda?

Aura Reksa rozbłysła dziko, a potem się skurczyła, żeby wejść w jego ludzką skórę.

- Wszyscy to czuliśmy. Wyczuwaliśmy ich.

- A jednak zmywasz krew z podłogi, zamiast uciekać.

Rex przysiadł na piętach i przeniósł spojrzenie ze mnie na Granta, który stał w milczeniu, obserwując nas oboje. Mary przyłączyła się do niego, jej wzrok stał się zawzięty, gdy wykonywała rękami powolne, wdzięczne ruchy, a ostrze noża rzucało mordercze blaski.

Nie Usta Światła, ale ich wojowniczką. Lojalną wobec matki Granta. Król Erl nazywał tę starą kobietę zabójczynią. Przypomniałam sobie wszystko, kiedy na nią spojrzałam.

- Bezpiecznie przebywać blisko was dwojga - powiedział Rex markotnie, znowu ściągając na siebie moją uwagę. -Wszędzie śmierdziało zwłokami tego garbarza.

- On po prostu nie chce przyznać, że nas lubi - powiedział Grant. - Gdzie ciało?

- Jestem demonem. Znam ludzi. Grant spojrzał na niego.

- Dobra. Wpakowałem je do wanny - podjął Rex. Grant nie spuszczał z niego wzroku.

- Wiesz, że z niej korzystamy.

- Dobrze, że jesteście pragmatyczną rodziną. - Rex zerknął na Jacka. - Mam nadzieję, że to doceniasz.

- Nie - odparł dziadek, przez zaschniętą krew zmierzając do łazienki.

Ruszyłam za nim, patrząc, jak chłopcy się rozbiegają, kotłują się pod łóżkiem i w mroku wyciągają zabawki i jedzenie. Dek i Mai ucieszyli się, kiedy zobaczyli naturalnych rozmiarów kartonową sylwetkę Bon Joviego.

Zee jednak usiadł na łóżku, splótł szpony i dyndał nóżkami, gapiąc się w stronę łazienki. Poważny, zamyślony. Trochę niepewny.

Jack już był w łazience. Powietrze cuchnęło okropnie, jak śmierć. Dostrzegłam pomarszczoną, woskową rękę, zwisającą z krawędzi wanny, i nic poza tym. Stałam tuż za drzwiami pod takim kątem, żeby widzieć w lustrze siebie oraz odbicie Jacka, wpatzonego w swoje byłe ciało.

- Życie jest za krótkie - powiedział. - Dobrze mi było w tej skórze.

- Ja też ją lubiłam - odezwałam się do niego szeptem, nie mogąc mówić głośniej. Odchrząknęłam i zabrzmiało już trochę lepiej, kiedy dodałam: - Mogłeś uczynić je nieśmiertelnym. Tak jak Byrona.

Jack westchnął i oparł się o umywalkę.

- Byron okazał się pomyłką. A unieśmiertelnianie skór to błąd. To swojego rodzaju więzienie, moja droga. Król Erl chodził w ludzkich ciałach jak w nowych ubraniach, a te, które chciał zatrzymać, umieszczał w lodzie, żeby nie zgniły bez życia, które wprawiało je w ruch. Ale nawet on ich nie unieśmiertelnił. Nikt nie chce tego samego na zawsze. Nawet moja rasa się zmienia. - Jack skinął w stronę wanny. - Jeśli chciałbym kontynuować swoje życie, co zrobiłbym z tą skórą, gdyby miała nie umrzeć? Wyszedłem w niej z łona. Jestem... nim. Beze mnie nie byłoby umysłu, woli. Istniałby w stanie śpiączki. W długim, nieskończonym śnie.

- Jak Śpiąca Królowa - powiedziałam.

Dziadek pochylił się, a jego odbicie w lustrze znikło. Dodałam:

- Nigdy nie wyjaśniłeś sprawy Byrona. Tego, jak on zaistniał.

- Zaszły okoliczności łagodzące.

- Jakie?

- Takie, że ten chłopak miał zginąć. Uratowałem mu życie.

Raw parsknął za moimi plecami. Zerknęłam na niego i zobaczyłam, że ten mały demon, mrużąc oczy, obserwuje Jacka.

- Znalazłem go żywego w kartonowym pudle, Stary Wilku. Bał się ludzi. Chyba załatwiał klientów, żeby nie umrzeć. Wydaje mi się, że jego nieśmiertelna egzystencja, której sobie nie przypominał, była dosyć żalosna. Na jego miejscu chyba wolałbym już śmierć.

- Nie było cię tam. A taka mądrość po fakcie jest okrutna. Zrobiłem, co się dało.

- I zawsze wnikałeś w skórę Byrona, kiedy umierałeś gdzie indziej?

Jack na to nie odpowiedział. Raw się podrapał, patrząc w stronę łazienki. Zee nadal się nie poruszał.

Podeszłam bliżej i ujrzałam odbicie swego dziadka w lustrze. Stał bez ruchu, wpatrzony w swoje ręce, a na jego twarzy malował się wyraz niewyobrażalnego smutku.

Zastanawiałam się, czego w swoim życiu żałował. Ile z tych żalów przebrałoby miarę, zanim brzemień stałoby się nie do zniesienia.

- Twoja rasa boi się szaleństwa - powiedziałam cicho. - Boicie się tego za bardzo. Jakie to uczucie być niczym, tylko energią? Myślisz, że jeżeli nie znajdziesz się w ciele, po prostu się rozpułniesz?

Jack milczał. Oparłam się o ścianę, przyciskając czoło do chłodnej, gładkiej powierzchni, i podjęłam:

- Zrobiłeś z siebie stację przesiadkową, gdzie przechodzi się od śmierci do odrodzenia. Tym jest Byron. Kimś takim był od tysięcy lat. Przejściowym życiem.

W łazience panowała głucha cisza. Wreszcie Jack powiedział bardzo cichym głosem:

- Nigdy nie miałem takiego zamiaru. Ale są pewne rzeczy, których już nie można odkręcić, bez względu na to, jak bardzo by się chciało.

Zee zeskoczył z łóżka i wszedł do łazienki, przyglądając się - jak się domyślałam - zwłokom w wannie.

- Pamiętam - wycharczał Zee, pocierając głowę. - Pamiętam zabijanie.

Skloniłam głowę, przepelniona smutkiem. Nie widziałam już Jacka, ale słyszałam jego głos.

- Należało się tego spodziewać - powiedział łagodnie. - Chroniliście ją przede mną.

- Stara Matka nam kazała - odrzekł mały demon, opierając się o moje nogi. Pogłaskałam go po głowce. - Kazała chronić dobre serce.

- Bo idzie się za głosem serca - dodał cicho Jack. Usłyszałam odgłos rozrywanego materiału. Ruszyłam w stronę łazienkowych drzwi, ale przystanąłam. Prawdę mówiąc, wcale nie chciałam wiedzieć, co tam się dzieje. Grant zajrzał do łazienki.

- Pora odwiedzin?

Dosłyszałam głuchy huk, a potem ciche przekleństwo. Grant uniósł brew i przykuśtykał bliżej.

- Czy naprawdę chcę to wiedzieć?

- Ja nie jestem tak odważna. A ty?

- Liczyłem na ciebie w tym względzie.

- Jestem przerażona - odpowiedziałam i usłyszałam odgłos zasysania czegoś mokrego w łazience.

Grant się skrzywił.

- To nie może być nic dobrego.

Podeszłam do drzwi, a Zee sadził susami przede mną. Przez chwilę widziałam tylko szczupłe plecy jakiegoś nastolatka - siedzącego na krawędzi wanny - a potem przyjrzałam się dokładniej i ujrzałam chłopaka wbijającego palce w przedramię zwłok i usiłującego oderwać mięso od kości. Na szczęście resztę martwego ciała zasłaniało prześcieradło.

Ciało cuchnęło. I to mocno.

Musiałam wydać jakiś dźwięk, bo Jack podniósł wzrok, zamarł i powiedział:

- To nie tak, jak wygląda.

- Wygląda, jakbyś rozrywał martwego człowieka.

- W zasadzie sam jestem tym trupem, więc po prostu maltretuję sam siebie. - Jack się skrzywił. -

Przydałaby mi się jednak jakaś pomoc.

- Pod wieloma względami. - Weszłam do łazienki. - O Boże.

- Nie mów tak.

- Czy...

- Tak. Tego właśnie potrzebuję.

Zgrzytnęłam zębami, wpatrując się w kościany tatuaż wryty, i to dosłownie, na ramieniu martwego człowieka. Już to kiedyś widziałam. Był to emblemat kultu ojca Lawrence[^], symbol, wykorzystywany przez Jacka do wyróżniania mojego rodu, symbol jakiejś przyszłej apokalipsy. Wyglądał dokładnie tak jak blizna pod moim uchem.

- Po co? - wykrztusiłam, bojąc się, że zwymiotuję.

- Ponieważ jestem zapominalski - odpowiedział zagadkowo.

Grant wszedł do łazienki. Nic nie mówił. Ja też milczałam. Odwróciłam się, wyminęłam jego i Zee i weszłam do sypialni. Nie zostałam tam jednak. Przeszłam do salonu, nie zwracając uwagi na Rekxa i Mary, po czym skierowałam się w stronę schodów prowadzących do ogrodu urządzonego na dachu.

Właśnie przestało padać. Przebrnęłam przez kałuże obok wielkich donic z różami i stanęłam na skraju dachu. Śródmieście Seattle migotało pod nisko wiszącymi chmurami jak betonowa cytadela szarych serc.

Dostrzegałam tę bladość, wyczuwałam zbierające się cienie, były wszędzie jak deszcz albo duchy w moim oddechu, ilekroć wypuszczałam powietrze z płuc.

Wiał silny wiatr. Było mi zimno w głowę. Zapomniałam, że jestem łysa. Ale gdy tylko naszła mnie ta myśl, Dek i Mai rozłożyli się na mojej czaszce, chwytając mnie za uszy i brwi i blokując dostęp zimnemu powietrzu. Jak mały hełm z demonów.

Zee wskoczył na sięgający pasa murek na skraju dachu. Oczy małego demona lśniły, a sterczące włosy unosiły się i opadały przy każdym oddechu. Dotknęłam jego ręki, a potem pocałowałam w czółko.

- Wiedziałbyś, gdyby jakiś Mahati przeszedł przez zasłonę? - zapytałam go.

- Żaden nie przeleciał - odpowiedział po chwili. - Ale czuję, jak się natężają. Jątrzą się jak wrzód. Ha'an nie utrzyma ich długo.

- Znasz go. Pamiętasz.

- Honorowy. - Zee postukał się w pierś. - Dobry wojownik.

Dek i Mai zaświergotali, jak gdyby to potwierdzając. Poklepałam ich po główkach.

- Dlaczego mielibyście walczyć? Co mogłoby wam się przeciwstawić? Może awatarowie byliby w stanie powołać do życia stwory zdolne do walki, ale...

- Wszechświat wielki - przerwał mi. - Labirynt jeszcze większy. Armie nie rodzą się z mieczami. Armie trzeba zorganizować. Do większych celów. Przeciwno gorszemu wrogowi.

Wpatrywałam się w jego oczy.

- A więc co przeraziłoby Króla Kosiarza?

Zee zeszywniał. Dek i Mai przywarli do mojej czaszki, a sekundę później zadrżeli.

Wewnątrz mnie, głęboko, poruszył się mrok. Leniwe oko otwarło się w moim umyśle. Oparłam się o skraj murku, usiłując je zamknąć - ale ten duch, stwór, cokolwiek to było, przeszedł mi przez gardło i spoczął na języku.

- *Pewien ból nie łagodnieje* - powiedziało to coś przeze mnie. - *Me znika wspomnienie tego, co przepadło.*

Zee rozejrzał się bacznie na wszystkie strony.

- Popelniane błędy. Za wiele. Jak ty.

- *Dajemy to, o co nas proszą.*

- Biorą więcej. Kradną.

- *Ocaliliśmy was.*

Dotknęłam krtani, czując się tak, jakbym miała głowę ze szkła, które zaraz się roztrzaska. Zee chwycił mnie za ramię.

- Daj ją, uwolnij.

- *Niech mnie stworzy.*

Chrzanić to. Zacisnęłam prawą dłoń w pięść i uderzyłam się nią w pierś. Rozgrzane do białości światło wystrzeliło ze zbroi, śląc falę uderzeniową do kości i dalej. Oślepiłam na chwilę, ale w głowie ujrzałam ogrom nocy i wsłuchiwałam się w pocieranie łusek i syk, który był westchnieniem tak potężnym jak wiatr i tak zimnym jak ogromne przestworza poza światłem gwiazd.

Jesteśmy poza gwiazdami, wyszeptła ciemność, ale wycofała się do zakątka mojej duszy, zwracając mi głos i kontrolę nad sobą.

Upadłam na kolana. Zee podszedł bliżej, znaleźli się tu i Aaz, i Raw. Dek i Mai lizali mnie po uszach, ale ich mruczenie było nierówne, słabe.

- Co... - zapytałam powoli. - Co to było?

- Historia - mruknął Zee. - Złe rzeczy.

- Toczyliście inną wojnę przed waszym konfliktem z Aetarem. - Potarłam gardło. - Ta rzecz opętała was pięciu. Nie urodziliście się z nią. Nie opieraliście się jej, bo myśleliście, że jest wam potrzebna.

Zee nie odpowiedział, tylko spojrzął na pozostałych chłopców. Na nich wszystkich, z ich wielkimi oczami. Raw zaczął ssać pazury, przerwał na chwilę, a potem zaczął na nowo.

- Co było takie straszne? - spytałam szeptem. - Kto był wrogiem?

- Nie pytaj - mruknął Zee. - Już przepadło. Przepadło. Chciałam się dowiedzieć. Musiałam. Ale w ich twarzach

było tyle bólu i poczucia straty. Nie umiałam się zmusić, żeby z nich to wydusić.

- Dobrze - powiedziałam. - A więc dlaczego ta moc tak po prostu całkowicie mną zawładnęła? Mam poprowadzić armię? Aby mnie zmusić, żebym zrobiła wszystko, co ona, do cholery, zechce?

- To nie tak - wycharczał Zee bezradnie. - Moc jest.

- Jest czym? - Chciałam nim potrząsnąć. - Zee.

- Mówiłem ci - odpowiedział żałośnie. - Wybór. Sapnęłam.

- Racja. Po prostu.

- Zawsze - dodał Zee. - Nawet my mamy wybór. Wybieramy źle, wybieramy dobrze, trzymamy się naszej matki. Zmienialiśmy się. Wybory się zmieniły.

- Nawet z tą rzeczą w was?

Zee przycisnęła szpony do mojego serca.

- Bierze tyle, ile dajesz. Nakryłam jego łapkę.
- Do cholery, co to takiego?
Raw ssał pazury trochę głośniej. Aaz zamknął oczy. Dek i Mai wtulili policzki w moje uszy i zaczęli masować czaszkę pazurkami.
- Stare - wyszeptał Zee. Stare. Potężne. We mnie. Zasłoniłam twarz.
- Muszę się napić.
Chwilę później Aaz poklepał mnie po ramieniu i wcisnął w dłoń filiżankę. Tym razem nie z czekoladą na gorąco. Z gorącym cydrem. Zapiękl mnie w usta, ale przełknęłam, starając się nie wzdrygnąć.
Pamiętaj, kim jesteś, powiedziałam sobie. Jesteś Maxine.
Usłyszałam echo kroków na schodach, dobiegające z przeciwnej strony dachu. Ciężkiemu człapaniu towarzyszyło miarowe stukanie laski.
Grant zawahał się na mój widok, a w jego oczach pogłębił się ów surowy błysk, który znałam tak dobrze: intensywny, zamysłony, wcale nie łagodny. Przypomniałam sobie, jak to jest, kiedy się widzi taką minę na świeżo, oczami kogoś obcego. Surrealistyczne wrażenie. Grant, o czym często zapomniałam, był człowiekiem budzącym respekt.
- Hej - zagrzmiał. - Co cię wystraszyło?
- Nawet nie zamierzasz udawać?
Mruknął i usiadł koło mnie z grymasem na twarzy. Wręczyłam mu gorący cydr, ułożyłam jego chromą nogę na swoich kolanach i zaczęłam masować mu udo, tuż nad kolanem. Raw podbiegł, by zająć się jego łydką, długimi pazurami wyszukując punkty uciskowe. Dek i Mai zaczęli nucić piosenkę Billy'ego Joela *She's Got a Way*.
- To coś we mnie - powiedziałam - ma własny umysł.
Zee rzucił mi szybkie spojrzenie. Inni chłopcy też. Udawałam, że tego nie zauważam. Miałam do powiedzenia Grantowi więcej, ale nie teraz. Dopiero jak znajdę czas na zastanowienie.
Wiedział jednak, że coś przed nim zatajam. Nie byłam zbyt subtelna. Zamiast mnie naciskać, oparł się plecami o murek, patrząc mi w twarz i sącząc cydr.
- Mokra tam w dole - powiedział z całą łagodnością kogoś, kto nie chce wyjść na dupka.
- Deszcz - odparłam. - Co z Jackiem? Zmrużył oczy.
- Ekstrakcja zakończona. Raw pomógł, zanim się zmył. Odstawił cydr, wydobyl amulet swojej matki i dodał:
- Jack oddał to.
Wyjęłam nasienne koło z kieszeni kamizelki i przyłożyłam je do amuletu. Różniły się wzorem, ale oba mąciły mi wzrok, jak gdybym zerknęła przez jakieś trójwymiarowe dzieło sztuki - tyle że bez okularów.
- Hm - mruknął Grant.
- Chcesz się założyć, że to coś w Mary i ta kość, którą Jack usunął ze swojego ramienia, to także nasienne koła?
Zmarszczył czoło i zakolysał trzymany w dłoniach amuletem.
Nic wiem, co o tym myśleć. Wspomnienia przerażają, lak sumo myśli. Widzę je przez cały czas. Czasami byłoby lepiej, gdybym nie widział. Ale jeśli to jest koło nasienne, to jakaś część mojej matki albo kogoś innego została w nim przechowana... - urwał i przełożył łańcuch amuletu przez głowę. - Dlaczego nasze życie tak się skomplikowało?
Właśnie dlatego, chciałam mu odpowiedzieć, ale milczenie było bardziej na miejscu. Spojrzałam do tyłu, w stronę drzwi prowadzących do schodów, i na złociste światło dobiegające z apartamentu poniżej.
- Bardzo chciałabym uciec.
- Powinniśmy wyjechać do Paryża albo do Wiednia.
- Do Egiptu. Tam miałabym wymówkę, dlaczego zakrywam ramiona.
- Znam Rzym jak własną kieszeń. Uśmiechnęłam się.
- Czy myślałeś kiedyś o przekazaniu komuś schroniska dla bezdomnych?
- Myślę o tym coraz częściej.
- Co robiłbyś wtedy z czasem?
- Byłbym lepszym człowiekiem.
- To niemożliwe. Jesteś doskonały. Grant pocałował mnie w policzek.
- Chodź. Przekonajmy się, co jest takiego ważnego w ramieniu Jacka.
Idąc po dachu, trzymaliśmy się za ręce. Pomyślałam o Paryżu, Rzymie.
I o rozcięciu więziennej zasłony.
Powinnaś tam być, myślała część mnie. Trzymać straż.
Ale strzeżenie szczeliny też nie dałoby nic dobrego. Nie na dłuższą metę, kiedy jakiś zastęp armii czekał po drugiej stronie, gotowy, by spaść na ten świat.
Na ten świat, gdzie nikt nie wierzy w magię. Pojawiłyby się tu demony, a razem z nimi chaos. Nie wiedziałam, czy można by je powstrzymać za pomocą broni palnej. Może. Ale nie wystarczyłoby broni - albo ludzi przeszkolonych w jej używaniu - by zapewnić ludzkości bezpieczeństwo.

Zpracowane matki i ich dzieci, wszyscy pojmani przez Mahati. Szpitale, szkoły i centra handlowe. Próbowałam sobie wyobrazić Pana Ha'ana wiodącego wystraszonych, głodnych Mahati przez śródmieście Seattle, a perspektywa ta była zarówno groteskowa, jak i przerażająca.

I taka bliska. To mogło się wydarzyć lada chwila.

Musimy zamknąć zasłonę, pomyślałam. Musimy.

Na dole okna były pootwierane, ale powietrze nadal pachniało wybielaczem. Nie widziałam Reksa, lecz Jack siedział ze skrzyżowanymi nogami na kanapie. Mary spoczywała na podłodze przed nim, rzeźnicki nóż leżał grzecznie obok. Aaz już przysiadł przy niej, trzymając w szponach kłębek purpurowej przędzy. Mary wytrzasnęła skądś druty do robótek i wydawało się, że dzierga mały szalik w rozmiarze odpowiednim dla demona.

Mój dziadek trzymał kość w rękach: bliźniaczo podobną do mojej blizny. Powinny przylegać do niej kawałki mięsa, ale kość wyglądała czysto, biało - a nawet, jak pomyślałam, staro. Zastanawiałam się, w ilu ciałach znajdowała się przez lata.

Jack miał zamknięte oczy. Zupełnie jakby medytował. Jeśli spał, to nie chciałam wiedzieć, o czym śni. Może Grant to wiedział. Przypatrywał mu się szczególnie wyniośle, jakby coś pochodzącego od Jacka unosiło się w powietrzu, w jego aurze, czego nie chciał tknąć.

- Jack - odezwałam się cicho.

Dziadek wziął głęboki wdech i otworzył oczy. Początkowo mnie nie widział. Patrzył poprzez mnie, skupiony na tajemnicy znajdującej się gdzieś daleko.

- Jack - powtórzyłam.

- Moja droga dziewczyno - odrzekł chrapliwym głosem. - Jaki mamy dzień?

Wymieniłam szybkie spojrzenia z Grantem.

- Minęło dopiero trzydzieści minut albo coś koło tego, odkąd wyciągnąłeś tę kość ze swojego... dawnego ramienia.

- Hm. - Znów zamknął oczy, poruszył barkami, przyciskając kość do piersi. - To może potrwać dłużej, niż sądziłem.

- Co takiego wyprawiasz?

- Szukam nici. - Otworzył raptownie oczy. - Wbrew pozorom ten przedmiot to księga. Obłożona we... wzory, z których korzystałem jako Wielki Pan Boskiej Natury.

- A więc to coś w rodzaju nasiennego koła.

- Niezupełnie, ale prawie. - Jack zmarszczył czoło, zamykając oczy i sadowiąc się wygodnie na poduszkach na kanapie. - Może powinniście się przejść.

- A może ty powinienes się pospieszyć. Wykrzywił usta.

- Moja droga, nie przyspieszałem wypieku twoich urodzinowych ciast i nie dam się poganiać, przypominając sobie sekrety, dzięki którym można ocalić świat.

- Zdaje się, że zaznaczyłeś coś zakładką w tej księdze - zauważył Grant.

Jack stropił się jeszcze bardziej. Kucnęłam koło Aaza i poklepałam go po główce. Wyszczrzył do mnie zęby w uśmiechu i pokazał mi swój kłębek włóczki.

- Ładny - powiedziałam. - Zostań tu, kolego, jeśli możesz. Miej oko na Mary i na Starego Wilka.

- Oko w oko - przemówiła do mnie Mary, błyskawicznie robiąc na drutach. - Krew w niebie wysoko.

Grant pociągnął mnie za sobą.

- Mary, wrócimy niedługo.

Stara kobieta uśmiechnęła się do niego, ale nie przestała poruszać drutami - nawet wtedy, gdy skupiła swoje spojrzenie na Jacku. Wciąż obserwowała starca, szybko przebijając palcami i migając drutami, kiedy zamknęliśmy za sobą drzwi do mieszkania.

Rozdział 17

Trzy miesiące po moich przenosinach do Seattle i trzy miesiące, zanim spotkałam swojego dziadka i zaczęły się kłopoty, razem z Grantem pojechaliśmy na północ, do Van-couveru w Kanadzie, żeby spędzić weekend na zwiedzaniu. Całe życie byłam turystką, ale w pewnym wieku przestało mi się to podobać. Wszystkie miasta były do siebie podobne. I zawsze trafiał się jakiś wymagający egzorcyzmów zombi. Zawsze coś złego, co wymagało naprawy.

Siedzieliśmy na ławce w Stanley Park, kiedy w końcu poprosiłam Granta, żeby opowiedział mi szczegółowo, jak uszkodził sobie nogę.

- Sam byłem sobie winien - powiedział, rzucając kawałek chleba chodzącym w pobliżu gęsiom. - Był pewien facet, schizofrenik. Od czasu do czasu siedział w szpitalach psychiatrycznych. Bywał agresywny, i to strasznie. Ale tylko wobec siebie. Nie chciał brać leków, nie wytrzymał długo rozmów z pracownikami opieki społecznej. Żadne schronisko w mieście nie chciało go przyjąć. Ale ja byłem pewny siebie. Dysponowałem nadprzyrodzonymi mocami. Więc spróbowałem po swojemu. Tyle że starałem się za bardzo.

Grant rzucił gęsiom resztę chleba, po dłuższej chwili spojrzął mi w oczy i kontynuował:

- Do wszystkiego, co wiedziałem o manipulowaniu energią, doszedłem sam, na wycucie, na podstawie życia spędzonego na obserwowaniu ludzi i zauważaniu, jak osobowości dopasowują się do wzorców. Zakładałem, że te prawidłowości odnoszą się również do chorego umysłu, ale okazało się, że nie. Czegoś nie rozumiałem do czasu, aż zacząłem naprawiać rzeczy, którymi nie powinienem się zajmować. Nie próbowałem tego czegoś po prostu poprawić. Posunąłem się za daleko. Sprawilem, że ten gość stał się jeszcze gorszy.

- Zaczął cię ścigać.

- Szukałem go w piwnicy. Wciąż pewny siebie. Nie wierząc, że może być bardzo źle. Wiesz, jakie narzędzia tam trzymamy. - Grant poklepał się po nodze. - Dorwał młot kowalski. Zmiażdżył mi kość. Tłukł mnie nim powoli. W kółko powtarzał, żebym się trzymał z daleka od jego głowy.

Mówił tak cicho, że ledwie go słyszałam. I ponuro, bardzo ponuro.

Dotknęłam jego ręki.

- Jak mu uciekłeś?

- To on rzucił młot i uciekł. Zdołałem dowlec się do schodów i wezwać pomoc. - Grant potarł kolano, ale wyglądało to na nawykowy odruch, jak gdyby starał się zająć czymś ręce. - Ale wszystko... ta napaść i późniejsza operacja... nie było wcale najgorsze. Najgorzej, że zdałem sobie sprawę z własnej arogancji. Dotarło to do mnie. Wcześniej nawet tego nie rozumiałem. Skrzywdziłem tego człowieka, Maxine. Wyrządziłem mu krzywdę, bo byłem zbyt zadufany, bo myślałem, że wiem lepiej.

- Ale to cię nie powstrzymało.

- Nie da się powstrzymać mocy. Można ją tylko kontrolować. Zdecydować, jak ją wykorzystać. Zdecydować, jak sobą pokierować. - Ręka Granta zatrzymała się na kolanie. - O tym właśnie myślę, kiedy tylko korzystam ze swojego talentu. Myślę o tym człowieku. Rozmyślałam o jego rozpaczach. Pamiętam, że się bałem: siebie, tego, do czego jestem zdolny.

Czasami trzeba przekroczyć granicę. Czasem wymaga tego większe dobro. Ale wiadomo, że wszelkie czyny, nawet te najbardziej niekonsekwentne, pociągają za sobą skutki. Złe albo dobre. Od razu albo dopiero po czasie.

- I co się stało z tym człowiekiem?

- Zastrzelił się - odpowiedział Grant. - W liście, jaki pozostawił, obwinił o to mnie.

W schronisku dla bezdomnych było bardzo cicho. W korytarzach cuchnęło dymem. Byliśmy w środku sami.

Pomyśl, że to niesamowite. Nadaj temu wrażenie wojny. Rozegrała się tu bitwa - tak chciałam powiedzieć. Nadeszli żołnierze i zgładzili wroga. Wyczerpani, lecz zwycięscy.

Ale nie. Pożar zaczął się tam, gdzie wszystko poszło źle.

Przeszliśmy do wypalonej części budynku, zatrzymując się przed taśmą rozciągniętą przez strażaków. Zaczerwienione oczy migotały po drugiej stronie. Metal jęczał, towarzyszył temu odgłos przeżuwania.

Zbroja zadrżała, gdy podeszliśmy bliżej, a jej powierzchnia połyskiwała lekko.

- Wyrwała dziurę w Labiryncie, żeby się tu dostać - powiedziałam, wpatrując się w prawą dłoń. - Czy on nadal może być taki słaby? Tak słaby, żeby się zawalić?

- Myślisz więc, że ona uciekła w taki sam sposób, zamiast zaciągnąć Jacka do tamtych lasów.

Oparłam się o ścianę, patrząc na osmalony mur. Znowu zaczęło padać, a ponieważ nad tą częścią budynku nie było już dachu, podłoga wokół nas mokła. Podobnie jak moja twarz.

- Tamci ludzie. Ci, z których wysączyła energię. Nie wiemy, kim są ani gdzie ich znalazła. Od tamtej pory mogła związać się z innymi.

- Wiem - powiedział Grant markotnie. - Ale co mamy zrobić? Żadne więzienie tu, na ziemi, jej nie powstrzyma.

Mogliśmy ją zabić, ale została wychowana na niewolnicę, od urodzenia poddawano ją praniu mózgu. Odbieranie jej życia wydaje się niewłaściwe.

- Gdybym miała wybierać między nami a nią, wybrałabym nas.

- Jeszcze nie doszliśmy do tego punktu.

Stało się tak już, gdy ujrzałam ją po raz pierwszy, ale i mnie brakowało odwagi, żeby ją zabić.

- Ona jest niebezpieczna. Musimy ją odnaleźć. Zwłaszcza jeśli mamy zająć się zasłoną oraz Mahati.

Grant spuścił wzrok, zaciskając szczęki.

- Wierzysz, że możemy to zrobić?

Po raz pierwszy dosłyszałam w jego głosie powątpiewanie. Dotychczas był nieustraszony. Silny, skoncentrowany. To ja zawsze czułam się tak, jakbym zaraz miała się rozsypać. Ale nie on.

Próbowałam coś powiedzieć, ale nie mogłam. Przytuliłam się więc do pleców Granta, obejmując go ramionami w pasie i ściskając z całych sił. Zadrżał. Dek i Mai zamruczeli.

- Jesteś moim bohaterem - powiedziałam. - Wierzę w ciebie.
 Sapnął raptownie, co zabrzmiało jak śmiech.

- Jestem kaleką zdolnym manipulować ludźmi. Nie wiem, co ty w ogóle we mnie widzisz.
 Pocałowałam go w bark.

- Podkochiwałam się w tobie, zanim jeszcze sobie nas przypomniałam. Widziałam wystarczająco dużo.
 Grant przykrył moje ręce dłońmi.

- I zestarzejemy się razem?
 - Tak - wyszeptalam.

Obrócił głowę, zerkając na mnie przez ramię.
 - Kłamczucha.

Wyciągnęłam rękę i uszczypnęłam go w nos.
 - Nie rób ze mnie optymistki w tej rodzinie.
 - Rodzina. - Obrócił się w moich objęciach, wspierając ciężko na lasce, podczas gdy drugą dłoń wsunął do tylnej kieszeni moich spodni. - Podoba mi się to słowo.

- Tak? - Moje oczy zapłonęły niespodziewanie. - Więc pomyśl o tym. Są pewne rzeczy, których musimy dożyć, żeby je zobaczyć.

Grant wciągnął głośno powietrze - wytrzymując moje spojrzenie przez długą, ekscytującą chwilę - a potem odwrócił wzrok, zaciskając szczęki. Wspięłam się na palce i pocałowałam go w szyję.

- Możemy to zrobić - powiedziałam szeptem. - Przyznaj to. Proszę.
 - Możemy to zrobić - wyszeptał. - Musimy.

Mai odczepił się od mojej szyi i prześliznął się na ramiona Granta, pełznąc po nim jak wąż. Małą futrzaną główkę wsparł na jego uchu, usadawiając się wygodniej.

Grant zmarszczył czoło i z wahaniem pogłaskał ogon Mala. Rozległo się mruczenie. Dek zaświergotał do swojego braciszka.

Uśmiechnęłam się i poklepałam Granta po piersi.
 - Masz teraz ochroniarza. Pokręcił przecząco głową.
 - Mai jest potrzebny tobie.
 - Grancie... - powiedziałam, a mój uśmiech przygasł. -Kto mnie skrzywdzi?
 Jego wzrok spoważniał.
 - Maxine...

Nie pozwoliłam mu dokończyć. Chwyciłam go za koszulę, zwinęłam prawą dłoń w pięść i pomyślałam twardo o Posłanniczce.

Schronisko dla bezdomnych rozpadło się w próżnię.
 A w tej próżni zawisłam zagubiona, kiedy ciemność poruszyła się we mnie, otwierając swoje oko, by popatrzeć.

Jesteś tutaj załamana, powiedziała cicho. Nie lubisz ciemności.
Idź z powrotem spać, odparłam. Me chcę cię.
Potrzebujesz nas. Tak samo jak Kosiarze.
Nie, odpowiedziałam, ale tylko sobie samej.

Ponieważ naprawdę jej potrzebowałam. W każdym razie czegoś poza tym, co miałam.
 Razem z Grantem przeszliśmy z próżni w piekło czerwonych skał i złocistego piasku.
 Słońce rozpalone do białości oślepiało. Bezchmurne niebo. Staliśmy na wysokim płaskowyżu. Pod nami było więcej piasku i skał, a nikła droga wiodła prostą linią w stronę horyzontu, na którym widniały odległe płaskowyże i wystrzępione kamieniste wzniesienia.

Mało mnie obchodziło, gdzie jesteśmy. Był dzień w tej części świata - a noc w Seattle - zakładając, że nie podróżowaliśmy w czasie. Chłopcy ciążyli mi na skórze, ciążyło mi wszystko, nawet głowa. Żałowałam, że Jack i Mary - i Byron - nadal nie mają Aaza, który czuwałby nad nimi.

Grant osłonił oczy przed słońcem i krzywiąc się, zwrócił do mnie:
 - Uwielbiam sztukę - powiedział, gdy Dek poruszył wytatuowanym ogonem po moich policzkach i brwiach, opierając pazurki na moich powiekach. Obróciłam się powoli, wypatrując Posłanniczki.

Grant zatrzymał się nagle, zdejmując marynarkę.
 - Coś widzę. Po tamtej stronie skał. Energia się wznosi jak ciepła fala.
 - Jak to coś wygląda?
 - Przygaszone - odpowiedział, obwiązując się marynarką w talii i podnosząc laskę. - Ona płonie półświatłem, jak gdyby wyczerpało się wszystko, co w niej żywotne.
 - Pewnie wyglądasz inaczej, niż przywykła.
 - To pewnie niepokojące. - Nie dodał nic więcej, wydawał się zbity z tropu.

Mnie nie podobało się to tak samo, jak jemu.
 Nie zrobiło się lepiej, kiedy ją ujrzałam.

Odnaleźliśmy Posłanniczkę po drugiej stronie skalnego kopca, siedzącą po turecku na rozpalonym piasku, wpatrzoną w klif wznoszący się na odległej pustynnej równinie. Dłonie miała zaciśnięte, a plecy

wyprostowane. Nie zbliżaliśmy się po cichu, ale ona nie spojrzała na nas ani się nie poruszyła aż do chwili, kiedy się znaleźliśmy tuż nad nią.

- To wy - powiedziała z zaskakującą nutą znużenia w głosie. Znużenia, rozczarowania i złości.

Nie była sama.

Na skałach siedzieli trzej mężczyźni zgarbieni, ze zwieszonymi głowami i przymkniętymi oczami. Nie tyle wypaleni, co jakby bez życia. Mieli ciemne włosy, brody, byli szczupli; nosili luźne koszule, długie, kraciaste przepaski mieli owinięte na biodrach. Karabiny zwisały z ich ramion, ale żaden z tych ludzi nie wyglądał na takiego, który mógłby oddać strzał.

Podeszłam do nich. Posłanniczka mnie nie powstrzymała. Sprawdziłam im tętno i zerknęłam na Granta.

- Żyją.

- Powiązani - odpowiedział spokojnie, patrząc na kobietę. - Dlaczego to zrobiłaś?

- Tu nie ma mułów - stwierdziła po prostu. - Żadnego porządnego ludzkiego zaprzęgu, który mógłby mnie uciągnąć. A mnie już nie spieszy się do śmierci tak jak dawniej.

- To dobrze - odrzekł. - Jednak ja przeżyłem wiele lat bez... czerpania z więzów. To, co robisz tym ludziom, jest zte.

- Złe - powtórzyła. - A czy nie było złe to, co zrobiłaś ze mną, w mojej głowie?

Grant się zawahał.

- Może. Ale nie żałuję.

Słuchałam ich rozmowy tylko jednym uchem. Nie potrafiłam dostrzec więzów, którymi Posłanniczka spętała tych ludzi, jednak wyczuwałam je jak stalowy pręt na języku: zimne, sterylne.

Zerwij je, jeśli chcesz, powiedziała ciemność. *Już trzymasz te więzy w ustach. Przegryź je. Przegryź. Wtedy ich uwolnisz.*

Sama wiedziałam, co powinnam zrobić - i to wiedziałam dobrze - ale pokusa była zbyt wielka. Mogłam to uczynić. Mogłam ich uwolnić.

I zrobiłam to. Jakbym przerwała nić zębami. Zacisnęłam szczęki i usłyszałam w swoim umyśle trzy wibrujące trzaski, po których gorzki smak spłynął mi w usta jak krew, jak ciekłe żelazo.

Trzej ludzie zerwali się raptownie, przewracając oczami, chciwie czerpali powietrze i trzymali się za gardła. Łykali powietrze wielkimi haustami, drżąc tak mocno, że o mało nie popękały im kości. Zerknęłam przez ramię i zobaczyłam, że Posłanniczka trzyma się za pierś, jakby dostała ataku serca.

- Cholera - rzuciłam.

- Maxine - rzucił gniewnie Grant, wskazując palcem. Odwróciłam się i ujrzałam tych trzech ludzi całkowicie przytomnych, panujących nad sobą w pełni - gapili się na mnie przerażeni i zmieszani. Zapomniałam o swoim wyglądzie. Mimo to, jeśli ci faceci nie pamiętali, jak się tu znaleźli...

Sięgnęli po broń. Krzyknęłam na nich, ale to tylko sprawiło, że zaczęli się poruszać szybciej, wrzeszcząc na mnie i na siebie nawzajem. Nie rozumiałam ani słowa z tego, co mówili, lecz pojmowałam sens. Przyłożyłam stojącemu najbliżej, próbując mu wyszarpnąć broń. Był silny, żyłasty, w grymasie złości i strachu odsłonił zęby.

Walnęłam go z byka.

Rozluźnił chwyt. Wyszarpnęłam broń i rzuciłam ją na skalny występ. Ale działałam zbyt wolno, by powstrzymać pozostałych. Otworzyli ogień - do mnie, do Granta i Posłanniczki.

Nie patrzyłam ani nie myślałam - rzuciłam się na obu facetów i przeniosłam nas ponad skałami.

Chyba krzyczałam. Może. Tamci wrzasnęli, od razu wyślizgując mi się z rąk. Próbowалаm ich utrzymać, ale za bardzo się miotali.

Świat nie zawirował. Ujrzałam ziemię, jasno i wyraźnie, wszystkie skały rysowały się dokładnie, gdy spadałam głową w dół.

Mogłam posłużyć się zbroją, żeby uciec, lecz ci ludzie pozostawali poza moim zasięgiem. Ze wszystkich sił starałam się ich złapać, ale moje dłonie wciąż się ześlizgiwały - pozostały mi tylko sekundy. Spadałam z prędkością setek metrów na każde uderzenie serca.

Najpierw huknęłam głową. Poczulałam to tak, jakby trafiła mnie strzała, i w chwili zderzenia miałam straszną wizję siebie wbitej w ziemię ze stopami wystającymi nad powierzchnię.

Zamiast tego odbiłam się, odskoczyłam, obracając się w powietrzu jak szmaciana lalka. Wylądowałam twardo na plecach, zsuwając się po kamieniach i piasku. Nie czułam bólu, ale zapomniałam o oddychaniu, a serce waliło mi tak mocno, iż pomyślałam, że to udar. Oszołomienie, błyski w oczach i błękitne niebo, które mnie pochłaniało.

Usłyszałam wykrzyczane swoje imię. Z daleka, niesione echem. Obróciłam się tylko nieznacznie i dojrzałam Granta - bardzo daleko, ponad mną, na krawędzi klifu. Mimo że nie widziałam go zbyt wyraźnie, uniosłam rękę, żeby pomachać. Okazało się to trudniejsze, niż się wydawało. Zee i pozostali chłopcy pulsowali na mojej skórze.

Spojrzałam w lewo, potem w prawo. Tamci mężczyźni znajdowali się w pobliżu, nieruchomi. Nie widziałam głów, ponieważ ich czaszki wbiły się w połamane, pogruhotane barki.

Przykro mi, pomyślałam o nich, a lzy zapiekły mnie w oczy. Tak mi przykro.

Powietrze poruszyło się nade mną. Kamienie zachrząsały. Posłanniczka znalazła się w zasięgu mojego wzroku a chwilę później także Grant.

Padł na kolana obok mnie z dzikim wyrazem oczu. Krew spływała mu po ramieniu, które zwisało bezwładnie. Rozdarty rękaw odsłaniał wielką, zabrudzoną ranę od kuli. Próbowałam usiąść. Przytrzymał mnie, ale ten ruch sprawił, że zachwiał się i jęknął z bólu.

Odsunęłam jego rękę możliwie jak najdelikatniej.

-Potrzebny ci lekarz.

Grant skłonił głowę, zaciskając zęby.

-A tobie nic nie jest?

Puściłam to pytanie mimo uszu. Posłanniczka z wdziękiem przykucnęła.

- Usta Światła. Ulecz się sam.

Obrzucił ją twardym, pełnym napięcia spojrzeniem.

- Nie wiem jak.

W jej oczach błysnęła pogarda.

- Masz taką moc, a nie potrafisz nawet ocalić własnego życia.

- To go naucz - rzuciłam.

- Dlaczego miałabym to robić? - Posłanniczka wstała. - On zrobił mi coś, czego nie da się odwrócić. Coś w mojej głowie, w sercu. On mnie... wypaczył.

- Przepraszam - powiedział Grant przez zaciśnięte zęby. - Próbowałam ci pomóc. Naprawdę. Nie chciałam sprawić ci bólu.

- Tak właśnie postępują dzicy. Nasze moce są zbyt potężne, aby korzystać z nich beztrudno. Nie można nam ufać.

- A więc wolałaś zaufać innym - zwrócił się do Posłanniczki oskarżycielskim tonem. - Zrzuciłaś z siebie odpowiedzialność, bo ktoś inny wie lepiej. Ktoś, kto wydaje ci rozkazy, nad którymi nie chcesz się zastanawiać, tylko je wypełniasz, nie oglądając się na skutki.

- Mówisz, jakbym była dzieckiem.

- Nie ja otworzyłam więzienną zasłonę.

Rzuciła mi nienawistne spojrzenie. Grant parsknął bolesnym, zdławionym śmiechem, a potem zamknął powieki.

- Au - jęknął.

- Przestań - mruknęłam, gotowa jechać do szpitala. Jednakże Posłanniczka chwyciła mnie za ramiona.

- Jak zerwałaś moje więzy z tymi ludźmi? - zapytała cicho. Ogarnęło mnie poczucie winy.

- Tak po prostu.

- Zmarnowałaś trzy żywoty.

- A ty chciałaś wykorzystywać tych ludzi aż do śmierci?

- Tak - odparła, zerkając na Granta. - Mogę cię uleczyć. Ale potrzebny będzie muł, to jest człowiek, z którym mogłabym się związać.

- Nie. Nie poświęcę kogoś innego.

- To tylko ludzie.

- Tacy jak my. - Wbił w nią wzrok. - Tylko tacy jak my. Posłanniczka się zawahała. Wpatrywała się w Granta,

a potem oderwała spojrzenie od jego twarzy i omiotła wzrokiem powietrze, wypatrując smug barw i światła, które były dla mnie niewidoczne.

To, co ujrzała, sprawiło, że aż się zgarbiła.

- Będę musiała związać się z tobą - wyszeptła.

Do licha, nie, pomyślałam. Ale Grant, chcąc jej przeszkodzić, bez wahania wyciągnął rękę tak szybko, że nie zdążyłam nic powiedzieć, by go powstrzymać. Posłanniczka chwyciła go za nadgarstek.

Grant z jękiem zacisnął powieki. Straszliwy ból przeszył moje serce; miałam obce, inwazyjne poczucie, jakby ktoś mnie zahaczał - jak pijawka wsysająca się we mnie. Ciemność się poruszyła, przenikając przeze mnie z sykiem.

Zdusiłam ją ze wszystkich sił. Na skórze chłopcy drgnęli -zwłaszcza Zee, rzucający się przez sen.

Posłanniczka odrzuciła w tył głowę, oddech zacharczał w jej gardle.

- Usta Światła - powiedziała, a w jej głosie brzmiał zachwyt.

Grant wydał z siebie zduszony odgłos. Zakłuło mnie w sercu - jak gdyby haki pociągnęły je boleśnie na zewnątrz, ku niemu. Do niego, przez niego, ku Posłanniczce. Nie było złocistego światła. Jej więź wydawała się bolesna i chciwa. Nie było w niej śladu łagodności.

Mogliśmy ją zabić, wyszeptła ciemność. Nie podoba nam się jej dotyk.

Dość, rzuciłam. Dostyc już narobiłaś.

To nie my gryźliśmy, odparła ciemność gładko. Nie my zabijaliśmy.

Posłanniczka zaczęła śpiewać, głosem równym, mocnym jak jej ręka, którą dotknęła zranionego ramienia Granta. Patrzyłam, porażona, jak jego rozdarte ciało się zasklepia. Najpierw z wolna, lecz miarowo; Grant zbladł, pot spływał mu po twarzy. Przytrzymałam go, bo dreszcze wstrząsały nim aż do szpiku kości.

W końcu rana się zasklepiła. Posłanniczka przestała śpiewać i odchyliła się z wdziękiem, a przy tym bez pośpiechu, ostrożnie, drobnymi, miarowymi ruchami. Jej twarz lśniła od potu, usta straciły kolor, stały się blade jak jej skóra.

Przez dłuższy czas nikt się nie odzywał, w końcu Posłanniczka przeniosła spojrzenie z Granta na moją twarz -przypatrywała mi się z jakimś niezdrowym zamyśleniem, które znosiłam, obserwując ją bez zmrużenia oka.

- Twoje serce jest dziwne - stwierdziła Posłanniczka.

- Tak - odparłam. - Zerwij to połączenie. Myślałam, że zaprotestuje. Dotknęła ręką piersi i trzymała ją tam, jakby wyczuwając pod dłonią coś ciepłego.

Jej wzrok był wciąż pełen zadumy i, jak sądziłam, trochę wyglodniały.

Zamknęła jednak oczy, wypowiadając słowo, które przetoczyło się przeze mnie z grzmiotem, a kilka chwil później hak zniknął z mojego serca. Odczułam natychmiastową, fizyczną ulgę. Musiałam się schylić, przyciskając palce do piersi, gdyż serce waliło mi mocniej, niż gdy było zdrowe -mocniej niż w strachu, mocniej niż w chorobie.

Grant dyszał chrapliwie. Twarz miał zaczerwienioną, powieki zamknięte. Przytuliłam go mocno, przyciskając usta do jego włosów, a potem do ucha.

- Jestem tutaj - powiedziałam cicho. Posłanniczka poruszyła się, pochylając w jego stronę.

- Dlaczego mnie powstrzymałeś?

Gdy na nią spojrzałam, była skupiona bez reszty na osobie Granta.

- Twoja noga - podjęła. - Nie pozwoliłeś mi wyleczyć kości.

- Nie da się uleczyć wszystkiego - wyszeptał zduszonym głosem, nadal nie otwierając oczu. - Niektóre rzeczy muszą pozostać takie, jakie są.

Ściągnęła brwi.

- Jesteś przeciwny naturze.

- W takim razie jaka ty jesteś?

- Stworzona - odparła, prostując się. - Ulepiona ręką Stwórcy.

- Tak jak ja.

- Ciebie nikt nie stworzył. Nie tak jak mnie.

- Oboje istniejemy na swój sposób.

- Jestem strażniczką Stwórcy. Nie działałam na swój sposób.

- Ale i to jest jakiś sposób. Podobnie jak mój. - Grant otworzył nagle jedno oko, wpatrując się w nią. - Do nikogo nie należysz, ale prawdą jest również coś przeciwnego. Nie jesteś lepsza od nikogo, bez względu na to, co robisz.

Jej oczy zwęziły się w szparki, ale nic nie odpowiedziała. Po prostu stała w pewnej odległości. Podniosłam się i przyciągnęłam Granta do siebie. Cały czas zgrzytał zębami, wydychając powietrze z przeciągłym świstem, kiedy wcisnęłam mu laskę w dłoń, a jego drugą rękę zarzuciłam sobie na ramię. Dźwignęłam go.

Napotkałam wzrok Posłanniczki.

- Przemyślałaś to, o czym rozmawialiśmy? Zacisnęła usta w brzydką kreskę.

- Chcicie, żebym walczyła u waszego boku.

- Potrzebna nam twoja pomoc w zamknięciu więziennej zasłony - powiedział Grant.

- Stwórca mówi, że tego nie da się zrobić.

- Mówi zbyt pochopnie. Zamierzamy spróbować. -Grant pochylił się nieco do przodu. - Już nie wiesz, kim jesteś. Nie znasz swojej wartości. Ale tylko dlatego, że nigdy nie miałaś szansy bycia sobą. Podejmowania własnych decyzji. Na cokolwiek zdecydujesz się teraz, będzie to twój wybór. Twoje życie.

W jego głosie nie było mocy. Żadnej mocy we wszystkim, co jej powiedział, poza siłą ukrytą w samych słowach.

Ciągle jest w nim coś z kaznodziei, pomyślałam. Korzysta nie tylko z magii swego głosu. Gdyby utracił ów dar, nadal byłby Grantem Cooperonem, zdolnym do odmieniania czyjegoś życia za pomocą samych przekonań, za pomocą swojej wiary.

Zastanawiałam się, kim byłabym bez demonów i tej ciemności we mnie. Kimś lepszym czy gorszym - a może zwyczajną kobietą, pracującą od dziewiątej do piątej i starającą się możliwie najlepiej przetrwać w życiu innego rodzaju.

Nie poznając wcale innej strony światła.

Posłanniczka przez chwilę obserwowała Granta, a potem mnie.

- Zrobię to - powiedziała powoli. - A potem zobaczymy.

- Mam nadzieję, że zobaczysz bardzo dużo - odparł Grant.

Rozdział 18

Nie zapamiętałam nazwy wsi, z której uprowadzono tych ludzi.

Zmusiłam Posłanniczkę, aby zaprowadziła nas tam oboje z Grantem. Wzięliśmy ze sobą zwłoki dwóch mężczyzn; trzeci człowiek wciąż żył, choć stracił przytomność. Zostawiliśmy ciała przy drodze, pod palmą rosnącą na skraju wioski, składającej się z dużych, prostokątnych budynków z jasnego kamienia, który zlewał się barwą ze wznoszącą się za nimi skalną ścianą. Szczekał na nas pies. Słyszałam dobiegającą z oddali muzykę popową, śpiewaną po arabsku.

Dwie małe dziewczynki, ubrane w proste zielone sukienki, pojawiły się za zakrętem drogi. Na nasz widok stanęły z krzykiem.

Posłanniczka też się zatrzymała. Obserwowała roztrzęsione dziewczynki, a potem obrzuciła wieś długim i twardym spojrzeniem.

- To mi przypomina miejsce, gdzie się urodziłam - powiedziała. - Nie pozwalano mi zbyt często wyglądać za mury. Pustynia była wielka i rozciągała się na cały świat.

Patrzyłam. Grant też. Posłanniczka zerknęła na nas, przechylając głowę.

- Labirynt także jest ogromny - rzekła, znikając z widoku.

Chwyciłam Granta za rękę i podążyłam za nią.

Wpadliśmy do mieszkania w Seattle. Nadal była noc. Chłopcy oderwali się od mojego ciała. Zgrzytnęłam z bólu zębami, ściskając dłoń Granta, póki ból nie ustąpił, a dym, który tworzył tatuaże, zbił się w małe, twarde ciała, błyszczące jak obsydian i rtęć.

Jack wciąż siedział na kanapie, ale w rękach trzymał już nie kość, lecz kubek. Razem z Mary oglądał wiadomości. Przestraszyły mnie ich twarze: były zimne, kostyczne. Raw i Aaz dali susa, żeby pogapić się w ekran telewizora.

- „...przed chwilą otrzymaliśmy doniesienia o tym, że autobus Greyhound jadący z Portland do Seattle znaleziono wywrócony na poboczu drogi międzystanowej numer w pobliżu Astorii. Świadkowie opisują ten widok jako makabryczny. Wszyscy pasażerowie najprawdopodobniej zginęli”.

Usłyszałam dobiegające z odbiornika telewizyjnego krzyki, zawołanie, wyrażające rozpacz i niedowierzanie. Słyszałam wrzaski i jakiegoś człowieka, mówiącego roztrzęsionym głosem: „O Boże. O mój Boże”.

Hałas ucichł. Jack odłożył pilot.

- Martwi - powiedział, patrząc na mnie po raz pierwszy, odkąd wróciłam. Ze znużeniem prześlizgnął się wzrokiem po postaciach Granta i Posłanniczki i znów spojrzał na mnie. - Ale ktoś tu kłamie o pozostałych.

- Wypadki autobusowe się zdarzają - wyszeptalam, gdy Dek klapnął ciężko na moich barkach. Szukałam wzrokiem Mała i zobaczyłam go oplecionego wokół szyi Granta.

- Mahati prowadzić łowy - wycharczał Zee, przymykając oczy, jakby nasłuchiwał czegoś odległego. - Jeden zastęp. Ha'an prowadzi.

Zamknęłam oczy i wzięłam głęboki wdech.

- Jack, czy odkryłeś, czego szukają?

- Tak - odpowiedział cicho.

Po omacku odszukałam dłoń Granta.

- Zaczynaj uczyć ich tego, co powinni opanować.

- To nie takie proste.

- Wobec tego uprość to - rzuciłam niecierpliwie. - Nie mamy czasu.

Grant przyciągnął mnie bliżej, Mai nie odrywał się od jego piersi.

- A co ty robisz?

- Utknęłam w martwym punkcie. - Ścisnęłam go za rękę, spoglądając na Posłanniczkę. Nie padły żadne słowa. Tylko te chłodne, puste oczy i ten wyraz jej ust.

Wkroczyłam z powrotem w próżnię, zatrzymując w umyśle obraz Pana Ha'ana...

...i znalazłam się w lesie, podobnym do tego, w którym rozwarła się zasłona. Powietrze było chłodne, wilgotne, a ziemia pod stopami grząska. Usłyszałam głośny szum rzeki i jeszcze głośniejszy śpiew: donośny głos dośpiewywał słowa do melodii. Dek zaczął cicho nucić swym wysokim, słodkim głosikiem. Wokół mnie chłopcy zbili się w gromadkę, ich czerwone oczy lśniły. Błyszczały z tęsknoty, z czego zdałam sobie sprawę. Wspomnienia.

Czułam się, jakbym stała w katedrze wsłuchana w śpiew mnicha. Pod sercem ciemność się rozciągnęła, zwoje wydały upiorny syk, który wniknął mi w szpik kości. Szukałam swoich więzów z Grantem i odnalazłam je natychmiast, ciepłe, słoneczne. Skupiłam się na nich. Trzymałam się ich mocno.

Pamiętaj, że wszędzie jest dużo tego, co możesz mieć, powiedziała ciemność w moim umyśle.

Zignorowałam ten głos. Przecisnęłam się między drzewami i natknęłam się na Mahati.

Naliczyłam ich ośmiu, poza Panem Ha'anem. Demony siedziały luźnym kręgiem, odprężone, a przed nimi leżał stos ludzkich kończyn. Wyczułam krew. Usłyszałam trzask pękających kości. Lepkie odgłosy przeżuwania. Żołądek podszedł mi do gardła, ale przełknęłam z wysiłkiem i udało mi się powstrzymać wymioty.

Ha'an był jedynym demonem, który nie jadł, i jedynym, który śpiewał - a jego głos jak głuchy grzmot przebijał się przez odległy szum rwącej rzeki. Klęczał na rozstawionych kolanach, opierając zębate palce na muskularnych srebrzystych udach.

Zobaczył mnie wcześniej niż inni, ale nie przestał śpiewać. Jego oczy śledziły moje ruchy i rozszerzyły się lekko, gdy dostrzegł chłopców.

Pozostali Mahati kolejno przerywali jedzenie i podnosili wzrok. Kiedy mnie ujrzeni, przetoczyła się przez nich zgodna fala. Przypominała strach, co sprawiło mi trochę przyjemności.

Ja - albo ciemność we mnie - ziewnęłam szczękami, które wyrosły mi w ustach, a zwinięty duch przepelnił mnie od stóp po czubek głowy. Czułam, jakby moje serce unosiło się na grzbiecie monsturalnej fali, wynosząc mnie coraz wyżej, z mocą i gracją.

Bo tym jesteśmy, wyszeptwała, jesteśmy mocą.

Mocą. Z mocy można korzystać. A to, co się wybiera, niesie skutki.

Powtarzałam to sobie co rusz, gdy Raw i Aaz z cichym warczeniem przywarli do moich nóg. Kolczaste włosy na głowie i plecach Zee stanęły na sztorc. Pazurami grzebał w piasku.

- Ha'anie - zachrypiał. - Dawno się nie widzieliśmy. Głos demona zagrzemiał w ciszy, a on sam skłonił głowę.

- Na tyle dawno, żeby obcy zapuścili korzenie. Ubyło cię, tak jak twoich pobratymców. Dawna istota nie mieszka już w twojej skórze.

- Moc nadal - odparł Zee. - Mocy aż tyle, by cię zabić.

- Jak zawsze - stwierdził Ha'an, ale bez lęku czy złości. - A ludzkie wcielenie? Jesteście do niego przywiązani. Czułem to już wcześniej, ale nie rozumiałem.

- Aetar - wycharczał Zee.

Ha'an skinął głową w zamyśleniu.

- Zdaje się, że znowu na nich zapolujemy. Jak skończymy z tym tutaj.

- Już skończyliście - powiedziała, występując naprzód. - Dzisiejszej nocy zabraliście wiele żywotów.

- Wytłumaczyłem się. Mówiłem ci, że nie pozwolę, by mój lud głodował.

Wskazałam na leżące przed nim na ziemi zmasakrowane szczątki.

- Ci też byli ludźmi. Są też inne rzeczy, które możecie jeść.

- Bydło? - rzekł Ha'an z odrazą. - Raczej nie.

- Smakuje lepiej niż twoje ramię. Zmrużył oczy i spojrzał z góry na Zee.

- Jak ona może być waszym pojazdem i nie wiedzieć, co nam potrzebne?

- Inne czasy, inne potrzeby - odparł Zee zwyczajnie. - Jest naszą Królową.

Ha'an się wzdrygnął.

- Ale wy nadal jesteście naszymi Królami.

Zee pogrzebał pazurami w ziemi, a jego kolce naprężyły się ze wzburzenia.

- Waszymi. Jej. Razem.

Pan Mahati odchylił się do tyłu, przesywając mnie lśniącem spojrzeniem.

- Czuję, że stara istota oddycha pod jej skórą. Wiem w swoim umyśle, że ona jest Naczyniem. Ale bez was, oblepiających jej ciało, jest zbyt ludzka. Inni nie zaakceptują jej jako Królowej.

- Muszą - odpowiedział mu Zee. - Ty musisz.

Ha'an obrzucił go przeciągłym, nieprzeniknionym spojrzeniem. A potem tak samo popatrzył i na mnie - z całym poważaniem, a przy tym wyzywająco unosząc podbródek.

- Ty, z tłuszczem i mięsem na kościach. Czy wiesz, jak to jest cierpieć taki głód, że aż trzeba jeść własne ciało, żeby przeżyć?

- A ty wiesz? - zapytałam chłodno. - Wyglądasz na nietkniętego.

Owładnął go straszliwy bezruch. Już chciałam cofnąć się o krok, ale Raw przywarł mi do nóg, zatrzymując mnie. Dek dodał mi otuchy, kładąc pazur na moim uchu.

- W łowach - odezwał się szeptem Ha'an - chodzi nie tylko o mięso. Ono może napęścić nasze brzuchy, ale nie dusze.

- Polujecie dla bólu - powiedziałam.

- Ból to ostra siła - odrzekł Ha'an, jak gdyby to wiele wyjaśniało. - Gdyby była było pod dostatkiem, zjadalibyśmy te cięższe bestie. Ale umysły... śniące umysły... dają moc, mają smak, napęniają wszystkie komórki, każdą kroplę krwi, wszystkie szczeliny w kościach siłą, której potrzebujemy, żebyśmy byli mocni.

Posmakowałaś jej, powiedziała ciemność. Jechałaś na krawędzi tego, o czym on mówi. Wyobraź sobie, że pławisz się w świetle dziesiątków tysięcy umysłów, znajdujących ostateczną śmierć u twoich stóp. Ostatnie chwile płoną najmocniej podczas ucztowania.

Wpatrywałam się w zielone oczy Ha'ana, usiłując pohamować drżenie, gdy bezimienny głód ścisnął mi gardło.

- Weź to, co już znalazłeś, i nic więcej. Powrót za zasłonę.

Ha'an przeszył mnie twardym, pustym spojrzeniem.

- A jeśli nie?

Zerknęłam z góry na Rawa i Aaza, którzy spadli na najbliższych Mahati jak pociski złożone z zębów i pazurów. Zmusiłam się, by patrzeć, zupełnie beznamyślnie, jak Raw połyka całe ramię, po prostu wpychając je sobie w gardziel, a potem odgryza je od barku wrzeszczącego Mahati. Aaz zagłębił się w piersi innego demona, niemal przegryzając go na pół.

Nie poruszyłam się. Nie drgnęłam. Krzyczałam w środku, ale w sercu miałam głaz, bo tak musiało być. Byłam bezlitosna, ponieważ to stanowiło jedyny sposób, by zachować przy życiu ludzi, których kochałam.

Popatrzyłam na Ha'ana.

- Cholera, wracaj, za zasłonę. I to już.

Wytrzymał moje spojrzenie chwilę dłużej, niż to było roztropne, a potem strzelił z długich palców na pozostałych Mahati, którzy zaczęli w pośpiechu zbierać szczątki upolowanych zwłok oraz świeże trupy. Chciałam ich powstrzymać, powiedzieć, żeby zostawili ciała tych ludzi, ale instynkt podpowiadał, jak daleko mogę się posunąć, a dalej nie mogłam. Póki nie nadejdzie czas, a Grant i Jack dokonają cudu.

- Jeszcze nie koniec - powiedział Ha'an, patrząc to na mnie, to na Zee. - Wybaczcie, ale będziemy polować. Będziemy polować, aby żyć.

My zapolujemy z wami, odezwała się ciemność. Powieziemy armie gwiazdowego światła za horyzont, ku wojennym ogniom, do Labiryntu, gdzie cień się wznosi.

Przygryzłam język i wyczułam krew.

- Będziemy polować - powtórzył Ha'an, jakby zapewniał samego siebie. - Przetrywamy.

- To się jeszcze zobaczy - odpowiedziałam mu spokojnie. Ha'an był olbrzymem wyższym ode mnie co najmniej o metr, a jego potężne mięśnie sprawiały, że wydawał się kilkakrotnie szerszy. Ale w tamtej chwili czułam się od niego większa, pełna pulsującej mocy i pewności, że moje życie jest zakorzenione mocniej niż góra i starsze od głazów. Nie podobało mi się to, co dawało mi takie wrażenie, ale czułam to i wykorzystałam, by wytrzymać jego wzrok zmusić go do ustąpienia.

- Królowo - powiedział Ha'an cicho i z rozmysłem.

Odwrócił się i wzleciał w niebo. Inni Mahati podążyli za nim.

Trwałam w bezruchu, patrząc za nimi, póki nie znikli z widoku.

- Zee - szepnęłam.

- Robić, co powiesz - wycharczał, czepiając się mojej ręki.

Kolana mi drżały. Przewracałam się. Więc opadłam w tył, do domu.

W każdym razie próbowałam. Zbroja miała inne pomysły.

Wyszłam z próżni w blask księżyca. Do rzeki lśniącego księżycowego światła, padającego przez chmury na ciemną równinę.

Usłyszałam kobiecy krzyk. Wyczułam dym. Zee i inni chłopcy zebrali się, chwytając mnie za ręce i nogi.

- Nie - powiedział Zee, wbijając się pazurami tak głęboko w moją skórę, że pomyślałam, iż mnie pokaleczy.

I wtedy rzeczywiście mnie skaleczył, a zetknięcie z moją krwią sprawiło, że odskoczył ode mnie, robiąc wielkie oczy. Chciałam go złapać, ale był poza moim zasięgiem. Kręcił głową i drapał się po ramionach, po twarzy i po oczach.

Patrzyłam na niego bezradnie; ale tamta kobieta znowu krzyknęła i jej głos ciął mnie jak nóż. Nawet ciemność we mnie uspokoiła się, umilkła.

- Nie. - Zee chwycił mnie za rękę, kiedy się odwróciłam, by spojrzeć na tę kobietę, ale tym razem ja mu się wyrwałam i uciekłam.

Biegłam co sił, opanowana nagłym strachem. Serce łomotało mi pod krtanią, ciemność kołysała się we mnie, mała, coraz mniejsza, jak gdyby się chowając. Moja więź z Grantem wydawała się nikła, blada, a nic, która nas spajała, tak cienka, że mogła pęknąć, gdybym odetchnęła za mocno. Trzymałam swoją opancerzoną dłoń przy piersi, jakby to było w stanie utrzymać nas razem.

Nie przestawałam jednak uciekać. Chłopcy, ścigając mnie jak wilki, przemykali w ciemności, a ich czerwone oczy błyszczały.

Poślizgnęłam się i zatrzymałam na skraju małego wzniesienia. Patrzyłam w dół na dymiące ruiny tego, co niegdyś było wioską. Nie wiedziałam, jak wyglądała przed zniszczeniem. Pożar już dawno wygasł.

Kobieta ucichła, ale odnalazłam ją siedzącą w blasku księżyca, pochyloną nad kalekim, roztrzaskanym ciałem.

Oturu stał obok. Jego płaszcz i włosy powiewały na wietrze, wdzięcznie, skąpane w srebrnym świetle. Skłonił głowę, a rondo jego czarnego kapelusza opadło nisko. Podniósł na mnie oczy, ale nie powiedział ani słowa. Bałam się na niego patrzeć. Jeszcze bardziej lękałam się patrzeć na kobietę. Wyprostowała się na krótką chwilę. Na jej widok tak mnie zatkało, że poczułam ból.

To moja matka, pomyślałam. Była w ciąży, niezbyt zaawansowanej, ale jednak widocznej, ubranie opinało się na zaokrąglonym brzuchu.

Jednak potem przypatrzyłam się lepiej i zrozumiałam, że się pomyliłam. To nie moja matka. Miała trochę podobną twarz, była w zbliżonym wieku, ale pewnej subtelnej różnicy nie mógł dostrzec nikt oprócz mnie. Było to coś jak słuchanie tej samej pieśni w wykonaniu dwóch mistrzów i odnajdywanie różnicy tylko w jej tonie.

Poza tym całe prawe ramię tej kobiety było ze srebra. To jedna z moich poprzedniczek, sprzed pięciu tysięcy lat. Może nawet z innego świata. To ja - zjawa zaklęta w czasie.

Krzyknęła znowu, a jej głos przeszedł w szloch tak rozdzierający, tak pełny żalu, że o mało nie padłam na kolana, chwytając się za serce. W tym głosie było coś tak znajomego, tak bliskiego, że czułam się zmieszana. Zmusiłam się, by przypatrzeć się oplakiwanej przez nią osobie, której niepewnie dotykała drżącymi rękami, następnie zwijając je w pięści i przyciskając do falującej piersi.

To też była kobieta. Nie mogłam dostrzec jej twarzy, ale widziałam jej długie, ciemne włosy oraz kształt nieruchomego ciała - i już wiedziałam. Po prostu wiedziałam.

To matka. Jej matka.

Obok tych kobiet błysnęły w ciemności czerwone oczy. Mrugając, gapiły się w górę na mnie i moich chłopców. Ona nas nie zauważała i chciałam, żeby tak zostało. Wycofałam się powoli, wsłuchana w jej szloch, sama walcząc ze łzami. Kiedyś ciało mojej matki tak samo upadło na kuchenną podłogę. Kucnęłam przy nim i krzyczałam - też podobnie. Nadal czułam tamte wrzaski w gardle.

I chłopcy również. Raw i Aaz zadrżeli przy moich nogach. Zee ruszył chwiejnym krokiem przez trawę, a Dek zaniósł się żalonym płaczem. Moi chłopcy. Potwory. Królowie armii, która niszczyła światy.

Jak jasna cholera.

Odwróciłam się i stanęłam twarzą w twarz z ciemnym płaszczem i splątanymi włosami, które poruszały się na wietrze wokół mnie jak nocna aura. Aż podskoczyłam, ale tylko dlatego, że kiedy zobaczyłam jedną ze swoich poprzedniczek i jej matkę, zapomniałam o Oturu. Świat mógł się walić, a i tak bym tego nie zauważyła.

- Pani Tropicielko - powiedział. - Nie powinno cię być tutaj, nie w tej chwili. To nie jest twój czas.

Zamknęłam oczy i zachwiałam się, a kosmyki jego włosów omiotły moje ciało, przytrzymując mnie, przyciągając ku niemu.

- Kto zabił jej matkę?

Zee wydał z siebie cichy, gardłowy skowyt. Oturu się zawahał.

- Ona - odparł.

Drgnęłam, kręcąc głową.

- Nie.

- To wydarzyło się szybko - podjął. - Wypadek. Poniosło ją. Jej matka...

- Przestań. - Napałam na niego, moje ręce zanurzyły się w jego płaszczu, wniknęły głęboko, nie dotykając niczego poza niewyobrażalnym zimnem. Raw i Aaz chwycili mnie za nadgarstki i szybko odciągnęli. Moje dłonie, kiedy odsunęły się od jego ciała, piekły od lodu. Ledwie mogłam zgiąć palce. Zee objął je pazurami, dmuchając w nie delikatnie. Jego ciepły oddech pozostawiał łagodne wrażenie na mojej skórze.

- Postradała zmysły - szepnęłam. Nadal słyszałam jej szloch, unoszący się ponad wzgórzem, skręcający wnętrzości. Taki samotny.

Przerażało mnie. Bałam się nie tylko o swoją proto-plastkę, ale i o siebie. Jeśli ona mogła zrobić coś takiego, bez względu na powód... skoro jej mogły tak puścić nerwy...

To nie my, powiedziała ciemność. Me my.

Ale to ty rozciąłaś jej umysł mocą. Sprawiałaś, że oszalała.

Już była naruszona, mruknęła cicho ciemność. Już taka była.

Pociągnęłam Zee za rękę, musząc się złapać czegokolwiek, co odciągnęłoby mnie od głosu odzywającego się w głowie. Mówiłam na głos, zdecydowana zagłuszyć tamten głos. Znaleźć odpowiedź na to, na co odpowiedzi nie było.

- Jej matka powinna była umrzeć na długo przedtem. Już byłaś związana ze skórą jej córki, kiedy została wyrzucona na Ziemię Jałową. Ale tam ona ma zbroję, jest w ciąży. Musiały pewnie upłynąć lata. A jej matka żyła przez ten cały czas? Jak? Demony powinny były ją zabić.

Zabity ją, tak jak została zabita moja matka. I jak moja babka. Jak wszyscy przed nami.

- W takim razie inaczej - zacharzał Zee tak cicho, że ledwo go dosłyszałam. - Strażnicy wokoło, matki żyły dłużej. Niezły interes.

Usłyszałam za sobą warkot. Zee zeszywniał. Obróciłam się, żeby spojrzeć, ale Oturu dotknął mnie i przytrzymał.

- Nie - powiedział. - Twoi strażnicy nie są strażnikami z przeszłości.

- Żaden Zee nigdy by mnie nie skrzywdził. Zaciął usta.

- Musisz już odejść, młoda Królowo. Żalowałam, że nie widzę jego oczu.

- Skąd mnie znasz? Nie spotkamy się przez następnych pięć tysięcy lat.

- Czas - szepnął cichutko. - Pomiędzy nami czas nic nie znaczy.

Jego włosy owinęły się wokół mojej prawej ręki.

- Idź - powiedział. - Zapamiętaj nas, tak jak my pamiętamy ciebie.

Zee parsknął za moimi plecami. Raw i Aaz oparli się o moje nogi, wystawiając pazury i odsłaniając zęby. Dek syknął w moje ucho. Po drugiej stronie wzgórza moja poprzedniczka wyła tak, jakby umierała.

Zamknęłam oczy i skupiłam się na Grancie...

...na swojej matce...

...Grant...

...dom...

Zabierz mnie stąd, pomyślałam. Zabierz mnie. Zbroja zamrowiła na mojej skórze. Wniknęłam w próżnię. Ale wciąż słyszałam jej krzyki.

Rozdział 19

Przeszłam z przeszłości do cichego mieszkania. Tak cichego, tak wygłuszonego, że nawet bez rozglądania się wiedziałam, że jestem tam sama. Chwilę później potwierdził to Zee. Raw i Aaz wałęsali się gdzieś. Nie dopuszczałam do siebie paniki. Nie było oznak przemocy. Żadnej krwi.

Na kuchennej ladzie znalazłam na kartce informację:

„To lokum Jacka. Ściskam, Grant”.

Ściągnęłam brwi, zadowolona, że Mai z nim został. Już chciałam wychodzić, ale dobrą chwilę zabrało mi skontrolowanie pokoju, nasycenie się jego bliskością, ciepłem. Nie tak ciepłym bez Granta, ale wyczuwałam dobre echa.

I te złe, kiedy zerknęłam na podłogę i zobaczyłam plamy krwi.

Dek zanucił melodię piosenki *Lefs Stay Together*. Podrapałam go po głowie i podeszłam do krzeselka przy fortepianie, gdzie wciąż wisiała kabura z nożami mojej matki. Odkąd ujrzałam martwe ciało Jacka, nie chciałam nawet myśleć o ostrzach, a jednak wyciągnęłam rękę, żeby pogłodzić stal...

...i przyjrzałam się uważnie mojej ręce.

Dłoń nadal była mięsista, ale na tym się kończyło. Płynny, organiczny metal pokrywał wszystko: palce i wierzch dłoni. Jeszcze parę przeskoków, a cała ręka by przepadła. To, że moja protoplastka straciła całe ramię i bark, oznaczało, że była jeszcze bardziej zapracowana.

Odsunęłam od siebie myśli o niej. Zdusiłam je, zepchnęłam tam, gdzie spychałam wszystkie nieprzyjemne rzeczy z własnego życia. Nie byłam pewna, czy współczułam tej kobiecie, czy jej nienawidziłam. Może i jedno, i drugie. Może sama siebie darzyłam podobnymi odczuciami.

Nie, odezwał się cicho głęboki głos w moim umyśle. Wasze serca nie są takie same.

Ale ty nadal chcesz mną manipulować, odpowiedziałam mu. *Chcesz, żebym zrobiła pewne rzeczy.* Na to nie uzyskałam odpowiedzi. Schwyciłam kaburę i potrząsnęłam nią. Noże w pochwach wpasowały się idealnie w moje żebra. Wsunęłam się w skórzany płaszcz swojej matki. Wciąż nią pachniał, nawet po tylu latach. Poczuałam się tak, jakbym włożyła inny rodzaj zbroi.

Po wyjściu z mieszkania usłyszałam na schodach kroki i nucenie. To Mary. Nie bez powodu nie zabrali jej ze sobą, zwłaszcza że była z nimi Posłanniczka. To coś jak ogień i ropa. Mieszanka wybuchowa.

Zaskrzypiała klamka.

Myślałam o tym, żeby pojechać do mieszkania Jacka tylko po to, by ocalić trochę skóry. Jednakże już po dwóch sekundach odrzuciłam ten pomysł.

Po pięciu kolejnych sekundach stałam w ciemnym zaułku.

Początkowo byłam zdezorientowana, aż połapałam się, że jestem za budynkiem Jacka. Siąpił deszczyk, powietrze chłodziło mi twarz. Dek objął moją głowę. Czerwone oczy zamigotały w mroku.

Cichy głos powiedział:

- Kochana dziewczyno.

Odróciłam się. Zobaczyłam szczupłą postać, opartą o ścianę obok uchylonych, podpartych drzwi. Ciemne włosy, blada cera i te znajome, zbyt stare oczy. Pomyślałam, że chyba zaraz zapali papierosa.

- Stary Wilku - odparłam - martwiłam się o ciebie, kiedy wróciłam do mieszkania.

- Nie mogłem się tam skupić. Nadal nie mogę. Potrzebowałem trochę powietrza. - Odsunąwszy się od ściany, wpatrywał się w moją twarz. - Co się stało z Mahati?

- Twardo z nimi pograłam. - Podeszłam do niego, nie zważając na deszcz. Patrzyłam na dziadka intensywnie, tak samo jak on na mnie. Mokłam razem z nim. - Zgraja kociąt, kiedy się dobrze do nich zabrać.

- Tak? - Jack uniósł brew. - Znam kilka lepszych

określeń.

Wzruszyłam ramionami.

- A więc bez postępów? Posłał mi znużony uśmiech.

- Mój ród powstał z nieskończonej złożonych nici energii. Coś jak mózgi bez ciał, można by rzec. To powód, dla którego jesteśmy zdolni do rozumienia i aktualizacji pewnych ulotnych koncepcji.

Odwzajemniłam jego uśmiech.

- Takich jak budowanie ze szczeliny w czasoprzestrzeni wielowymiarowego więzienia, które może pomieścić demoniczną armię.

Mój dziadek skłonił głowę.

- Coś w tym rodzaju.

- A więc nie jesteśmy wystarczająco mądrzy, by zamknąć tę zasłonę? Czy to chcesz powiedzieć?

- Mówię, że nikt nie ma oprogramowania koniecznego do zrozumienia tego, co zrobiliśmy. Nawet ja mam z tym problemy, a przecież byłem jednym z projektodawców.

- Racja - stwierdziłam powoli, przepełniona setkami różnych rzeczy, jakie mu chciałam powiedzieć i o jakie zapytać, ale wszystko to mogło jeszcze chwilę poczekać. - Jak ich nauczysz?

Jack poklepał się po głowie.

- Byliśmy nawzajem na powierzchni naszych myśli. Gdybym był choć trochę wścibski, mógłbym się pobawić.

- Nieźle. - Oparłam się o ścianę, zwracając twarz w stronę padającego deszczu. - Pozostanę przy zastraszaniu Mahati.

Westchnął, może rozbawiony, a może smutny.

- Maxine...

- Ona zabiła własną matkę - powiedziałam. - Moja poprzedniczka.

Nie wiedziałam, że to powiem, póki słowa nie wyszły z moich ust. Wypowiedzenie ich wiązało się z przykrym odczuciem - nie akt mówienia, ale same słowa, ich znaczenie, prawda. Poczułam się parszywie, wyrzucając je z siebie.

Jack zaciął usta.

- Powiedziałeś, że tym razem chcesz zrobić wszystko inaczej. Po prostu nie zwracałeś na nią wcześniej uwagi, tak? Pozwoliłeś jej szaleć, aż było za późno? - Popatrzyłam mu prosto w oczy, nie mogąc przestać mówić. - Czy wiedziałeś, że kilku Strażników wyrzuciło ją na Ziemię Jałową?

Zee stwierdził wcześniej, że Jack tego nie wiedział. Musiałam przekonać się o tym osobiście. I nie spotkało mnie rozczarowanie. Wyraz zaskoczenia przemknął przez twarz mojego dziadka, drżące niedowierzanie, które sprawiło, że pokręcił głową i cofnął się o krok.

- Nigdy - powiedział.

- Widziałam to - oznajmiłam. - Wprost ze wspomnień, jakie ona przekazała Oturu. Jednym z nich była skrzydlata kobieta, byty też bliźnięta z rubinami na czołach...

Jack wstrzymał dech.

- ...i jednooki olbrzym, cyklop. Sprzeciwiał się pozostałym. Był jednak zbyt powolny, żeby to powstrzymać.

- Nie - mruknął, patrząc w dal, jakby mówił do siebie. - Och, nie.

- Ziemia Jałowa ją pokręciła, Stary Wilku. Wyrwała dziurę, przez którą wylazło to uśpione w niej świństwo. Ale zaczęło się od nich.

Jack oparł się ciężko o mur, zamykając oczy. Nawet w ciele nastolatka dostrzegałam starca. Wyglądał słabowicie i zrobiło mi się głupio, że mu to powiedziałam. Można było to przedstawić delikatniej. A przynajmniej spróbować.

Dosłyszałam ciężkie kroki po drugiej stronie drzwi. Stukot laski. Wyprostowałam się, dotykając kościstego barku Jacka.

- Chodź. Wejdzmy do środka.

Ale on pokręcił głową i obrzucił mnie spojrzeniem tak zbolałym, tak nieszczęśliwym, że aż wstrzymałam oddech.

- Nie wiedziałem - wyszeptał.

- Wiem o tym - powiedziałam. - Wiem, Jack.

- Była taka wściekła - podjął, gdy drzwi się otworzyły. - Nigdy nie zrozumiałem, dlaczego im to zrobiła.

Mai był uwieszony ramion Granta, który zajrzał do środka, spoglądając na mnie z ulgą. Patrzył na mnie niezwykle ciepło, ale tym razem jego usta nie były zaciśnięte w ponurą kreskę. Miałam wrażenie, że podsłuchiwał od dłuższego czasu. Nasze głosy z łatwością przenikały przez drzwi.

Pokręciłam głową na jego widok, a Jack zadrżał gwałtownie i potarł sobie pierś, jakby go coś zabolalo.

- Zrobię, co trzeba - powiedział, przymykając oczy. - Kiedyś byłem tchórzem, ale już nim nie jestem. Naprawię to.

Ściągnęłam brwi.

- Jack?

Popatrzył mi martwo w oczy.

- Kocham cię, moja droga. Kocham cię na zawsze.

- Nie - zaprotestował Grant z niepokojem, rzucając się do przodu. - Jack...

Oczy mojego dziadka zapadły się w głąb czaszki, usta zwiotczały. Osunął się, jakby był z gumy, ale złapałam go, nim upadł na ziemię. Wszyscy chłopcy wyskoczyli z mroku, a ich czerwone oczy lśniły. Zgrzytnęłam zębami.

- Jack.

- To znowu Byron - stwierdził Grant ponuro. - Jacka już w nim nie ma.

Dotknęłam twarzy chłopaka. Jego skóra była ciepła, ale nie rozgorączkowana. A przy tym blada i jakby pusta. Zaczął poruszać ustami, jednak nie słyszałam, co mówi.

Uniosłam go, obejmując ramionami. Zatoczyłam się lekko, ale utrzymałam jego ciężar. Grant stał w pobliżu, obejmując dłonią kostkę Byrona. Patrzył gdzieś w dal. Słyszałam, jak nuci.

Wniosłam Byrona do środka. Omijałam pudła i stare zakurzone meble, wypatrując schodów. Weszliśmy na górę, dotarliśmy do mieszkania Jacka. Drzwi były otwarte na oścież.

Wewnątrz nie paliło się światło, ale usłyszałam szuranie, poza tym zaświeciła się lampa. Dek przyłożył rozgrzany język do mojego ucha i razem z Malem odśpiewali krótki fragment piosenki *Walk Softly* Gladys Knight.

Grant powiedział:

- Coś w nim się rozerwało. Krwawi. Rzuciłam mu ostre spojrzenie.

- Mam na myśli ducha, a nie ciało - dodał. Unosząc Byrona nieco wyżej, przeciskałam się przez wąski labirynt między stosami książek. Zrzuciłam sporo tomów, a idący za mną Grant zachwiał się, usiłując przejść nad nimi. Przeprosiłam milczącym gestem, ale nie zatrzymałam się ani nie spojrzałam na Posłanniczkę, która siedziała przy kuchennym stole i z coraz większym niepokojem patrzyła, jak przechodzę.

- Stwórca - powiedziała.

Pokręciłam przecząco głową i wniosłam chłopaka do sypialni. Był to mały, ustronny pokój - rozesłane łóżko, ciuchy na podłodze i mnóstwo książek. Nie wydawało się, by Jack spędził tu dużo czasu. Nawet jak na nieśmiertelną istotę, miał za wiele do zobaczenia i zrobienia. Miewał wykłady z archeologii. Teraz żałowałam, że nie wysłuchałam ich więcej.

Byron poruszył się, kiedy go posadziłam. Wciąż coś mamrotał. Nachyliłam się, przystawiając ucho do jego ust.

- Stuk - powiedział tak cicho, że ledwo go zrozumiałam. A zresztą i tak sądziłam, że się przesłyszałam. - Jeden stuk to światło, dwa śmierć, po trzecim cały świat będzie martwy... a czwarty, jak zawsze, ożywi zmarłych. - Byron skulił się, marszcząc czoło z bólu. - Nie, nie dotykaj mnie. Proszę. Proszę, nie...

Nie zrobimy tego, powiedziała ciemność.

Jego twarz wykrzywił lęk, ciałem wstrząsnął szloch. Wgramoliłam się na łóżko i przytuliłam go mocno do siebie.

Grant położył dłoń na czole Byrona. Przymknął oczy, a to, co nucił, nabrało kształtu, mocy. Jego głos zagrział jak fala podziemnej eksplozji, dobiegającej z tak wielkiej głębi, że ledwo mogłam wyczuć drżenie pod stopami. Obserwowałam go, a kiedy mrugnęłam - właściwie w tych przeblaskach między mrugnięciami powiek - potrafiłam niemal dostrzec łączącą nas nić złocistą i gorącą. Pulsującą miarowo jak bicie serca.

Pogłaskałam Byrona po wilgotnych włosach. Nastolatek poruszył się i otworzył oczy, mrugając powiekami.

Najpierw zobaczył mnie. Chyba. Wydawał się tak oszołomiony, że równie dobrze mógł niczego nie widzieć. Popatrzył błędnym wzrokiem na mnie, poza mnie, wokół, a potem znowu skupił spojrzenie na mojej twarzy.

Wpatrywał się. Staralam się uśmiechnąć.

- Hej.

- Maxine - odezwał się Grant.

Byron rzucił okiem na niego, a potem na mnie - szybko, wciąż błędnym wzrokiem - i znów się skrzywił. Tym razem wyraźnie dostrzegłam jego strach.

- Kim jesteś? - spytał. Odsunęłam się, bo aż mnie zatkało.

- Byronie, to ja.

Pokręcił przecząco głową, a ja doznałam strasznego uczucia, że oto spotyka mnie kara, bo zapomniałam o Grancie. Spędziłam całe życie, będąc kimś obcym, nieznanym, ale żeby ten chłopak tak na mnie patrzył... To mnie przeraziło. Bardziej od demonów. Bardziej od końca świata.

Grant uściśnął moje ramię. Zesztywniałam.

- Niczego nie pamiętasz?

- Ja nie... - Byron urwał i dotknął swojej głowy. - Nie wiem. Wszystko wydaje się takie mgliste.

- Chorowałeś - powiedział Grant z mocą i pewnością. - Zaopiekowaliśmy się tobą.

Zamrugłam raptownie i zesłam z łóżka.

- Odpoczywaj, dzieciaku. Masz za sobą parę ciężkich dni.

Wzrok Byrona był przeszywający, ostry. Myślałam, że zacznie protestować. Może nawet spróbuje uciec. Ale Grant znowu zaczął nucić, a nastolatкови oczy same się zamykały. Ściągnął brwi, pocierając je, a potem opadł na łóżko. Jednak nadal na nas patrzył, niespokojny i blady.

Pusty, pomyślałam znowu. Jego oczy są takie stare.

- Nie znam was - wymamrotał.

- Nie szkodzi - powiedziałam cicho, usiłując za wszelką cenę przywołać na twarz uśmiech. - Po prostu odpocznij.

Głos Granta nabrał głębszych tonów. Poczułam mrowienie na skórze. Czerwone oczy zabłyśły w ciemności. Raw patrzył na Byrona ze smutkiem, jego spojrzenie przepełniały wspomnienia. Chłopcy znali Byrona z innego życia.

Nigdy o tym nie mówili, jeśli nie liczyć urywanych zdań, zawsze bolesnych.

Byron zamknął oczy. Jego ciało się odprężyło.

Grant dotknął mojego łokcia. Wyszliśmy z pokoju i zamknęłam za sobą drzwi. Potem oparłam się o nie, zgięta w pół, z twarzą ukrytą w dłoniach. Grant pocałował mnie w głowę. Wyczuwałam, że Posłanniczka stoi w pobliżu i wpatruje się w nas.

- Usiądź - powiedział. Pokręciłam głową.

- Mnie to też spotkało, ale ja przynajmniej nadal pamiętałam pewne rzeczy. - Chwyciłam mocno jego dłoń. - Czy możesz mu pomóc?

- Nie wiem - odparł szorstko. - I nie jestem pewien, czy powinienem próbować. Jeszcze nigdy nie widziałem czegoś podobnego. To tak, jakby fakt, że Jack nim zawładnął, a potem go opuścił, wyrwał dziurę w duszy tego chłopaka. Mogę wejrzeć w tę dziurę, ale przypomina to oglądanie ludzkich wnętrzności po raz pierwszy, gdy nie ma się pojęcia o medycynie. Widzi się różne części ciała, ale nie ma się pojęcia, co utrzymuje je razem albo jaka jest ich rola.

- On ma rację - stwierdziła Posłanniczka, gapiąc się na drzwi sypialni. - To będzie skomplikowane.

Grant obrzucił ją ponurym spojrzeniem.

- Trzeba założyć, że coś takiego już się zdarzało, a Byronowi zawsze udawało się przetrwać. Ale coś w tym mi nie gra. Nie wiem, co Jack z nim zrobił lata temu.

I dokąd Jack się ulotnił? - zadałam sobie pytanie, rozpaczliwie szukając odpowiedzi. Zerknęłam na Zee.

- Potrafisz go odszukać?

- Ona może - odparł mały demon, wskazując na Posłanniczkę.

Kobieta dotknęła palcami ciężkiej żelaznej obręczy, którą miała na szyi, i popatrzyła na Zee, a potem na mnie.

- Tak. Mogę go wytropić.

Wytrzymałam jej spojrzenie, wpatrując się badawczo w te zwężone oczy, które teraz były o wiele bardziej zamyślane niż wtedy, gdy spotkałyśmy się po raz pierwszy i próbowałyśmy się pozabijać, i kiedy ona przybyła, żeby porwać Jacka.

A może i to zrobiła. Nie ufałam jej. Nie, gdy dotyczyło to mojego dziadka albo Granta.

- Proszę cię - powiedziałam.

Posłanniczka odwróciła wzrok z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Spróbuję.

I znikła, tak po prostu. Gazety spadły na podłogę, poruszone pędem powietrza, jaki wytworzyła. Odetkały mi się uszy.

- Chwilami mam wrażenie, że zaraz zwariuję - powiedział Grant.

- Ja też - mruknęłam. - Co zrobimy z Byronem? Usiadł ciężko na krześle przy kuchennym stole i z grymasem na twarzy rozprostował nogę.

- Chyba nie powinienem próbować przywracać mu pamięci. Mógłbym mu jeszcze bardziej zaszkodzić. Wiem, że jest takie ryzyko.

Moglibyśmy uleczyć tego chłopaka, odezwała się cicho ciemność, przetaczając się pod moją skórą. Moglibyśmy odnaleźć to, co utracone.

Zamknęłam oczy. Grant zapytał:

- O co chodzi? Postukałam się w głowę.

- To coś we mnie ma własne zdanie. Sądzi, że moglibyśmy wyleczyć chłopca. Ale ta sama genialna rzecz podpowiedziała mi, żebym zerwała więź Posłanniczki z tamtymi ludźmi.

- Nie byłaś w stanie przewidzieć ich reakcji.

- Mogłam się domyślić, że będą jakieś konsekwencje. Nic za darmo, nic nie jest tanie. Sam mnie tego uczyłeś.

- Wiedziałaś o tym, zanim się poznaliśmy.

- Wszystko jedno. Nie mogę tak ryzykować z Byronem.

- Wiesz co... - powiedział Grant. - Kiedy nie mogłaś sobie mnie przypomnieć, byłem tak zdesperowany, że próbowałbym wszystkiego. Gdybym mógł wejść w twój umysł, zrobiłbym to.

- Ufam tobie bardziej niż sobie.

- Nie ufaj aż tak - odparł.

- Pokładasz we mnie zbyt wielką wiarę.

- Nie większą, niż ty w sobie. W przeciwnym razie nie zostałabyś w tym mieście. Ty w coś wierzysz, Maxine, nie tylko w nas.

Usiadłam koło Granta. Kawałek kości leżał blisko mojej dłoni. Już miałam go dotknąć, ale powstrzymałam się, przypomniawszy sobie, skąd się wziął.

- Powiedz mi - odezwała się. - Powiedz, w co uwierzyłam.

Grant nachylił się, muskając wargami moje usta. Żar napłynął mi do gardła, do serca, rozlał się pod skórą. Przymknęłam oczy.

- W to, co możliwe - wyszeptał. - Uwierzyłaś w różne możliwości. I nadal w nie wierzysz.

Wzięłam głęboki wdech. Grant ujął moją prawą rękę, przesunął palcami po zbroi i podjął:

- Czułem, że odchodzisz bardzo daleko ode mnie. Jack skarżył się, że nie potrafię się skupić, ale nie potrafiłem właśnie dlatego. Myślałem, że się rozstaniemy.

Zadrżałam, jakby zapadając w głąb siebie.

- Widziałam coś strasznego. Widziałam to, czym mogłabym się stać.

Grant wsunął rękę pod Dekę, by oprzeć swoją wielką, ciepłą dłoń na moim karku. Obaj chłopcy zamruczeli.

- Spójrz na mnie - szepnął.

Spojrzałam. W piwne oczy, namiętne, mądre. Uwielbiałam jego oczy.

- Będzie dobrze - stwierdził.

Dotknęłam jego policzka. Chciałam się odezwać, ale głos odmówił mi posłuszeństwa. Mój głos nie wystarczał, by rzec to, co miałam Grantowi do powiedzenia.

- Wiem - powiedział. Ściągnęłam brwi.
- O tym też wiem - dodał.

Stuknęłam go w pierś, a on chwycił mnie za rękę i pochylił się, by złożyć na mych ustach namiętny pocałunek. Usiadłam mu na kolanach, a on ukrył twarz w zagłębieniu mojej szyi.

- Nie potrafię tego zrobić - powiedział z napięciem, a coś gorącego i wilgotnego dotknęło mojej skóry. - Jack próbował mnie nauczyć. Mogłem zobaczyć powierzchnię wzoru w swojej głowie, ale nie udało się go zatrzymać.
- Próbowałeś.
- To nie wystarczyło.
- Znajdziemy inny sposób. - Objęłam go mocniej. - Mam nadzieję, że Jack nie zrobi nic głupiego.
- Na przykład nie zamknie zasłony sam, na własną rękę? - Grant odchylił się, patrząc mi w oczy. - Zorientowałam się, że o tym myślisz, jeszcze zanim wróciłaś.

Dekę liznął mnie w ucho. Pochyliłam powoli głowę i napotkałam trzy pary czerwonych oczu, lypiących na mnie spod stołu.

- On się zabije, jeśli spróbuje to zrobić. - Głos mi się załamał, kiedy wypowiadałam te słowa. - Muszę go powstrzymać. Jeśli dlatego stąd odszedł...
- Maxine - zacharczał Zee, podpełzając bliżej. Trzymał nasienne koło. Nie czułam, kiedy je odbierał, ale teraz dosłownie wepchnął je w moje dłonie. Chwycił też rękę Granta i położył na mojej.

Grant i ja wymieniliśmy szybkie spojrzenie.

- Zee - powiedziałam, lecz on się wycofał, zabierając ze sobą Rawa i Aaza.

Dekę i Mai przestali mruzczyć.

- Zastanawiam się, co... - zaczął Grant, ale nie dokończył.

Świat wokół nas zaczął płonąć.

Lawa. Otaczała nas lawa.

Albo coś, co ją przypominało: ciekły ogień, lepki, gęsty jak lotne piaski, płonący jasnym, złocistym żarem. Tkwiliśmy w tym, zanurzeni po czubki głów. Nie mogłam dostrzec Granta, ale wiedziałam, że gdzieś jest, opleciony wokół mnie. Tak jak ja spowijałam jego; byliśmy tak blisko, jakbyśmy stanowili jedno ciało.

Moja matka była koło nas, łysa i naga, pokryta tatuażami. Bez ust, nosa i oczu - chłopcy utkali szczelny kokon.

To tylko przywidzenie, powiedziałam sobie. Tak naprawdę nie było tam ani Granta, ani mnie. Ale jej wspomnienia wydawały się realne. Nie wiem, od jak dawna przebywała w tej lawie, lecz w pewnym momencie poruszyła rękami i popęzła w górę, jej głowa wynurzyła się nad powierzchnią. Była na obrzeżu całego jeziora wypełnionego lawą. Powietrze drgało od gorąca. Wysoko przetaczały się szare burzowe chmury, a brzeg był lśniąco czarną skałą, spękaną od ognia.

W oddali dostrzegłam poruszenie. Małe postacie, jadące na stworach, które mogły być końmi - tyle że miały po sześć nóg i pancerze, co sprawiało, że wyglądały jak czarne pancerniki. Moja matka patrzyła na nie. Bez oczu, bez ust - nic, co mogło zdradzać jej myśli - ale wiedziałam, że się boi. Ukrywała się.

To, co widziałam, rozmaszało się, zamieniło w przebliski pustyni, gór, miast płynących w chmurach, dżungli, nad którą niebo było purpurowe, płaskowyżów, gdzie podobne do gadów androidy wylegiwały się na kamiennych płytach pod dwoma świecącymi ostro słońcami. W końcu znalazłam się razem z Grantem w mrocznym pokoju pełnym książek, kamiennych kolumn lśniąco perłowo, z moją matką zakopaną w miękkich kocach. Wyczułam woń róż. Śpiewały ptaki. Matka miała włosy, ale bardzo krótkie. I taką młodą twarz. Młodszą od mojej. Pokrytą tatuażami.

- Poniesiesz moje serce, kiedy mnie opuścisz - przemówił niski, mocny głos. - Serce Labiryntu. Tylko ty, nikt inny. Nigdy nie kochałam nikogo tak jak ciebie.

- W takim razie pozwól mi zostać - odpowiedziała moja matka.

Jej głos mną wstrząsnął. Nigdy dotąd nie słyszałam, aby brzmiał tak miękko, tak błagalnie. Wprawiał mnie w zażenowanie. Chciałam zobaczyć, do kogo mówi. Rozpaczliwie pragnęłam dowiedzieć się tego, ale mimo usilnych starań wzrok mi się nie wyostrzył. Mogłam dostrzec jedynie matkę, choć i ona stała się niewyraźna, jakby uwięziona pomiędzy mętnymi soczewkami.

- Chciałbym, abyś została - odezwał się tamten głęboki głos - ale nie mogę zatrzymać przyszłości, którą widzisz. Musisz odejść.

Pokój wyblakł jeszcze bardziej. Dostrzegłam jakiegoś człowieka poruszającego się jak zjawę. Ledwie mogłam dostrzec matkę - wytatuowaną, spowitą w mrok.

Jednak zauważyłam w jej dłoni nasienne koło.

- Wiesz, jak tego użyć - powiedział ktoś spokojnie. - Wyryłem już wszystko, czego ona będzie musiała się dowiedzieć.

Moja matka chwyciła go za ramię.

- Nie poradzę sobie bez ciebie. Nie umiem być matką. Nie potrafię jej ochronić.
- Możesz ją ukształtować - odpowiedział tamten. -A ona poradzi sobie z resztą.

Moja matka się rozplynęła. Człowiek pozostał.

Nadal nie widziałam go wyraźnie, ale przez jedną mm żącą krew w żyłach chwilę poczułam się tak, jak gdyby on mógł widzieć mnie, podróżując w czasie i przestrzeni, jaka nas rozdzielała, jakby mógł wejrzeć w moje oczy.

- Odrodzeni we krwi - powiedział. - Zapamiętajcie, oboje, że myśli stają się przedmiotami. A wszystko, co istnieje i ma wolną wolę, jest prawdziwe. Zwłaszcza dla was obojga. Dla was, zrodzonych z serca kwantowej róży.

Wyciągnął dłoń, w której trzymał sztylet.

Rzucił go w nasze głowy.

Ostrze zatopiło się w mojej czaszce. I w czaszce Granta. W obu naszych złączonych ze sobą umysłach. Stał zapłonęła w moim mózgu jak ogień, unosząc błyski złocistych nici, światło gwiazd, błyskawice splecione w długie sznury, przeplatające niebo...

...a potem: nic.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam Posłanniczkę.

Przekrzywiwszy głowę, wpatrywałam się w nią, w rzeczywistości jej nie widząc. Grant leżał koło mnie. Oboje leżeliśmy spleceni na podłodze. Dek i Mai wgramolili się na nas. Zee, Raw i Aaz przycupnęli przy naszych głowach, a z ich wielkich czerwonych oczu wyglądała troska.

Grant jęknął cicho i potarł oczy. Ja się nie poruszyłam. Mogłam myśleć tylko o swojej matce i o tamtym tajemniczym mężczyźnie.

To twój ojciec, powiedziała ciemność. Twój ojciec, który spojrzał ci w oczy i nawet nie drgnął.

Tak jak twój świetlany człowiek.

Zee chwycił mnie za ramiona i zmusił, bym wstała. Raw i Aaz zrobili to samo z Grantem. Bolała mnie ręka. Spojrzałam w dół i zobaczyłam, że zaciskam dłoń na kole nasiennym. Posłanniczka też patrzyła na nie z niezadowoleniem.

- Nasz Mistrz Aetar - oznajmiła powoli - został uprowadzony.

Jej zimne słowa przeszły mnie na wskroś. Grzmiący odgłos przepelnił moją krew i uszy.

- Uprowadzony - powtórzyła oszołomiona.

- Przez demony - dodała znużonym głosem. Stała wyprostowana, zaciskając dłonie tak, że o mało nie popękały jej kości. - Tropiłam kwantowy ogień naszego Pana Aetar i dotarłam do otworu w zasłonie w samą porę, żeby zobaczyć, jak jego światło zamienia się w więzienie.

Jack. Mój dziadek. W więzieniu z zasłony.

- Cholera - powiedziałam.

Rozdział 20

Moja matka wychowała mnie na mitach i baśniach, na łamigłówkach, w których powtarzały się trójki - trzy córki, trzech synów i zawsze trzecia ścieżka, trzecie zakłęcie. Patrząc na to z pewnej perspektywy, zastanawiałam się, czy nie robiła tego, by ochronić mnie przed dziadkiem, na którego ramionach siedzieli Odyn, Merlin, Puck - mędrcy, szarlatani, wszyscy dawni bogowie i ciekawscy. A nawet jeśli nic z tego nie było prawdą i mój dziadek przeszedł przez dzieje tylko jako anonimowy ich świadek - chodziło jeszcze o możliwości Jacka. Mógł być wszystkim i każdym. Magia była synonimem tego człowieka.

I nie miałam zamiaru dopuścić, żeby zgnił w piekle. Kiedy wstaliśmy, Grant chwycił mnie za ramię.

- Nie pójdziesz beze mnie. Nakryłam ręką jego dłoń.

- Nie wiemy, jak zamknąć zasłonę. Ktoś musi tu zostać, w razie gdyby zaczęło się robić nieciekawie. Będziesz potrzebny.

Potrzebny do walki, gdyby tamci Mahati postanowili zewrzeć szeregi i wydostać się na ten świat. Było to całkiem prawdopodobne, nawet gdybym zdołała jeszcze raz ich nastraszyć.

Albo możesz ich poprowadzić, odezwała się ciemność. Poprowadzić ich na Iowy, jakich pragniesz, by ocalić te żywoty, które zechcesz. To twoje prawo.

- Maxine - powiedział Grant, dotykając ręki, w której trzymałam nasienne koło. - Sam wiem, co mam robić. Ból jak sztylet przeszył mi czaszkę, wnikając głęboko do mózgu.

- Co to ma znaczyć?

W oczach Granta pojawił się ostry błysk, tak ponury, że się przelęknęłam.

- To, co uderzyło nas na koniec tej wizji, pozostawiło ślad w moim umyśle. Wiem, jak zamknąć tę zasłonę.

- O czym wy mówicie? - spytała Posłanniczka. - Jakiej wizji?

Nie wiedziałam, co jej odpowiedzieć. Mogłam jedynie wytrzymać spojrzenie Granta, obserwować determinację malującą się na jego twarzy. Cokolwiek ujrzał, uwierzył w to.

- Myśli stają się rzeczami - powiedział cicho.

Dek zaświergotał, liżąc moje ucho. Mai zrobił to samo Grantowi. Pozostali chłopcy rozbiegli się wokół nas po cichu. W oszołomieniu rozejrzałam się po domu Jacka, skupiając uwagę na zamkniętych drzwiach sypialni. Wyobraziłam sobie chłopaka śpiącego za nimi w ciemności.

- Wezwij Killy - powiedziałam. - Będzie potrzebna, żeby przypilnować Byrona.

Nie sprzeciwił się temu. Sięgnął do tylnej kieszeni i wyciągnął z niej telefon komórkowy. Pokuśtykał, wspierając się mocno na lasce. Obserwowałam go przez chwilę, a potem rozejrzałam się po domu Jacka, po labiryncie prowadzącym wśród stert książek i obrazów na ścianach - po tym uroczym bałaganie, będącym chaosem i doskonałą mieszaniną drukowanych słów i kameralnych czarów. Na tym podniszczonym stole jadłam wcześniej urodzinowy placek. Zdmuchnęłam świece i pomyślałam życzenie.

Oby wszyscy byli bezpieczni. I szczęśliwi. Na zawsze.

Posłanniczka stała bez ruchu, z zamkniętymi oczami. Medytując, oszczędzała energię.

- Jak go schwytali? - zapytałam. - Przecież on jest tylko energią.

- Te demony opracowały różne sztuczki w czasie wojny - odpowiedziała, nie poruszając się. - Mogą zaszkodzić naszym Panom Aetar na wiele sposobów.

- Na przykład jak?

W końcu otworzyła oczy.

- Nie wiem. Stwórcy nieczęsto mówią o wojnie. Zbyt wielu zginęło.

- I nikt się nie boi, że zasłona opadnie i wszystko zacznie się na nowo?

- Nie mam dostępu do takich myśli - odparła chłodno i znów zamknęła oczy. - Skoro mam walczyć, potrzebuję muła.

- Weź demona - podpowiedziała. - Jednego z Mahati.

Ściągnęła brwi. Wsunęłam nasienne koło do kieszeni i poszłam do sypialni, żeby zobaczyć, co z Byronem. Zee, Raw i Aaz przemknęli tam ze mną w mroku. Zostawiłam drzwi otwarte. Gdy usiadłam na łóżku koło chłopaka, wyczułam, że Posłanniczka też weszła do pokoju. Byron spał mocno.

Nie potrafiłam dostrzec ludzkich aur ani dziur w duszach, ale wiedziałam, co oznacza bruzda między jego oczami, nawet kiedy pozostawał bez świadomości - i poznawałam sposób, w jaki ścisnął w dłoniach pościel. Chciałam zmierzyć mu włosy, ale bałam się, że go obudzę.

Jego wspomnienia są zagrzebane pod wieloma warstwami, odezwał się pulsujący głos. Jego czas spędzony z tobą nie wydobędzie się na powierzchnię, ale jeśli będziesz czekała, zrobi się jeszcze trudniej.

Wolę już, żeby o mnie zapomnieli, niż aby stała mu się krzywda.

Nie skrzywdzimy go.

Chciałam w to uwierzyć. Brzmiało tak kusząco. Czułam tę potrzebę na końcu języka, ten inny rodzaj pragnienia: by sprawdzić granice tkwiącej we mnie mocy. Dla jednej dobrej sprawy. Aby pomóc Byronowi.

- Pragniesz działać - rzekła Posłanniczka.

- Nie chcę, żeby mnie zapomnieli. Wiem, że to samolubne. Przypatrywała się chłopcu.

- Uczą nas, żeby się nie przywiązywać. Przywiązanie zakłóca w nas zdolność służenia naszym Panom Aetar.

Coś w jej głosie, w sposobie, w jaki to wypowiedziała, sprawiło, że spojrzałam jej w oczy.

- Ty jednak pamiętasz. Pamiętasz kogoś. Posłanniczka zacisnęła zęby i skierowała rękę ku stopie chłopaka.

- Spróbuję przywrócić mu wspomnienia. Zawahałam się - czekając, że powie coś jeszcze - ale

Posłanniczka tylko zanuciła i popatrzyła zwięzionymi oczami na Byrona. Nastolatek poruszył się przez sen, kurczowo ściskając koc. Jej głos zabrzmiał dziwnie...

...i urwał się nagle. Nie podobało mi się to, jak na niego popatrzyła. Zupełnie jakby nagle i niespodziewanie olśniło ją coś zaskakującego. I to w sposób wyjątkowo niemiły.

- Nie mogę zrobić nic więcej - powiedziała.

- Co się stało?

Wstała z wdziękiem, górując nad łóżkiem.

- Skomplikowane dziecko z niego.

Raw, przycupnięty w pobliżu, wydał żalony odgłos. A ów głęboki głos w mojej głowie powiedział: *Wystarczy jedno dotknięcie.*

Położyłam ręce na kolanach. Pod nami w galerii sztuki usłyszałam słaby dźwięk dzwonka do drzwi. Kondygnacje były niezbyt dobrze odizolowane. Zee wychylił się zza łóżka, złapał mnie za kostkę i pociągnął.

- Potrzebna - zacharzał cichutko.

Pogłaskałam go po główce i nachyliłam się, żeby popatrzeć na twarz śpiącego Byrona. Znałam go od półtora roku, a w tym czasie z dzieciaka, któremu po prostu pomagałam, stał się kimś, wobec kogo czułam się jak... matka.

Powinien wyglądać nieco doroślej, ale był tym samym piętnastolatkiem, którego spotkałam po raz pierwszy w mrocznym, wilgotnym zaułku. Dzielnym, dobrym dzieckiem. Chciałam go zbudzić, aby się przekonać, czy wypowie moje imię, a ten żalony pomysł sprawił, że moje serce ścisnęło się jeszcze boleśniej.

Wstałam i wyszłam z pokoju. Posłanniczka już się stamtąd wymknęła, stała teraz przy kuchennym stole, wpatrując się we fragment kości. Ignorowała mnie z takim wyrachowaniem, że aż poczułam mrowienie skóry na karku, kiedy przeciskałam się przez stosy książek ku drzwiom wyjściowym.

Ze schodów dobiegł głos kobiety. Nie była to Killy. Ale w każdym razie ktoś znajomy.

W mrocznej galerii sztuki zastałam Krwawą Mamuškę z Grantem, stojących w odległości dobrych trzech metrów od siebie. Mai z sykiem wychylił się zza głowy Granta. Rozglądałam się za innymi osobami - wewnątrz i na chodniku koło galerii - ale panowała tu niezmacona cisza i wrażenie pustki. Krwawa Mamuška przybyła tu sama.

W tej samej ludzkiej skórze. W tym samym uczesaniu, z rudymi włosami i idealnymi nogami. Ale jej aura nie grzmiała, a na jej ludzkiej twarzy malował się wyraz bólu i lęku. Raw i Aaz przywarli do moich nóg. Zee siadł okrakiem w pobliżu, patrząc na Krwawą Mamuškę z błyskami w oczach. Ona nie potrafiła na niego spojrzeć. Nie mogła patrzeć na mnie.

Przy całej swojej arogancji obawiała się rozerwania zasłony oraz tego, że inne demony wydostaną się na wolność. Może było to dla niej coś najbardziej koszmarnego, podobnie jak dla mnie. Z różnych powodów. Pamiętałam, jak Mahati pożerali jej dzieci. Pamiętałam, jak Ha'an ją nazwał - tak samo, jak w barze Killy nazwała ją odzywającą się we mnie ciemność.

Pani Dziwka.

Prawie zrobiło mi się jej żal. Prawie. Gdybym mogła zapomnieć, że doprowadziła do śmierci mojej matki.

- Gdzie twoja świta? - spytałam.

- Przestań - odpowiedziała. - Nie szukaj w tym uciechy. Zamilkłam na chwilę, czując wyczerpanie i chłód.

- Nic nie mogłoby przynębić mnie bardziej.

Jej aura drgnęła, opadając wokół ramion, zanim znowu rozbłysła na chwilę, jak gdyby z przekory.

- Zrób to, o co prosił Pan Ha'an.

- Poprowadzić łowy? - Głęboko zaczerpnęłam powietrza. - Nie.

- Nie - powtórzyła szeptem. - Wiedziałam, że taki dzień nadejdzie. Targowałam się, uzyskiwałam obietnice od twoich krewniaków. Ale wszystko to nic nie znaczy bez ochrony, jakiej udziela ci Pan więzienia.

Podeszłam bliżej, Zee i chłopcy zbili się w gromadkę jak wilki.

- Czy myślisz, że zasłona pęknie, a ja stanę się inną kobietą? Złamię się? Sądzisz, że pójde na to tak łatwo?

Jej oczy zaświeciły.

- Moc w tobie jest ogromna i inteligentna. I uwielbia tylko jedno. Śmierć.

Nie znasz nas, powiedziała ciemność, gęstniejąc i twardniejąc w moim gardle.

- *Nie zakładaj niczego z góry* - powiedziałam chwilę później, a te słowa wyłoniły się same, poza moją kontrolą.

Grant poruszył się, obserwując mnie uważnie. Zee dotknął mojego kolana.

Krwawa Mamuška zadrżała, pochylając głowę.

- Poprowadź je. To jedyny sposób, żeby ich powstrzymać. Nigdy ich nie pozabijasz, bez względu na to, jak bardzo jesteś mocna. Mahati to dopiero początek. Ha'an jest potężnym Panem, ale mimo to słabszym od innych. Za dużo myśli.

Jest lojalny, powiedział głęboki głos, cofając się z mojego gardła. *I nie pobbąza, tak jak ona. Albo jak inni.*

Równy facet. A mimo wszystko nadal chce pożerać ludzi.

Zerknęłam na Granta, ale on przypatrywał się Krwawej Mamuške z zagadkową miną, którą znałam tak dobrze: z chodnym zamyśleniem. Ale bez okrucieństwa.

- Jeśli się boisz - powiedział - trzymaj się poza zasłoną. Odparła z wyraźną wzgardą:

- I co mi to przyniesie dobrego? Zasłona jest otwarta, Usta Światła. Nie zdołasz nawrócić wszystkich Mahati.

- Jednak możemy zatkać dziurę - odpowiedział jej spokojnie. - Możemy ich pozamykać na nowo.

Swoim spojrzeniem wierciłam otwory w jego głowie. Nie zwracał na mnie uwagi, lecz było w jego oczach coś, czemu musiałam zaufać. Nie miałam wyboru.

- Jesteś głupcem - stwierdziła Krwawa Mamuška ze znużeniem. - To wykluczone.

- Nie zapewnisz sobie więcej dzieci, jeśli to zrobisz - podjął Grant. - Nie zaszkodzisz ludziom. Nie będziesz intrygować. Nie będziesz żyła w bólu.

- A w przeciwnym razie możesz się stąd wynosić do cholery - zwróciłam się do niej. - Już się postaram, żeby wspomnieć twoje imię Panu Ha'anowi. Niedługo się z nim zobaczę.

Znieruchomiała, drżąc ze strachu.

- Nie.

Uśmiechnęłam się.

- Moi przodkowie może i byli na tyle głupi, żeby obiecać ci życie, ale nie sądzę, by ktokolwiek stwierdził, że nie będzie o tobie gadać. Mam rację, Zee?

- Racja - odpowiedział chrapliwie, skrobiąc pazurami w podłogę.

Uśmiechnęłam się jeszcze szerzej.

- Ha'an cię pokocha, kiedy już będzie po mnie.

Krwawa Mamuška skłęła mnie, a jej aura rozbłysła dziko.

- Skąd mam wiedzieć, że to nie jakaś sztuczka?

- Nie jest to wielka prośba - odparł Grant - jak na prośbę demona, tak rozpaczliwie pragnącego żyć.

Wycelowała w niego zagięty palec. Mai syknął na nią. Wszyscy chłopcy warknęli.

- Obiecuję - rzuciła, nie zwracając na nich uwagi, patrząc tylko na niego, a potem tylko na mnie. - Obiecuję nie pobbązać, nie robić dzieci i nie sprawiać bólu. Przysięgam na swoją krew i na mój honor Królowej.

- Nie ma tutaj królowych - zaskrzeczał Zee. - Oprócz Maxine.

Krwawa Mamuška wzdrygnęła się, posyłając mu nienawistne spojrzenie.

Na chodniku coś poruszyło się w ciemności. Grant otworzył drzwi.

Killy weszła do pomieszczenia, stukając swoimi botkami na obcasach, a tuż za nią wkroczył ojciec Lawrence. Wyglądał po ludzku, ze śniadą cerą i zaokrąglonym brzuchem. Pod czarnym swetrem odznaczało się coś, co bardzo przypominało pistolet. Już kiedyś widziałam, jak strzelał. Dobrze celował - z bliska. Miałam poważne podejrzenia, że już nie wróci do stanu kapłańskiego.

Killy nie odezwała się do mnie. Nawet na mnie nie popatrzyła. Zachwiała się na widok Krwawej Mamuśki. A potem jeszcze raz, gdy zobaczyła Posłanniczkę, która milcząc, stała w cieniu, słuchając i patrząc.

Ale Killy nie powiedziała nic. Głośno zaczerpnęła powietrza i przeszła obok, znikając z widoku na schodach.

Ojciec Lawrence zerknął na nas wszystkich i zatrzymał wzrok na mnie.

- Czy to już czas, Tropicielko?

Mogłam tylko zgadywać, o czym myśli, ale bezpieczną odpowiedzią wydało mi się:

- Tak.

Duchowny skinął głową z taką zadumą, że aż zakłuło mnie w sercu, i spojrzał na Granta.

- Uważaj na nią.

- A ty zaopiekuj się Killy i Byronem - powiedział Grant. Krwawa Mamuśka już cofała się w stronę drzwi ze zde gustowaną miną i ze strachem. Wyciągnęłam rękę do Granta, a on ujął moją dłoń. Posłanniczka chwyciła mnie w ramiona. Zee oplótł pazurami moją talię. Wszyscy chłopcy zebrali się w pobliżu.

Zamknęłam oczy. Skupiłam się. Zbroja zamrowiła. Podobnie jak blizna pod uchem.

- Odchodzimy - wyszeptalam.

Kiedy weszliśmy do lasu pod szczeliną w zasłonie, było tam ciemno i zimno, poza czerwonym szwem zastygłym na niebie. Nie widziałam demonów, ale to jeszcze niewiele oznaczało. Wyczuwałam zapach krwi, a ta woń głęboko we mnie rozbudziła głód. Ciemność pulsowała w moim gardle, rozlewając się pod skórą. Zee i pozostali chłopcy gapili się błyszczącymi oczami.

- Kiedy tylko znajdę Jacka, wynoszę się stąd - powiedziałam do Granta, wstydząc się, że dławii mnie lęk. - Jeżeli zajmie mi to dłużej niż pięć minut, zaczynaj tak czy siak.

- Dobra - odpowiedział. - Oczywiście.

- Mówię serio. Jesteś pewien, że to potrafisz?

- Ani trochę.

- Kłamczuch - powiedziałam, patrząc, jak na jego usta wypływa nikły uśmiezek, który bynajmniej nie rozproszył ponurości w jego spojrzeniu i twardego wyrazu zaciśniętych szczęk. Zerknęłam na Posłanniczkę. - Pamiętaj, co mówiłam o Mahati.

Zignorowała mnie, wpatrując się w szczelinę w niebie. Nie chciałam spoglądać w górę - gdybym to zrobiła, nie byłabym pewna, czy zdołałam przez to wszystko przejść.

Nie liczyło się, że podobno miałam moc. Nie liczyło się, że miałam ze sobą chłopców. Czułam się mała i przerażona jak dziecko w ciemni. Przerażona tym, co miałam odnaleźć, tym, co mi się przydarzy. Śmiertelnie przerażona, że zawiodę.

Spojrzałam jeszcze raz na Granta, nasiąkając nim. Wyczułam drugi puls, dudniący koło mojego serca - i naszą rozpaloną do białości więź.

- Bądź ostrożna - powiedział szeptem.

- Ty też - odparłam i uderzyłam się opancerzoną pięścią w pierś.

Chwilę później znalazłam się wewnątrz więziennej zasłony.

Ze wszystkich koszmarów i wszelkich rzeczy, o jakich nawet nie śmiałam myśleć, że staną się moim udziałem, wejście za więzienną zasłonę z pewnością zajmowało czołowe miejsce. Nie miałam pojęcia, czego się tam spodziewać: może ognia, płonącego powietrza, rozpalonej siarki, żrących kwasów.

Cierpienia.

Zamiast tego wyszłam na litą, kamienną równinę, która wyglądała jak wybrzuszenie przedpotopowego ładu wylaniającego się z morza: spękane i parujące, aż ciężkie od zapachu krwi i siarki. Zee, Raw i Aaz skupili się wokół mnie, przycupnięci i wpatrzeni. Dek przylgnął do mojej szyi, tylko Mai pozostał z Grantem.

Chmury zasnuwały niebo, przepływały złociste i szkarłatne, a w oddali ujrzałam posągi: kunsztownie wyrzeźbione stwory ze skrzydłami i szponami oraz z wydłużonymi, ostrymi obliczami, które przypominały twarze Mahati. Pod tymi statuuami znajdowały się grupki poruszających się postaci, a także dym i mury. Domy były wyciosane w skale.

Stamtąd aż do miejsca, gdzie stałam, i wszędzie wokół byli Mahati. Więcej, niż to sobie wcześniej wyobrażałam, więcej, niż mogłabym uwierzyć: całe tysiące, setki tysięcy. Stałam w centrum miasta. Za mną były kolejne budowle wyciosane w kamieniu: niskie wieże i wąskie uliczki, łuki obwieszane zmiętymi flagami, podartymi i poplamionymi. Usłyszałam śpiew, brzęk metalu, zniekształcone głosy melodyjnych rozmów. Małe nagie postacie przemykały w tłumie - dzieci, z czego wstrząśnięta zdałam sobie sprawę. Ich srebrne włosy były rozpuszczone i zwiewne, a długie palce ostre jak noże.

Cały lęk, jaki przyniosłam ze sobą, zamienił się w rodzaj surowego zadziwienia.

Życie za więzienną zasłoną. Byłam zdumiona, że tutaj toczyło się życie.

Było surowe - i piękne.

Początkowo nikt nas nie zauważał. Tam, gdzie stałam z chłopcami, demony były zbyt pochłonięte rozrywaniem pasożytów Krwawej Mamuśki, wypełniającymi powietrze piskliwymi, mrozącymi krew w żyłach wrzaskami. Wielkie sieci pełne cieni rzucono na kamienny grunt, a Mahati, którzy się do nich zbliżali, mieli policzki zapadnięte z głodu. Tworzyli długie kolejki.

Oni potrzebują jeszcze więcej, odezwała się ciemność. O wiele więcej.

Nie ode mnie, odpowiedziałam, choć czułam straszliwy żal. Nie z ziemi.

- Jack - zacharczał Zee, wskazując palcem. Patrząc w tamtą stronę, ujrzałam jasne światło płonące tuż nad głowami tłumy Mahati. Pulsowało w jednym punkcie jak latarnia przytwierdzona do skały.

Pan Ha'an stał obok tego światła, wyższy od wszystkich Mahati zgromadzonych wokół niego. Ponad głowami swojego ludu spojrział w moje oczy. Pozostali też na mnie patrzyli. Wzniósł się ogłuszający ryk, wszystkie głosy odezwały się równocześnie, a potem w jednej chwili zapadła głęboka cisza. Stojący najbliżej przestali się poruszać, a chyba nawet oddychać.

Dek polizał moje ucho. Odetchnęłam, wzięłam następny głęboki wdech i podeszłam do Ha'ana. Pierwszy krok był najtrudniejszy, ale popatrzyłam na światło Jacka - teraz z trudem do mnie docierające - i poszłam dalej. Chłopcy rozbiegli się tuż przy ziemi, zwinni i szybcy: prędcy jak pociski, z kolcami na plecach, które były teraz wydłużone, ostrzejsze, jak gdyby zmieniło je samo powietrze.

Mahati ustępowali z drogi, przyklękając przed nami. Wszyscy oni, tysiącami, falami opadali, pochylając ramiona i głowy. Może klękali przed chłopcami, nie przede mną - mimo to widok był porażający i odbierał mi mowę. Nie tak miało to wyglądać. Zasłona skrywała piekło. Wychowywano mnie w strachu przed zasłoną i do walki z nią. By zabijać to, co za nią czekało.

Ale mój wzrok prześlizgnął się po tych pochylonych głowach, sama obracałam głową wokoło, a jedyne oczy, które nadal patrzyły, należały do dzieci - do małych Mahati - które wiedziały za mało, by się bać albo okazywać szacunek. Nie miały pojęcia, co skłoniło ich rodziców, by padli na kolana. Gapiły się poważnymi, zaciekawionymi oczami - i choć były obcymi istotami, nie potrafiłam myśleć o nich jak o monstrach. Ani o nich, ani o żadnym z tysięcy otaczających mnie Mahati.

Owszem, stanowili zagrożenie. Straszliwe zagrożenie. Mieli zniszczyć i zniewolić ludzkość, gdybym ich nie powstrzymała.

A ja nie wiedziałam, jak ich powstrzymać, nie zabijając przy tym. Zabijanie wydawało się równie złe.

Bo jest czymś złym. Spójrz, jak czciłiby ciebie, powiedziała ciemność, przetaczając się przeze mnie z wielką rozkoszą: rozwijając się wysoko w moim gardle, obmacując każdy milimetr mojej skóry, aż poczuła się gotowa, by pęknąć, rozsypać się, rozpląnąć.

Ha'an górował nad pozostałymi, czekając w milczeniu. Kiedy się zbliżyłam, splótł długie, zębate palce na piersi, kłaniając się mnie i chłopcom.

Jego zielone oczy zalśniły.

- Sądziłem, że nadejdiesz.

Popatrzyłam na światło Jacka: półprzezroczysty, biały ogień z turkusowymi i purpurowymi odcieniami, z pozoru zamknięty w rusztowaniu z kamiennej kolumny. Mogłam dostrzec z takiej odległości iglicę przechodzącą przez jego środek i wyczuć lekkie wibracje w powietrzu. Jego światło skupiło się i popłynęło ku mnie - jego dusza, świadomość, sny. Mój dziadek.

- Po Aetara - powiedziałam. - Tak, przybyłam po niego.

- Ocalisz go także, tak jak ludzi? - Ha'an obrócił się i ostrym, gwałtownym gestem wysunął pięść. Mahati zaczęli się wycofywać, popychając się nawzajem; niektórzy nieśli dzieci. Pozostawili nas w półkoło, by zapewnić nam trochę prywatności.

Raw i Aaz obwędali piasek wokół kolumny i zatoczyli pełny krąg, po czym wrócili do mnie. Zee trzymał się blisko. Dek był bardzo cichy. Ha'an obserwował nas wszystkich z nieprzeniknioną miną.

- Czym to się skończy? - zapytał.

Spojrziałam na niego, na wszystkich wokół, na tych Mahati - dziwnych i niebezpiecznych, z ostrymi palcami i brakującymi kończynami, i łańcuchami, które dźwięczały w szkarłatnym powietrzu jak srebrne dzwonki. Popatrzyłam w ich błyszczące czarne oczy, które gapiły się na mnie nieufnie, z lękiem i nadzieją - i mało mi serce nie pękło, co nie miało nic wspólnego z ciemnością, która owijała się wokół niego, jakby kojąc ranę.

- Nie chcę być twoim wrogiem - oznajmiłam Hafnowi. - Ale nie mogę być tym, do czego jestem ci potrzebna.

Jeszcze nie, westchnęła we mnie ciemność.

Ha'an przechylił głowę, złość zapłonęła w głębi jego oczu, złość i coś jeszcze: coś głębszego, zmyślniejszego.

- Igrasz z naszym życiem. Narażasz nie tylko nasze brzuchy, ale nasze życie. My, zamknięci za zasłoną, nie jesteśmy jednorodnym ludem. Wywodzimy się z różnych szczepów, kiedyś z powodu tych różnic toczyły się między nami wojny. Gdy zjednoczyliśmy się, żeby przetrwać, kiedy ożywił się naszą armię, tylko potęga Królów Kosiarzy uchroniła nas przed tym, byśmy skoczyli sobie do gardeł.

Zerknęłam w dół na Zee i chłopców, którzy patrzyli na Ha'ana z żalem i wielkim smutkiem: wspomnienia były tak żywe, że można ich było posmakować, wyczuć je na szczycie umysłu, jak sen.

Ich wspomnienia, nasze wspomnienia, twoje wspomnienia, powiedziała ciemność. *Tak spragnione otwarcia naszych drzwi - wezwania nas dla naszej potęgi - a przybyliśmy do Kosiarzy dobrowolnie i wygłodnieli. Pomóc im w zebraniu klanów, zmuszając do zjednoczenia, zanim rozpetęła się wojna, a wszystkie te żywoty przepadły w mroku.*

A cena za to? - zapytałam ciemności, zastanawiając się, jaka wojna, z jakim wrogiem, mogła być tak okropna, by nastraszyć moich chłopców, chłopców, jakich znałam teraz. Na pewno nie awatarowie. *Czego chciałaś?*

Nie odpowiedziała. Zadrżałam i posłuchałam słów Ha'ana:

- Zasłona wszędzie słabnie, tak jak mury, które oddzielają Mahati od Shurik, a Yor'ana od Osul. Już ci mówiłem... Mój lud jest za słaby, żeby się im przeciwstawić. Oni nas zniewolą.

Przykucnął przed Zee, przeciągając długimi palcami po kamieniu.

- Ty to rozumiesz. Może już nie jesteś Naczyniem, ale razem ze swoimi braćmi nadal jesteście Królami. Naszymi Królami.

- Inne życie - wycharczał Zee. - Inny sen.

Ja także kucnęłam, przesuając po kamieniu srebrnymi, pancernymi palcami, które połyskiwały w czerwonym świetle jak zanurzone w metalicznej krwi.

- Stawką są inne żywoty - odpowiedziałam. - Żywoty tych, za których odpowiadam.

Odpowiedzialność za ludzi, którzy nie wiedzą, że istniejesz, albo mają to gdzieś. Za miliardy ludzi, którzy nie wyobrażają sobie, jaką mocą dysponujesz albo co poświęcasz. Ale Mahati się tym przejmują.

Zignorowałam ten głos. Ha'an wpatrywał się we mnie.

- Ludzie są nieprzydatni do niczego, chyba tylko jako niewolnicy albo pożywienie.

- Mylisz się.

- Mylę się albo nie, ale my głodujemy. Popatrz na nich. Wszystkim im, poza bardzo młodymi, brakuje kończyn i ciała. Jesteśmy zmuszeni bezczęścić zwłoki zmarłych.

- Jak sam powiedziałeś - zwróciłam się do niego - chcecie nie tylko mięsa, ale i bólu. Pragniecie łowów, a nie pożywienia. I póki to się nie zmieni, nie mogę wam pomóc.

Ha'an zacisnął zęby i spojrzał z góry na Zee.

- Zgadzasz się z tym?

Wstrzymałam oddech, kiedy Zee się zawahał, ale mały demon odpowiedział w końcu:

- Tak.

- W takim razie doszło do impasu - stwierdził Ha'an z rozczarowaniem i znużeniem. - Nie mogę cię zabić. A ponieważ ty mogłabyś zabić mnie, pozabijać nas wszystkich, to podejrzewam, że już byś to zrobiła, gdybyś naprawdę tego pragnęła.

Wychowałam się na przemocy, widząc przemoc przez całe swoje życie, jednak nie mogłam jej znieść. Zerknęłam na Jacka - na jego płonące światło - i poczułam w sobie inne światło błyszczące spod zwojów ciemności.

Ale przede wszystkim poczułam siebie, własną jaźń, przebiegającą jeszcze głębiej od ciemności i światłości. Poczułam własne korzenie we wnętrzu duszy, korzenie, z którymi się narodziłam, które wyhodowała moja matka. A kiedy pomyślałam o zabiciu wszystkich Mahati, o tym, żeby pozwolić im zginąć, każde włókno mojego ciała zaprotestowało: „Nie!”

A więc ich poprowadź, wyszeptła ciemność. To jedyne wyjście. Nikomu innemu nie można zaufać. Stać cię na coś tak dobrego.

Wzrok mi się zamglił. Wyciągnęłam rękę do Zee, musiałam oprzeć się na jego barkach, by utrzymać się na nogach. Czułam się tak, jakby wciągała mnie pustka, ale był to tylko mój umysł; pole widzenia odpływało na boki z zawrotną szybkością. Obrazy rozmazywały się przede mną, we mnie, rozpraszając się na zwiniętych łuskach ciemności jak w kinowych ekranach.

Wyczułam dym. Zamigotał ogień. Znalazłam się w innym miejscu, mimo że część mnie była świadoma, iż moje ciało wciąż spoczywa przykucnięte na kamieniu, za więzienną zasłoną.

Ale w umyśle wyzierałam przez pochylone pióropusze palm i gąszcz dzikich zarośli. Dosłyszałam krzyzącą kobietę. Mężczyźni śmiali się, wkracząc dumnie w pole widzenia, uzbrojeni w karabiny i maczety - wlokąc po ziemi kobiety, z których większość była już naga. Nie mogłam się poruszyć, by im pomóc. Wbrew całej mojej woli. *To się dzieje teraz*, powiedział głos. Scena się rozmyła, zastąpiona przez inną, straszniejszą wizję. Obrazy terroru, cierpienia, wszelkich upokorzeń - a głos znowu rzekł: *To się rozgrywa teraz, gdzieś*, i tak to trwało, a nie mogłam odwrócić spojrzenia, nawet na chwilę, aż w końcu doznałam uczucia, że coś mnie rozrywa, od korzeni duszy aż po skórę. Chciałam krzyczeć. Chciałam dać się rozszarpać za wszystkich tych mężczyzn, wszystkie kobiety i dzieci, które właśnie w tej chwili były gwałcone, mordowane i zapominane. Wszędzie, wokół mnie, pode mną, poza zasłoną.

Widzisz, za co jesteś odpowiedzialna. Ty, Tropicielka. Mogłabyś to zmienić. Naprawić to za pomocą jednego słowa. Już decydujesz, kto żyje, a kto zginie. Ty, zabójczyni. Ty, która mordowałaś demony i ludzi. To nic innego. Poprowadź łowcy. Nie porzucaj armii, która mogłaby zmienić świat. Nie porzucaj armii, która cię potrzebuje. Te same okropności spadną na Mahati, jeśli odejdziesz. Teraz albo później czeka ich spustoszenie. Będziesz mogła żyć z taką świadomością?

- Nie - wyszeptalam i coś we mnie pękło. Wrzask zakipiał w mojej piersi - wznosząc się coraz wyżej, płonąc przeze mnie, trawiąc mnie. Nie mogłam mieć tego, czego chciałam. Nie obu tych rzeczy. Nie obu, bez jakiegoś strasznego poświęcenia. Moc sprowadziła mnie na manowce. Potęga zawsze przynosi takie skutki. To cena za to, że ją się ma.

Jakaś kobieta wrzasnęła w moim umyśle, a jej głos zabrzmiał znajomo. Znowu znalazłam się w blasku księżycy, obserwując swoją protoplastkę szlochającą nad martwą matką. Zatraconą w tym szlochu. Zagubioną. Poczułam, jak chłopcy gdzieś mnie ciągną, ale ich dotyk tylko nasilał moje doznania, jak gdybym miała rozerwać swoją skórę i wydostać się z niej. Prawie z niej wychodziłam. Czułam to. I chciałam (ego). Tylko po to, żeby z tym skończyć. Ze wszystkim, skończyć.

Me, powiedział cichy głos w mojej głowie. Nie była to ciemność. Coś jeszcze głębszego. Me, powtórzył.

Me, wyszeptał. *Nie, dziecino. Zawsze jest jakieś wyjście.*

Zawsze.

Krzyk, który we mnie narastał, przeszedł w szloch, a jakaś wielka dłoń objęła mój kark pajęczym dotykiem; każdy z palców był długi jak moje przedramię. Otworzyłam raptownie oczy w chwili, gdy Ha'an pocałował mnie mocno w usta. Byłam zbyt wstrząśnięta, żeby się poruszyć. Szok sprawił, że wróciłam do rzeczywistości. Mogłam znowu myśleć. Przypomniałam sobie siebie.

Ha'an smakował jak krew, a usta miał wielkie. Ciemność przeszła przez moje gardło i dotknęła jego warg. Pan Mahati zadrżał i gwałtownie się odsunął.

Otarłam usta, drżąc.

- Dlaczego to zrobiłeś?

Patrzył na mnie błędnym wzrokiem.

- Żeby coś zrozumieć. Teraz rozumiem. Zee wbił pazury w kamień.

- Ty widzisz inną stronę, Ha'anie. W jej umyśle. Ludzi, nas, razem. Serca, spływającą krew, razem.

Wsparłam się na łokciu, pocierając twarz, wciąż niepewna tego, co właśnie zaszło. Popatrzyłam za plecy Ha'ana na migoczące światło Jacka, wyobrażając sobie przez moment, że mogłabym dostrzec ślad jego twarzy, ulotny, chwilowy.

- Wojna się zbliża - powiedziałam, wciąż wpatrzona w dziadka. - Z Aetarem. To tylko kwestia czasu.

Ha'an podążył wzrokiem za moim spojrzeniem.

- Ale on nie jest twoim wrogiem.

- Nie - odpowiedziałam. Westchnął cicho w zadumie.

- Walka z Aetarem to coś łatwego w porównaniu z wojną, jaką prowadziliśmy wcześniej.

Chciałam dowiedzieć się o tym czegoś więcej, ale nie było czasu na pytania.

- Nie mogę sobie pozwolić na wojnę. Zbyt wielu niewinnym ludziom stanie się krzywda.

- A ty jesteś sama.

- Nie. - Dotknęłam piersi, czując dziwny ucisk w sercu, ponieważ teraz mogłam stwierdzić to na głos i szczerze. - Nie jestem sama. Tylko ustępujemy przeciwnikowi liczebnie.

- Tak jak Mahati. - Ha'an odchylił się do tyłu, przypatrując się otaczającym nas demonom. - Nie należymy do twojego rodzaju, ale jesteś częścią nas. Czujesz to. I nie tylko ze względu na tę rzecz w tobie.

Czuję to, pragnę tego, pomyślałam, tak jakbym wsunęła rękę w rękawicę noszoną przed setkami lat i stwierdziła, że idealnie pasuje. Jak coś zapomnianego, ale znajomego.

Ustąp, powiedziała ciemność. Wybieraj. Daj nam zapolować.

Poczułam w ustach krew. Nie.

Twoja, rzekła ciemność. Twoja armia, twój, twoja odpowiedzialność.

Nie, powtórzyłam, walcząc z pragnieniem podgrzewającym krew w moich żyłach. Ale inna część odparła z drżeniem: *Tak, chcę tego.*

Tego. Nie tylko mocy. Samych Mahati. Ich życia.

Oni cię potrzebują. Mogliby zrobić tyle dobrego pod twoją wodzą.

Poprowadź ich, Tropicielko. Zwiąż ich. Bądź sercem, które ich poprowadzi.

Popatrzyłam na Ha'ana i stwierdziłam, że przypatruje mi się badawczo chłodnymi zielonymi oczami. Jak ktoś obcy i zarazem znajomy. Moja tolerancja na rzeczy obce jeszcze wzrosła. Dek zamruczał przy moim uchu. Raw i Aaz podeszli ukradkiem, a Zee mnie obserwował, poważny, zamyślony

- Tu i teraz musimy podjąć decyzję - rzekł Ha'an. - Zwłaszcza że planujesz zamknąć tę zasłonę.

Wzdrygnęłam się. Ha'an dotknął ust swoimi niezwykle długimi palcami.

- Widziałem wiele rzeczy w twoim umyśle.

- Za wiele - odpowiedziałam.

- Dostatecznie dużo - odparł. - Rozumiem teraz, że każde z nas jest związane innymi potrzebami, ale jedną mamy wspólną. Mamy chronić, strzec.

- Zawsze to samo - mruknął do siebie Zee, patrząc na Raw i Aaza.

- Tak - powiedział Ha'an ponuro. - Dlatego właśnie pojednałaś klany.

Zamknęłam oczy, nie mogąc sobie wyobrazić takiego życia, takiej historii. Moich chłopców takimi, jakimi musieli być.

Wspaniale, powiedziała ciemność i dostrzegłam pięć niezdarnych cieni schodzących na kamienne miasto, cieni tak wielkich jak samo miasto, pełznących krok po kroku, wstrząsających ziemię z zabójczą gwałtownością.

A potem nic. Pochyliłam się do przodu, przesłaniając oczy. Zbroja pulsowała boleśnie na mojej ręce.

- Będzie mi potrzebna armia - stwierdziłam, zanim zdołałam się pohamować. Te słowa rozbudziły we mnie zimny, ciężki strach. Wstrzymywałam tę myśl bardzo długo, z czego zdałam sobie sprawę. Od chwili spotkania z Królem Erlem i odkąd się dowiedziałam, że awatarowie - Aetar - nadciągną. Po prostu nie chciałam tego przyznać.

- A my potrzebujemy przywództwa - powiedział Ha'an. - Być może jeszcze nie teraz, ale wkrótce. Nie ufam innym Wielkim Panom. I nie jestem pewien, czy ufam tobie. Ale za nimi - tu wskazał za Zee i pozostałych chłopców - podążę, nawet z powrotem do tego piekła.

Zee dotknął mojej dłoni, a jego ostre czarne pazury ostro kontrastowały z moją delikatną ludzką skórą. Raw i Aaz ułożyli swoje szpony na jego pazurach, a Dek owinął się ściślej wokół mojej szyi. Byliśmy wszyscy jak rodzina. Jack, ze swoim światłem. Grant. Byron. Dorastałam w wierze, że rodzina to coś, co nie jest mi dane. Ale dokonałam świadomego wyboru, by robić coś innego. Dać się ponieść sercu, a nie rozumowi.

„Bądź nieustępliwa w tym, co robisz - powiedziała mi pewnego razu matka. - Dokonaj wyboru i nie oglądaj się za siebie”.

- Dobra - wyszeptalam do siebie. - W porządku. - Podniosłam wzrok i popatrzyłam w oczy Ha'ana. - Te pasożyty, dzieci Krwawej Mamuśki, przeciskały się przez szczeliny w zasłonie od tysięcy lat. Posłuż się nimi, żeby mnie powiadomić, gdyby doszło tutaj do kłopotów.

- To będą Shurikowie - powiedział, nachylając się. - Mur pomiędzy nami jest cienki.

Nie wiedziałam, gdzie znajdują się Shurikowie i do czego są zdolni, ale nie miało to znaczenia.

- W razie kłopotów znajdę jakiś sposób, żeby tu wrócić. Wesprę was.

- Zwiążesz ich Wielkiego Pana?

- Tak - powiedziałam, nie mając pojęcia, co obiecuję; po prostu musiałam to zrobić. - Daję słowo.

Ha'an zeszytywniał. A potem, z dziwnym błyskiem w oczach, powiedział coś nieoczekiwanego.

- Usłyszałem twoje imię w twojej głowie - wyznał. - Maxine.

Ściągnęłam brwi, nie wiedząc, dokąd wszystko zmierza ani co ma wspólnego z tym, co właśnie przyobiecалам.

- Tak.
Wpatrywał się we mnie z przerażającą zadumą.

- Kosiarze posługiwali się inną nazwą, jeszcze przed wojną. To ostatnich pięcioro z ich rodu. Reszta została wymordowana. Cały świat uległ zagładzie. - Spojrzała na Zee, który poruszył się nerwowo. - A jak zwano twoją rasę, mój Królu?

- Kiss, pocałunek - odparł Zee, tak cicho, że ledwie go dosłyszałam. - Zrodzony i wykrwawiony.
- Maxine Kiss. Pocałunek łowcy. - Pan Mahati uśmiechnął się przelotnie, podczas gdy ja usiadłam, oszołomiona. - Niech będzie, młoda Królowo Pocałunków. Zaczekamy na łowy, aż nas poprowadzisz. W zamian będziecie nas chronić. - Jego uśmiech zmienił się w kwaśny grymas. - Spróbujemy nie okazać się ciężarem.

Z trudem przełknęłam, ale głos nadal miałam chropawy.

- Dziękuję.
Skłonił głowę, a potem nachylił się bliżej mnie.

- Moi ludzie nadal głodują i podniosą bunt, kiedy się dowiedzą, że zamyka się przed nimi zasłonę. Wyczują to. Musiałem użyć całej swojej władzy, żeby ich powstrzymać przed wydostaniem się na wolność i polowaniem na własną rękę. Muszę więc z tobą walczyć. Muszę na ciebie polować, próbować cię zabić, w przeciwnym razie mój lud przestanie mnie szanować. Muszę próbować przebić się przez zasłonę, w przeciwnym razie nie przeżyłbym nawet godziny. Muszę to zrobić, z całej swojej mocy, i rzucać swoich ludzi na twój miecz, żeby, kiedy nadejdzie czas, gdy staniesz się tym, kim dla nas być powinnaś, pozostać tu jako twój sojusznik, a nie wspomnienie o głupcu, który naraził swój lud dla tajemniczej, obcej i potężnej królowej.

- Chyba cię polubiłam - powiedziałam. Wyraz jego ust złagodniał.

- W takim razie nie zabijaj mnie, kiedy cię zaatakuję. Zamrugałam. Nagle jakaś siła sprawiła, że upadłam w tył; Raw i Aaz obalili mnie na ziemię, gdy Ha'an wymierzył w moją twarz cios, niemal zatapiając palce w moich oczach. Zee warknął na niego.

- Cholera - powiedziałam, wstając. Ha'an odrzucił głowę do tyłu, a z jego gardła wydobył się gulgoczący ryk. Wszyscy Mahati się zerwali. Odwróciłam się i uciekłam co sił w nogach w stronę kamiennej kolumny i Jacka. Ciemność zapłonęła pod moją skórą.

Twardo się nam przeciwstawiasz, powiedziała. Pozostaniesz taka silna?
Nie należę do was, odpowiedziałam z bijącym sercem. I nigdy nie będę należała.
Jesteśmy w twojej krwi, Tropicielko. Wyczuwałam, że ciemność się uśmiecha. Należymy do siebie nawzajem.

Włosy śmignęły w powietrzu jak jaśniejący bicz. Moja prawa ręka zapłonęła do białości, a sekundę później palce zacisnęły się na rękojeści miecza. Machnęłam nim mocno, nie widząc jednak wyraźnie i nie mogąc skupić spojrzenia na twarzach Mahati, na których natarłam. Skórę miałam wrażliwą, ale Dek chronił moją szyję i głowę, a Raw wyżłobił ścieżkę z wnętrzości i kości między Jackiem a mną. Gruba warstwa zakrzepłej krwi pokrywała małego demona, a jego uśmiechnięte usta zapieniły się na czerwono. On i Aaz trzymali kolce w swoich szponiastych dłoniach i przebijali się przez Mahati, tnąc ich ciała jak masło.

Dotarłam do kolumny. Zee już tam był. Zerknęłam przez ramię, ale było zbyt wielu Mahati, bym mogła widzieć coś poza obnażonymi zębami, srebrzystą skórą i błyskami delikatnych łańcuchów. Dostrzegłam Ha'ana, który stojąc za swoim ludem, obserwował mnie ze smutkiem w oczach.

Nie wiedziałam, jak uwolnić Jacka, lecz poczułam, że kamień wibruje z szumem wnikającym w moje kości. Zee dotarł na szczyt kolumny i wbił pazury w kolec wyrastający ze światła Jacka. Pochwycił go.

Jack rzucił się w przód - jak ognista, skrzydlata kula, jak błysk słonecznego blasku - a potem równie szybko spłynął na moje barki jak opończa z czystego, ciepłego i światła.

Moja droga, powiedział wewnątrz mojego umysłu. Moja śliczna dziewczyno.
Mahati zbliżyli się, warcząc. Zwołałam chłopców, myśląc o Grancie...

Wymknęliśmy się, wpadając w próżnię, a w owej chwili spokoju poczułam, jak bije mi serce, jak szumi krew i odczułam wielki ciężar przytłaczający moją duszę, jak gdybyśmy były drzwiami opierającymi się potężnej nawałnicy, która napierała na mnie i wyła w moich uszach.

I wtedy próżnia wyrzuciła nas do lasu.

Padało. Wiatr był mocny i zimny. Jack zsunął się z moich barków. Upadłam na kolana. Oplotły mnie czyjeś ręce.

Ręce Granta.

Zadrżałam, chwytając jego ramię i zauważając, jakby:
z wielkiej odległości, że całą rękę mam we krwi.

- Zamknij zasłonę. Teraz.

- Oni nadchodzą - powiedziała Posłanniczka. Spojrzałam zaniepokojona w górę. Ciała przeciskały się przez zasłonę, spadając ku nam. Było ich więcej, niż się spodziewałam.

- Zee - powiedziałam chrapliwe. - Czy Ha'anowi można zaufać?

- Tak - odrzekł, choć z niepokojem.

Szukając wzrokiem Granta, odnalazłam go za moimi plecami: leżał na ziemi z zamkniętymi oczami, usta zaciśnięte w wąską kreskę wyrażały determinację. Deszcz skapywał mu z włosów na twarz. Przemókł.

Kiedy zaczęłam wstawać, złapał mnie za nadgarstek.

- Potrzebuję cię - powiedział.

- Będę walczyć - odezwała się Posłanniczka, zginając ręce. Z czubków jej palców wyrastały pazury, skóra błyszcząca. - Zajmijcie się zasłoną.

Ledwie ją słyszałam. Grant zaczął śpiewać.

Głos wydobywał się z jego krtani z mocą dziesiątków tysięcy śpiewających mnichów, zupełnie jakby niezliczone głosy zlewały się w jeden chór. Przytłaczająca, niehumanitarna, pierwotna sylaba OM, która mogła być pomrukiem płonącej gwiazdy albo szumem krwi w żyłach - był to odgłos tej iskry, która wyznaczała granicę między żywymi a zmarłymi.

Mahati spadli na ziemię wokół nas. Zee i pozostali chłopcy przywarli do naszych boków. Zerknęłam na Posłanniczkę. Odchyliła głowę i rozwarła usta w krzyku, którego nie mogłam dosłyszeć, który jednak sprawił w osłupienie jednego z wojowników Mahati. Wpatrywał się w nią z przerażeniem. A potem, z takim samym przestraszaniem, obrócił się i zaatakował swoich pobratymców. Poszukałam Jacka, ale nie mogłam go dojrzeć. Blizna pod moim uchem zamrowiła. Kolejne ciała przedostały się przez zasłonę.

Zamknęłam oczy. Nie mogłam na to patrzeć. Musiałam uwierzyć, że wyjdziemy z tego cało. Tylko dzięki temu nie upadłam, gdy głos Granta wniknął w moje kości, nabierając mocy. Złociste światło pulsowało pod moimi powiekami jak świetliste nici i wyobrażałam sobie, że to światło płonie coraz jaśniej w mojej piersi, rozprzestrzeniając się w moim ciele mimo narastającej ciemności. Pomyślałam, że rozerwie mnie na strzępy i spowije cały świat w mroku.

Ta ciemność karmiła światło, a światło żywiło ciemność. Mogłam je ujrzeć i poczuć, pracujące we mnie z każdym uderzeniem serca, z każdym oddechem, muzyką i krwią, płynącymi razem w straszliwej harmonii.

Poczułam, że sama się zmieniam. Nie była to subtelna zmiana. Stawy mnie bolały, mięśnie się rozciągały, świat stawał się nieskończenie mały - a moje ciało płonęło. Płonęłam mocą. Zabójczą, dziką mocą, która sprawiała, że śmierć i życie zdawały się błaha przy otchłani ziejącej pod moim lśniącem, złocistym sercem.

Nagle otworzyłam oczy, a świat był czerwony, moja skóra marszczyła się wraz z przemieszczającymi się cieniami, które wily się jak węże. Powoli, z wysiłkiem odwróciłam głowę w stronę Granta. Deszcz na nim syczał i parował, a jego oczy były czarne - czarne na wskroś; obsydianowe żyły pulsowały na jego szyi i skroniach.

Był straszny, przerażający, piękny. Nie słyszałam już jego głosu, ale powietrze wokół niego wibrowało jak falujący żar. Ziemia się zatrzęsała, obalając niektórych Mahati na kolana. Inni rzucili się na nas, celując ostrymi palcami w nasze serca. Czekalam, że Raw i Mai ich powstrzymają, ale małe demony się nie poruszyły - a Mahati obracali się w proch, zanim nas tknęli. Grant odrzucił w tył głowę, drżąc na całym ciele. Jego skóra pękała, krwawiła - tak jak moja i moje ręce.

Przestań, powiedziałałam wewnątrz własnego umysłu.

Chciałaś tego, odpowiedział głos. Tego, czego nie mogę ci dać.

Głosy wypełniały moją głowę wrzaskliwym skowytom. Zamknęłam oczy, skupiając się na więzach z Grantem, oplatając swoją duszę wokół nich i wokół niego, próbując chronić go przed ciemnością we mnie.

Me zmieniaj się, przemówiłam do niego, mając nadzieję, że mnie usłyszy. Me zatracaj się.

Nie tak jak ja.

Moja prawa ręka płonęła. Na tle ciemności i światła nagle znalazłam się w pamięci nasiennego koła - w wieży, wśród ksiąg i woni róż. W oazie. Grant stał obok mnie i drżał.

Tamten człowiek - mój ojciec - tam był. Nie mogłam dostrzec jego twarzy.

Oto co musisz zrobić, powiedział, wskazując na sztylet w swojej dłoni. Ostrze połyskiwało grawerunkami tak skomplikowanymi, tak oszalałymi, że aż mnie zemdlilo.

Wepchnął ten sztylet w głowę Granta. Odczułam cios i wrzasnęłam, kiedy spadły na mnie nici splecionych, tnących odblasków.

Zrób to, a zamkniesz tę zasłonę, powiedział tamten człowiek, gdzieś poza moim wzrokiem. Zrozum to. Zrób to.

A ciemność wyszeptała: Niech tak się stanie.

Otworzyłam oczy. Mahati zaprzestali walki. Ich milczenie było niesamowite, ogłuszające. Niektórzy z nich patrzyli na nas, inni spoglądali w niebo.

Zasłona zaczęła się zamykać. Wpatrywałam się w zanikającą czerwoną szparę.

Mahati zawyli. Większość wyskoczyła ku niebu, spiesząc się, by powrócić do więzienia. Do rodzin, do przyjaciół. Nie wiedziałam do kogo i mało mnie to obchodziło. Inni ruszali się za wolno, a Zee, Raw i Aaz zabijali ich prędko i bez litości; ich ciała poruszały się w mroku jak pociski, szybkie jak myśl. Pokryte zakrzepłą krwią.

Posłanniczka walczyła u ich boku - ona oraz jeden z Mahati. Była cała okrwawiona, pokryta ranami, ale spojrzała przez ramię na Granta i na mnie, a w jej oczach ukazał się wyraz strachu i trwoga.

Ciemność się rozrastała. Zamknęłam oczy, skupiając się na świetle we mnie, na tej płonącej światłości. Na moim świetle. Świetle Granta.

Me możesz go mieć, powiedziałałam do ciemności. Me możesz mieć mnie.

Już tak jest, odpowiedziała.

Nie, powiedziałałam, a w tym momencie inna dziwna moc wzrosła z głębi mnie, przypływ stanowczości, która była rozpacзлиwa i przypominała miłość.

Me, powtórzyłam i otoczyłam swoją duszą ciemność. Me. Me możesz nas zmienić. Możesz zrobić wiele, ale nie jesteś aż tak potężna.

Zmusiłam ciemność, by odpłynęła od Granta. Rozerwałam ją i odrzuciłam, cisnęłam głęboko do studni, gdzie wcześniej pozostawała uśpiona.

I już tam została. Grant wydał z siebie zdławiony, zduszony odgłos, coś pomiędzy westchnieniem a szlochem.

Zasłona się zamknęła, stając się gwiazdami i niebem.

Rozdział 21

Z upływem lat doszłam do przekonania, że moja matka wiedziała, kiedy umrze. Zee nigdy nie powiedział słowa o jej zabójstwie - chłopcy nie rozmawiali o śmierci matek, które żyły wcześniej, ale ja miałam takie przeczucie.

Dzień przed jej śmiercią wybrałyśmy się na ryby. To były moje urodziny, a jeśli czegoś nie robiłyśmy wcześniej, to tym czymś było właśnie przywiązanie haczyka do żyłki i zarzucenie wędki na wodę.

Lato we wschodnim Teksasie. Wilgotne jak wełniany koc namoczony we wrzątku. Duszne, nawet w cieniu, gdzie rozłożyłyśmy się na szorstkiej trawie nad samą rzeką, nasłuchując wiatru w liściach i przyglądając się lśniącej, brunatnej wodzie.

Nie złowiłam żadnej ryby. Moja matka też nie. Tylko siedziałyśmy, popijając lemoniadę i milcząc w swoim towarzystwie.

- Żałuję, że nie spędziłyśmy więcej dni w taki sposób - rzekła matka.

Nigdy wcześniej nie słyszałam, by mówiła z taką melancholią, ale wtedy tęsknota była w jej słowach, w powietrzu, w tym, jak piła lemoniadę i jak rozmyślnie starała się na mnie nie patrzeć.

- Ja też - odparłam.

Matka patrzyła na liście i połyskujące między nimi słońce.

- Czasami sprawiałam, że mnie nienawidziłaś. Czasem cię przerażałam.

Napiłam się lemoniady. Matka miała na sobie džinsy i obcisłą koszulkę bez rękawów. Zostawiła broń w domu, z wyjątkiem pistoletu, który leżał między nami na kocu. Jej i ramiona lśniły rtęcią, osadzone między czarnymi łuskami i węzłami mięśni, zakrzywionymi szponami i kolcami, które wyglądały tak realnie, że jako małe dziecko dotykałam jej ręką całymi godzinami, dziwiąc się, że się nie kaleczę, przeciągając palcami po jej skórze.

- Dziecinko - powiedziała. - Jestem z ciebie dumna. Chyba wtedy się zarumieniłam albo zasłoniłam twarz szklanką z lemoniadą.

- Niczego wielkiego nie dokonałam.

- Dokonasz - oznajmiła stanowczo, podkreślając to słowo zagadkowym uśmiechem. Moja matka rzadko się uśmiechała. Zwykle jedynie wyginała lekko usta, a w jej oczach pojawiał się ciepły błysk. Kiedy byłam mała, mówiłam sobie, że patrzeć, jak ona piecze, w tych rzadkich dniach, kiedy miałyśmy kuchnię, to jak oglądanie jej uśmiechu. - Jestem z ciebie dumna - powtórzyła, patrząc mi w oczy. - Nie najlepiej radzisz sobie z nożem czy pistoletem i nigdy nie miałaś twardych pięści. Nieważne. Masz to coś w sobie. - Wskazała na moją pierś. - Masz dobre serce, dziecinko. Nigdy o tym nie zapominaj. Nawet wtedy, kiedy świat się zawali, kiedy wydarzy się najgorsze. Zawsze dochodzi do najgorszego. Ale ty dasz sobie radę. - Uśmiech ulotnił się z ust matki, ale pozostało ciepło, intensywność. Dodała: - Ty im jeszcze pokażesz, moje dziecko. Pokażesz im, co się liczy: nie władza, nie to, jak mocno bijesz i jak łatwo zabijasz. Nic nie jest trwałe. Nic nie ma sensu. Z wyjątkiem tego. Trzymaj się tego, a nic cię nie złamie. Nigdy się nie zatracisz. Nigdy. Nie ty, moje dziecko.

Jej oczy zaślniły. Ucisnęła mnie, zanim zdążyłam pomyśleć, czy to, co błyszczy w jej oczach, to może łzy. Miała mocne ramiona. Chłopcy, ciepłi, znajdowali się między nami.

- Kocham cię - powiedziała. - I wierzę w ciebie. Ja też w nią wierzyłam. Wierzyłam w nią burcliej niż w siebie.

Następnego dnia patrzyłam, jak umiera. Potem przestałam zbytnio wierzyć w cokolwiek. Ale wszystko nieustannie się zmienia.

Zgodnie z informacjami w wiadomościach - lokalnych i krajowych - w trakcie jednej nocy doszło na kilku farmach na północ od Seattle do tajemniczych kradzieży, połączonych z wielkimi stratami. Znikły, i to w ciągu kilku godzin, zwierzęta hodowlane - całe stada krów, koni, świń - duże zwierzęta, które trudno przetransportować. Nikt nie umiał tego wyjaśnić. Nikt niczego nie zauważył - w każdym razie nikt, kogo policja uznałaby za wiarygodnego świadka - chociaż pewien starszy hodowca drobiu, wychylając się przez okno, żeby zapalić papierosa, twierdził, że widział „przeklęte latające ludki”, uciekające z jego piwami marki Holstein.

Entuzjastom UFO bardzo to odpowiadało.

Kilka dni później reporterzy donieśli, że każda z tych farm otrzymała sporą dotację z anonimowego źródła - pieniądze większe od poniesionych strat. Tragedia przerodziła się w triumf ludzkiego ducha.

Brzmiało to dobrze. W każdym razie farmerzy byli zadowoleni - choć mieli się na baczności - a policja nie potrafiła rozgryźć sprawy.

Skradzionego żywca nigdy nie odzyskano.

Udaliśmy się do Teksasu tej samej nocy, kiedy zamknęliśmy zasłone.

Pozostaliśmy w Seattle na tyle długo, by zabrać Byrona, który nadal spał, strzeżony przez wilkołaka z pistoletem i pewne medium w czerwonych kowbojskich butach, któremu wystarczył rzut oka na Granta, by od razu dostać migreny.

Nie rozmawialiśmy o tym, dlaczego nie możemy wrócić do mieszkania. Być może za bardzo kojarzyło się ono z przemocą. Krew wciąż tam była na podłodze. Ciało z łazienki należało pochować, zanim ktoś wyczułby zapach i oskarżył nas o morderstwo. Powodów nie brakowało.

Jednak przede wszystkim chcieliśmy po prostu uciec, a nie wiedzieliśmy, dokąd wyjechać.

Do świtu została godzina, może dwie. Posadziłam Byrona na starej kanapie. Nie poruszył się, nawet nie drgnął. To mnie zaniepokoiło, ale nic nie mogłam poradzić.

Grant siedział w kuchni, obserwując nas. Krwawił. Na rękach i twarzy miał podłużne szramy w miejscach, gdzie popękała skóra. Ale najbardziej przerażały mnie jego oczy: ciemnoczerwone, nabiegłe krwią. Próbował się do mnie uśmiechnąć, kiedy usiadłam obok, ale kiedy wziął głęboki wdech, zaniósł się kaszlem. Krew splamiła jego wargi, a potem dłonie.

Raw zniknął w mroku i wrócił z podręczną apteczką, jeszcze zapakowaną w folię. Złodziejaszek. Przyciągnęłam krzesło bliżej Granta, usiłując otworzyć apteczkę. Miałam kłopoty ze wzrokiem. Oczy mnie szczypały, a każdy mięsień w moim ciele drżał jak galareta. Pogmerałam w apteczce, omal jej nie upuściłam, a Grant położył dłoń na mojej ręce.

- Wytrzymam - powiedział.

Pokręciłam głową, zaczęły mi płynąć łzy. Grant przyciągnął mnie bliżej; dreszcz przeszył nas oboje, przebiegając ode mnie do niego, aż zastukały nam zęby i przytuliliśmy się do siebie, nie aby dodać sobie otuchy, ale dlatego, że było nam zimno.

- Prawie się zatraciłem - powiedział. - Nigdy nie sądziłem, że może do tego dojść, ale ta moc była fantastyczna. W tamtej chwili mógłbym dokonać wszystkiego, Maxine. Przekonałem się o tym.

Brzmiało to aż nazbyt znajomo. Zaciśnęłam palce na jego przemoczonej koszuli.

-Na przykład oczyścić świat ze wszystkich złych ludzi.

- Odmienić ich. I demony też. Żadnych zbrodni, żadnej przemocy. Pokój na ziemi.

- To mogło cię kusić.

- Ta moc powiedziała, że gdybym to zrobił, mógłbym cię uchronić. Zapewnić, że nie umrzesz młodo. -

Głos mu zadrżał. - Gdyby mnie nie opuściła, kiedy...

Pocałowałam go, oboje byliśmy zdesperowani, zatraceni, tuląc się do siebie nawzajem z całych sił. Nie dopuszczałam do siebie myśli o tym, co takiego zrobiliśmy, jak niewiele brakowało. Nie wiedziałam zbyt dobrze, co właściwie mogło się stać poza tym, że stanęliśmy na skraju czegoś strasznego, transformacji, po której nie bylibyśmy już istotami ludzkimi. Ani w ciele, ani, być może, w sercach.

Za nami, w salonie, usłyszałam stękanie. Próbowałam odsunąć się od Granta, ale Dek i Mai splekli się razem, przytrzymując nas, a ich mruczenie było ogłuszające. Grant pocałował mnie w czubek nosa, a potem w oczy. Już nie drżał. Ja też nie.

Usłyszałam poruszenie, któremu towarzyszył cichy jęk. Grant zamknął oczy, pokręcił głową i poklepał Mala. Obaj chłopcy zaświergotali do nas i rozplatali się tak, że mogliśmy się od siebie odsunąć. Ale nie za daleko. Nie mogłabym znieść myśli o przebywaniu z dala od Granta. Poczułam ucisk w sercu.

Byron siedział wyprostowany, trzymając się za głowę. W jego postawie było coś takiego...

- Jack - powiedział Grant.

Westchnęłam. Mój dziadek lypał na nas, jak gdyby bolały go oczy. Kiedy spróbował wstać, ugięły się pod nim kolana i opadł z powrotem na kanapę. Poszukałam wzrokiem Zee, ale go nie wypatrzyłam - podobnie zresztą jak Rawa i Aaza.

Laska Granta leżała na podłodze. Wcisnęłam mu ją w ręce. Oboje nadal krwawiliśmy, ale teraz krew już tylko się sączyła. Wstając, musieliśmy przytrzymać się wzajemnie.

Nogi mieliśmy jak z waty. Idąc wolno naprzód, dowlekliśmy się do kanapy. Jack patrzył na nas, a na jego ustach pojawił się nikły uśmiešek.

-Wy oboje - zaczął, kręcąc głową - przepełniacie mnie taką nadzieją. I strachem.

Zignorowałam te słowa.

-Dobrze się czujesz?

-Tak - odparł Jack, ale słysząc głuchy ton jego głosu, pomyślałam, że pewnie kłamie. Zatarł dłonie, knykcie miał zbiele. - Oboje wyglądacie okropnie.

Grant i ja spojrzeliśmy po sobie.

- Nadal uważam, że jesteś fajna - powiedział Grant, pocierając moją łysą głowę.

- A ty po walce wyglądasz świeżo - odparłam. - Bardzo rozgrzany.

Dek i Mai zaczęli śpiewać piosenkę Bonnie Tyler *Holding Out for a Hero*. Grant pocałował mnie w policzek i westchnął.

Jack powiedział:

- Maxine, za zasłoną... - urwał, jak gdyby nie mógł wypowiedzieć tych słów. Spojrzał na Granta z konsternacją. -A ty. To, co zrobiłaś, chłopcze...

- To niemożliwe - wtrącił Grant cicho. - Wiem.

- Nie, nie. - Jack mocniej wykręcił dłonie. - To, co zrobiłaś i jak... Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Nie mogłbym ci pomóc tego wznieść, nawet gdybym próbował. To nie coś, co Aetar by stworzył. Nawet nie umywa się do tego, czego się starałem cię nauczyć. W rzeczywistości... powiedziałbym, że było... wspanialsze.

Grant znieruchomiał. Ja także. Poczułam, jak cięży mi w kieszeni nasienne koło.

- Chłopcze - powiedział Jack, jakby bardziej gorączkowo, ale przerwało mu otwarcie frontowych drzwi, co uchroniło nas przed udzieleniem odpowiedzi,

To była Posłanniczka. Wcześniej została poważnie poraniona, ale teraz rany już znikły, a jej skóra stała się nieskazitelna i biała.

- Powinniście przyjść - rzekła.

Wyszliśmy za nią na zewnątrz. Nadal było ciemno, ale mieliśmy wrażenie, że wśród nocy jak niewidoczny oddech zbliża się świt.

- Gdzie Mahati? - spytałam.

Posłanniczka wskazała palcem. Spoglądając tam, dostrzegłam wysoką postać, stojącą koło stodoły. Temu komuś brakowało lewego ramienia, ochłapy mięsa zwisały z bioder, ale plecy miał proste, srebrne warkocze długie, a łańcuchy zwisające od uszu do nosa pobrzmiwały delikatną muzyką. Ta postać nas obserwowała, wyczuwałam jej wściekłość, kipiącą jak coś żywego.

- Wiesz co? - powiedziałam. - Nazwij mnie hipokrytką, ale kiedy kazałam ci związać się z Mahati, nie chodziło mi o to, żebyś go sobie zatrzymała.

I to żywego, czego jednak nie dodałam.

- On jest silny - stwierdziła Posłanniczka skrzypiącym głosem. - Silniejszy od muła. Widzisz, że nadal zachowuje umysł, choć to ja panuję nad jego ciałem? Razem z nim mogę wiele dokonać. - Wbiła we mnie twarde spojrzenie i dodała: - I muszę, bo wyjaśniono mi, że z ludźmi mam się nie wiązać.

- To... mimo wszystko niewłaściwe - odparłam słabo. Grant uszczypnął mnie w biodro i pokręcił głową.

- Czy to znaczy, że zostajesz? - zadał jej pytanie. Posłanniczka dotknęła swojego kołnierza.

- Na razie. Są pewne rzeczy, których chyba powinnam się nauczyć.

Podniosłam wzrok, żeby się przekonać, czy Jack ma coś do dodania, ale on wpatrywał się w coś za mną. Odwróciłam się i ujrzałam wzgórze, gdzie pochowano moją matkę.

Widziałam dobrze nawet w mroku. Wyczułam jakieś poruszenie. Małe ciała. Wzbijany kurz.

Zrobiłam krok, mocno zaniepokojona. Grant chwycił mnie za ramię.

- Nie, to nie to, co myślisz.

- Skąd wiesz?

- Chodzi o ich aury - powiedział.

- Oni mnie chowają - stwierdził Jack ciężkim głosem. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Dotknęłam jego barku,

ujęłam dłoń Granta...

...i wyszliśmy z próżni na tamto wzniesienie.

Owinięte w całun ciało Jacka już umieszczono w głębokim dole, wykopanym obok grobu mojej matki. Raw i Aaz balansowali na skraju tej jamy, a ciała mieli zakurzone. Przyciskali do piersi pluszowe misie. Zee przykucnął na szczycie masywnej kamiennej płyty, która wyglądała tak, jakby dopiero co została wyrwana z ziemi. Wyskrobywał na niej jakąś wiadomość.

Królowie, pomyślałam. Królowie i dzieci. I przyjaciele.

Jack podszedł do głazu. A ja zbliżyłam się do niego.

- Jack Meddle - odczytałam ponad ramieniem Zee. - Wścibski Człowiek. Ojciec. Dziadek.

- Ukochany - dokończył Jack. Popatrzył na Zee i chłopców. - To niezwykły dar.

Zee wzruszył ramionami, nie patrząc mu w oczy. Raw i Aaz wrzucili swoje pluszowe misie do dołu, na zwłoki. Dek i Mai zanucili kilka taktów *Good Morning Heartache*, starając się naśladować śpiew Gladys Knight.

- Czy ktoś chciałby coś powiedzieć? - zwrócił się Grant do Jacka.

Mój dziadek przez dłuższą chwilę wpatrywał się w dół, potem spojrzał na grób mojej matki.

- Dzięki twojej matce zapomniałem, że jestem nieśmiertelny - powiedział cichym głosem. - Tak jak ty, Jolene, kiedy znałem cię pod takim imieniem. Ty też. - Jack popatrzył na mnie mrocznym wzrokiem pełnym bólu. - To największy komplement.

Odwrócił się ode mnie i stopą zsywał trochę ziemi do grobu. Dotknęłam jego ramienia.

- Pozwól, że ja to zrobię.

Jack odstąpił na bok, obserwując, jak zasypuję jego dawne ciało. Było to dla mnie trudne. Ciągle chciało mi się płakać, co było niemądre, bo wszyscy, którzy się liczyli, stali obok mnie.

Ale miałam zatęsknić za tamtą twarzą.

Zee zaczął mi w końcu pomagać. Tak samo Raw i Aaz oraz Grant, chociaż kiedy zaczął kaszleć, kazałam mu usiąść na trawie.

Wreszcie było już po wszystkim. Po pogrzebie. Chłopcy zepchnęli gład na miękką ziemią, a ja oczyściłam go dłońmi. Zbroja połyskiwała. Metal objął nieco więcej mojej ręki, ale nie obchodziło mnie to. W oczekiwaniu na świt wsłuchiwałam się w szum dębowych liści i śpiewające gdzieś w pobliżu ptaki.

- Powiniennem już iść - powiedział Jack. - Chłopakowi potrzebne znowu jego ciało.

- I wspomnienia - dodałam. - Niech Byron je zachowa. Jack się zawahał.

- Raz już tak zrobiłem. I okazało się to błędem.

- Nie tym razem. - Przetarłam oczy wierzchem dłoni. - Teraz on ma rodzinę.

Jack nie odpowiedział. Po prostu stał, jakby wchłaniał mnie w siebie albo widział przeszłość lub też myślał o czymś, co jego spojrzeniu przydawało ciepła i ostrożnej zadumy.

- Twoja matka miała rację - powiedział. - Moja dobra, słodka dziewczyna.

- Jack - odezwałam się. Powstrzymał mnie gestem.

- Wypatruj obcych z błyskiem w oczach i tym swoim diabolicznym uśmiechem. Wypatruj mnie już niedługo, moja droga. Sprawisz, że starzec znowu zechce żyć.

Wyciągnęłam do niego rękę, ale dotknęłam tylko Byrona, osuwającego się na kolana. Jack przepadł i nawet nie zauważyłam, jak blaknie jego światło. i

Przytrzymałam chłopaka przy sobie, głaszcząc go po włosach. Grant przykuśtykał bliżej, tak samo jak Zee i reszta chłopców. Dek i Mai zanucili kołysankę.

Byron drgnął, wtulając twarz w moją szyję.

- Hej - wyszeptalam.

- Maxine? - Wydawał się zmęczony, zmieszany i próbował się odsunąć. Nie puszczałam go. - Co się stało?

- Nic. - Pocałowałam go w głowę, obejmując mocnym uściskiem. - Nic, o co musiałbyś się martwić.

Młodziak chciał się dopytywać, ale też był wyczerpany. Tak zmęczony, że ledwie doprowadziłam go z powrotem do domu. Nie widziałam Posłanniczki ani Mahati - i bardzo dobrze, ponieważ nie chciałam, żeby Byron ich zobaczył.

Umieściłam go w swoim dawnym pokoju. Dziwnie się tam czułam. Tapeta pokryta wzorkiem w małe, malowane koniki odchodziła od ściany, a stara rama drewnianego łóżka była zniszczona bardziej, niż pamiętałam. Otworzyłam okno, aby wypuścić trochę powietrza, a kiedy chłopak przebywał w łazience, Raw i Aaz przynieśli czystą pościel, koce i poduszki oraz torbę z ubraniami, które jeszcze miały metki.

Ułożyłam Byrona do snu. Zasnął, nim zdążyłam go przykryć.

Jeszcze nie świtało, gdy zaczęłam wracać na wzgórze, ale horyzont na wschodzie już robił się niebieskawy, a gwiazdy gasły. Chłopcy biegli susami koło mnie. Powietrze pachniało słodko.

Moja blizna zamrowiła. Miękkie kosmyki włosów połaskotały mnie w tył głowy.

- Świat się zmienia - przemówił jedwabisty głos gdzieś za moimi plecami - a to, co było, przybiera nowe formy i odradza się znowu.

Odwróciłam się, ale nikogo nie było. Zerknęłam w górę, dostrzegłam cień na niebie, który potem też zniknął. Jak spadająca gwiazda, córa nocy.

Odnalazłam Granta tam, gdzie go zostawiłam, siedzącego przy grobie mojej matki.

- Bywasz tu częściej ode mnie - powiedziałam, siadając koło niego.

W dłoni trzymał amulet swojej matki. Uśmiechnął się do mnie ze znużeniem, a rany na jego twarzy sprawiły, że uśmiech wydał mi się trochę krzywy.

- To wydaje się dobrym miejscem na przemyślenia. O tych wszystkich małych tajemnicach.

Tak wiele tajemnic. Nic nie było takie, jak oczekiwałam. Ani więzienna zasłona, ani Mahati, ani układ, jaki zawarłam. Ani moja matka, ani Labirynt, ani tamten człowiek, który nasączył nasienne koło wiedzą o tym, jak zbliżyć się do zasłony. Ten mężczyzna, który wiedział, że koło nie tylko będzie moje, ale i znajduje się w rękach Granta.

To mój ojciec nam pomógł, chciałam przypomnieć, ale te słowa nie przeszły mi przez gardło. Zobaczyłam jednak, że Grant mnie obserwuje z dziwnym wyrazem oczu.

- Zagadki - powiedziałam z namysłem. - My też jesteśmy zagadkowi.

Ułożył spracowaną dłoń na moim sercu i przytrzymałam ją tam, wsłuchując się w swoje ciało, w coś jeszcze głębszego, czując puls mojej więzi z Grantem i, poza nią, powolną, zwiniętą ciemność, odpoczywającą, czekającą, śniącą.

Przerażała mnie, ale już nie tak jak dawniej.

Mogłam nie znać jej, ale znałam siebie.

Raw i Aaz wdrapali się nam na kolana. Zee podszedł bliżej, patrząc na wschód na niebo o świcie.

- Tęsknię za słońcem - powiedział. Zapomniałam o wschodach słońca w Teksasie. Od tak dawna mieszkałam w Seattle, że niemal zapomniałam o słońcu. Też tęskniłam za słońcem, jednak nie aż tak jak chłopcy. Przyciągnęłam Zee i pocałowałam go w czoło. Dek i Mai zanucili pod nosem.

Grant poruszył się lekko i ujął moją prawą rękę. Wcisnął mi w dłoń coś małego. Ściągnęłam brwi i spojrzałam.

To był pierścionek. Nieduży, delikatny, z czystego, kruchej złota. Obrączka bez oczka.

Zee i chłopcy zamarli. Ja również.

Grant próbował coś powiedzieć, ale bez skutku. Spróbował jeszcze raz, a ja zasłoniłam mu usta dłonią, patrząc mu w oczy.

Wpatrywałam się przez dłuższą chwilę, a potem wyciągnęłam lewą rękę.

Grant wstrzymał oddech i wziął obrączkę z mojej drugiej dłoni. Wsunął ją delikatnie na mój drżący palec.

Zee ułożył głowę na moim kolanie i przymknął oczy z nikłym uśmieszkiem. Raw i Aaz kołysali się, zasłaniając usta. Dek i Mai mruczełi.

- Tą obrączką cię poślubiam - wyszeptał Grant.

- Póki śmierć nas nie rozłączy - dopowiedziałam.

Podziękowania

Serdeczne wyrazy wdzięczności dla mojej wspaniałej redaktorki Kate Seaver, fantastycznej agentki Lucienne Dwer, wszystkich wspaniałych ludzi z Berkley i świetnych adiuśta-torów, Boba i Sary Schwagerów.